ODPOWIEDŹ,

WEDŁUG OBYCZAJU RYCERSKIEGO

w prawie polskiem [1]).

Nieraz w życiu spostrzegać można, jak zwyczaje stare, ustalone wiekami, chylą się do upadku, jak ulegając wpływowi niszczącego czasu słabną i powoli znikają z życia społecznego. I nietylko giną ich ślady, ale nawet nazwy się ulatniają, jak dym wśród jesiennego wiatru. W żywym języku urywa się nić tradycyi i niekiedy tak przebrzmiéwa odgłos danego słowa, że nic prawie nie jest w stanie wkrzesić jego znaczenia. Dopiéro w takim skarbcu żywych i martwych wyrazów, jakim jest słownik, wydobyć można na wiérzch ukrytą nazwę, przysypaną pokładem dawniejszych czasów. Tak pospolity wyraz, tak zrozumiały dla każdego, jak wyraz „odpowiedź", nasuwa jednak niezwykłe trudności dla trafnego wyrozumienia określeń, jakie się dość często w XV-ym wieku i w następnych czasach u nas w rozmaitych pomnikach literatury spotykają.

Toż Bartosz Paprocki w swoich „Herbach rycerstwa polskiego" nieraz wspomina wyraz „odpowiedź" i inne pochodne, np. o Szafrańcu Krzysztofie z XV-go wieku nadmienia, że bawiąc we Wrocławiu szlą-

---

[1]) Pracę niniejszą ś. p. A. Pawiński napisał przed samém zapadnięciem w chorobę, która go o śmierć przyprawiła.

(W cytatach jest prawie wszędzie "opowiedzieć się", nie "odpo

skim poswarzył się z jednym mieszczaninem i był od niego ranion, któremu iż nie mógł oddać zaraz rany, skarżył nań przed urzędem. A gdy mu sprawiedliwości nie uczyniono, wyjechał, a odpowiedział miastu.” Przy najlepszéj znajomości języka można być w kłopocie, jak pojmować, jak rozumiéć wyrażenie: „a odpowiedział miastu.” Również komentarzy wymaga taki ustęp u Szymona Starowolskiego, w znaném jego dziele „Prawym rycerzu” (stron 17) — „bo bronić się każdemu — są słowa autora — szczególnie i poddanemu godzi od gwałtu, ale wojnę podnosić i najeżdżać, odpowiedź czynić, na rękę wyzywać, żadnemu się nie godzi...”

A cóż dopiéro, gdy się do ksiąg rękopiśmiennych zwrócimy, gdy zaczniemy szperać w starych papiérach, nawiną nam się te same wyrazy w różnych odcieniach swego znaczenia. Ukażą się „listy opowiedne”, wystąpią „gwałty nieodpowiednie” dokonane, będą odpowiednicy następowali na sąsiadów, nie ogrodziwszy poczciwości swéj.” Inni znów chełpią się, że mi jeden z nich odpowiada, a ja wszystkim tak ojcu, jako i braci jego. Przyjechał sąsiad do sąsiada i z polecenia osoby postronnéj „opowiedział mu odpowiedź w domu jego”. Inni znów tamtemu „nic nie odpowiedziawszy przystojnie wedle biegu rycerskiego” przy robocie u ludzi najechali na człowieka spokojnego... W XVI-ym wieku tak się mnożą dowody podobnych zwrotów mowy, mianowicie w księgach sądowych, których całe setki dochowały się z owych czasów, że rzadko która księga nie mieści w sobie samego zasadniczego wyrazu lub jego różnych a odmiennych postaci.

Może warto w pamięci wskrzesić słowo, które jeszcze niedawno było w żywym obiegu i wywoływało cały szereg pojęć o przebrzmiałém dziś już znaczeniu. Nie chodzi nam o słownikarskie, filologiczne wywody. Trzeba, żeby rzecz sama ożyła, żywotności nabierze wyraz i utrwali się w pamięci. Puste słowo wypełni się treścią i rozbrzmi w całéj swéj mocy. Wchodzi ono w zakres spraw prawnych, odnoszących się do wymiaru sprawiedliwości nie przez ustanowioną władzę publiczną, ale przez prywatną, osobistą powagę osoby, będącéj z drugą w zatargu. Dla tego lub innego powodu, dwie strony są z sobą w nieporozumieniu i dla rozstrzygnienia sporu uciekają się nie pod powagę sądu królewskiego, grodzkiego lub ziemskiego, ale wymierzają sobie same sprawiedliwość, albo czynią ku temu przygotowania za pomocą groźby lub prawdziwego czynu. Z przeciwnikiem rozpoczyna się walkę i obie strony stawią życie swoje na kartę. Powstaje między zwaśnionemi stronami wojna domowa, która podobna jest do tego, co się działo we Francyi pod nazwą *guerre privée*, albo w Niemczech *Fehde* albo *Fajda*.

Sięgnijmy do głębi téj instytucyi prawnéj, jaka jest w prawie polskiém, znana pod nazwą odpowiedzi. Nie dotykamy obecnie wczesnych początków występującéj już w XIV-ym wieku odpowiedzi, ale podnosimy ślady głównie rozwiniętego w XVI-ym stuleciu obyczaju prawnego. W roku 1532-im, w ziemi płockiéj, wkrótce po jéj przyłączeniu do Korony, za króla Zygmunta I-go, powstała sprawa, po łacinie zapisana do ksiąg grodzkich płockich, treści następującéj [1]): Mikołaj Syrowski Garbacz, dziedzic wsi...... skarży się przed starostą żałośnie na szlachtę Andrzeja Dzierzka i syna jego Piotra... że ci liczne pogróżki czynią i grożą mu zabójstwem. Nawet mu przysłali od siebie Jana Biernatowicza z Żeromina Wielkiego, Piotra Sachockiego Niemierzyca oraz Tomasza z Chełstowa, uprosiwszy ich, aby temuż Mikołajowi w tych słowach odpowiedzieli: „Idźcie doń i oświadczcie mu, żeby to napewno wiedział i wszędzie niech się nas strzeże i niech to wié, że w krótkim czasie z rąk naszych zginie. A stojący ciż szlachta mianowani Jan, Piotr i Tomasz oświadczyli, iż według wskazania pomienionego Andrzeja i Piotra syna jego odpowiedź powyższą wyłuszczyli i powtórzyli." To zeznanie stwierdził osobą swą Jan Chełstowski i wobec starosty, jako prawdziwe, przyznał. Na téj podstawie prosił skarżący Mikołaj, żeby przedsięwzięto właściwe środki dla zabezpieczenia jego życia, oraz dla wzmocnienia pokoju. Dlatego téż starosta ustanowił odpowiednie *vadium*. Wadium polegało zwykle na tém, że starosta, na którym leżał obowiązek utrzymania w powiecie, czy w ziemi bezpieczeństwa ogólnego, pod karą wadyalną stu, dwustu lub więcéj złotych zapewnionych odpowiedzialnymi poręczycielami, wstrzymywał między zwaśnionemi stronami zatarg, grożący wybuchem i naruszeniem spokoju. Jak postanowienie takie starosty zapisywano do księgi sądu grodzkiego dla pamięci, tak również zapisywano pod tym samym aktem, lub téż obok niego, samych poręczycieli, którzy zabezpieczenie pokoju, przez poręczenia, brali na siebie. Pod skróconą nazwą *vadium*, ukazują się te czynności starosty w niezliczonéj liczbie, mianowicie już w XV-ym wieku. Gęsto są one rozsiane w XVI-ém stuleciu, niemniéj obficie ukazują się w następnych czasach. Nietylko zaś w jednéj ziemi płockiéj, nie w samém Mazowszu, ale w każdym zakątku Polski bez wyjątku. Okoliczności miejscowe nieraz powodują w tych aktach różnice i wywołują u nich objawy częstotliwości. Bywają wypadki, że takie wadia starościńskie niekiedy zachodzą bardzo rzadko, niekiedy znów w tych samych księ-

[1]) Ks. grodz. płock., f. 259, Decret. occasione diffidationis.

gach znajdują się bardzo obficie i świadczą o korzystaniu z opieki prawnéj starościńskiéj.

Pomijając te drobne szczegóły, powrócić należy do uwydatnienia charakterystycznych rysów przytoczonego aktu. Zwraca na siebie szczególniéj uwagę odpowiedź przytoczona tu dosłownie. Łatwo więc pochwycić treść, znaczenie tego, co otrzymało nazwę odpowiedzi. W danym przytoczonym wypadku chodzi o to, żeby uprzedzić stronę, do któréj się ma pretensyę, że grozi jéj od drugiéj strony niechybna zemsta i to nie na mocy jakiegoś wyroku sądowego, ale według własnego uznania. Jest to pogróżka zadania śmierci przeciwnikowi.

Na jednym wypadku poprzestać nie można, żeby przyjść do przekonania, że to są zjawiska powszechne w całém społeczeństwie polskiém, zachodzące w różnych czasach, zarówno w początkach XVI-go wieku, jak i w następnych i przybierające różny i odmienny charakter pod względem społecznym.

W województwie kaliskiém, w powiecie konińskim, w r. 1556 powstał zatarg pomiędzy szlachtą dość głośny, który przedewszystkiém odznaczył się tém, że bardzo wielka liczba wzięła w nim udział. Stanął po jednéj Ambroży Wąsoski, ze wsi Wąsosze, a po drugiéj niemal pół powiatu, szlachty bez liku. Wysłali oni list otwarty, będący rodzajem odpowiedzi, do dworu Wąsowskiego i wyłuszczając mu powody zatargu, wypowiadają Wąsoskiemu swą nieprzyjaźń. Zagajają ten list „my wszyscy Cieleccy domu tego" i oświadczają, że nietylko oni, ale i przyjaciele ich wszyscy stają po stronie szwagra swego, Marcina Goryńskiego, „bośmy to powinni" i bronić będą całości życia jego. Następują jakby na jakiéj konfederacyi spisy przyjaciół i służebników: Goliński z synowcami, Jan Ruszkowski, sędzia brzeski, z synami, przyjaciołmi i służebnikami, Lubienieccy, Bartosz Branicki, Nowowiejski, Tulibowski, Bnińscy, Czarnotulscy bracia, Trzebieński z synami swemi, Milewski, Rozbitcy, Kozielski, Szczukowscy, Waśnicki, My Cieplińscy, Bieganowski, Oliskowski, Goruczyńscy, Zagorscy, My Rusocki miecznik z synami, Biechowski, Poniatowscy, Kadzidłowscy, Marlewscy, Budzisławcy — My wszyscy przy tym p. Goryńskim opowiadamy się, jako należy na rycerskie ludzie jednostajnie stać w potrzebie jego przy nim... Tobie szlach. Ambrożemu Wąsoskiemu ten list ma być dan... Tak więc przez woźnego konińskiego nastąpiło urzędowne wypowiedzenie nieprzyjaźni przez pana Goryńskiego panu Wąsoskiemu. Następstwa tego aktu prawnego, którego dochodzić nie jest zadaniem naszém, nie są nam wiadome.

Główną zwracamy uwagę na tę okoliczność, że czynnemi osobami stają się nietylko strony bezpośrednio wmieszane do zatargu, ale

pośrednio należące przez związki krwi, powinowactwa, lub stosunki społeczne. Odpowiedź zatém zamienia osoby w nieporozumieniu będące na rodzaj walczących, lub do walki zabierających się obozów, w których występują nie pojedyncze strony, ale rody całe, ojcowie z synami swymi, z synowcami oraz ze służebnikami. Z tego punktu widzenia łatwo jest ocenić doniosłość następstw, do jakich prowadzi odpowiedź, będąca objawem panującéj samowoli, nieuszanowania władzy publicznéj, sponiewierania powagi, jakiéj w społeczeństwie sąd używać powinien.

Bardzo charakterystycznym jest list odpowiedni, który z r. 1576 zachował się w księgach sądowych sandomierskich. Świadczy on nietylko o tém, że i Małopolska ulegała tym ogólnym zwyczajom sądowym, ale dochowała u siebie odrębne rysy, które podnieść i w pamięci zachować należy. To także w zachodzącym wypadku zauważyć godzi się, że dochowała się odpowiedź w języku polskim, który wogóle w księgach sądowych nie należy do uprzywilejowanych lub do ogólnie używanych.

Między Łukaszem Gromadzkim z Gromadzic a Janem Mościckim z Wiszar istniało nieporozumienie, które właśnie w pomienionym roku 1576 uwydatniło się w kształcie sądowéj odpowiedzi, jaką woźny złożył przed urzędem i aktami sandomierskiemi w imieniu i z poruczenia Łukasza Gromadzkiego głównego, oraz jego krewnych Stanisława Gromadzkiego, Krzyżtofa, Mikołaja Borków, Stanisława Wielopolskiego, Marcina Jeziorkowskiego, Andrzeja Suchorabskiego i Jana Wysockiego.

Do akt sądowych wniesiony był list odpowiedni, własnoręcznie napisany i przypieczętowany, z którego treścią jako ciekawym aktem poznajomić się warto. Janie Mościcki, Iżeś nad spodziewanie moje, bez wszelakiéj mojéj winności, ani nie dawszy znać z jakiéj nieprzyjaźni od siebie, niezwyczajnieś śmiał broń swą podnieść przeciwko mnie a niewinną krew mą iżeś przelał—przeto ja pomniąc na przystojność swą ślachecką, opowiadam ci to tym moim pisaniem, które do ciebie posyłam, iż żalu, bólu i despektu swego chcę i mam tę wolę za pomocą bożą i za sprawiedliwością swą na tobie i na gardle twym zemścić się. A tak się mnie ze zdrowiem i gardłem swoim strzeż na każdém zwykłém miescu okrom domu twego własnego, okrom którego na wszelakiém miescu masz ze mnie takiego nieprzyjaciela dotąd, póki się nie będę mógł na tobie i na gardle twym żalu swego pomścić. Dla czego lepszéj pewności i wiary list ten swój odpowiedni, ręką swą własną pisany i zapieczętowany tobie jako nieprzyjacielowi swemu zwykłym obyczajem posyłam. Dan z Gromadzie an. 1576. *L. S.* podpis własnoręczny.....

Krewnych zaś wyżéj przytoczonych list odpowiedni brzmi w następującym sposobie: Janie Mościcki! Iżeś nad spodziewanie nasze, bez wszelakiéj winności, nie dawszy znać żadnéj nieprzyjaźni strony twéj bratu i przyjacielowi naszemu nie zwyczajnie śmiałeś broń swoję podnieść przeciwko niemu a niewinną krew iżeś przelał, jakoż i zdrowia chciałeś go zbawić, przeto my żałując takiego żalu, bólu i despektu nas wszystkich, opowiadamyć, iż mu zemszczenia wszelakiego na tobie i gardle twoim i przy nim mocnie do gardł, i majętności swych stojąc, chcemy dopomagać. Dla tego téż ten zwykłém obyczajem pisany do ciebie, warując przystojności naszych szlacheckich przesyłamy. Opowiadamyć to, iż na którymkolwiek miescu, okrom domu twego własnego, moglibyśmy cię wespół z bratem naszym pożyć i w niebytności jego bądź téż i na gardle twoim lekkości, bólu, żalu brata naszego się zemścić, na tośmy się udali i gotowi jesteśmy. A tak się nas strzeż, jako nieprzyjaciel nasz i brata naszego. Dan w Gromadzicach.. Stanisław Kornel Gromadzki i t. d. Przytoczeni z imienia i nazwiska wyżéj pomienieni krewni Gromadzkiego.

Prócz wielu znanych szczegółów występują na jaw z téj odpowiedzi wyraźnie główne pobudki, które były powodem powstałego zatargu. Między jedną stroną a drugą wynikły nieporozumienia, które poprowadziły do krwi rozlewu. Napadająca strona, nie uprzedziwszy strony napadniętéj o swoim zamiarze, dopuściła się przelania krwi, a nawet pragnęła ją zdrowia zbawić. Takie postąpienie wywołało chęć krwawéj zemsty i oto był powód zapowiedzenia jéj w kształcie tego co nazywano odpowiedzią. Była ona zawarowana różnemi formalnościami, których się tu bliżéj nie dotyka. Tymczasowo zależy jeszcze na tém, żeby poznać się bliżéj z samym aktem i uznać jego ogólne w Polsce rozpowszechnienie.

Nie samo tylko krwawe zajście wywoływało chęć krwawéj zemsty. Bywały także i inne powody, które prowadziły do krwawéj rozprawy. Nie można pominąć ciekawego wypadku, o którym dochowały się ślady w księgach grodzkich płockich. W 1586 r. niejaki szlachcic Jakub Radzimiński wystąpił do urzędu grodzkiego z następującym aktem odpowiedzi: [1])

Wojciechu Grzywaczyku Strzeszewski! Pewienem tego, iż ci przy pamięci to jest, ażem ci był konia swego pożyczył, za którym był dał złotych siedmdziesiąt, któregoś mi zmorzył i w niwecz obrócił, iż mi zdechł zaraz skoro mi go przywiedziono od ciebie. Napominałem

---

[1]) Ks. Pł. 64 f. 667 Relatio denunciationis inimiciarum servitori Zawkrzensi Strzeszewo.

cię przez kilka dobrych ludzi, abyś mi się praw uczynił, a konia tego zapłacił, bom ja chudy pachołek, nie powinienem ja dla ciebie szkodować. A iż mi się praw nie chcesz uczynić opowiadam ci to przez woźnego i ślachtę i z temi towarzyszmi swemi, iż się tego na gardle twém i na majętności twéj i z towarzyszmi mojemi mścić będę na każdém miescu. W Drozdowie dnia Bożego Ciała *anno Domini* 1586 Jakub Radzimiński i t. d. W podobnym rodzaju pod względem motywów ale urozmaiconych, przedstawia się odpowiédź z ziemi liwskiéj w 1570 r. Franciszek Górski, starosta złotoryjski i wyskowski tak w liście swoim opowiednim odzywa się do Adama Komorowskiego, którego nazywa nieślachetnym zbójcą i złodziejem swoim [1]).

Komorosiu! Wiele mi złodziejstwa, łotrostwa i złodziejstwa nademną wyrządzasz, co mnie od wielkich, zacnych osób nie potyka, a ty wszarz, łotr dokazujesz męstwa nademną i nad moim statkiem, które mi Pan Bóg raczył dać. Karbuj to sobie, co mi wyrządzasz, bo o tém wiédz, że za to dali Bóg w krótkim czasie zapłatę masz wziąć odemnie. Przypatrz się dobrze. Jakoś ty ochromił na rękę Kujawkę, ja to tobie dali Bóg obiecuję, że cię ochromię na obie. Ukradłeś mi teraz dwie kobyle jedneś zadał do dwora a drugą nie wiem gdzieś podział. Coś mi téż był pierwéj uczynił, żeś mi wozy rozbił, to téż możesz pamiętać, co wszystko na tobie odbiję, boś ty nie godzien tego ażebym się miał o to prawem ciągnąć. Dan z Wyszkowa a. d. 1570.

Poprzestańmy na przytoczonych przykładach. Obfitują w nie księgi sądowe XVI wieku bez liku w każdéj ziemi. Świadczą one, iż odpowiédź utrwaliła się jako zwyczaj sądowy i przybrała charakter stały, ujęty w pewne formy. Powstaje pytanie, jakie jest źródło tego zwyczaju prawnego, jaki jest cel i znaczenie takiego wymierzania sobie sprawiedliwości na własną rękę. W pomnikach prawodawczych, w konstytucyach, w uchwałach publicznych, spotykamy do końca XVI wieku głuche milczenie. Gdyby nie wzmianki w księgach sądowych nie posiadalibyśmy aż do czasów Zygmunta III aż do 1588 r. żadnych śladów istnienia odpowiedzi. Pierwszy raz dochodzi nas głos o tym zwyczaju prawnym, w konstytucyi, jednéj z pierwszych za panowania nowego króla, w któréj dochowały się liczne ślady starannego dbania o ustalenie w rzeczypospolitéj porządku, pokoju i ogólnego bezpieczeństwa. Rzeczypospolitéj, tak głosi uchwała publiczna, „O odpowiedzi," zależy na tém, aby każdy spokojnie żył ani się swych krzywd *privata authoritate* mścił, ale prawem pospolitem się kontentował... i t. d. [1]). Widocznem jest, że uchwała publiczna miała na celu ustale-

[1]) Gr. Liwskie 32 f. 74.

[2]) Vol. leg. 3 f. 1213 r. 1588.

nie pokoju powszechnego i powstrzymanie samowoli, która prowadziła do zatargów, krwawych zamieszek, orężnych starć i walk wojennych. Konstytucya nosi nazwę: o odpowiedzi. Przez odpowiédź rozumiéć przeto należy zapowiédź z jednéj strony takiego stosunku, który jest przygotowaniem do zemsty za wyrządzoną krzywdę, zemsty nie prawem pospolitém, powagą sądu królewskiego, ale *privata authoritate*.

Ten rys charakterystyczny, uwydatniony w pierwszéj konstytucyi z 1588 r. wskazuje, na jakiéj drodze szukać należy początku tego zwyczaju. Nie sięga on widocznie tego wieku kiedy się po raz pierwszy w księgach sądowych ukazuje odpowiédź, ale przypuszczać się godzi, że pozostaje w pewnym związku kiedy powstają ślady krzywd, których mścili się u nas *privata authoritate*. Najdawniejszym zabytkiem jest owa krwawa zemsta, która występuje jako odpowiédź za dokonane zabójstwo. Łączą się z użyciem téj zemsty instytucye prawne, mianowicie na Mazowszu znane pod nazwą w r ó ż d a i p o k o r a. Szczegółową rozprawę poświęciliśmy wyjaśnieniu tych zwyczajów. Zwłaszcza oparliśmy się na materyałach prawodawstwa naszego z epoki najdawniejszéj XIV i XV wieku. Między rodami zwaśnionemi z powodu zabójstwa powstawały krwawe zatargi, które w owym wieku nazywano w księgach sądowych walkami, jak owe *guerrae*, które toczyła między sobą feudalna szlachta w Niemczech, we Francyi i we Włoszech. Odpowiada ta nazwa najzupełniéj technicznemu wyrażeniu *Fehde*, *guerre privée* i innym. Walki na naszym gruncie, które z powodu zabójstwa powstawały pod koniec wieków średnich, przypominały ten stan panującego bezprawia, przemocy prywatnéj, kułacznéj samowoli, którym odznaczało się feudalne społeczeństwo rycerstwa zachodniego. Trwał u nas ten upadek moralny dość długo, pomimo panujących na Mazowszu środków prawodawczych, pomimo obostrzonych ze strony władzy książęcéj represyi. Zabójstwa pozostały na porządku dziennym jeszcze i wtedy, gdy Mazowsze w początkach XVI wieku dostało się pod władzę Korony. Zmiana ta jednak nie zapowiadała poprawy. Mazowsze przeszło z deszczu pod rynnę. W Koronie za Zygmunta I i za syna jego Zygmunta Augusta żywo zajmowano się na sejmach sprawą poskromienia rozpowszechnionego „mężobójstwa.” W literaturze odezwała się także zabiegłość przeciwko takiemu zdziczeniu moralnemu.

Za Stefana Batorego widać skuteczniejsze oddziaływanie władzy publicznéj. Wyszły z użycia wróżda, pokora, wzmogły się kary pieniężne za zabójstwa i inne naruszenia porządku ogólnego, wtedy także ściśléj ujęto w karby odpowiedź, któréj nadużywano przy dochodzeniu pomsty za krzywdy swoje. Nie samo tylko zabójstwo wywoływało

odpowiedź. Przyczyny się pomnażały, nabierały urozmaicenia. Na Mazowszu nie z powodu wyłącznie zabójstwa powstawały krwawe zatargi, które prowadziły do żądania pokory. Zaszedł wypadek, gdzie sąsiad wszczął pomszczenia z powodu zabicia psa „gwałtem." Dla załatwienia sporu zobowiązał się dać psa za psa a pokorę uczynić. Tak samo się dzieje w późniejszym wieku. Jeszcze w XV wieku, w Zakroczymskiéj ziemi, w 1468 przysięga obwiniony, że „jakom ja na Jana czterech gwałtowników w domu moim nie zachował,... ani ci gwałtownicy nieodpowiednie Jana gwałtem zbili, ani ran-esmy zadali." Odpowiedź zatém istnieje, ale z biegiem czasu nie tylko z powodu dokonanego zabójstwa, ale także i z innych przyczyn wywołujących zatarg, czy to okulenie pożyczonego konia, niezwrócenie krzywdy stąd powstałéj, albo skradzenie koni, albo i inne tym podobne straty. Mnożą się z czasem powody, które prowadzą do rozpowszechnienia samowoli i utrwalają zwyczaj uciekania się do odpowiedzi w wypadkach wykraczających po za granice ustalone przez stary zwyczaj. Tak np. odpowiedź zachowana w aktach konińskich przedstawia nam obraz przygotowanéj na wielką skalę *guerry* (*fajdy*), w któréj ma wziąć udział szlachta: całe rody Cieleccy, Lubienieccy, Milewscy i t. d. z przyjaciołmi i sługami. Ten niezliczony poczet braci szlachty, wskazuje, że taka odpowiedź, niby pożar wojenny, ogarnia niejedną tylko wioskę, ale od wsi do wsi sięga. Jak jednak stałym hamulcem była odpowiedź i środki obmyślane przeciwko zabójstwu, wskazuje wypadek, jaki zaszedł za Stefana Batorego i nabrał wielkiego rozgłosu. Iłłowski, kasztelan wyski, ze starego rodu Prawdziców, mający zatarg z Grajewskim, szlachcicem herbu Oliwa, napadł nań podstępnie i zabił go, jak pisze Paprocki (str. 445) nieodpowiednie. Kasztelan przyznawszy się na sejmie w 1583 r. do zbrodni podstępnego zabójstwa, pozbawiony był dygnitarstwa swego, a potém głowy swojéj przez jawne, publiczne ścięcie. Nieodpowiednie zabić kogoś znaczy to: bez uprzedzenia, skrycie, podstępnie pozbawić go życia. W tém téż znaczeniu spotyka się podobne wyrażenie tak często w księgach sądowych XVI i XVII wieku. Ktokolwiek pragnął uchylić się od zarzutu morderstwa, łupiestwa, rabunku, posyłał przeciwnikowi ostrzeżenie piśmienne, przy zachowaniu pewnych ścisłych przepisów ustalonych przez zwyczaj i przez przepis prawny. To ostrzeżenie było właśnie odpowiedzią — wypowiedzeniem swojéj przyjaźni lub zapowiedzią nieprzyjaźni. Wyraz ten, termin używany w pomnikach prawnych średniowiecznych, wprowadza nas w obręb prawa feudalnego, z którym się łączy ustalone pojęcie o wojnie domowéj, *guerre privée*, *Fehde* czyli *fajdzie*. Pewne formy krępowały ten zwyczaj przyjęty

w prawie pięściowém. Wojnę prywatną, najazd feudalnego władcy, wykonany na sąsiada, z którym się było w zatargu, uprzedzało wypowiedzenie sąsiedzkiéj zgody. Nazywało się to *diffidatio* w powszechnym języku łacińskim, będącym w użyciu ogólném, od wyrazu *fides*, czyli wiara, zaufanie, a w pochodném znaczeniu *diffidatio*, zniesienie tego zaufania. We Francyi w wiekach średnich utarł się był stąd wyraz: *défier*, *defieur*, *defie* [1]. Ten, który był upoważniony do wypowiedzenia wojny, nazywał się *defieur* i spełniał swój obowiązek przy zachowaniu pewnych formalności. Konno, w odpowiedniém ubraniu, z oliwną gałązką w ręku, udawał się do przeciwnika, opowiadał powód zatargu i domagał się zadośćuczynienia. Gdy mu tego odmówiono, zapowiadał walkę. W związku z tym aktem powstał zwyczaj rzucania przeciwnikowi, w sprawach wyzwania na pojedynek, rękawicy. W Niemczech, wojna domowa, która nosiła nazwę *Fehde*, a po łacinie używano terminu *diffidatio*, dla oznaczenia zapowiedzenia nieprzyjaźni między stronami, straciła już w r. 1495, na sejmie w Worms, racyą bytu, chociaż wbrew prawu zachowała jeszcze przez długie lata istnienie swoje. W Czechach, gdzie pod wpływem niemieckim ustalił się obyczaj prawny feudalnego społeczeństwa zachodniego, bardzo wcześnie zapanowała wojna domowa i znana była pod nazwą „walki". Poprzedzała ją również o d p o w i e d ź, która nietylko pod względem nazwy przypomina instytucyę u nas powstałą, ale i pod względem formalnym równa się naszéj odpowiedzi. Według uchwały z r. 1473, była ściśle ujęta w przepis prawny o d p o v ě ď n e p r z á t e l s k á, czyli o d p o v ě ď k v a l c e. Tak, jak u nas, zwano odpowiedź, listem odpověďnym (*Absagebrief*). Według zwyczaju czeskiego odpowiednik winien był ogrodzić cześć swoją, czyli zastrzedz się przeciwko podejrzeniu go o zamiar łupiestwa czy rabunku i oświadczyć, że zamierza uczciwie pomścić się na osobie i na dobrach swego nieprzyjaciela. Dlatego wzywa go „aby nań pěci měl". Że taka forma była także w użyciu i w Polsce wnosić z tego można, że w niektórych skargach wniesionych do ksiąg sądowych z powodu zabójstwa, wzmianka jest o tém, że zabójstwo dokonane zostało bez zachowania obyczaju rycerskiego odpowiedzi czy bez o g r o d z e n i a p o c z c i w o ś c i s w o j é j. Ten czy ów nie uprzedziwszy przeciwnika swego, jako przystało na człowieka rycerskiego stanu „poczciwości swéj nie ogrodziwszy", zabił człowieka bezpiecznego, spokojnego i bezbronnego. Lubo w dochowanych u nas listach odpowiednich, nie znaleźliśmy śladów tego: ogrodzenia poczciwości swojéj, jednakże pośrednio pozostały w aktach ślady pokrewnéj treści. Wreszcie z treści saméj odpowiedzi płynie to przekonanie, że

[1] L. Gautier. „La chevalerie." Paris, 1884.

miano na widoku: wypowiedzieć ostrzeżenie, aby krom domu swego, przeciwnik strzegł się odpowiednika na każdym kroku.

Odpowiednie listy, jakie się dochowały w Niemczech, nie dają sposobności porównania ich z listami u nas spotykanemi. Niemieckie odznaczały się treściwością, lakonizmem. W krótkich słowach wypowiadano nieprzyjaźń, przytaczano powody i żądano zadośćuczynienia, a w przeciwnym razie grożono odwetem. Obfitość słów, wielomówność nie były pożądane. Taki rys cechuje i nasze nieliczne listy odpowiednie. Przybierała także odpowiedź w Polsce formy dość oryginalne, na które zwrócić należy szczególniejszą uwagę. Bywały wypadki, że odpowiedź wysyłały nietylko osoby prywatne, ale gromadnie szlachta jednego powiatu, powstawała przeciwko całemu powiatowi jednemu lub drugiemu. Zanosiło się więc na zbrojne powstanie, na wojnę powszechną. Z ciekawemi szczegółami tego wielkiego zatargu obznajmia nas księga łomżyńska z r. 1596 (Nr. 32, f. 130, 149), która pod dniem 3 lutego pomienionego roku przytacza „Odpowiedź" przez woźnego, wystosowaną przez szlachtę wizką przeciwko pisarzowi ziemskiemu wizkiemu. Woźny oświadczył przed urzędem i aktami grodzkiemi łomżyńskiemi, że przyszedłszy do dworu tegoż pisarza wizkiego, oddał do rąk jego własnych kartę gołą, odpowiednią od rycerstwa wizkiego w te słowa:

„My rycerstwo ziemi wizkiej oznajmuje to wam, panie pisarzu, iż nas to doszło, żebyś się z nami miał obchodzić inaczéj niżeliby dobremu człowiekowi przystało, a urzędnikowi ziemskiemu i słudze rzeczypospolitéj téj ziemie, albowiem zamurowałeś kancelaryą, dom skarbu rzeczypospolitéj, cochmy to pochwalili, żeśmy to rozumieli, żeś to uczynił dobrym umysłem, przestrzegając szkody i zelżywości jéj od tych zbiegów... i wiedzieliśmy dobrze przez kogo się ten gwałt stał domowi rzeczypospolitéj, boć nie jest tajna rzecz, kto strzelał w kancelaryą, kto nadszedł podpiski, pobił i poranił szlachtę, piéniądze pobrał... Teraz jest nam dana ta sprawa, żebyście mieli słać do slachty ziemie czerskiéj i warszawskiéj podpiski swe i do tamtéj drugiéj ślachty, którzy chcą JKMci złupić *ex authoritate Reip.* a sobie ją przywłaszczyć i podbić pod moc swą i posłuszeństwo..."

I w dalszym biegu ciągną się wywody skarg przeciwko samowolnym postępkom pana pisarza ziemskiego Wielisława Ławskiego, które jako zbyt obszernie wyłożone, a niezwiązane ściśle z rzeczą samą, mogą tu być pominięte. Kończy się piśmienna sprawa zagrożeniem odwetu na gardle, zapowiedzią „odpowiedzi": „gdziebyś nam co uczynił ku krzywdzie, a skazie, abyś się już nas strzegł w domu, w kościele, w drodze, w gospodzie, na urzędzie, na każdym miescu, tak nas

wszystkich, jako i każdego z osobna, bo ty krzywdy tak nas wszystkich jako i każdego z osobna dolegają...”

Dla objaśnienia téj zawieruchy, która zawisła nad Mazowszem i zamąciła spokój téj burzliwéj społeczności, nadmienić trzeba, że zerwała się ta burza podczas bezkrólewia, po ucieczce króla Henryka Walezyusza z Polski, która wśród bezbronnego swego położenia stała się łupem rozterek politycznych. Jeden z urzędników ziemi wizkiéj, nie mający dość skutecznéj opieki ze strony wyższego dygnitarstwa, kierując się samowolą, zamurował kancelaryą grodzką w Wiznie, dla większego bezpieczeństwa przechowywanych w niéj ksiąg sądowych, oraz depozytu rzeczy po zmarłym królu Zygmuncie Auguście. Wywołał ten czyn jego żywe obawy wśród szlachty, która strwożona podejrzanym postępkiem pana pisarza ziemskiego, daremnie domagając się odmurowania domu skarbowego, uciekła się do posłania mu odpowiedzi, która poruszyła umysły szlachty kilku powiatów na Mazowszu. Jakikolwiek obrót wzięła ostatecznie domowa zwada, czy w walkę domową rozpaliła się sprawa, która się tak groźnie zapowiadała, czy też spełzła na niczém, tego z akt sądowych dojść nie można, ale tak czy inaczéj, niewątpliwym pozostaje wniosek, że już w drugiéj połowie XVI-go wieku o d p o w i e d ź przedstawia niby płomień pożaru, który ogarnia coraz szersze przestrzenie i rośnie pod względem siły i natężenia. A tymczasem pomimo zgubnych następstw, jakie sprowadza za sobą rosnąca samowola, mnożące się bezprawia, upadające bezpieczeństwo i spokój publiczny, nie widać niemal, żeby władza publiczna, ustawodawstwo sejmowe, uciekały się do środków zmierzających do poskromienia. W pomnikach prawodawstwa naszego, pierwszy, jak się wyżéj rzekło, ślad dbałości, celem uporządkowania o d p o w i e d z i, spotykamy już po Stefanie Batorym, w r. 1588, za Zygmunta III-go. Z postanowień, które odnoszą się do odpowiedzi, między innemi zasługuje na uwagę określenie formy, w jakiéj ma być ogłoszona odpowiedź. Ma ona być jawną, publiczną i żeby miała cechę dowodu sądowego, powinna być ogłoszona przez woźnego, oraz dwu szlachciców i nie gdzieindziéj jak w tym samym sądzie owego grodu, w którymby mieszkał ten, do któregoby się odpowiedź odnosiła. Nie ta jednak formalność, która była obowiązkową z mocy dawniejszego zwyczaju, stanowiła główny przedmiot dbałości publicznego ustawodawstwa, ale szczególniéj zasługuje na uwagę ustanowienie kary pieniężnéj na szlachcica, któryby był o posłanie odpowiedzi prawnie przekonany: prócz zapłacenia szkód, jakie aktor poprzysięże, będzie skazany na sto grzywien kary. Nadto zastrzeżono, że w sprawach kryminalnych, jakieby przeciwko odpowiednikowi zaszły, takowy zasłaniać się nie będzie mógł odpowiedzią, któ-

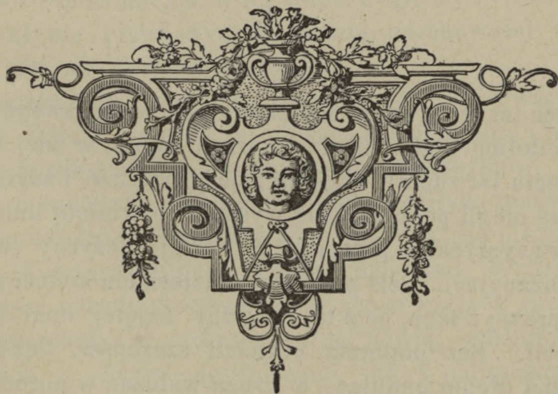
rąby przed spełnieniem przestępstwa miał posłać. Po wpisaniu do ksiąg odpowiedzi, odpowiednik przed upływem sześciu niedziel przeciwko stronie nic gwałtownego czynić nie może. W przeciwnym razie, gdyby się odpowiednik tak nie zachował, tedy mu takowa odpowiedź nie ma iść ku obronie zarzucanego mu przestępstwa.

Do téj sprawy powróciła znów konstytucya w r. 1633-im, ustanawiając ostrzejsze prawa przeciwko odpowiednikom, jednakże pozostały one bez skutku, jak świadczy uchwała w r. 1639 sejmiku czerskiego [1]), domagająca się wzmocnienia egzekucyi sądowéj przeciwko odpowiedzi. Te środki jednakże pozostały bez skutku: jak w Niemczech pomimo zniesienia wojny domowéj, pozostało w użyciu prawo pięści, tak i odpowiedź w Polsce trzymała się siłą prawa zwyczajowego.

Adolf Pawiński.

---

[1]) 8, f. 46.



Sztuka na wystawie węgierskiéj.

I.

„Tysiąc lat temu zajęli Madziarzy pod wodzą swego wolnego księcia Arpada dolinę Pannonii i stworzyli sobie w niéj stałą siedzibę. W ciągu pięciu lat zdołali kraj ten zająć, urządzić i zagospodarować... Już wówczas mogli pochlubić się wysoko rozwiniętą kulturą. Z dalekich stepów azyatyckich przenieśli do nowéj ojczyzny swojéj cały dobytek cywilizacyjny... Dziś po upływie dziesięciu stuleci naród węgierski zdaje sprawę z tego, co z téj ojczyzny zajętéj ongi przez drużynę Arpada zrobił. Bez poparcia bratnich szczepów, bez uciskania ras obcych, jedną dłonią budując, a drugą walcząc w obronie chrześciaństwa, cywilizacyi, oświaty, kilkakrotnie pobity i napół wytępiony przez barbarzyńców i obcych zdobywców, naród węgierski, cudem prawie na nowo zawsze odradzający się, wzmożony liczebnie, jednoczył się z innemi szczepami ku zdobyciu wspólnéj swobody, dobrobytu, kultury i rozpoczynał na nowo przerwaną swą pracę, któréj owoce dziś światu okazać pragnie."

Temi słowy witał otwarcie wystawy tysiącoletniéj w Budapeszcie najznakomitszy z powieściopisarzy węgierskich, znany daleko po za granicami swojéj ojczyzny, Maurycy Jokai. Jakkolwiek znawca dzie-

jów węgierskich i dzisiejszy obserwator politycznego Węgier rozwoju—miałby niejedno do zarzucenia bezwzględnéj apoteozie kulturalnego pochodu Madyarów, — niepodobna nie przyznać, że samowiedza i pewność siebie z jaką Węgrzy zwykli mówić o sobie, ma pewne uzasadnienie w wysokim rozwoju kulturalnym, którego naród ten, odcięty prawie od reszty Europy i przez wieki całe zajęty walkami o niezależność zagrożoną przez obcych najeźdzców, zdołał dopiąć w ciągu lat tysiąca.

Jakkolwiek jednak dzisiejszy rozkwit ekonomiczny Węgier jest w znacznéj części dziełem samych Węgrów, nie należy zapominać o tém, że na potęgę ich państwa złożył się w znacznéj części także trud i współudział innych narodowości, zwłaszcza słowiańskich.

W dzisiejszym stanie rzeczy, wolno nam podziwiać niezwykłe istotnie siły żywotne, odporność i żelazną wytrwałość narodu madyarskiego, który w ciągu dziesięciu wieków, wśród najniekorzystniejszych warunków, narażony nieustannie na najazdy szarańczy tureckiéj z jednéj, a zaborcze zapędy Austryaków z drugiéj strony, zdołał sobie wywalczyć zupełną niezależność ekonomiczną i polityczną i w rozwoju kulturalnym podążyć za najbardziéj cywilizowanemi narodami. Nie wolno nam atoli zapominać, że w téj walce o własny żywot, naród węgierski nie cofał się przed wyzyskiwaniem narodowości ościennych, związanych z nim siłą dziejowych losów.

W pochodzie cywilizacyjnym Węgrów od najpierwszych lat ich istnienia, gdy jako koczownicze plemię naszli dolinę Cisy i Dunaju i odrazu zajęli ją dla siebie, nie pytając o prawa tubylców, aż do ostatnich czasów, upamiętnionych bezwzględną polityką madyaryzacyjną Węgrów wobec narodów słowiańskich — przewija się nieustannie idea niezależności... kosztem drugich. Potęgę dzisiejszą Węgrów opłaciły w znacznéj części narody słowiańskie, żyjące w krajach przynależnych do korony węgierskiéj i to zarówno swoją krwią, przelewaną za Węgrów w walkach z obcymi najeźdzcami, jak i polityczném i ekonomiczném swém znaczeniem.

Nawet sławiona przez Węgrów, jako przyczyna ich żywotności i odporności: czystość rasy węgierskiéj — rzekomo przez nich zachowana — jest paradoksem, dawno przez naukę sprostowanym. Nie ulega wątpliwości, że obok szczepu ugryjskiego znajduje się wśród „rdzennéj" ludności węgierskiéj poważna ilość Niemców, Turków, Słowian i Żydów [1]). Rzadko który naród umiał w ten sposób zasymilo-

[1]) Anton Hermann: „Die Ethnographie der Bevölkerung Ungarns:" Budapest 1896, str. 427 i nast.

wać i zjednoczyć poszczególne rasy w swém łonie. Od asymilacyi uchroniły się jedynie te ludności innoszczepowe, które dzięki większemu skupieniu i naturalnym, warunkom geograficznym trzymały się zdala od zetknięcia z Węgrami, jak np. narody słowiańskie, Rumuni i garstka Niemców saskich w Siedmiogrodzie. Odporność jednak tych narodów wzbudziły dopiéro zaborcze tendencye Węgrów, usiłujących w najnowszych czasach wszelkiemi środkami zmadyaryzować je i wcisnąć w ramę „jednolitéj narodowości madyarskiéj." Gdziekolwiek więc w urzędowych publikacyach mowa o Węgrach jako narodzie i szczepie, tam należy zawsze pamiętać o tém, że na naród ten oprócz Madyarów złożyły się także i inne szczepy, i że dzisiejszy typ węgierski jest wynikiem zmieszania się różnych ras ludności.

W obecnym stanie rzeczy stosunek narodowości w państwie węgierskiém przedstawia się wedle ostatnich urzędowych spisów ludności, sporządzonych w roku 1890 jak następuje:

Węgrów	jest	7,426,730	czyli	42.81%	całéj ludności
Niemców	„	2,107,577	„	12.51 „	„
Słowaków	„	1,910,279	„	11.01 „	„
Wołochów	„	2,591,905	„	14.94 „	„
Rusinów	„	383,392	„	2.21 „	„
Chorwatów	„	1,554,000	„	8 96 „	„
Serbów	„	1,057,264	„	6,09 „	„
Innych narodowości		318,251	„	1,83 „	„

Zauważyć należy, że spis powyższy nie obejmuje wcale ludności wojskowéj.

Z powyższych narodowości, przypada:

	na Węgry			na Kroacyę i Slawonię		
Węgrów	7.356,874	czyli	48.61%	68,794	czyli	3.15%
Niemców	1,988.589	„	13.14 „	117,493	„	5.37 „
Słowaków	1,896,641	„	12.53 „	13,614	„	0.62 „
Wołochów	2,589,066	„	17.11 „	2,826	„	0.13 „
Rusinów	379,782	„	2.51 „	3,606	„	0.17 „
Chorwatów	183,642	„	1.21 „	1,359,588	„	62.19 „
Serbów	495,105	„	3.27 „	562.131	„	25,71 „
Innych narodowości	243,795	„	1.62 „	58.358	„	2.66 „

W ten sposób posiadają Węgry same 15,133,494, a Kroacya wraz z Slawonią 2,186,410 ludności. Doliczywszy do tego ludność miasta Rjeki (Fiume) wynoszącą 29,494 (z tego 1,062 czyli 3.60% Węgrów, 1,495 czyli 5,07% Niemców, 10,770 czyli 36.52% Chorwatów i 16,167 czyli 54.81% innych narodowości) otrzymamy ogólną liczbę ludności państwa węgierskiego 17,349,398.

Jak z powyższego zestawienia cyfrowego widać, stanowią narodowości słowiańskie połowę ludności w krajach korony węgierskiéj.

Mimo to nie występują narodowości te na wystąwie budapeszteńskiéj odpowiednio do swojéj liczebnéj wielkości. Dział kroacko-słoweński, umieszczony w jednym pawilonie, daje zaledwie drobne wyobrażenie cudzoziemcowi, nieobeznanemu z istotnym stosunkiem narodowości na Węgrzech, o sile żywotnéj i kulturalnéj dojrzałości narodów słowiańskich, żyjących pod berłem króla węgierskiego. A jednak dość przyjrzéć się tabelom statystycznym wykazującym stosunek narodowości w poszczególnych zawodach, aby się przekonać o roli jaką w państwie węgierskiém odgrywają narody słowiańskie. Według urzędowego spisu ludności w krajach korony węgierskiéj z roku 1890, stanowili w pośród t. zw. „inteligencyi:” Węgry 58.64%, Niemcy 18.62%, Słowacy 12.20%, Wołosi 5.42%, Rumuni 0.54%, Chorwaci 1.15%, Serbowie 2.27%, inne narodowości 1.16%. Zajęciom inteligentnym w gospodarstwie rolném i uprawie ziemi poświęcało się 76.55% Węgrów, 16.11% Niemców, 3.17% Słowaków, 1.09% Wołochów, 0.10% Rumunów, 0.09% Chorwatów, 0.63% Serbów, 2.26% innych narodowości. Między ludnością roboczą w górnictwie, przemyśle i t. p. znajdowało się 73.83% Węgrów, 20.40% Niemców, 1.57% Słowaków, 0.96 Wołochów, 0.08 Rumunów, 0.30 Chorwatów, 0.86 Serbów i 1.94% innych narodowości.

Charakterystycznym jest mały udział Węgrów w t. zw. „inteligencyi.” Uderza to jeszcze bardziéj w stosunku liczebnym poszczególnych zawodów w zakres téj grupy wchodzących. I tak np. w zawodzie duchownym stanowią Węgrzy zaledwie 52.24%, w nauczycielskim tylko 64%. Natomiast przepełniają Węgrzy zawody wolne jak np. stan prawniczy, administracyę, dziennikarstwo, literaturę i sztukę, gdzie udział ich wzrasta do 79 a nawet 93%. Wskutek tego właśnie, zająwszy kierujące stanowiska w najwydatniejszych zawodach, nadają Węgrzy ton całemu życiu państwowemu i reprezentują państwo węgierskie na zewnątrz jako naród jednolity. Do prawdziwéj roli Węgrów przyczynia się nadto przewaga ich w zajęciach miejskich i silny wzrost ludności węgierskiéj, który łatwo skonstatować w porównaniu z wzrostem innych ludności. W ciągu mianowicie lat 50 (od r. 1840—1890) wzrosła w państwie węgierskiém ludność „istotnie” węgierska o 52.92%, kiedy ludnosć chorwacka i serbska wzrosła o 21.62%, rumuńska o 17.61%, a słowacka o 13.22%, zaś ludność niemiecka zaledwie o 43.03%. Ubytek ten ludności niemieckiéj tłómaczy się madyaryzacyą żydów węgierskich, którzy przed rokiem 1840 prawie bez wyjątku uważali się za Niemców. Do wzmożenia się żywiołu węgierskiego

przyczynia się także wielka jego siła rozrodcza. Wedle danych statystycznych wykazują komitaty, zamieszkałe wyłącznie przez ludność węgierską, na 1,000 mieszkańców 50 przypadków urodzin. Wysokość rocznego przyrostu ludności wynosi w tych komitatach stale więcéj niż 2%, a nierzadko przenosi 2.5%, co w porównaniu do stosunków w zachodnich krajach Europy jest wprost fenomenalnym objawem! Najzapaleńszy feminista nie zaprzeczy, że naród, którego ludność stosunkowo mniejszą wykazuje ilość kobiét, jest sposobniejszym do walki ekonomicznéj niźli narody, „cieszące się” nadmierną ilości niewiast. Otóż według urzędowych danych przypada w komitatach, zamieszkałych przez ludność rdzennie węgierską, na 1,000 mieszkańców 515 do 520 kobiét; gdy natomiast w słowiańskich komitatach stosunek ten wynosi 535 do 539 niewiast na 1,000 mieszkańców.

Jak widać z powyższego, na górujące stanowisko Madyarów w państwie węgierskiém wobec narodowości słowiańskich składają się różnorakie przyczyny i warunki. Z tém większym naciskiem podnieść należało współudział tych narodów w kulturalnym rozwoju Węgier.

Na wystawie budapeszteńskiéj współudział ten uwidoczniony jest w poszczególnych działach wystawy. Wytwory jednak kultury słowiańskiéj połączono tam tak ściśle z okazami węgierskiego przemysłu, iż—z wyjątkiem działu chorwacko-słoweńskiego — oddzielna ich charakterystyka jest wprost uniemożliwiona.

Jedynie w dziale sztuki występuje — przynajmniéj w przeważnéj części—narodowość węgierska, jako jednolita zwarta całość, kiedy narody słowiańskie reprezentowane są wyłącznie w dziale sztuki chorwackiéj.

Dlatego téż poniżéj osobno traktuję sztukę węgierską, a osobno chorwacką.

II.

Wystawa budapeszteńska składała się z dwóch głównych działów: Pierwszy wypełniały: „wystawa dorobku cywilizacyjnego Węgier w ciągu lat tysiąca”, w skład któréj wchodziły pawilony sztuk pięknych z działem historycznym, bogato uposażonym, literatury, szkolnictwa, sądownictwa, dziennikarstwa, instytucyi naukowych i filantropijnych, wreszcie olbrzymia grupa etnograficzna. Drugi dział zaś wypełniały wystawy poszczególnych rodzajów przemysłu, wojskowości, górnictwa, leśnictwa, rolnictwa i instytucyi związanych z rozwojem przemysłu i handlu, jak: banki i zakłady kredytowe.

Podział powyższy, jakkolwiek nie był w urzędowych katalogach wystawy zaznaczony, wynikał już z samego układu wystawy i niewątpliwie stanowił wskaźnik jéj ugrupowania.

Wystawa sama mieściła się w parku miejskim, znajdującym się tuż za miastem, na wylocie głównego bulwaru budapeszteńskiego: Andrassy-úteza, przypominającego żywo najwspanialsze bulwary paryskie. Zajmowała przestrzeń wynoszącą około 4 km.? Równina, zarosła gęsto krzewami i podzielona na dwie nierówne części dużym stawem, rozległością swoją imponująca, zabudowana była prawie zupełnie olbrzymią ilością pawilonów; miejscami zaś zamieniona w bulwary lub *corso*, nęciła tłumy do ciągłych zebrań i przechadzek. Wystawa budapeszteńska należała też do najliczniéj zwiédzanych. Szczęśliwie obrana miejscowość pozwoliła Węgrom na rozwinięcie zdumiewającego iście bogactwa narodowego.

Przed samém wejściem na wystawę zatrzymywał zwiedzających wspaniały pałac sztuki, zbudowany z okazyi tysiącletniego jubileuszu Węgier. Będzie to stała pamiątka uroczystego obchodu, mająca nietylko dla samego Budapesztu, ale dla całéj sztuki węgierskiéj znaczenie niepospolite. Pałac ten ma się stać ogniskiem sztuki węgierskiéj, w którém odtąd skupiać się będzie całe życie artystyczne. Nieustająca wystawa obrazów i rzeźb artystów węgierskich, doroczne wystawy międzynarodowe, które mieścić się będą we wspaniałym tym gmachu, przyczynią się niewątpliwie do nadania dziełom artystów madziarskich szerszego niż dotąd rozgłosu.

Jak dotychczas bowiem, sztuka węgierska, mimo niezaprzeczonego swego rozkwitu, nie umiała zdobyć sobie poczesnego miejsca w panteonie europejskim. Na wystawach zagranicznych zjawiały się wprawdzie obrazy malarzy węgierskich, które zyskiwały sobie uznanie u publiczności i odznaczenie u sędziów, ale widniały na nich prawie zawsze te same nazwiska. Przyzwyczajono się w końcu w europejskich ogniskach sztuki, po za dziełami trzech czy czterech malarzy węgierskich, nie uznawać wogóle istnienia malarstwa węgierskiego, nie mówiąc już o rzeźbie, która nie zdołała uzyskać dotąd żadnego poklasku na wystawach światowych.

Sztuka węgierska jest téż wytworem czasów najnowszych. Jest ona bez przeszłości i tradycyi, któreby torowały jéj drogę do popularności lub choćby zainteresowania się nią narodów zagranicznych. Sztuka, nie posiadająca do dziś dnia swego odrębnego charakteru, nie wyróżniająca się prawie niczém z pośród innych narodowości i pozostająca ciągle jeszcze pod wpływem tych prądów i kierunków artysty-

cznych, które zdołały sobie wywalczyć górujące znaczenie w Niemczech lub Austryi.

Dla widza, obeznanego z najnowszemi kierunkami malarstwa, i będącego świadkiem téj nieustannéj, coraz to bardziéj zaostrzającéj się w świecie artystycznym walki między rutyną a nowatorstwem, między uświęconemi prawidłami techniki a świeżą modłą artystyczną, — przedstawia sztuka węgierska obraz pewnego nastroju. Prawie wszystkie utwory współczesnych malarzy węgierskich, malowane są według starych przykazań. Rzadko jaki spostrzedz się daje objaw ducha przewrotu, szukającego nowych dla siebie dróg. Najznakomitsi nawet malarze węgierscy, jak Munkacsy, Benczur i Marko, tworzący dzieła bogate w pomysły i świetne w wykonaniu, w sposobie wykonania, w technice artystycznéj, nie wyprzedzili swojéj epoki. Nie ma między nimi indywidualności tak samoistnéj, tak potężnie łamiącéj wszystkie przesądy i prawidła, jak np. Matejko. Są to mistrze pędzla, uświetniający w utworach swoich bądź dzieje swego narodu, bądź piękności ziemi ojczystéj, bądź wreszcie wiekopomne chwile zaczątków cywilizacyi współczesnéj, według ogólnie uznanéj modły, w któréj ramy wtłaczają niepospolity swój talent.

Przyczyn tego zjawiska szukać należy właśnie w owym braku przeszłości i tradycyi sztuki węgierskiéj, o którym wspomniałem powyżéj. Wystarczy pobieżnie przejść karty dziejów węgierskich, aby zrozumiéć, że naród, który w ciągu kilku wieków nieustannie z mieczem w ręku piędź po piędzi zdobytéj przez się ziemi bronić musiał przed zaborem ościennych najezdców i pod grozą nieustających prawie najazdów budował i uprawiał swoją ziemię, nie miał czasu ani możności stworzyć fundamentów sztuki narodowéj. Jak wszystko niemal, tak i sztukę swoją utworzyli Węgrzy prawie z niczego, przeszczepiwszy poprostu na grunt swój owoce kultury zachodniéj. W przemyśle świéżość ta nie bije w oczy. Możnaby nawet przypuścić, że w niéj tkwi zagadka szybkiego rozwoju ekonomicznego Węgier. Sztuka jednak wymaga uprzedniéj uprawy gruntu, na którymby się rozwinąć mogła. Przeszczepiona żywcem z obcéj niwy, nie przyjmie się prędko i długo razić będzie wszelkiemi cechami obczyzny, dopóki nie zdoła wciągnąć w siebie pierwiastków swojskich, zamkniętych w nowéj glebie.

Najwcześniejsze zaczątki malarstwa węgierskiego można odnaléść dopiéro w wieku XVIII-ym. W tym bowiem czasie zjawiają się na horyzoncie sztuki dwaj malarze węgierscy: Jan Kupeczky i Adam Mányoky. Są to pierwsi zwiastuni rodzącego się wśród Madyarów życia artystycznego. Jednakowoż sztuki węgierskiéj nie zwiastują jeszcze.

Obaj życie prawie całe spędzają zagranicą. Kupeczky w Rzymie i w Wiedniu; Mányoky w Paryżu, w Warszawie (na dworze Augusta II, jako „malarz nadworny") i w Dreznie. Cała ich działalność artystyczna ograniczała się na malowaniu portretów według utartego wówczas szablonu. Cała ambicya artystyczna sięgała sławy dobrego naśladowcy Rembrandta i Van Dyck'a. Dla sztuki narodowéj twórczość ich nie miała niemal żadnego znaczenia. Nie zostawili w kraju śladu swéj działalności, a przykład ich nie znalazł naśladowców. Sztuka węgierska w rzeczywistości tak samo nie istniała za życia Kupeczky'ego i Mányoky'ego, jak i przed nimi. I jeżeli się mówi o rzeczywistych jéj początkach, to należy je odliczać do ósmego lat dziesiątka bieżącego stulecia.

W tym bowiem czasie powstała pierwsza szkoła sztuk pięknych w Węgrzech, za staraniem malarza Gustawa Keleti'ego i szkoła malarska pod kierunkiem Juliusza Benczura, obie założone przez rząd węgierski. Z powstaniem tych szkół datuje się właściwy początek sztuki węgierskiéj, od któréj nas oddziela zaledwie dwadzieścia lat.

Jeżeli się uwzględni ten krótki czas istnienia sztuki węgierskiéj, jeśli się zważy, że pomiędzy współczesnymi artystami węgierskimi żyją jeszcze i tworzą prawie wszyscy ci, którym miano twórców sztuki węgierskiéj słusznie się należy; — niepodobna nie wyrazić zdumienia nad szybkością, z jaką w ciągu tak krótkiego czasu sztuka ta zdołała dojść do tego stopnia rozkwitu, na jakim znajduje się dzisiaj. Zwiedzając obszerne salony pałacu sztuki, przyglądając się olbrzymiéj, bo trzech tysięcy sięgającéj liczbie wystawionych tamże utworów, z których niejeden godnie może reprezentować sztukę węgierską na pierwszorzędnych wystawach międzynarodowych, zrozumiałem podstawę narodowéj dumy, którą w tak wysokim stopniu posiadają Madyarzy. Naród, który w ciągu lat dwudziestu zdołał z niczego stworzyć sobie sztukę — mniejsza o to, czy oryginalną czy nie, a w każdym razie imponującą—i doprowadzić ją do dzisiejszego rozkwitu, ma prawo być dumnym ze swego dzieła i zasługuje na podziw i uznanie świata cywilizowanego. Benczur, Munkacs'y, Markó i Horowitz—zdobyli sobie w sztuce europejskiéj znaczenie i rozgłos, pomimo że w ojczyźnie swojéj nie znaleźli przygotowanego dla swoich dążności gruntu. A jeśli wolno dziś jeszcze podawać w wątpliwość istnienie sztuki „węgierskiéj" jako sztuki narodowéj, to nie wolno już człowiekowi inteligentnemu nie znać nazwisk znakomitych artystów węgierskich, którzy pod sztukę tę grunt przygotowali i niewątpliwą jéj zwiastowali przyszłość.

W pracach malarzy węgierskich z przed lat 20 widnieje wyraźny wpływ dwóch szkół niemieckich, w szczególności wiedeńskiéj szkoły Karola Rahla i monachijskiéj, stworzonéj przez Karola Piloti'ego.

Różnica obu szkół polegała na odmienném traktowaniu tematów.

Kiedy Rahl z zamiłowaniem uprawiał kierunek alegoryczny, skłaniał się Piloti ku realnéj rzeczywistości. W obrazach Rahla i jego naśladowców uderza przedewszystkiém harmonijność linii, przepych kolorytu i pewne staranie się o formę poetyczną, przejawiające się zarówno w wyborze tematów, jak i w ich idealizowaniu. Utwory zaś Piloti'ego, osnute zazwyczaj na pospolitych zjawiskach życiowych, odznaczały się prostotą wykonania, która u jego uczniów przeszła w manierę. Szkoła Piloti'ego lubowała się wprawdzie w romantyzmie; skoro jednak któryś z jéj adeptów pozwolił sobie na wybór mniéj pospolitego tematu, to pierwszém jego staraniem było ten wybryk upodobań swoich wynagrodzić widzowi możliwą dokładnością w oddawaniu szczegółów akscesoryjnych, jak kostyumy malowanych postaci, umeblowanie z danéj epoki i t. p.

Pomiędzy węgierskimi naśladowcami i uczniami Rahla pierwsze miejsce zajmują Maurycy Than i Karol Lotz, stanowiący w dziejach sztuki węgierskiéj nierozłączną niemal dwójcę artystyczną. Obu cechowała dążność do „górnych" tematów, zamiłowanie do patosu i umiejętność kreślenia linii harmonijnych i sytuacyi pełnych wdzięcznego polotu. Z utworów Thana nie znalazł się żaden na wystawie; ciekawy jednak przybysz mógł zapoznać się z najwybitniejszemi jego alegoryami w przedsionku dworca centralnego kolei żelaznych w Budapeszcie, którego najpiękniejszą ozdobą są freski Thana, a z pośród nich najwybitniejszym fresk, przedstawiający alegoryę „komunikacyi". Lotz, będący obecnie profesorem wzorowéj szkoły rysunkowéj w stolicy węgierskiéj i kierownikiem działu malarstwa ściennego, wystawił dwa portrety kobiéce pełne wyrazu i niezaprzeczonego — idealizmu. O wiele bardziéj interesującym dowodem jego talentu malarskiego są olbrzymie obrazy, zdobiące strop opery peszteńskiéj i świéżo wykończone malowidło ścienne w sali ceremonialnéj pałacu sprawiedliwości, zaliczone słusznie przez krytykę węgierską do najznakomitszych dzieł tego rodzaju.

Daleko liczniejszym zastępem uczniów i naśladowców między malarzami węgierskimi poszczycić się może Karol Piloti. Największą popularnością z pośród nich wszystkich cieszy się Juliusz Benczur, nestor sztuki węgierskiéj, odznaczony na całym szeregu wystaw swojskich i zagranicznych. Ulubionym tematem obrazów Benczura są wypadki historyczne, czerpane oczywiście z dziejów węgierskich. Dla

cudzoziemca, nieobeznanego dokładnie z historyą Węgier, obrazy Benczura przedstawiają znacznie mniejszy interes, niż dla jego rodaków; niemniéj widnieje z nich silna, indywidualność artystyczna, przebijająca się nawet przez całun zimnéj rutyny, któréj najważniejszą cechą jest miękki koloryt i szablonowe ugrupowanie postaci. Najcelniejszym obrazem Benczura jest „Chrzest świętego Szczepana", znany z licznych reprodukcyi. W portretach Benczura uderza przedewszystkiém znamienna cecha szkoły Piloti'ego: przepych i dokładność w akcesoryach. Występuje ona bardzo dobitnie w portrecie cesarza austryackiego, Franciszka Józefa I-go, umieszczonym na honorowém miejscu w pałacu sztuki, i niemniéj wyraźnie w portretach arcyksięcia Albrechta i hr. Festeticsa. Inne obrazy, jak „Zuchwały kupidyn" i „Pani Dubarry", przedstawiają sceny rodzajowe, na poły historyczne, nie nęcą ani nie zatrzymują wzroku widza.

Zdecydowanym zwolennikiem kierunku, zainicyowanego w malarstwie przez Piloti'ego, jest także Sandor Liezen-Mayer, którego wielkie malowidło, przedstawiające scenę, gdy poselstwo węgierskie uwiadamia bawiącego na dworze Podjebrada młodziutkiego Macieja Hunyady'ego, iż wolą narodu został obrany królem węgierskim—posiada wszystkie zalety i wady pilotowskiéj szkoły. Ugrupowanie postaci, pozbawione oryginalności, świetna kolorystyka, realizm w traktowaniu szczegółów — wszystkie te charakterystyczne znamiona obrazów Piloti'ego łatwo odnaléść na tym obrazie węgierskiego artysty, jak i na obrazach jego rówieśników: Aleksandra Wagnera i Bartłomieja Székely'ego.

Jakkolwiek nie uczeń Piloti'ego, ale niewątpliwy zwolennik jego kierunku, zasługuje na wzmiankę znakomity ilustrator węgierski Michał Zichy, twórca całego szeregu obrazów kościelnych, które jednak co do wartości artystycznéj stanowczo ustępują miejsca wspaniałym jego ilustracyom dzieł najznakomitszych postaci węgierskich. Znanym jest w całéj Europie prześliczny cykl obrazów Zichy'ego, ilustrujących pesymistyczny poemat Emeryka Madacha: „Tragedya człowieka" [1]). Niemniéj interesującym jest cykl ilustracyi Zichy'ego do ballad Arany'ego, ulubionego piewcy motywów ludowych, którego piękny pomnik dłuta zdolnego rzeźbiarza węgierskiego, Alajosa Strobla, zdobi plac przed narodowém muzeum węgierskiém. W tém muzeum znajduje się téż szereg obrazów Zichy'ego i cykl „Tragedyi człowieka". Zamieszkały stale w Petersburgu, zalicza się Zichy mimo to do najpopular-

---

[1]) Poemat ten istnieje w polskim przekładzie Juliusza Hena p. t. „Tragedya ludzkości" i wyszedł drukiem 1880 roku.

niejszych i najbardziéj narodowych malarzy węgierskich. W ilustracyach jego znać nietylko wytwornego rysownika, ale zarazem głęboko czującego poetę, zdolnego zrozumiéć ducha narodowéj poezyi węgierskiéj. To téż każdy, patrząc na jego utwory, rozpozna w nich treść węgierską. Internacyonalizm artystyczny, przejawiający się w formie mniéj lub więcéj wdzięcznego szablonu nie kazi jego utworów, jak to się np. dzieje w ilustracyach naszego artysty Piotra Stachiewicza, lubującego się w filigranowych figurkach, wymuskanych madonn i wogóle postaci niewieścich. Z kartonów Zichy'ego bije formalnie silna indywidualność artystyczna.

Pomiędzy najwybitniejszymi malarzami węgierskimi zajmuje pierwsze miejsce niewątpliwie i bezpodzielnie Michał Munkacsy. Artysta europejskiego rozgłosu, usprawiedliwiający w zupełności entuzyazm i zachwyt swoich ziomków. Jeden z tych geniuszów, którzy zdobyli sobie prawo zupełne, aby zasiąść w panteonie geniuszów międzynarodowéj sztuki. Czytając biografię Munkacsy'ego, śledząc działalność artystyczną i szybki rozwój jego talontu, rozumié się dopiéro znaczenie utworów i gienialną potęgę twórcy „Chrystusa przed Piłatem”. Urodzony na wsi Munkacsu, jako dziecko ubogiéj rodziny, spędził lata dziecinne w rzemiośle stolarskiém. Wyzwolił się nawet na czeladnika tego kunsztu. W chwilach wolnych malował na heblowanych skrzyniach kwiaty i dziwaczne floresy. Gdy rzemiosło nie okazało się intratném, rzucił hebel i chwycił za pędzel malarski. Malował: pokoje, szyldy i—portrety. Te zwróciły uwagę mecenasa sztuk pięknych I. Szamossy'ego, który przeczuwszy w młodym smarowniku mistrza, zajął się nim szczerze, udzielał mu lekcyi rysunku i malarstwa, a gdy spostrzegł, że uczeń przewyższył nauczyciela, dał mu list polecający do ówczesnego dyrektora „Towarzystwa sztuk pięknych” w Peszcie, Pawła Harsányi'ego. Było to w roku 1864. Munkacsy liczył zaledwie lat dwadzieścia. Rekomendacyą talentu jego stanowił pierwszy jego utwór „Powrót rezerwisty”, za który otrzymał od „Towarzystwa sztuk pięknych” stypendyum w kwocie 10 guldenów na miesiąc. W roku 1865-ym przenosi się Munkacsy na jakiś czas do Wiednia. Nędza zniewala go jednak do powrotu do Pesztu. Dopiéro z pomocą znawcy, który odrazu ocenił potęgę młodego talentu, udaje mu się przebyć lat parę w Monachium i Düsseldorfie. Tu tworzy znany obraz „W celi grzesznika”, który na pół wykończony wędruje do Paryża i tam w roku 1870-ym na wystawie międzynarodowéj zdobywa pierwszą nagrodę. Odtąd sypie mu się złoto w kieszeń i nędza dotychczasowa zmienia się w nieustanne powodzenie.

Zdobyte tak prędko laury nie uśpiły młodego talentu. W nieustannéj i niezmordowanéj dążności do wyżyn artystycznego rozgłosu, Munkacsy w trzy lata potém, po całym szeregu drobniejszych utworów tworzy wielki obraz, znany pod nazwą „Włóczęgów nocnych" i jak nazwa jego ponura, pełen ciemnego kolorytu i rubasznéj surowości, z po za któréj widniała genialna myśl twórcy. Ponury ten odcień zjawia się odtąd na wszystkich niemal obrazach Munkacsy'ego. Nawet w scenach rodzajowych, pełnych barw i wesołości, jak „Rekruci" i „Bohatér wioskowy" i „W pracowni", kryje się on po za pierwszoplanowym obrazem wesela i spokoju. Surowy ten rys stanowi zarazem charakterystyczną cechę jego twórczości. Uderza on duszę widza jakby daleki odgłos lat dzieciństwa, spędzonych przez Munkacsy'ego w ciężkim znoju i biédzie na węgierskiém pustkowiu. Rys ten dominuje w słynnym obrazie „Milton", prawdziwym utworze głębokiego i myślącego ducha i w następnych wielkich malowidłach, w których znakomity artysta uzmysłowił wiekopomne chwile sądu nad Chrystusem.

„Chrystus przed Piłatem" jest pierwszém ogniwem całego łańcucha tych utworów, które po części już wykończył, po części dopiéro dać światu zamierza autor „Miltona". Jest to obraz, godny nazwy arcydzieła, nie ustępującego pod względem techniki malarskiéj w niczém dziełom najznakomitszym mistrzów nowoczesnych, nie wyjmując Rembrandta. Scena, którą Munkacsy przedstawił w tym obrazie, owa scena, gdy fanatyczny lud wiedzie przed namiestnika rzymskiego niebezpiecznego burzyciela uświęconych tradycyi i porządku i domaga się dla niego najsroższéj kary, tchnie takiém życiem, tak w niéj wszystko wre, rusza się, szarpie i wije, że widz zdumiony w pierwszéj chwili tym przejawem życia, sam porwać się daje téj sile, która przemawia z obrazu i ulega niemal złudzeniu rzeczywistości. Jest to chyba najwyższa pochwała, jaką o obrazie, o dziele sztuki powiedzieć można. Komukolwiek udało się oglądać „Chrystusa przed Piłatem" Munkacsy'ego, jeśli miał w sobie bodaj odrobinę wrażliwości artystycznéj, pochwały téj nie mógł mu odmówić.

Potężna siła twórcza tkwi i w drugiém malowidle Munkacsy'ego z tego cyklu, przedstawiającém „Ukrzyżowanie Chrystusa", a raczéj wrażenie, jakie ten straszny akt fanatyzmu wywiera na tłumie, uczestniczącym w nim obecnością swoją. Wspaniały mimo przytłumionego tonu koloryt obrazu, podnosi grozę przedstawionéj na nim sceny.

Zanim Munkacsy zabrał się do wykonania dalszych obrazów zamierzonego cyklu Chrystusowego, wypadło mu poświęcić pędzel na wykonanie okolicznościowych dzieł. Do tych zaliczyć należy obraz, zdobiący strop muzeum sztuki w Wiedniu i malowidło przeznaczone

dla nowego parlamentu w Budapeszcie, a nadto cały szereg portretów, któremi wprost zapełnione są niektóre sale pałacu sztuk pięknych. Niemniéj uporawszy się z temi pracami, powrócił do pierwotnego swego planu i stworzył trzeci obraz wielkiego swego cyklu, zatytułowany „*Ecce Homo*”, a stanowiący prawdziwą *great attraction* jubileuszowéj wystawy węgierskiéj dla każdego miłośnika sztuki.

„...W ten czas tedy Piłat wziął Jezusa i ubiczował.

„A żołnierze uplótłszy koronę z ciernia, włożyli na głowę jego: i szatą szkarłatową odziali go.

„I przychodzili do niego, a mówili: Witaj królu Żydowski i dawali mu policzki.

„Wyszedł tedy zasię Piłat pod ratusz i rzekł im: Oto go wam wiodę przed ratusz, abyście poznali, że w nim żadnéj winy nie znajduję.

„Wyszedł tedy Jezus, niosąc cierniową koronę i szatę szkarłatową. I rzekł im: Oto człowiek.

„Gdy go tedy ujrzeli najwyżsi kapłani i służebnicy, zawołali mówiąc: Ukrzyżuj, ukrzyżuj go. Rzekł im Piłat: Weźmijcie go wy, a ukrzyżujcie, bo ja w nim winy nie znajduję.”

Tę scenę z ewangelii św. Jana (Rozdz. XIX, 1 — 6) przedstawił Munkacsy w swoim „*Ecce homo*”.

W przedsionku sądu na wzniesieniu podtrzymywaném przez dwa słupy stoi Piłat ukazując tłumowi, zalegającemu podwórze, Chrystusa (*Ecce homo!*), odzianego w szkarłatny płaszcz, zarzucony na barki i nie zasłaniający piersi, na których widnieją krwawe ślady bicza. Skronie Syna człowieczego, ujęte w wieniec cierniowy, zroszone są kroplami krwi, spływającemi z pod cierni. W dłoniach skowanych tkwi berło trzcinowe. — W twarzy całéj maluje się bezgraniczna rezygnacya, złagodzona odcieniem pobłażliwości i politowania dla tłumu, „nie wiedzącego co czyni”. Zwrócone ku niebu jasne spojrzenie natchnionego mędrca wyraża nadzieję; rozchylone jak w półszepcie modlitwy usta— zdają się tłumić głębokie westchnienie.

Postać Chrystusa pojęta i przedstawiona idealnie, posiada mimo to wyraz ziemskiéj dobrotliwości i czysto ludzkiego bólu, uszlachetnionego jeno owym blaskiem wyższości, który bije z całéj postaci.

Wyjąca naokół tłuszcza, zdająca się zagłuszać wszystko swojemi okrzykami, stanowi silny kontrast względem głównéj postaci obrazu. Cała bezwzględność motłochu, miotającego się w zwierzęcym niemal szale i znęcająca się nad bezbronną ofiarą, występuje tutaj z zadziwiającą plastyką. Artysta nie pominął żadnego momentu psychologicznego, któryby uwydatniał nastrój tłumu. Obok wijących się niemal

w paroksyzmie wściekłości fanatyków ulicznych, widać na jego obrazie postaci dwóch faryzeuszów, oddających szyderczy hołd „królowi żydowskiemu". Ich zgięte w kabłąk postaci i głowy, schylone ku ziemi, wyrażają obłudę i pychę. Opodal jakiś człowiek, w opończy wieśniaczéj ściśniętą pięść wyciąga ku znienawidzonemu „wrogowi ludu"; kurczowo ściągnięte palce radby się niemal wpić w ciało „odstępcy". Tuż obok karzeł, nie mogąc dostać się pierwszym, wyciąga ręce z okrzykiem wściekłości. Wokoło całego tego tłumu różnobarwnego, uwagę widza zwraca na siebie arab w żółtym burnusie, stojący na planie pierwszym i spoglądający na scenę tego urągania tłumu z politowaniem mędrca, wyższego nad motłoch uliczny. W głębi zaś u samego wyjścia z gmachu sądowego, przez którego ogrodzenie widać płaskie dachy i błękitne niebo Jerozolimy, stoi oparty o filar stary Żyd z siwą brodą i zamyśloném okiem śledzi przebieg zgromadzenia. Z postaci jego promienieje spokój i umiarkowanie starości, nie zapalającéj się fanatycznie i nie rzucającéj odrazu klątw, ni gróźb. Słabiéj wypadły na obrazie postaci, mające przedstawiać zwolenników nowéj nauki. Młody, rozmarzony apostoł w błękitnéj todze, stojący na pierwszym planie, jest figurą nic nie mówiącą. Matka Boska, omdlała i podtrzymywana przez apostoła Jana, nie może iść w porównanie ze wspaniałą postacią Chrystusa co do wyrazistości i charakterystyki. O wiele silniéj przemawia do widza postać staréj żydówki, uciekającéj z przestrachem przed widokiem umęczonego człowieka.

Straż rzymska na obrazie, otaczająca wzniesienie, na którém Piłat ukazuje ludowi Jezusa, robi wrażenie manekinów bez życia. Jeden jedyny żołnierz, odpiérający tłum swoją postawą groźną i spojrzeniem, przestrach siejącém, którego artysta umieścił tuż pod główną postacią, sprawia wrażenie prawdy. Reszta, stojąca za Chrystusem na podniesieniu, malowana jest niedbale i bez szczegółowéj charakterystyki.

Całość obrazu przedstawia się niejednolicie. Mistrzowsko wykonaną jest część środkowa, t. j. postać Chrystusa i tłum, złorzeczący mu; ów arab w żółtym burnusie na planie pierwszym, daléj całe tło obrazu, utrzymane w dyskretnym tonie i dostrajające się doskonale do różnobarwnéj gry kolorów. Mimo rozmaitości tych barw, nie razi obraz nigdzie pstrocizną. Kolory rozmieszczone z niezrównaną subtelnością, nigdzie nie tworzą dzikich kontrastów; nie przeważa właściwie żaden. Ogólne jednak wrażenie jest przytłumione z umysłu, aby nie absorbować zbytnio widza kolorytem, a zwrócić raczéj jego uwagę na samo ugrupowanie sceny.

Obraz ten, umieszczony w osobnym, *ad hoc* zbudowanym pawilonie, znakomicie oświetlony, sprawia głębokie wrażenie zarówno na

profanach, jak i na znawcach. Usterki, które zaznaczyłem powyżéj, nie psują wrażenia. Dodać należy, że postaci na obrazie są prawie naturalnéj wielkości, co oczywiście znacznie przyczynia się do większego wrażenia.

Z licznego szeregu innych dzieł Munkacsy'ego, które zdobią pałac sztuki, tematem i wykonaniem zbliżony jest do cyklu Chrystusowego, a właściwie stanowi poniekąd jedno jego ogniwo, obraz, przedstawiający „Święte niewiasty u stóp krzyża". Tło ciemne, niemal czarne, charakterystyczna cecha utworów Munkacsy'ego. U góry łuna krwawa, gorejąca nad całą doliną, nad miastem i krzyżem, na którym rozpięte ciało Chrystusa. U stóp jego zawodzące niewiasty we łzach toną, załamując ręce. Mimo biblijnego tematu, wykonanie odznacza się realizmem w traktowaniu szczegółów. Wyraziście i realistycznie wykonane są oblicza, na których boleść występuje z całą potęgą ziemskiego, zrozumiałego dla widza uczucia.

Z wyżyn religijnego natchnienia na poziomy spraw życia codziennego — krok może ryzykowny dla malarza; ale Munkacsy okazał się równie znakomitym artystą w obserwacyi zjawisk współczesnych, jak w ukształtowaniu podań biblijnych. Jego „Bezrobocie" jest w swoim rodzaju arcydziełem obserwacyi i techniki. W jakiéjś ciemnéj, niezbyt przestronnéj izbie zgromadziła się rzesza robotnicza. Na wzniesieniu przemawia jeden z nich. Po ruchach, wyrazie twarzy, błysku oczu znać zapał, oburzenie, gniéw buchający z jego mowy. Na okół otaczają go towarzysze zasłuchani w jego słowa. Twarze stérane nędzą i znojem. Tu i owdzie pięść zaciśnięta. Gdzieniegdzie wyraz apatyi i rezygnacyi zupełnéj w postawie i twarzy. Z prawéj strony u samego wejścia siedzi robotnik o zczerniałém obliczu. W oczach łzy mu grają utajonego gniewu i bezsilnéj zemsty. Za nim kobiéta z dzieckiem na ręku, błagalnym ruchem stara się go odciągnąć od gromady i zabrać do domu, uchronić od niebezpiecznych skutków zmowy. Opodal zaś stary robotnik, stérany zupełnie, z sił opadły, który przyszedł przysłuchać się naradom, zmożony snem siedzi na stołku i śpi. Postać najbardziéj wzruszająca z całego otoczenia. Koloryt ogólny—jak zwykle u Munkacsy'ego—ciemny, prawie ponury.

Między obrazami twórcy „Chrystusa przed Piłatem" rzadko spotyka się nagość. Jego „Leda", szkic i „Kobiéta na kwiatach" są na wystawie peszteńskiéj jedynemi przedstawicielkami nagości pomiędzy obrazami Munkacsy'ego. Cechuje je pewna delikatność w karnacyi i rysunku. Brak zupełnie owéj zmysłowości, którą Węgrzy lubią i umieją wyrazić.

Prześliczny portret kobiécy, przedstawiający silnie zbudowaną brunetkę, ubraną w białą suknię balową i siedzącą wygodnie w fotelu w otoczeniu wspaniale przybranego buduaru, odznacza się umiejętném wykończeniem akcesoryów i dobrym wyrazem twarzy. Toż samo dałoby się powiedziéć o innych portretach Munkacsy'ego, które obok portretów Leopolda Horowitza, są może najwybitniejszemi utworami tego działu malarstwa węgierskiego, przynajmniéj o ile tenże na wystawie peszteńskiéj był reprezentowany.

Portrety Leopolda Horowitza, znane po części i u nas, zyskały sobie zasłużoną sławę nietylko na Węgrzech. Jest w nich nie sama wspaniała technika malarska, ale i głębokie poczucie prawdy psychologicznéj, umiejętność oddania subtelnych rysów oblicza, które postaci portretowanéj nadają życie. Z rozpowszechnionych u nas portretów Mickiewicza, portret wykonany przez Horowitza jest bezwątpienia najlepszym. Żaden z artystów polskich nie umiał tak świetnie uchwycić i oddać natchnioną i genialną głowę twórcy „Grażyny". Tak samo ma się rzecz z portretami Horowitza na wystawie węgierskiéj. Nie potrzeba było być specyalnym znawcą malarstwa portretowego, aby na pierwszy rzut oka odróżnić portret horowitzowski od innych. Tak silnie i korzystnie odbijały od reszty. Horowitz liczy obecnie niespełna 50 lat. Jest tedy w sile wieku i stoi na wyżynie swego powodzenia. Na brak uznania uskarżać się nie może, zwłaszcza że Węgrzy swoich rodaków cenić, a ich zasługi czcić umieją i chętnie to czynią. Z siedmiu wystawionych przez niego portretów—szczególniéj nęcą oko widza trzy portrety kobiéce. Nie kolorem jaskrawym lub pozą wymyślną, lecz przeciwnie, dyskretném wykonaniem i ujmującą prostotą. Główne staranie artysty zwrócone było ku nadaniu twarzom portretowanych osób wyrazu życia wewnętrznego. W oczach ich maluje się ich dusza. Zamiast bawić się w powłóczyste spojrzenia i t. p. sztuczki, Horowitz stara się oczom malowanych przez siebie osób dawać jaknajzwyklejszy, ale myślący, żywy wyraz.

Krytyka węgierska zwykła między najznakomitszymi malarzami węgierskimi, a w szczególności malarzami portretów wymieniać Juliusza Benczura, o którym już miałem sposobność wspomniéć powyżéj. I słusznie. Jako portrecista, zasługuje Benczur istotnie na rozgłos, jakim się cieszy u swoich rodaków. Jego wizerunki osób bądź to znakomitych, bądź téż popularnych pomiędzy Węgrami, stanowią najlepszą część jego twórczości artystycznéj. Wybornym np. jest portret hr. Tassilo Festetics, przedstawiający arystokratyczną postać dygnitarza, ubraną w przepyszny mundur szambelański. Wykonanie szczegółów akcesoryjnych nie pozostawia tu nic do życzenia. Niemniéj

udatną jest charakteryzacya twarzy, pełnéj wyrazu i życia. Toż samo odnosi się do portretu króla Franciszka Józefa, przedstawionego w powłóczystéj szacie monarszéj. Postać monarchy pełna rzeczywistéj powagi występuje plastycznie na ciemném tle, i nie czyni wrażenia urzędowéj sztywności, rażącéj niemal we wszystkich portretach cesarza austryackiego, rozsianych bardzo obficie po wystawie węgierskiéj.

Jakkolwiek jednak portrety Benczura najlepiéj uzasadniają jego rozgłos artystyczny, to przecież popularność swą zawdzięcza on raczéj potężnym malowidłom, w których przedstawia sceny z historyi Węgier. „Pożegnanie Władysława Hunyady'ego”, „Wzięcie w niewolę Franciszka Rakoczego II-go na zamku Saros”, „Chrzest Vajka” i „Odzyskanie Budy z pod przemocy tureckiéj 1688 roku” — oto szereg najbardziéj znanych i najbardziéj chwalonych przez krytykę krajową dzieł Benczura, wykonanych na temat „rodzimy”. Żaden z tych obrazów arcydziełem nie jest, jakkolwiek posiadają one zalety technicznéj natury, godne uznania i świadczą o niepospolitym talencie twórcy. Dla Węgra zresztą, główna wartość obrazów tych polega na tematach.

A dzieje się to prawdopodobnie także wobec innych obrazów historycznego malarstwa węgierskiego, których ilość jest wprost zdumiewająco wielka. Przeciętnie są to wielkie malowidła, odznaczające się mniejszą lub większą barwnością, zapełnione licznemi mniéj lub więcéj dziwacznie wyglądającemi postaciami. Daremnie szukałem na wystawie peszteńskiéj obrazu historycznego, któryby na mnie, cudzoziemca, oddziałał sam przez się, bez objaśnień zawartych w katalogu, jak na cudzoziemca musi wywrzéć wrażenie bez wszelkich komentarzy niemal każdy obraz Matejki, jedynie siłą tkwiącego w nim geniuszu artysty. Nie znalazłem ani jednego, któryby choć w przybliżeniu mógł mierzyć się z którémkolwiek z dzieł twórcy „Kazania Skargi”.

Olbrzymie malowidło Franciszka Eisenhuta, popularnego malarza węgierskiego, przedstawiające „Bitwę pod Zentą w roku 1677-ym”, nie posiada ani w setnéj części tego życia, rozgwaru wojennego, téj siły żywiołowéj, która ożywia niemal każdą postać z „Bitwy pod Grunwaldem” Matejki.

Rozreklamowany obraz Tivadara Zemplényi'ego „Vezul u króla Szczepana” jest zwykłém malowidłem dekoracyjno-historyczném i niczém nie zasługuje na miano arcydzieła. Miana tego zresztą nie przyznałbym żadnemu z tych obrazów historycznych, które widziałem na wystawie. Najlepszym między nimi jest Aladara Kriescha, ucznia Lotza i Liezen-Mayera „Sejm w Tordzie (1567)” na którym po raz pierwszy ogłoszono wolność sumienia dla Węgrów. Doskonały układ

grup, świetne wykonanie szczegółów, oświetlenie umiejętne: składają się w tym obrazie na całość piękną i ujmującą bezwzględu na sympatyczny i pięknie zużytkowany temat. Obraz ten stanowczo wyżéj stawić należy, aniżeli utwór samego Liezen-Mayera „Poselstwo węgierskie przybywa na dwór Podjebrada (1458) z wieścią o elekcyi Macieja Hunyadyego.” Brak bowiem dziełu Liezen-Mayera tego ożywczego ciepła i zapału, który się czuje w obrazie Kriescha. — Maurycy Than wystawił niedokończony duży obraz, przedstawiający „Arpáda u granic węgierskich.” Ten sam temat posłużył Arpadowi Feszty'emu (uczniowi Kubińskiego) do wielkiéj panoramy, która ściągała setki tysięcy Węgrów i doznała entuzyastycznego przyjęcia. Ze stanowiska artystycznego rzecz sądząc, entuzyazmu tego podzielićby nie można, zwłaszcza wobec niebezpiecznego porównania, jakie się nastręczało widzowi panoramy Feszty'ego ze znaném dziełem polskich malarzy Wojciecha Kossaka i Tadeusza Popiela i monachijskiego pejsażysty Ludwika Bollera, tuż obok wystawioném. W wykonaniu Thana obraz wypadł udatnie, choć nie tak efektownie jak u Feszty'ego. Interesujący już dla saméj treści obraz Aleksandra Bikari'ego „Król Zygmunt wita w katedrze warazdyńskiéj Władysława Jagiełłę”, służyć ma za szkic do olbrzymiego malowidła, które artysta wygotować ma dla katedry w Wielkim Warazdynie. Spotkanie królów przedstawione jest wedle tradycyonalnéj modły z patosem, który w tym wypadku przynajmniéj nie razi; licuje bowiem z ważnością chwili. Obaj królowie w królewskich szatach stanowią środkowy punkt obrazu. Naokół rozmieszczony wspaniały orszak Zygmunta i skromne otoczenie Jagiełły. Postać Jagiełły wzorowana na znanych wizerunkach z późniejszych czasów.

Stosunkowo nielicznie reprezentowaném jest w sztuce węgierskiéj malarstwo religijne i kościelne. Na blisko tysiąc trzysta utworów sztuki zebranych i wystawionych znalazłem zaledwie i to niespełna tuzin obrazów i rzeźb, (licząc w to utwory Munkacsy'ego) przedstawiających bądź to sceny biblijne, bądź też temata religijne wogóle. Z pośród wystawionych obrazów tego rodzaju zasługuje przedewszystkiém na uwagę Arpada Feszty'ego „Niewiasty u grobu Chrystusa.” Rzecz to istotnie niepospolita. Postaci kobiet płaczących nad kamiennym grobem traktowane nadzwyczaj subtelnie i dyskretnie. Nigdzie żadnego krzykliwego efektu. Spokój w rozpaczy, pełen wyższéj godności — uwydatnił artysta doskonale. Szczególniéj zwraca uwagę Magdalena, która odwrócona od widza, leży płacząc u stóp sarkofagu. Bujny, czerwony włos rozpływa się po jéj postaci i spada na ziemię Od ciemno-szarego tła obrazu odbija ta złotawo czerwona plama nad-

zwyczaj delikatnie, nie rażąc zbytnim kontrastem i nie psując ogólnego nastroju.—Niemniéj godném uwagi jest dzieło Aleksandra Ipoly'ego „Nawrócenie św. Tomasza," posiadające oświetlenie *à la* Rembrandt wykonane bez zarzutu.

Najobficiéj uprawianym działem malarstwa węgierskiego jest bezwątpienia obok portretowego, dział rodzajowy zwłaszcza z odcieniem ludowym. Celuje w tym kierunku Aleksander Bikari, autor „Spotkania Zygmunta z Jagiełłą." Obrazki jego rodzajowe wartością artystyczną przewyższają stanowczo jego utwory historyczne. Jako uczeń Blaas'a lubuje się w scenach wesołych i pełnych życia, których nieodzowną okrasą musi być kobieta. Z licznego szeregu jego obrazów ludowych wyróżnia się „Mowa kandydacka" zarówno świetném pojęciem, jak i wykonaniem tematu. Rzecz dzieje się na wsi lub za miastem. Przed gospodą odbywa się na wolném polu zgromadzenie wyborców, nie zbyt zresztą liczne pod przewodnictwem otyłego księżyny, który siedząc za stołem prezydyalnym, uważnie śledzi na twarzach wyborców, jakie na nich wrażenie wywiera mowa kandydata. Kandydat zaś, człeczyna siwy, stojąc na stołku, z pociesznym patosem, przemawia do współobywateli włościan i przedmieszczan, słuchających go z niekłamaném zajęciem. Typy mówcy, księdza i słuchaczy—wprost wyborne. Najznakomitszém dziełem Bikariego jest obraz „Przed sądem", którego niestety na wystawie nie było. — Władysław Pataky opracowuje temata na poły historyczne, na poły ludowe. Obrazy jego cieszą się uznaniem publiczności i krytyki, a słuszność tego uznania sprawdziłem przed obrazem „Wyjazd króla na manewry", przedstawiającym scenę, gdy orszak królewski z monarchą na czele pędzi drogą wiejską, a chłopek zestraszony, usunąwszy się z wozem swoim do rowu, zdejmuje czapkę przed wspaniałą kawalkadą jeźdźców. W kontraście tym uwydatnił artysta bardzo dowcipnie lekki sarkazm, cechujący zwykle jego obrazy. — Wybitnym talentem jest młody, ale znany już malarz rodzajowy Tibamer Margittay, którego „Miodowe miesiące" pobudzić muszą do śmiechu najpoważniejszego widza. W saloniku siedzi przy stole zapłakana młoda pani domu trąc oczy chusteczką. Odwrócony od niéj buja się na fotelu rozgniewany małżonek, paląc zawzięcie cygaro. Jak zły duch stoi za krzesłem córki — teściowa, mierząc piorunującym wzrokiem nikczemnika—zięcia swego. Główną zaletą obrazów Margittaya jest dokładna i dosadna zarazem charakterystyka postaci. Odmienny temat i odmienny nastrój przedstawia drugi obraz jego „Po pojedynku". Zebrana w pokoju rodzina odbiéra wiadomość o zgonie syna i brata. Stary ojciec schyla głowę pod tym ogłu-

szającym ciosem. Matka posiwiała pada omdlała na krzesło. Na twarzach młodych maluje się przerażenie i ciekawość. W kącie stary służący zanosi się od płaczu. Scena ta wywiera głębokie na widzu wrażenie. Przedstawiona jest bowiem z wielką prostotą i bez krzykliwych efektów, działając na widzów jedynie świetną charakterystyką osób.

Między węgierskimi malarzami rodzajowymi zajmuje poczesne stanowisko także Eugeniusz Jendrassik, zaliczający się do młodszéj generacyi artystów. Obraz jego zatytułowany „Nędza", przedstawia aptekę, a w niéj siedzące na krześle dziewczę, które widocznie czeka na lekarstwo, przygotowywane przez aptekarza dla choréj matki. Wyraz twarzy tego pół-dziecka, pół-kobiéty oddany jest z tak przejmującą do głębi prawdą, a cała postać traktowana realistycznie bez jaskrawości, odtworzona jest z taką prawdą psychologiczną, że widza ogarnia wzruszenie, jak gdyby współczucie dla biednéj téj istoty. Jestto owo szlachetne wzruszenie, które wzbudzić potrafi jedynie dzieło wysoce artystyczne. — Oryginalnym w pomyśle jest obraz Ludwika Marka, jednego z najmłodszych przedstawicieli malarstwa węgierskiego, zatytułowany „Gorączka." Na łóżku leży chory młodzieniec. W skromnym pokoiku oświetlonym przyćmioném światłem lampy, drzémie znużona widocznie czuwaniem kobieta. W półcieniu ukazują się choremu straszliwe dziwadła rozgorączkowanéj wyobraźni. Tak w tym obrazie, jak i w malowidle Stefana Réti'ego, przedstawiającém człowieka chorującego na bezsenność, wybornie oddaną jest fizyognomia ludzi chorych, walczących z urojonemi widziadłami.

Nagość w sztuce węgierskiéj reprezentowana jest zaledwie przez parę obrazów. Do najwybitniejszych należy „Leda" Maurycego Thana. — Franciszek Eisenhut wystawił w tym dziale obraz p. t. „Przed wyrokiem": dwie kobiety, prawdopodobnie odaliska i jéj niewolnica leżą nagie związane z sobą, z nogami ujętemi w dyby i oczekują pod strażą czarnego eunucha wyroku śmierci. Karnacya białego ciała odaliski i śniadéj skóry niewolnicy udatna. — Ludwika Ebnera „Marzenie senne" przedstawiające nagą kobietę wyciągniętą rozkosznie na trawniku, przypomina zarówno pomysłem, jak i ułożeniem postaci, obraz Wojciecha Gersona „Siesta." Podobieństwo jest tu tak uderzające, że byłoby rzeczą interesującą zbadać, czy jest tylko przypadkowém. Dodać należy, że Ebner jest kierownikiem działu kobiecego węgierskiéj szkoły rysunkowéj i autorem kilku znanych obrazów.

W pejzażu prym wiedzie na wystawie Geza Mészöly, zmarły przed kilku laty, którego obrazy odznaczają się głębokim nastrojem.

Obok niego zażywa wielkiéj sławy jako pejzażysta Gustaw Kelety, którego widok parku królewskiego w Gödöllö odznacza się wspaniałą perspektywą i wierném odtworzeniem drzew. — Prawdziwém *Stimmungsbild* jest „Powrót" Franciszka Olgyay, przedstawiający 4 woły ciągnące drogą wiejską w letni wieczór wóz drabiniasty. Wykonanie obrazu na sposób naturalistyczny udało się artyście zupełnie. — Z innych krajobrazów wymienić należy Karola Telepy'ego „Potok pod Łomnicą," odznaczający się bardzo dobrą charakterystyką gór tatrzańskich i Władysława Mendnyanszky'ego „Poranek zimowy", przedstawiający z wielkiém poczuciem prawdy ośnieżony las.

Rzeźba węgierska reprezentowaną była na wystawie przez szereg utworów mniéj lub więcéj udatnych, z których wyróżnić należy Karola Senyeia „Rybaczkę", grupę, przedstawiającą kobietę zapuszczającą sieci i bawiących się koło niéj dwóch malców, z których jeden ściga uciekającą kaczkę; tudzież grupę zwierzęcą Jerzego Vastagha (młodszego), pełną realizmu i życia. Oryginalnym pomysłem odznacza się projekt pomnika dla uczczenia tysiącletniego jubileuszu Węgier dłuta Jerzego Zali. Zauważyć muszę, że z dzieł najznakomitszego rzeźbiarza węgierskiego Mikołaja Izsó zmarłego niedawno, nie było na wystawie żadnego.

III.

Osobny dział wystawy jubileuszowéj w Budapeszcie, pozostający w luźnym z nią związku, niemniéj jednak interesujący i godny uwagi, stanowiła wystawa królestwa Chorwacyi i Slavonii. W skromnych dwóch pawilonach przedstawiał się oczom widza owoc cywilizacyjnéj pracy narodu słowiańskiego, który dzięki szczególnym warunkom historycznym, zdołał uratować narodową swą samodzielność wobec zachłanności madyarskiéj, a w politycznym do Węgier stosunku zawarować sobie autonomię i samorząd.

Terytoryum królestw Chorwacyi i Slavonii, których stolicą jest Zagrzeb, wynosi nie wiele więcéj nad 42,531 klm. Na téj przestrzeni znajduje się 20 miast, 55 miasteczek, 4,742 wsi, 2,061 siół, 410 puszt i folwarków i 72 osad. Według spisu ludności z 31 grudnia 1890 roku, wynosi ludność obu królestw 2,201,927, z czego przypada 2,186,410 na ludność cywilną a 15,517 na siłę zbrojną. Kraj cały rozpada się na 8 żupaństw, a mianowicie: Lika-Krbava, Modruš-Rjeka, Zagrzeb, Warażdyn, Bjelovar-Križevci, Požega, Virovitica i Sriem.

Najgęściéj zaludniony jest powiat Waraždyński, przypada w nim bowiem na jeden kilometr kwadratowy przestrzeni 129 — 150 mieszkańców, kiedy županie Lika-Krbava, Modruš-Rjeka i powiaty Karlstadzki (Karlowac) i Jaska (w župaństwie zagrzebskiém) wykazują zaledwie 41 mieszkańców na 1 klm., nadto skupia się w tych właśnie powiatach i županiach ruch emigracyjny, który dochodzi do zatrważających rozmiarów. I tak np. wynosiła z końcem r. 1890 liczba wychodźców, którzy emigrowali z powyższych okolic 47,499 osób, z których do saméj Ameryki wyniosło się 10,103 osób.

Wobec tego wzrost ludności w królestwach Chorwacyi i Slavonii wyniósł w ostatnim lat dziesiątku zaledwie 1.430%, a rezultat ten w porównaniu z latami poprzedniemi nazwać trzeba jeszcze korzystnym. Ogółem podniosła się liczba ludności w ostatnim lat dziesiątku o 15.53%.

W przeciwstawieniu do emigracyi, wykazują tabele imigracyjne wzrost ludności napływowéj w ciągu ostatnich 10 lat o 41,929 osób, a mianowicie stanowią tu największy kontyngens Węgrzy, których liczba w tym czasie wzrosła w Chorwacyi i Slavonii z 82,864 na 113,179 czyli o 30,315 osób. Ogół napływowéj ludności wynosi obecnie 176,758 osób, (między niemi 450 Polaków).

Rzecz oczywista, że w takich warunkach cała energia, wszystkie niejako zdolności, drzémiące w słowiańskich Chorwatach, skierowane są ku temu, aby inwazyi madyarskiéj przeciwstawić należyty opór i uchronić się od zbytniego napływu elementu węgierskiego, którego tendencye zaborcze sięgają aż dotąd. Życie narodowe Słowian chorwackich jest téż jednym ciągiem nieustających walk z przemożnym sąsiadem i jego pomocnikiem—Niemcami. Walki te rozgrywają się zarówno w dziedzinie politycznéj jak i społecznéj, a cechuje je energia obustronna, przeradzająca się z natury rzeczy w zaciętość.

Inter arma silent musae. Nie dziw, że w tych stosunkach nie rozwinął się w Chorwacyi i Slavonii „kwiat kultury": literatura i sztuki piękne.

Literatura chorwacka, jakkolwiek słabo rozwinięta, posiada jednak bardzo piękne tradycye. Już w wieku pietnastym działają na polu literackiém Marko Marulić, Hannibal Lucić, Piotr Hektorović i in., których utwory stanowią chorwacką skarbnicę zabytków literackich. W wieku szesnastym i siedmnastym, posiada literatura chorwacka poetę téj miary, co Iwan Gundulić, którego poemata przyswoiły sobie w znacznéj części prawie wszystkie narody współczesne. W sto lat później niesie przed narodem pochodnię poezyi Vuk Karadzić Stefano-

vić. W nowszych czasach objęli jego posłannictwo utalentowani poeci, jak Stanko Vraz, Ivan Mazuranić i Piotr Preradowić, uznany za największego poetę chorwackiego. Zamiłowanie do literatury ojczystéj krzewią w Chorwacyi od lat wielu specyalne stowarzyszenia literackie, jak „Matica Hrvatska" założona w roku 1842 w Zagrzebiu, licząca 11,500 członków i „Kroackie stowarzyszenie literacko-pedagogiczne" istniejące od roku 1871, posiadające 86,000 koron własnego funduszu, a oprócz tego wspaniały „dom nauczycielski" w Zagrzebiu. Ludność chorwacka literaturę swoją zna i miłuje, szczycąc się całym szeregiem znakomitych pisarzy z przeszłości i w teraźniejszości.

Inaczéj rzecz się ma ze sztukami pięknemi. Malarstwo ani rzeźba nie posiadają tradycyi w przeszłości narodowéj Chorwatów. Najdawniejsze zabytki sztuki na ziemi chorwackiéj są dziełami artystów obcych, po największéj części włoskich. Pierwszy ślad rodziméj sztuki spotykamy w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia. Jestto jednak ślad czysto biograficzny. Wiemy, że w tym czasie żyło w Chorwacyi kilku artystów, których spuścizna utonęła gdzieś w morzu niepamięci.

Dopiéro w ostatnich dziesięcioleciach zaczyna się wśród Chorwatów budzić poczucie sztuki narodowéj. Pierwszym wyobrazicielem jéj jest Mikołaj Mašić, urodzony w roku 1852, uczeń Bouguereau'a. Talent to bezsprzecznie poważny; malarz o wyrobionym talencie, na którym znać wpływy różnych szkół: monachijskiéj, paryskiéj i włoskiéj i studya pilne a sumienne. Z obrazów Mašića, wystawionych w pawilonie sztuki chorwackiéj, najudatniejszym był niezawodnie obraz zatytułowany „Pastuszka gęsi." Pejzaż nadmorski o zmierzchu wieczornym, oddany z głębokiém poczuciem natury i umiłowaniem swojskich okolic—odznacza się na tym obrazie rzeczywiście świetnym kolorytem i wykończeniem techniczném. Niemniéj udatną jest „Idylla letnia" wystawiona również w pawilonie Chorwackim.

Z rówieśników Mašića zyskał sobie rozgłos i sławę Antoni Aron uczeń Pilotti'ego, twórca kilku wybitniejszych obrazów rodzajowych. Oprócz niego wymienić należy utalentowanych pejzażystów chorwackich: Franciszka Pavačića i Herminę Schmigoz, Pavačić maluje jednak przeważnie krajobrazy włoskie, a na rodzajowych jego obrazach rzadko kiedy zjawi się typ swojski.

Jedynym prawie z téj grupy artystów chorwackich rzeźbiarzem jest Jan Rendić z urodzenia Dalmatyniec, wykształcony we Włoszech, twórca kilku pomniejszych pomników i całego szeregu wcale udatnych popiersi.

Właściwy rozkwit sztuki chorwackiéj, przypada na ostatnie dziesięciolecie. W tym bowiem czasie zjawia się na horyzoncie sztuki chorwackiéj cały szereg wysoko utalentowanych artystów malarzy, pomiędzy którymi pierwsze miejsce zajmują Vlaho Bukovač i Celestyn Medović.

Vlaho Bukovač, urodzony w Caftat, kształcił się w Paryżu pod kierunkiem S. T. Cabanela, tu téż zyskał pierwsze ostrogi, wystawiwszy w Salonie paryskim pierwsze swoje utwory, które zyskały zaszczytne odznaczenie.

Z pośród stu piętnastu utworów sztuki malarskiéj wystawionych w pawilonie chorwackim, zwracają uwagę widza przedewszystkiém obrazy Bukovača, (jest ich 28) i to zarówno świetném wykonaniem jak i pomysłem. Najwybitniejszym jest obraz Gundulića, tworzącego swą epopeją „Osman.” W otoczeniu dzikiéj natury, poeta siedząc nad brzegiem wartko płynącéj rzeki, natchnioną myślą goni fantastyczne mary, ukazujące się jego oczom. W falach rzeki pluszcze się gromadka uroczych nimf. Nad głową poety unosi się wieniec muz, a we mgle oddalenia majaczeją bohaterskie postaci poematu, jużto wynurzając się z powiewnych osłon, jużto rozpływając się w cienie. Mimo ryzykownego pomysłu połączenia rzeczywistości, którą tu reprezentuje poeta, z fantastycznym światem jego wyobraźni, Bukovač nie popadł w grożące mu niebezpieczeństwo, nie zrobił z obrazu swego malowidła dekoracyjnego, z drugiéj zaś strony uniknął dysonansu powstającego zazwyczaj przy skojarzeniu dwóch tak różnych pierwiastków twórczości, jak alegorya w pomyśle i realizm w wykonaniu. Obraz Bukovača jest utworem nietylko utalentowanego malarza, ale i głęboko czującego poety. Odtwarzając bowiem chwilę poetyckiego natchnienia, daje widzowi niejako klucz do twórczości poetyckiéj znakomitego autora epopei chorwackiéj.—Drugi obraz pod napisem Dubravka przedstawia scenę historyczno-legendową z dziejów Chorwacyi przypominającą scenę teatru z szekspirowskiego Hamleta. I tu, jak i w poprzednim obrazie występuje na jaw biegłość techniczna w połączeniu z subtelném odczuciem poezyi, tkwiącéj w pomyśle zaczerpniętym z narodowych podań chorwackich.—Kurtyna teatru narodowego w Zagrzebiu, któréj szkic Bukovač wystawił w Budapeszcie, przedstawia postaci mężów najbardziéj zasłużonych na polu literatury i sztuki chorwackiéj. Wyróżnia ją z pośród tego rodzaju malowideł brak krzyczących efektów i niedostępnych alegoryi. Ugrupowanie osób naturalne, pozbawione teatralnéj sztywności, koloryt nie rażący jaskrawością barw: stawiają dzieło to Bukovača w rzędzie najlepszych utworów tego ro-

dzaju [1]). Oprócz obrazów historycznych i alegorycznych, tworzy Bukovač także sceny ludowe. Najwybitniejszym utworem tego kierunku jest obraz zatytułowany „Król w Zagrzebiu”. Lwią część prac Bukovača stanowią studya i portrety osób. „Dyabełek,” przedstawia małą dziewczynkę ubraną w czerwoną sukienkę, siedzącą na krześle. Tło obrazu stanowi czerwona kotara. Zestawienie dwóch odcieni téj samej barwy, nastręczające trudność techniczną w należytém ich oddaniu, wyzyskał Bukovač w tym obrazie z podziwu godną zręcznością, tworząc całość pod względem kolorystycznym wybitną i harmonijną. Niemniej wybitném jest studyum nagiéj dziewczyny na innym obrazie Bukovača, odznaczające się świetną karnacyą ciała.

Z portretów pędzla Bukovača, zasługują na wyróżnienie portret znanego biskupa Strossmayera i portrety rodziny Pongratz, uderzające niezwykłą wyrazistością fizyognomii i sprawiające złudzenie rzeczywistego realizmu.

Obok Bukovača zyskali sobie zasłużony rozgłos młodzi malarze chorwaccy, jak np.: Jan Tiszov, Bela Csikos, Klemens Črnčić, oraz Zygmunt Landsinger i Italo Hochetlinger, dwaj zdolni portreciści.

Tiszov były uczeń szkoły przemysłowéj w Zagrzebiu, a potém w Wiedniu, artystyczne wykształcenie swoje odebrał w szkole monachijskiéj Rössla i Mara. Znać to na jego obrazie pod napisem „Sztuka,” przedstawiającym nie jakieś alegoryczne figury, lecz cztery zupełnie realnie pojęte niewiasty, z których jedna gra na arfie, a trzy inne przysłuchują się muzyce.

W obrazach Csikosa przebija się wpływ maniery wiedeńskiéj. Jego „Straż nad umarłą”, wykonana starannie, przypomina tematem i sposobem malowania obrazy widywane w wiedeńskiéj akademii sztuk pięknych, do któréj uczniów się téż młody artysta zalicza. Znane są udatne krajobrazy chorwackie Csikosa, które wraz z pejzażami Paracića, Ottona Ivekovića i Zygmunta Landsingera reprezentują chorwackie malarstwo krajobrazowe.

Jako równorzędny z Vlaho Bukovačem talent, przoduje malarstwu chorwackiemu Celestyn Medović znany także poza granicami

---

[1]) Przy sposobności powiem, że teatr narodowy w Zagrzebiu wybudowany w latach 1894 i 1895 według planów architektów wiedeńskich Gellnera i Helmera przypomina zarówno pod względem planów sytuacyjnych jak i wykonaniem budowy nowy teatr miejski w Krakowie, będący dziełem architekta krakowskiego p. Jana Zawiejskiego. Oba gmachy różnią się jedynie wykończeniem szczegółów dekoracyjnych. Pozatém podobieństwo jest tak uderzające, iż badając jego genezę, możnaby zapewne znaléść ciekawy przyczynek do historyi „oryginalnych pomysłów“ w architekturze.

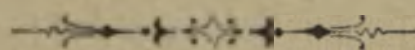
Chorwacyi ze swoich utworów. Obrazy jego różnią się od obrazów Bukovaĉa i jego naśladowców przedewszystkiém tém, że Medović czerpie do nich zazwyczaj temata z przeszłości starożytnéj lub wieków średnich. Najznakomitszemi utworami jego są te, w których odtworzył sceny z życia rzymskiego. Należą do nich obrazy pod napisem: „Ofiara Bachusa", „Męczennicy smyryjscy przed posągiem Eskulapa" wystawione w pawilonie chorwackim wystawy budapeszteńskiéj. Pierwszy z tych obrazów przedstawia scenę rzeźi w świątyni Bachusa. Około ołtarza tańczą pijane bachantki. Krew płynie strumieniem po stopniach świątyni. Na posadzce walają się zwłoki ofiar ludzkich. W malowidle tém widać wpływ szkoły włoskiéj. Niewątpliwie oddziałały także na Medovića wspaniałe dzieła Siemiradzkiego, które miał sposobność oglądać w Rzymie. To téż widz polski wita w obrazach jego jak gdyby przypomnienie dobrze mu znanych postaci ze scen rzymskich twórcy „Pochodni Nerona." Jak gdyby widział przed sobą wielkie malowidła najzdolniejszego u nas naśladowcy Siemiradzkiego,—Miłosza Kotarbińskiego...

W porównaniu z powyższym rozwojem malarstwa chorwackiego, w ciągu kilku lat ostatnich, przedstawia się rzeźba chorwacka nadzwyczaj skromnie. Zachodzi tu prawie ten sam stosunek, co między rzeźbą a malarstwem w sztuce węgierskiéj.

Oprócz bowiem Ivana Rendića, o którym już wspomniałem powyżéj, posiada Chorwacya zaledwie pięciu rzeźbiarzy, z których jak dotąd żaden nie zdobył sobie rozgłosu sięgającego po za granicę ojczystego kraju. Z wyjątkiem Ludwika Lövy'ego odbywali wszyscy studya swoje w sztuce rzeźbiarskiéj wyłącznie pod kierunkiem rzeźbiarzy niemieckich. Stąd u wszystkich pociąg do patosu, który nie mogąc znaléźć dla siebie kształtów posągowych, ujawnia się często w formie dziwacznych pomysłów alegorycznych w drobnych rzeźbach i płaskorzeźbach, uwydatnia się to szczególniéj w utworach Rudolfa Valdeca i Roberta Frangesza.

Najstarszy z pomiędzy współczesnych rzeźbiarzy chorwackich — nie licząc Rendića — ma lat 30. (Frangesz liczy 25-tą wiosnę życia). Są to zatém przeważnie ludzie młodzi, o których ostatecznego zdania powiedzieć jeszcze nie można. Oceniając zaś ich dotychczasowe prace jako zadatki przyszłéj twórczości, możemy śmiało twierdzić, że rzeźba chorwacka znajduje się w stadyum najpierwszego rozwoju. Jest to dla Chorwatów sztuka przyszłości.

Ignacy Suesser.



EDGAR ALLAN POE.

UŚPIONA.

W gorącą północ lśni czerwcową
Mistyczny księżyc nad mą głową.
Usypiających mgieł wilgocie
Świat w widziadlaném kąpią złocie, —
Co, dystylując się kroplami,
Spływa nad cichych gór szczytami;
Ślizga się sennie falą siną
Nad tą powszechną łez Doliną.
Bluszcz wokół grobu się obwija —
Śród fal kołysze się lilija;
Mgłą otuliwszy senne ciemię —
Ruina — w ukojeniu drzemie.
Właśnie jak Lete — patrz — jezioro
Świadomie śpi północną porą
I za nic świecie się nie zbudzi.
Śpi wszystko Piękno. Patrz — śród ludzi

Rozwarłszy okno na niebiosy —
Tu śpi Irena z swemi losy.

O pani, jakaż tobie moc
Otwiérać każe okno w noc?...
Swawolne wiatry z drzew i krzaków
Lecą tu — niby stada ptaków —
Magiczny — bezcielesny rój
Napełnia szmerem pokój twój —
I strasznie wokół ciebie pląsa
I białą twą kotarą wstrząsa,
Gdzie pod zwartemi już powieki
Twa dusza śpi — ach! śpi na wieki...
Patrz – cienie drżą jak sen cmentarza!
Nic cię to, pani, nie przeraża?
Czyś ty daleko stąd? Ach, czyż
Pojmujesz, jak i czemu śpisz?
Tyś pewnie gdzie w dalekich krajach,
Za senném morzem, w złotych rajach...
Dziwna twa bladość — dziwny strój —
Przedziwny długi warkocz twój
I wielki ten milczenia zdrój...

O, pani śpi! Obyż jéj spanie,
Co trwa, głębokie było. Panie,
Ty przyjmij ją pod swe czuwanie.
Gdy świętszém stało się to łoże,
Ściany téj izby bardziéj boże,
Spraw, Panie, niechaj śpi przez wieki
Z nierozwartemi wciąż powieki,
Śród widm schodzących z mgły dalekiéj.
Śpi droga moja. Ach, jéj spanie,
Co trwa, wieczystém niech się stanie!
Niech sen jéj zawsze będzie taki —
Niech cicho pełzną w niéj robaki!
Daleko w ciemnym, starym lesie —
Niech świat jéj grób wysoki wzniesie,
Grób, co już nieraz czarne swoje
Zamykał drzwi żelaznych dwoje,

Z tryumfem kryjąc w swe żałoby
Rodzinnych herbów jéj ozdoby.
Jaki samotny grób milczący,
W którego niegdyś drzwi niechcący
Rzucała nieraz kamień drżący.
Grób, który z czarnéj swéj czeluści
Jéj głosu nigdy nie przepuści,
Bo strach ogarnąłby dziecinę,
Że jęczą w grobach mary sine.



Mitologia ludów dzikich.

I.

Obok dzieła Tylora o cywilizacyi pierwotnej [1]), gdzie religia tylko częściowo jest rozważana, najznakomitsze dziś prace o mitologii przedstawiają książki angielskiego pisarza, Andrewa Langa, który zarówno w krótkiéj swojéj rozprawie p. t. „Mitologia" (w Encyklopedyi brytańskiéj) jak i w świéżém obszerném dziele p. t. Mity, rytuał i religia — dał najpełniejszy obraz przedmiotu.

Ostatnie zwłaszcza dzieło, jest w swoim rodzaju klasyczném. Wielka ta księga, blisko 800 stron zawierająca, obejmuje ideę religijną wszystkich niemal plemion kuli ziemskiéj, plemion żywych i umarłych: a obraz cały ułożony został w pewien system oparty na kolejném stopniowaniu kultury plemion i odpowiedniego rozwoju mitologii i religii. W ten sposób książka Langa jest nie tylko opowieścią legend różnych ludów, ale też i historyą ich ewolucyi.

Dodać należy, że Lang nie inną jak Tylor idzie drogą, opiérając swe badania na zasadzie psycho-społecznéj.

W książce swojéj zgromadził autor i usystematyzował wszystkie możliwe dane, tyczące się wierzeń ludów dzikich; zestawił je z wierze-

---

[1]) Pierwszy tom dzieła tego wyszedł właśnie po polsku w przekładzie p. Kowerskiéj.

niami Egiptu, Grecyi, Indyi—i przekonał się o tożsamości pojęć mitologicznych na całéj ziemi. Jeżeli z jednéj strony tożsamość owa stwierdza jedność rodu ludzkiego, jedność jego logiki i wyobraźni, to z drugiéj świadczy o pewnym konieczności owym charakterze tych wierzeń, koniecznym wobec danych wiadomości technicznych, danego nastroju psychicznego, danych urządzeń społecznych.

Andrew Lang — porzuciwszy stanowisko Ewhemera i ojców kościoła, którzy uważali bóstwa za niegdyś żyjących ludzi; stanowisko różnych myślicieli greckich, co uważali bóstwa już to za siły fizyczne, już to za alegorye moralne; nakoniec stanowisko filologów współczesnych, którzy w legendach widzą chorobę języka i zapomnienie znaczenia wyrazów:—Lang, porzuciwszy to wszystko, używa nowéj, w innych już dziedzinach przyjętéj, metody antropologicznéj do wyjaśnienia zagadnień mitologii.

Dane urządzenia społeczne i dane wiadomości przyrodnicze — powodują stan psychiczny, nakazujący wytworzenie mitów, choćby najosobliwszych i najdziwaczniejszych.

W mitach uderzała — i dawnych myślicieli greckich i nowszych badaczy—dzikość obrazów, barbarzyństwo pojęć, niemoralność, nagromadzenie absurdów, które nie mogły się pogodzić z ideą bóstwa, jako istoty wszechmocnéj, dobréj i opatrznéj. Znajdujemy w mitach ludożerstwo, kazirodztwo, okrucieństwo; znajdujemy rzeczy nieprzyzwoite, a czasami wprost bezsensowne i śmieszne: było więc dla starożytnych rzeczą niezbędną — zrozumiéć, dlaczego o istotach doskonałych takie haniebne opowiadają baśni. Jeden bóg jest mordercą, inny—złodziejem, inny cudzołóżcą, inny — pijanicą; inny — tém wszystkiém naraz; bogowie kłócą się ze sobą, walczą nieraz o drobiazgi; intrygują przeciw sobie, zdradzają, kłamią; dla ukrycia zbrodni zmieniają się w psy, ptaki, węże; czasami są o tyle słabi, że dostają się do niewoli albo giną z ręki ludzkiéj.

Dzikie te historye tłumaczą myśliciele już to jako wspomnienie o dawnych, krwawych bohaterach; już to jako obraz walki żywiołów; już to jako alegoryczne nauki moralne; już nakoniec jako błędy językowe, przekręcenie pojęć metafizycznych na materyalne.

Ten ostatni pogląd jest wynalazkiem filologów z Maxem Müllerem na czele; przez długi czas miał on wielką powagę i uważany był za stanowczy; nazwiska bogów greckich i indyjskich sprowadzali filolodzy do jakiegoś pierwiastku, który ostatecznie oznacza np. jutrzenkę. Tak więc powstawały krwawe historye jutrzenki, i ostatecznie stawało się niezrozumiałém, dlaczego na oznaczenie tak pięknego zjawi-

ska jak jutrzenka — poetyczni Grecy i myśliciele indyjscy stworzyli krwawe historye o ludożerstwach, kradzieżach i zabójstwach.

Lang zwalcza teoryę M. Müllera, skutkiem czego jego książka nabiéra barwy polemicznéj, a wyznać należy, że Lang umié polemizować: imponuje ogromem materyału, z którego czerpie argumenta — i posiada niezmierną siłę ironii: on to wydał bezimienną rozprawę o tém, że Max Müller nigdy nie istniał i że jest to starożytny mit słoneczny; tak więc własną metodą Müllera — uderzył go w najczulszą strunę.

Główny błąd filologów polegał na tém, że przypisywali pierwotnym ludom, Grekom, Zendom i Hindusom — idee filozoficzne, niemal Kantowskie, zapominając, że pierwotni twórcy mitów mieli całe odmienną psychikę. Przytém, obracając się wciąż w kole mitów i języków aryjskich—nie baczyli na baśni Afryki, Ameryki, Oceanii.

Mit np. o ojcu, który pożéra swe dzieci, może być przez filologów tłumaczony tak lub owak, jako wynik błędu językowego; jeżeli jednak znajdujemy tę samę historyę u Papuasów, Hotentotów i Irokezów—to niepodobna przypuścić, aby ludzie popełniali wszędzie te same błędy lingwistyczne, bez względu na język.

Tłumaczenie więc filologów jest niedostateczne. Lang znajduje sposób daleko prostszy i pewniejszy objaśnienia dzikości mitów; odpowiada on niejako na pytanie Maxa Müllera, który sam w jedném miejscu tak się wyraża: „Czy mógł być stan ducha taki, w którym wszystkie te baśni dzikie i niemoralne uważano za rzecz naturalną i możliwą? Był—odpowiada Lang—i dziś jeszcze taki stan trwa u ludów dzikich i barbarzyńskich, a poniekąd i u naszego ludu prostego.

Wszystkie ludy przeszły przez taki okres; wszystkie przeszły przez taki stan ducha, który nietylko umożliwiał, ale wprost czynił koniecznėm tłumaczenie zjawisk sposobem mitologicznym. Tłumaczenie to bynajmniéj nie ginęło; owszem tradycya je przechowywała, uświęciła, nadawała im charakter dogmatyczny: zwolna stały się one składową częścią religii. Dzikie baśni o Zeusach i Indrach — są to szczątki okresu dzikości Greków i Hindów, a które zaciężyły w epoce ich kultury, jako niepojęta zagadka.

O tych samych Zeusach i Indrach wytwarzały się jednocześnie pojęcia bardziéj oderwane, metafizyczne, czystsze, które mimo to współistniały z barbarzyńską tradycyą. W ten sposób na pojęcia o bóstwie składały się u dawnych ludów dwa pierwiastki: nielogiczny i logiczny. Pierwiastek logiczny zowie Lang inaczéj religijnym; nielogiczny—mitologicznym. W pewném znaczeniu pierwiastek logiczny—

jest humanitarny, antropomorficzny; pierwiastek nielogiczny—zwierzęcy, teriomorficzny.

W momencie trwogi, rozpaczy, żałości każdy człowiek, Papuas, Aztek czy Hindus wydaje okrzyk bezwiedny, wołający o pomoc do jakiéjś istoty niewidzialnéj, miłosiernéj i opiekuńczéj. Jest to zmysł religijny, który tkwi utajony nieświadomie w człowieku. *Exclamant vocem naturaliter christianam*—jakby powiedział Tertullian.

Ale w chwili, gdy mu się rodzą w głowie pytania: jak powstał świat? skąd się wzięło słońce? jak się narodził człowiek? dlaczego człowiek umiéra? dlaczego zwierzęta są takie a takie?—ten sam dziki wyjaśnia to sobie na zasadzie swoich szczupłych wiadomości i niezbyt bogatéj fantazyi — i wytwarza w ten sposób, mówiąc słowy Langa: „barbarzyńską wersyą metamorfoz Owidyusza.”

Istotnie cała mitologia jest to nic innego, jak historya czarów i przemian. Inaczéj to oczywiście brzmi w ustach Homera lub komentatorów Rig-Wedy, a inaczéj w ustach Papuasa lub Irokeza; w gruncie jednak jestto jedno i to samo.

Godne uwagi, że ten sposób widzenia rzeczy powtarza się wszędzie na ziemi, jako przyrodzony pogląd ludzi w pewnym okresie kultury.

Jeden z ojców kościoła, Euzebiusz, zarazem mistrz apologii, dawno już powiedział to, co dzisiaj Lang na nowo podejmuje: to téż nie pominął on Euzebiusza, którego wraz z Fontenellem, za swego poprzednika uważa.

„Ojcowie wasi — mówi Euzebiusz — byli dzicy; dzikie téż mieli bóstwa i dzikie o nich baśni prawili, a gdy nabrali ogłady, nie chcieli tych dzikich baśni porzucić, ale je zachowali jako spuściznę po ojcach.”

Podobnież się wyraża Fontenelle, porównywając legendy Greków i Czerwonoskórych.

Grecy żyli niegdyś w sposób podobny do życia dzisiejszych ludów dzikich—i podobny téż mieli pogląd na świat. System ten składają mniéj więcéj następujące pierwiastki:

Dzicy uważają wszystkie żywioły, słońce, gwiazdy, niebo, wiatr, chmury, deszcz, zwierzęta, kamienie, rośliny — za istoty ożywione, za osoby ludzkie.

Wszystkie te istoty łączy węzeł pokrewieństwa, z czego wynika możliwość przemian jednych istot na drugie. Dlatego téż dziki uważa zwierzęta za istoty sobie pokrewne, których nieraz potomkiem się uznaje. Każde plemię, każdy ród wyprowadza się od tego lub owego zwierzęcia (lub rośliny) — i uważa je za swego praojca; cześć mu od-

daje, jego znakiem (na własném ciele) się piętnuje, i na téj zasadzie mięsa jego nie jada, z osobami tegoż znaku czyli herbu się nie żeni, wreszcie zabójstwo tego zwierzęcia czy téż ludzi jego znaku mści prawem rodowéj wendetty.

Niektórzy ludzie do tyla zgłębili tajemnicę pokrewieństwa żywiołów, że mają władzę nad słońcem i chmurami i mogą formę dowolną przybierać (np. zwierzęcia) albo téż stawać się zgoła niewidzialnymi; mogą téż latać po powietrzu, deszcz sprowadzać, choroby odpędzać, łowy czarować, umiérać i zmartwychwstawać, mogą téż rozdwajać się, być naraz w kilku miejscach i w kilku postaciach; mogą przepowiadać przyszłość, ożywiać rzeczy martwe, przemieniać zwierzęta w ludzi i ludzi w zwierzęta. Są to czarownicy, i—jak zobaczymy póżniéj—bóstwo jest to dla dzikich nie więcéj jak powiększony, wyidealizowany czarownik.

W ten sposób uosobienie żywiołów (a n i m i z m), wiara w pokrewieństwo żywiołów czyli pierwotny, mglisty p a n t e i z m, urządzenie plemion na zasadzie tego pokrewieństwa, na zasadzie herbów zwanych t o t e m, wreszcie wiara w m a g i ę — oto co stanowi system myślenia u ludów dzikich.

Olbrzymi materyał etnograficzny i historyczny—rzeczy mitologii dotyczący—rozebrał Lang krytycznie i rozwinął umiejętnie, rzucając na sprawę legend niemałe światło, które—jak sam z dumą powiada—rozpalił pochodnią zdrowego rozsądku. Jest on Szkotem, potomkiem prawowitym szkoły filozofów szkockich *common sense*'u.

Zdrowy rozsądek jest zapewne dobrym przewodnikiem; jest to, jak mówi Wiktor Hugo—bóg, który jeździ na osiełku, ale osiełek miewa swoje figle i nieraz wierzga nie tak jak należy. Czy więc Lang nie zanadto mu dowierza? czy nie zbyt łacno potępia Maxa Müllera? czy nie zbyt pochopnie odmawia mu wszelkich zasług? W wykładach Maxa Müllera jest wielka perspektywa, która stanowi urok jego systemu. Tego uroku niemasz u Langa; owszem, jest pewna suchość; rzuca on czytelnikowi w oczy tysiące dzikich, niezrozumiałych nazwisk jak: Pund-jel, Qat, Qa Savara, Marawa, Manibozko, Maui, Mazikoziko, Unkulunkulu, Heitsi-Eibib, I Gaunab, Tawiskara, Ataeutsic, Qawteaht, Citlalicue, Tezcatlepoca i wiele innych, które w pierwszéj chwili wprawiają czytelnika w oszołomienie. Póżniéj się dowiadujesz, że te nazwiska—to nic innego, tylko Jowisz, Indra, Prometeusz, Herkules, Wenus, Apollo i t. d., którzy się powtarzają wszędzie w kształtach mniéj więcéj barbarzyńskich. Czytelnik w ten sposób traci poczucie odrębności tych bóstw; fizyognomia ich znika i pozostają oderwane niemal, barbarzyńskie widma istot bezimiennych.

Strona metafizyczna szwankuje téż u Langa. Podzieliwszy pierwiastki wierzeń na racyonalny i nieracyonalny, twierdzi on, że jest w człowieku bezwiedny jakiś zmysł religijny, czego wcale nie objaśnia. Również jest niejasném, dlaczego jeżeli dziki tłumaczy sobie zjawiska na zasadzie téj sumy wiadomości, jaką posiada — dlaczego ma to być nieracyonalne. Tu jest słaba strona teoryi Langa, a jakkolwiek dzielnie odpiéra on możliwe zarzuty i przewidująco broni swéj metody, to jednak tego punktu wcale nie porusza. Co prawda uważa on, że pochodzenie idei bóstwa leży po za sferą mitologii.

Chociaż Lang uchodzi za pisarza z wielkim talentem, jaki wykazał w swoich Balladach starofrancuskich, Balladach chińskich, w Helenie trojańskiéj i in. — mimo to w swéj wielkiéj mitologii nie zdołał jakoś uniknąć chaosu w wykładzie. Ponieważ rozłożył Lang swe dzieło w ten sposób, że naprzód daje mity o naturze, potém mity o człowieku, a w końcu mity o bogach — z konieczności więc powtarza wciąż te same nazwiska i te same niemal legendy. Jestto oczywiście zarzut czysto zewnętrzny: treść bowiem nic na tém nie traci—i tylko czytelnik musi do tego układu przywyknąć.

II.

Wyjaśnienie źródeł idei bóstwa nie należy podług Langa do zakresu jego przedmiotu; nigdzie téj idei nie widziano w fazie jéj kształtowania się—i prawdopodobnie nigdy tego nie zobaczymy.

Różne są pod tym względem hipotezy: najogólniejsza przypuszcza wrodzony *sensus numinis*; inni uważają za konieczność umysłu ludzkiego dostrzegać wszędzie skończoność i nieskończoność; dla niektórych idea bóstwa wynika z kultu przodków, albo jeszcze z widzeń sennych. Lang wprowadza tajemniczą cerebracyę bezwiedną, aby wytłumaczyć religijny pierwiastek mitologii.

Istnieje w człowieku współcześnie poczucie prawdy (*resp.* bóstwa) i skłonność do bajania i fantazyjnego oświetlania zjawisk. Czy idea sprawiedliwości poprzedza formowanie mitów czy też dopiéro późniéj się rodzi, o tém wiedziéć nie będziemy; w każdym razie postęp idei religijnych i mitologii jest tak odmienny — i znajdujemy narody o wysoko posuniętéj metafizyce, których rytuał i legendy pozostały w stanie pierwotnym, np. Egipcyanie lub Hindusowie.

Plutarch, rozważając mity helleńskie, dochodzi do wniosku, że Bóg jest doskonały, a bogowie, o których baśń opowiada — są to demony.

W istocie bogowie są to poprostu czarownicy, którzy mają władzę nad chmurami; zmieniają się w zwierzęta i ptaki i innych tak samo przekształcać mogą (ludzi w zwierzęta, zwierzęta w ludzi i t. d.); bywają téż widzialni lub niewidzialni, stosownie do swéj woli; umiérają i zmartwychwstają ponownie; wiedzą wszystko (albo raczéj dużo), ale są o swą wiedzę zazdrośni, jak Zeus o swój ogień; w razie gniewu zsyłają na ludzi kary i klęski, suszę, powódź, ogień, zarazę. Pod tym względem Indra czy Jowisz nie różni się niczém od pierwszéj lepszéj czarownicy lapońskiéj.

Tacy są bogowie; o samych czarownikach niżéj powiemy osobno. Godną uwagi jest powtarzająca się wszędzie walka dwu bóstw - złego i dobrego—Ormuzda i Ahrymana—jak również postać bohatéra—półboga, Herkulesa - Prometeusza, który ludziom światło przynosi.

Bohatér ten jest to przedstawiciel rasy olbrzymów, którzy poprzedzili człowieka; gra on téż często rolę biblijnego Adama — pierwszego człowieka.

Częstokroć ten Prometeusz - Herkules - Adam miesza się z bóstwem w jakąś niewyraźną jedność, a jeżeli dodamy, że pierwotny bóg najczęściéj ma postać zwierzęcia, w którém jednocześnie wciela się pochodzenie rodu — to mamy w jednéj postaci boga - zwierzę jako zwierzę totem—bohatera światłonoścę oraz pierwszego człowieka.

Bóg pierwotny jest zwierzęciem: u Bonorongów (w Australii) główny bóg jest to sokół; u Buszmenów — szarańcza, zwana *Mantis religiosa*; na zachodnim brzegu Afryki—pająk; u czerwonoskórnych — zając, wilk, pies, szczur piżmowy, kuyot—są to zazwyczaj główni bogowie. Nie inni téż byli pierwotni bogowie Indów, Egipcyan, Greków. Zwierzęce to wystawienie bogów jest w związku z systemem herbów rodowych czyli *totemów*. Jak mówiliśmy, każdy ród za przodka swego uważa jakieś zwierzę (roślinę lub żywioł): są plemiona mrówki (jak greckie Myrmidony), niedźwiedzia (jak Arkadowie), wilka (jak italscy Hirpi), lub dzięcioła (jak Picini). Baśni o przemianach Zeusa i in. bogów w byka, łabędzia, orła i t. d., od których pochodziły szlacheckie rody helleńskie Krioidów (od *Krio*-baran), Buladów (od *Bulas*, człowiek-byk), Egidów (od Egeusza-kozioł), Kynudów (od *Kyon*-pies) i in.—miały tożsamo pochodzenie. — U ludów dzikich są takie same znaki: rody wilka, psa, kuyota, żórawia, kangura, papugi, szarańczy, kraba, pająka, nietoperza, hyeny, tygrysa, kukurydzy, szmaragdu — uważają się za potomków tych istot. Są też plemiona morza, chmury, gwiazd, tęczy, skał, gór, kamieni drzew i t. d. Inkowie wybrali sobie za totem słońce.

Jeżeli kilka plemion łączy się w rzeszę—to łączą swe herby: tak np. związek Irokezów ma połączenie wilka, niedźwiedzia i żółwia; podobne znaczenie miała grecka chimera, połączenie lwa, kozła i węża.

Czy zwierzęca forma bogów pochodzi od totemu czy naodwrót — trudno dzisiaj to orzec, choć wielu uczonych skłania się do wiary w uprzedniość totemu. Człowiek pierwotny nie odróżnia siebie od zwierzęcia; uważa je za istotę sobie równą; nie poluje na nie, lecz z niém walczy; nieraz przypuszcza w niém jakąś istotę wyższą, rozumniejszą od siebie; dlatego téż często podejrzywa w zwierzęciu ukrytego człowieka, zwłaszcza czarnoksiężnika; więc może go za protoplastę ludzi uważać — i jeżeli to nie własny jego przodek — to walczy z nim jak z wrogiem; jeżeli zaś jego protoplasta, bóg i totem—to nawet mięsa jego nie jada, owszem nieraz sam mu się na żer oddaje (jak to mówi Garcilasa de la Vega o plemieniu jaguara w Peru) lub téż trupa jego pobożnie chowa (jak Samoanie grzebią sowy lub Arabowie gazelle). Zwierzęca forma bogów trwa u ludów pogańskich do ostatka: w Meksyku Hnitzilipochtli zachował na głowie ślady kolibra; w Egipcie bogowie mieli głowy zwierzęce; w Grecyi zwierzęta (sowa Minerwy, wilk Feba, paw Hery) — zeszły do roli towarzyszów bogów, choć np. Demeter czczono niekiedy z głową końską, a Cybelę — w postaci krowy.

Zwolna zatém uczłowieczały się bóstwa dzikich Pelazgów—a jednocześnie powstawały szlachetniejsze o bóstwie pojęcia; zamiast nieokréślonych istot—półstwórców, półobrabiaczy świata — zjawiają się bogowie różnych działów natury: morza, ziemi, nieba, słońca, miesiąca; rodzi się idea czystéj metafizycznj potęgi boskiéj jak np. bezimienny bóg Azteków lub Pachacamac (*spiritus mundi*)—Inków.

Ważną siłę w ewolucyi pojęcia bóstwa gra rozdwojenie, jakie się z czasem w jego postaci odbywa. Pierwotnie słońce, niebo, morze, noc, wiatr, dészcz—są to osoby kształtów mniéj więcéj ludzkich, zwolna jednak ten kształt zaczyna się rozszczepiać, z jednéj strony tworzy się np. słońce materyalne, słońce—ciało niebieskie, a z drugiéj bóg panujący na słońcu, z jednéj strony Helios, z drugiéj—Apollon, między nimi Hyperyon—półgwiazda, półduch). Podobnież niebo się rozpada na niebo widzialne (*Uranos*) i niebo osobiste (Zeus, bóg nieba).

Tak więc zwierzo-bogi i czarobogi przemieniają się w boskich ludzi, którym późniéj natchnieni kapłani, filozofowie i poeci coraz czystsze, piękniejsze i szlachetniejsze nadają formy.

Trudną byłaby niezmiernie klasyfikacya mitów co do charakteru. Interwencya bogów i duchów (czary) stanowi zewnętrzny stosunek

natury do człowieka; wewnętrznie natura sama płynie już to drogą kreacyi, już samorodztwa i przetwarzania, już nakoniec kapryśnéj ewolucyi: znaczy to, że stystemy filozoficzne dzikich w istocie swéj nie różnią się niczém od naszych.

Nie należy przytém zapominać, że ta „barbarzyńska wersya metamorfoz Owidyusza", która świadczy o ciekawości i łatwowierności ludzi pierwotnych, stanowi jednocześnie ich wiedzę, ich poezyę i ich historyę świętą, i że bądź co bądź pewien element racyonalny, filozoficzny, czasem nawet mistyczny, przebłyskuje w tych baśniach. Niestety jednak baśni te zasłaniają najczęściéj i naruszają myśl rozumną; tak np. negritowie z wysp andamańskich wierzą w bóstwo niewidzialne i wszechmocne, ale jego żoną jest zielony węgórz; wykształcony lud polinezyjski, Mangaianie, ma główne bóstwo imieniem Pierwszy początek, ale w postaci kobiéty różnobarwnéj i bardzo płodnéj.

Czarownik—pod rozmaitą nazwą—tworzy klasę kapłańską u ludów dzikich, a nawet i półcywilizowanych. Magowie perscy, kapłani chaldejscy, fakirowie indyjscy—ilościowo raczéj, niż jakościowo, różnią się od „wielkiéj medycyny" czerwonoskórych. Jak się zdaje większość czarowników zna dobrze sztuki hypnotyczne i umié wywoływać złudzenia, czém oczywiście wywiéra wpływ ogromny na wyobraźnię swego ludu. Ci, którzy byli naocznymi świadkami wywoływania duchów u czerwonoskórych lub na wyspach Tonga, twierdzą, że ceremoniał ten niczém się nie różni od praktyk naszych spirytystów. Naturalnie, wywoływacz duchów jest w stosunkach ze światem pozaziemskim: nie dziw téż, że ma wielką powagę i umié nakazać posłuszeństwo. Jeżeli przytém zna tajemnicze zioła i umié zaklinać choroby, lub naodwrót śmierć zadawać — tedy wyżéj jeszcze władzę swą podnosi.

U najdzikszych ludów czarownik jest zarazem patryarchą, wodzem, sędzią i kapłanem. Z biegiem czasu wytwarza się wszędzie zamknięta klasa wtajemniczonych, którzy się z ojca na syna uczą zaklęć, wywoływań duchów, zamawiania deszczu, odżegnywania chorób, działania ziół jadowitych i leczniczych, tajemnic hypnozy; powstają formuły zamawiania, hieratyczne, daléj hymny i opowieści, które naprzód tradycya ustna, a późniéj rysunek i pismo uwiecznia i przetwarza w niezmienną, uświęconą formę.

Czarownicy są to wielcy znawcy swego przedmiotu i natury ludzkiéj; a taką mają powagę, że misyonarzom trudno sobie z nimi poradzić. Ksiądz Moffat tak był zdumiony prawdziwością ich wróżb, zamawiań, zaklęć, że z goryczą mówi: „Ludzie ci muszą być w ścisłym

związku z samym ojcem kłamstwa.” Tak samo niejeden lekarz dziwi się sztukom znachorów.

Czarownik jest także władcą obłoków i wywoływaczem dészczu i jako taki zowie się u Zulusów „zbiéraczem chmur”, zupełnie tak samo jak grecki Zeus *nephelegereta*. Duch królujący w obłokach zowie się u nich „pasterzem niebios”, jakby w hymnach wedyjskich.

Zaznaczyliśmy już wyżéj pokrewieństwo idei boga dzikich z czarownikiem: istotnie po największéj części bóg jest to tylko zolbrzymiony czarownik, który podobnie jak on zbiéra chmury, rzuca lub odwraca klęski, posyła widma i duchy, nieraz sam się ludziom ukazuje i sam do nich przemawia, często w zmienionéj postaci zwierzęcia, ptaka, rośliny: słowem, bóg ludów dzikich jest to znachor, zbiéracz chmur, czarownik, istota zmieniająca formę, a zarazem totem plemienny, na którego cześć składają się ofiary, śpiéwają się hymny i zaklęcia magiczne, odprawiają się tańce religijne.

Taniec jest nader ważną częścią składową religii i u wielu plemion ten sam wyraz taniec (w Afryce *bina*) — oznacza zarazem wiarę w dane bóstwo (inicyacyą) i przynależność do pewnego rodu (np. tańczyć taniec antylopy, znaczy — wierzyć, że antylopa jest głównem bóstwem i antylopę miéć za totem).

Bóg dzikich często bywa stworzycielem świata, częściéj jednak tylko jego obrabiaczem i rzeźbiarzem: w ten sposób samo istnienie świata pozostaje niewyjaśnione, tylko jego układ rozważony szczegółowo.

Bóg ma za pośredników „wielkie medycyny”, a ci działają przez duchy. Duchy bywają dwojakiego rodzaju: takie, które niegdyś żyły w ludziach, duchy ojców — i takie, które nigdy z żadném ciałem nie były połączone. Różne inkantacye wywołują różne duchy, które oczywiście miéwają téż humor rozmaity; bywają już to dobre i życzliwe, już to złośliwe i szydercze, a nawet gniewne i wściekłe. Oznacza to zapewne różne stopnie opętania; opętanie jest to jedna z metod czarodziejskich; uważane wszędzie za stan nadprzyrodzony — opętanie od katalepsyi do ekstazy — stanowi środek oddziaływania na wyobraźnię masy; skutkiem częstéj uprawy nie mało sztuki aktorskiéj w sobie mieści. Wrzask, odgłos tamtamów, dym ofiarny i zapach ofiar, taniec i napoje gorące (*soma* Hindów) — wszystko to służy do ceremonii, z któréj kiedyś powstaną mysterya greckie i egipskie.

Takim jest w zarysie charakter religii i bóstw dzikich ludów. Nie mają oni właściwéj idei Boga, owéj *causa causans* ludów białych, ale mają liczman (*monnaie*) téj idei. Bóstwo ich—jak widzieliśmy— różne cechy w sobie łączy: jest to istota moralna, ale téż jest to nad-

przyrodzony czarownik, zwierzę, totem, duch pradziada, bohatér narodowy, pierwszy człowiek lub téż tytan z rasy, która poprzedziła człowieka: słowem, jest to chaos, z którego dopiéro późniéj wyłonią się oddzielne pojęcia, tak jak z tańca wydzielą się pojedyńcze sztuki, a z mitologii—wydzieli się historya święta, historya narodowa, nauka, filozofia, poezya.

Przejdziemy teraz do poszczególnych religii. Porządek, w jakim Lang rozpatrywał różne mitologie, wydaje się nam bardzo słuszny: wyraża on bowiem stopniowanie ras, kultur i religii. Porządek ten streszcza poniższy wykaz:

I. Australia. Boonooroug (z. Victoria).
II. Afryka. Buszmeni, Hotentoci, Zulu.
III. Melanezya. Papuasi.
IV. Ameryka:
a) Eskimowie, Ahtowie, Ilinkici;
b) Irokezy, Huroni, Algonkini;
c) Pueblos (Zuni, Mequi).
V. Polinezya. Samoa, Tonga, Maori.
VI. Quiche, Meksyk, Peru.
VII. Egipt, Indye, Grecya.

Jak czytelnik widzi, nie jest to obraz wszystkich plemion; autor bowiem tylko o tych mówi, o których są najdokładniejsze wiadomości i przytém najwiarogodniejsze. Osobny rozdział poświęcił Lang kwestyi sprawdzania ścisłości opisów: nie możemy jego rozumowań tu powtarzać, opiéra on się jednak głównie na porównaniu różnych opisów jednéj miejscowości przez ludzi różnego stanu (misyonarzy, kupców, żeglarzy, uczonych); szczególniéj godne uwagi są pamiętniki pisarzy, co się wychowywali śród dzikich, jak np. Hahn, który się urodził i wychował śród Hotentotów; Tanner, który dzieckiem wzięty był do niewoli przez czerwonoskórych; Maning, zwany Pakcha-Maori (t. j. europejczyk zmaorizowany), który długo żył śród nowozelandczyków; podobne znaczenie mają pisma szlachetnych metysów z Meksyku *(Ixtlixochitl)* lub Peru *(Garcilasso de la Vega)*.

Lang zatém, opiérając się na takich i tym podobnych sprawozdaniach, podaje tylko fakty o religiach dobrze poznanych, a przytém typowe, np. religia Papuasów jest typową dla wysp Salomona, Banks, Fidżi i całéj niemal Nowéj Gwinei; religia Ahtów jest typową dla wszystkich ludów czerwonoskórych Ameryki brytyjskiéj i Stanów północno-zachodnich i t. d.

W pracy niniejszéj wybierzemy tylko to, co śród rzeczy typowych jest najbardziéj typowém; przytém, zatrzymamy się na ludach dzikich, na przyszłość zachowując sobie mitologię Egiptu, Indyi i Grecyi.

III.

Australia. — Mieszkańcy Nowéj Holandyi należą do najdzikszych plemion na ziemi. Umiejętności ich są na zupełnie pierwotnym szczeblu; nie przestąpili jeszcze wieku kamiennego, i jedynie z kamienia, drzewa i kości — wyrabiają swe narzędzia. By najmniejszéj nie mają skłonności do życia osiadłego i nie znają wcale rolnictwa, które na morzu południowém uprawiają inne ludy. Koczują oni bezustannie po obszernych stepach lądu australskiego, poszukując wody, zwierząt i roślin — w tych krainach bezwodnych i pustynnych. Nie budują téż domów, tylko chwilowe szałasy, właściwie osłony, z gałęzi bylejako splecione. Nie mają téż pojęcia o garncarstwie i żadnych zwierząt domowych nie oswoili. Żywiąc się nędznie, są bardzo słabi i wychudli; barwę skóry mają ciemno-brunatną lub czekoladową, odznaczają się silnym prognatyzmem, jak murzyni, ale włos mają gładki i twarz zarośniętą bogato. W swém życiu koczowniczém nie znają prawa własności, dlatego porywanie bydła eropejczyków jest dla nich rzeczą zupełnie naturalną. Natomiast wszystko jest u nich wspólne — i pewien podróżny, który dał dzikiemu spodnie, ze zdziwieniem widział, że co jakiś czas inny się w nie przystraja: spodnie stały się własnością całéj hordy.

Urządzenie ich — jest to rodzaj demokracyi wojskowéj, na czele któréj stoją starcy i czarownicy (*biraark*). Ich zawikłane obyczaje i prawa, te zwłaszcza, które się odnoszą do małżeństwa, świadczą o wielkiéj dawności ich kultury, jakkolwiek niską jest ona. Ich koncepcya świata—jest to wiara w powszechne pokrewieństwo, równość i przemiany istot. Boonooroug — plemię z ziemi Victoria badał Scott Lang, Grey oraz Fison i Howit (w dziele *Kamilaroi and Kurnai*) i in. Istnieje u nich rodzaj bóstwa, istota nie tyle najwyższa, ile wyższa — imieniem Pund-jel lub Bund-jel. Podług niektórych on to stworzył wszystkie rzeczy; po większéj części jednak wierzą, że raczéj rzeczy same przez się wyrosły z ziemi jak rośliny — niżeli były stworzone.

Jest to pierwotna forma ewolucyi. Pund-jel jest w pewnym stopniu budowniczym świata, ale w rzeczy saméj jest to przedstawiciel rasy pierwotnéj olbrzymów, obdarzony wielką potęgą czarodziejską.

Pund-jel też nauczył czarnych wszelkich umiejętności, jako to: łowiectwa, wyszukiwania roślin, krzesania ognia, robienia broni z eukalyptusów, twardych jak żelazo.

Pund-jel ma żonę, „któréj twarzy nigdy nie widział": legenda ta przypomina myt grecki o Amorze i Psysze, co może być aluzyą do jakiegoś dawnego zwyczaju.

Imię Pund-jel znaczy orzeł-sokół, który stanowi bardzo ważny totem (*kobong*) w różnych hordach.

Pund-jel jest to po prostu ptak nadprzyrodzony, obdarzony własnościami człowieka i czarodzieja. Jak u Arystofanesa, tak u Australczyków ptaki są starsze od bogów, a jeszcze starsze od ludzi. Ptaki te „miały więcéj rozumu niż czarni, i do wszystkich sztuk były daleko sprawniejsze."

Takim ptakiem był niegdyś Pund-jel i jako taki ptak wieszczy panował on światu; jest to więc rodzaj demiurga, ale też, moralnie biorąc, istota, która karze zło i dobro nagradza; często posyła on na ziemię swych synów, aby zniszczyć złych ludzi, którzy jedli i zabijali czarnych.

Wiara w Pund-jela istnieje prawie na całym lądzie Australii, ale nie wszędzie; na północy lądu stworzycielem świata jest Nooralie, t. j. bardzo-bardzo stary lub Nurumbung-utias — stare duchy. Mają one formę wron albo orłów; są to zresztą dla wielu członkowie rodziny Pund-jela.

Wrona i orzeł—są to dwaj wrogowie, Ormuzd i Ahryman australski; dualizm, który napotyka się wszędzie. Skutkiem téj nieprzyjaźni orła i wrony, nastały dla świata bardzo ważne walki.

Pund-jel ma też wrogów swoich — wronę i sójkę, które mu ciągle psoty robią.

Kiedy pewnego razu Pund-jel pokłócił się z żórawiem — z powodu swéj żony — zdarzyło się, że sójka (Eol australski, władca wiatrów), wywołała straszny huragan, który porwał Pund-jela wraz z całą rodziną do nieba, gdzie téż odtąd przebywa. Aby więc świat ukarać, postanowił Pund-jel zalać ziemię potopem, co uskutecznił tak właśnie, jak Guliwer gasił pożar u Liliputów. Dwie istoty uniknęły tego potopu, schroniwszy się na wysokie drzewo — i od nich dzisiejsza rasa ludzka pochodzi. Rasa pierwotna, zwana dziś starzy lub stare duchy — są to zapewne poprostu duchy przodków; niektórzy z nich dziś jeszcze żyją w postaci gwiazd i innych ciał niebieskich.

Wyraz Pund-jel używa się też w znaczeniu starszy, a także stanowi tytuł honorowy, jakby Wielmożny Pan; pomimo różnych wy-

jaśnień, zdaje się pewném, że znaczenie pan wynikło z boskiéj treści imienia ptaka.

Pund-jel jest to ostatecznie ptak, człowiek i bóg, któremu się pewien rząd dusz przypisuje; zachowanie się jego zresztą jest stosunkowo bardzo przyzwoite i żadnych baśni zbrodniczych, jak o Jowiszu lub Indrze, nie mówią o nim.

Pund-jel jednak jest to bóstwo dziksze niż Pirmenheal, który ma kult w zachodniéj Wiktoryi. Jest to olbrzym bardzo życzliwy i dobry, który mieszka w obłokach i nieraz do ludzi przemawia głosem piorunu. Misyonarze rozwijają pojęcie o Pirmenhealu, chcąc go utożsamić z Bogiem chrześciańskim.

Australczycy posiadają téż wiele legend o dyabłach i złych duchach, ale główną rolę grają u nich ptaki i zwierzęta. Rzecz godna uwagi, że w Australii, jak w Ameryce, u Kamczadalów, Ainów, Finnów i Skandynawów istnieje wielka cześć dla niedźwiedzia i wiara w jego pewną nieśmiertelność. U ludów sąsiadujących z ziemią Zachodnią Wiktorya — Pirmenheal zowie się Wielki mistrz (*Baiamé*) [1], który stworzył ziemię i człowieka, zsyła dészcz, przyjmuje zmarłych do raju, leżącego na drodze mlecznéj — i karze grzeszników.

Widzimy w Australii jednoczesną wiarę w istotę, która działa ku dobru i zarazem baśni o ptakach i dziwach.

Chociaż w Australii istnieją misterya, tylko dla wtajemniczonego dostępne, to jednak dużo jest legend ludowych o stworzeniu świata, człowieka, o różnych zjawiskach nieba i ziemi. Należy jednak w tych legendach odróżniać element lokalny od tego, co wprowadzili misyonarze. Tak w niektórych miejscach misyonarze z miejscowych bóstw zrobili trójcę, aby tém łatwiéj dzikich nawrócić; gdzieindziéj bóg Nurumdere, „który stworzył wszystko" — może robić wrażenie boga stworzyciela, chociaż w istocie jest to zidealizowany czarownik. Podobnież Pund-jel nie jest stworzycielem, ale budowniczym świata: on gotowy materyał obrobił. Istnienie ziemi jest z góry przyjęte i niewyjaśnione: Pund-jel ostrym nożem wyrył na niéj góry, doliny, rzeki.

Mieszkańcy Melbourne'u uważają, że Pund-jel ulepił ludzi z gliny, tak jak to uczynił Prometeusz. Zrobił im włosy z kory drzewnéj, tańczył naokoło nich, dmuchnął im w nos, usta i pępek, znów zatańczył — i wtedy glina wstała, jako żywy człowiek. Oprócz tego jednak są i inne podania: jedni, jak we Frygii starożytnéj — mówią, że ludzie wyrośli pod działaniem słońca, jak drzewa; inni, że pierwszy człowiek

---

[1]) Wrogiem jego jest Darargiwal.

powstał z żywicy akacyi, wszedł w łono kobiéty (chociaż był pierwszym człowiekiem) i z niéj się urodził.

Ale lud Diyerie mówi, że dobry duch Moora-moora stworzył jaszczurki, z których powoli, zmieniając kończyny, postawę, twarz — powstali ludzie: jest to australska teorya Darwina.

Dodać należy, że w niektórych podaniach Pund-jel nie jest ani stwórcą, ani ptakiem — jest to starzec, mieszkający u źródeł rzeki Yarra, gdzie posiada wielką ilość bydła, którego jest rozdawcą: legenda ta wytworzyła się oczywiście z widoku stad bydła i owiec, które pasą europejczycy.

Ludność czarna Australii posiada wiele baśni zwierzęcych, które wyjaśniają, dlaczego żóraw ma cienkie nogi, raszka—czerwoną szyję, pelikan — białe i czarne pióra. Opowiadają téż, jak żaba połknęła wszystką wodę ziemi, jak późniéj pękła i z tego powstał potop: jest to drugie podanie o potopie, a przypomina ona myt hinduski o smoku Vrittra, który téż połknął wody świata. Mają nakoniec liczne baśni o słońcu, księżycu i gwiazdach.

Słońce było niegdyś człowiekiem, którego zabiły żony jednego ze złych duchów--Nurumbung utias.

Podług innych podań, słońce i księżyc są to kobiéty złego życia; słońce ma u zmarłych kochanka, który mu ofiarował skórę czerwonego kangura, tą się przystraja co rano ta „różana Eos" australska.

Niegdyś słońce wcale nie zachodziło: był ciągły dzień i czarni byli zmęczeni: więc N o o r a l i e postanowił, że będzie ono znikać od czasu do czasu; taką więc zaśpiéwał inkantacyą: „Słońce, słońce! pal swe drzewo, pal swą materyę i schodź!"—Odtąd słońce pali swe drzewo w ciągu dnia i na noc zachodzi po nowy zapas.

Nooralie działa tu jako czarownik; Pund-jel jest również magiem, a zarazem jest to zwierzę-totem. Od początku świata rozdzielił on czarnych rzeką Murray na plemiona orła i wrony.

Godne uwagi, że Australczycy nietylko swoje plemiona dzielą totemicznie, ale i całą hordę uważają za hordę, w któréj wszystko się zowié już to k u m i t, już to k r o k i. Ludzie działu k u m i t, totemu orła, uważają się np. za krewnych słońca, wiatru, kanguru, lata, drzewa shevak; ludzie działu k r o k i, herbu wrony — są braćmi dészczu, piorunu, dymu, kakadu i zimy. Podział ten dotąd jeszcze nie został dokładnie zbadany i zrozumiany [1]).

---

[1]) Taplin, „Native races of South Australia".– Brough Smyth, „Aborigenes of Victoria". – Dzieło „Kamilaroi and Kurnai".

IV.

A f r y k a. — Buszmeni, przez Hotentotów zwani San, są dziś narodem nie wiele wyżéj w kulturze posuniętym od Boonoorongów australskich. Uważani za zwyrodniałą odmianę Hotentotów, Buszmeni byli podobno niegdyś oświeceńsi, niż dzisiaj. Przebywają oni w krajach, gdzie niegdyś kwitnęły tajemnicze cywilizacye, o których świadczą gościńce i stare kopalnie Transvaalu. Mają téż tradycye, że niegdyś umieli robić rzeczy kamienne, które szły daleko za szeroką wodę.

Buszmeni zatém przedstawialiby nam okaz upadku cywilizacyi, któréj śladów nie pozostało w ich życiu. Wiodą oni żywot paryasów; pogardzani przez wszystkich, zewsząd są wypychani. Żyją z łowów i bezustannie muszą się z miejsca na miejsce przenosić; żywią się nie lepiéj od Australczyków, są téż bardzo małego wzrostu, mają cienkie ręce i nogi, a wydatne brzuchy, przytém twarz ich niezmiernie brzydka: mimo to są dosyć silni. Mają skłonności artystyczne, zwłaszcza do rysunku; skały i jaskinie ich kraju są ozdobione rysunkami treści różnéj, często mitologicznéj.

Ich mity i legendy są tegoż typu co australskie; dodać jednak należy, że ich pojęcia religijne są znacznie wyższe od mitologii; Livingstone przekonał się, że, wyjąwszy poligamię i może zabójstwo, mają oni o grzechu zupełnie toż samo co i on pojęcie; znają Boga, który słucha modłów i chroni ode złego, mają zaufanie do jakiéjś istoty niewidzialnéj a dobréj.

Mimo to przypisują swym bogom przygody niemniéj skandaliczne, jak Grecy i Hindusowie.

P. Orpen, podróżując po górach Maluti, miał sposobność zapoznać się z Buszmenem, nazwiskiem Qing, który nigdy dotąd nie miał stosunków z białymi i który mu objaśniał rysunki na skałach, oraz dał inne wiadomości o religii S a n ó w.

Stwórcą świata jest Cagn albo I Kaggen. „Cagn zrobił wszystko; modlimy się do niego. Był on z początku dobry i przyjemny, ale potém się zepsuł skutkiem walk ze światem.”

Oto modlitwa: „Cagn, Cagn! Czyż nie jesteśmy twemi dziećmi? Czy nie widzisz, żeśmy głodni? Daj nam jeść!”

Nie każdy Buszmen wié, gdzie jest Cagn, ale antylopy wiedzą o tém. Jak on przyszedł na świat, o tém wiedzą tylko kapłani. (Qing nie należał do wtajemniczonych i nie wszystkie ma wiadomości o Cagnie). Przybył może Cagn z tymi, którzy przynieśli słońce.

Cagn miał żonę Coti, która mu dała dwóch synów (Cogaz i Gewi): byli to wielcy wojownicy, którzy pierwsi zaczęli wyrabiać broń krzemienną.

Nadto Coti wydała na świat jelenia i Cagn, jak Kronos, chciał zniszczyć swego syna, niepewny jego charakteru.

Jedna z córek Cagna została małżonką węży, które też były ludźmi: jak Zeus mrówki, tak Cagn uderzał laską węże i węże te zostały ludem Cagna.

Cagn ma ząb, którego pożycza swoim wybrańcom, a w którym się ukrywa wielki czar i potęga.

Ptaki służyły mu za gońców, a sandały swoje zmieniał na psy i przy ich pomocy walczył z wrogami. Czary swoje nosił Cagn za pasem. Za pomocą tych czarów dowolnie zmieniał on formę: raz został antylopą.

Małpy, które niegdyś były ludźmi, drwiły z Cagna, śpiéwając: Cagn myśli, że jest mądry! On więc przeklął je i wygnał na pustynię. Ciernie, które téż niegdyś były ludźmi, zabiły Cagna, a potém mrówki go zjadły, ale on zmartwychwstał. Dawniéj mówiono, że po śmierci ludzie idą do Cagna, ale dziś Buszmeni nie chcą temu wierzyć.

Cagn, równie jak Pund-jel, jest to zidealizowany czarownik. Dosłownie zaś Cagn oznacza gatunek szarańczy, zwany *Mantis religiosa*. San modlą się do szarańczy, równie jak do słońca, gwiazd i księżyca. W modlitwie do księżyca mówi się, że Cagn stworzył go ze swego trzewika. Żona jego to zwierz zwany *Hyrax capensis*, a przybrana córka — jeżozwierz, córka K w a i - h e m m a t. j. tego, który wszystko pożéra. Kwai-hemm jak Kronos pożéra wszystko, a potém rzyga; i jak Zeus, tak Cagn był pożarty i wyrzygany przez Kwai-hemma; jak znowu Indra ukrył się w ciele krowy, tak się Cagn ukrył w słoniu. Zresztą, choć Cagn jest potężny, nieraz jednak był zwyciężany np. przez wiwerę zywetę. Modlą się téż Buszmeni o dészcz—do kameleona.

Wogóle wszystkie bóstwa Buszmenów są to zwierzęta rozmaitego rodzaju, najczęściéj zarazem totemy.

Buszmeni wierzą, że zwierzęta w pewnych warunkach mogą mówić, np. lwy mogą mówić, włożywszy ogon swój do paszczy. A przytém „wszystko, co należy do *Mantis*, może mówić", a większa część rzeczy należy do niéj.

Prócz jednéj staréj kobiéty, nie masz prawie w mitologii Buszmenów ludzkiéj postaci, tylko same zwierzęta: szarańcza, hyrax, jeżozwierz, słoń, kameleon. Natomiast niektóre zwierzęta i rośliny, jak małpy i ciernie powstały z ludzi; ludzie natomiast powstali z węży.

Również ludźmi były niegdyś słońce i księżyc, choć jest też legenda, że Cagn zrobił księżyc ze swego trzewika, a słońce przynieśli olbrzymowie.

Inny jeszcze szereg mitów mają Buszmeni. Wielki duch Morimo, którego nazwa zdaje się pochodzić od Molimo — duchy ojców, wyszedł z wielkiéj jaskini w kraju Bakonów (wraz z ludźmi i zwierzętami) i ślady ich stóp na tém miejscu do dziś jeszcze podobno są widoczne [1]).

Ovahereros, najbliższi sąsiedzi Buszmenów, nie wiele wyżéj posunęli się w cywilizacyi, ale mają liczne stada wołów i owiec. Naród ten żadnym wpływom chrystyanizmu dotąd nie ulegał i ma swoją mitologię, która częściowo przypomina skandynawską. Było niegdyś wielkie drzewo, Omumbo-rombonga, niby północny Ygdrasil, z którego się narodził pierwszy człowiek, pierwsza kobiéta i pierwsza krowa, owce i kozy wyszły ze skały, a małpy—powstały z ludzi przeklętych. Bogowie (*ovakuru*), starzy w niebie nadali Ovasom kolor czarny dla tego, że kiedy ich przodkowie zabili raz wołu, jedna z kobiét zabrała czarną wątrobę ofiary. Był także potop i wielu ludzi zginęło, ale bogowie dészcz powstrzymali, jak w Salapatha brahmana zatrzymali słońce. Odtąd corocznie Ovahereros składają na ofiarę dla zaspokojenia duchów czarną owcę—jak to czynił Odysseusz. Niektórzy wierzą, że świat stworzył Kalunga, który wyszedł z głębi ziemi i zrobił trzy pierwsze owce.

Hotentoci (Khoi-khoi albo kua-kua) jest to lud wyżéj posunięty od Buszmenów; pasterski, półosiadły, znający garncarstwo i obrabianie metali. I oni téż, jak Buszmeni, stali niegdyś na wyższym szczeblu: podług podań własnych, również jak i hypotez uczonych, są oni potomkami emigrantów już to z dolnego Egiptu, już to z Abisynii—chociaż i u nich śladów tego pochodzenia nie masz.

Skutkiem wpływu misyonarzy znajdujemy u nich szczególną mieszaninę pojęć chrześciańskich i pogańskich, i dlatego należy bardzo ostrożnie przyjmować ich opowieści. Najlepsze wiadomości o religii Hotentotów wydał Anglik Hahn, urodzony i wychowany śród ludu kua-kua, wykształciwszy się późniéj, przyjął on system M. Müllera, ale pomimo błędne tłómaczenie rzeczy, daje on dokładny obraz legend ich, oraz ich sąsiadów Nama-kua.

Główny bóg Hotentotów zowie się Tsuni-Goam (lub Tsui-Goab). Jest to podług wiary powszechnéj zmarły czarownik, który późniéj do

[1]) Bleek, „A brief account of bushman mythology."

godności bóstwa został podniesiony. Jest to właściwie pierwszy człowiek ludu Kua-kua, od którego pochodzą wszyscy Hotentoci.

Jest on w wiecznéj walce z drugim bogiem — ze swym Ahrymanem — Gaunab. Z pewnych legend widać, że Tsuni-Goam mieszka w niebie jasném, Gaunab w niebie ciemném.

Religia Kua-kua w niektórych okolicach miesza się z religią Nama-kua i bóg tychże Heitsi-Eibib często bywa łączony z bóstwem Tsuni-Goam.

Heitsi-Eibib, jak Indra urodził się w łonie krowy lub podług innych podań przyszedł na świat z dziewicy (czy nie wpływ chrześciański?), która zjadła jakąś trawę cudowną. Po śmierci kości jego rozpadły się w różne końce świata i stąd grób jego, jak grób Ozyrysa, jest w różnych miejscowościach: pobożni do tych grobów pielgrzymują.

Heitsi-Eibib jest w ciągłym związku ze światem zwierzęcym; różnym istotom za pomocą zaklęć nadał ich charakter (jak wężowi biblijnemu). On téż posyła dészcz. Aby go zakląć, pluje się na jego fetysz; potém — jak w misteryach dyonizyjskich — mażą go czerwoną gliną.

U ludów Kua i Nama znajdujemy też *Mantis religiosa*, a godném jest uwagi, że nosi ona tu tęż samą nazwę, co bóg nie-dobry, wróg Tsuni-Goama: oznaczałoby to pewien antagonizm plemienny ludów San i Kua, co zresztą nie narusza powagi kultu szarańczy. Jest téż cześć Morimo. Po za tém Hotentoci czczą głównie kupy kamieni, w których żyją zaklęte duchy i pod któremi spoczywa zły Gaunab. Istnieje nadto podnioślejszy kult światła zorzy.

Hahn, metodą M. Müllera, starał się wykazać, że Tsuni-Goam znaczy Jutrzenka różowa; w istocie jednak wyraz ten oznacza zranione kolano, t. j. że zmarły bohatér był ranny w kolano, kiedy walczył ze swym wrogiem. Ostatecznie cześć duchów streszcza wiarę Hotentotów. Nie bogata, jak widzimy, jest ich mitologia: świat zwierzęcy reprezentowany w niéj mało, owszem, więcéj tu postaci ludzkich. Bogowie ich, jak Tsuni-Goab, Heitsi-Eibib, Gaunab — to zmarli czarnoksiężnicy, o których się mówi, że robili cuda, że znali różne tajniki i że umiérali i zmartwychwstawali powielekroć. Hotentoci w ten sposób świadomie sprowadzili swoją mitologię do ewhemeryzmu [1]).

Zulu wierzą tylko w magię i w duchy; co się tyczy ich bóstw, są to *dei otiosi* Epikura. Duchy przodków ukazują się im w postaci wężów.

---

[1]) Hahn, „Tsuni Goam“.

Są oni mało religijni, owszem, do sceptycyzmu skłonni; misyonarze nie mogą sobie poradzić z ich wątpliwościami, a pod wpływem białych zaczynają oni tracić wiarę i we własne tradycye.

Jest to naród pasterski, ale nie koczowniczy; posiada znaczne kraale czyli miasta, prowadzi handel; do niedawna miał téż rząd i armię na sposób staro-germański zorganizowaną. Nie mają kapłanów, ale ofiarnicy, czarodzieje, wróżbici, obdarzeni są władzą nadprzyrodzoną.

Główną postacią mitologii Zulu jest Unkulunkulu, naraz bóg i bohatér, budowniczy świata i pierwszy człowiek, który świat złożył czy zmajstrował i który ludziom dał umiejętności i prawa. Zdaje się jednak, że Zulu nie oddaje mu czci jako bogu, a jeżeli zowią go panem, te w tém samém znaczeniu, jak tytułują panem lwa i węża. W każdym razie wiadomo, że Unkulunkulu żył niezmiernie dawno i bardzo dawno umarł; zatém nie ma po co modlić się do niego. Kiedy misyonarze chcieli pod nazwą Unkulunkulu podłożyć pojęcie Boga chrześciańskiego, mówiąc, że jest to nowy król nieba, Zulu im odpowiadali, że to być nie może, bo Unkulunkulu dawno umarł. Jest to więc Jowisz próżnujący.

Unkulunkulu jest praojcem Zulów, ale każdy ród ma swego Unkulunkulu, to téż każdy oddaje cześć swemu protoplaście.

Zulu mają zdaje się mało gustu do mitolologii, natomiast wiele bardzo klechd, baśni, które pod wielu względami przypominają nasze klechdy.

Mają oni jednak powieści o początku rzeczy i o stworzeniu człowieka.

Ludzie wyszli z pewnego oczeretu zwanego Uthlanga, którego miejsce jednak nie jest znane, pomimo wiary powszechnéj, że sitowie dotąd istnieje.

Legenda ta nie przeszkadza istnieniu innych o tym samym przedmiocie i tak podług jednych krowa olbrzymia wyrzygnęła ludzi; inni znów mówią, że Unkulunkulu (jak Deukalion) zrobił ich z kamieni; jest nakoniec wersya w stylu amerykańskim o pochodzeniu ludzi z nory podziemnéj: każde plemię wyszło osobno ze swoim Unkulunkulu na czele.

Główny Unkulunkulu zmarł oddawna, a ponieważ nikt już jego nazwiska nie nosi, więc téż nikt mu czci nie oddaje. Unkulunkulu nadał zwierzętom imiona i oddał je swym dzieciom.

Lew i wąż mają kult osobny, gdyż w nich wcielają się duchy. Ważną téż postacią mitologii Zulów jest wielki ptak piorunowy, który się czasami ludziom pokazuje i może nawet być przez nich za-

bity; dziób, nogi i ogon jego są czerwone jak płomień. Tłuszczem jego smarują czarownicy ciało swoje, oraz laski magiczne [1]).

Na zachodnim brzegu Afryki panującém bóstwem jest Ananzi czyli pająk, grający rolę *Mantis* Buszmenów.

V.

Melanezya. — Czarne plemiona wysp Fidżi, Nowych Hebrydów, Salomona, Banks Nowéj Gwinei i wielu innych grup Melanezyi— są znacznie inteligentniejsze od mieszkańców Nowéj Holandyi: posiadają one pewną cywilizacyę samorodną, w niektórych miejscach budują domy nawodne, prowadzą dość rozległy handel, znają rachunek dosyć wysoki, mają zdolności do rzeźby i swoją narodową sztukę. Społeczeństwo ich urządzone na zasadzie wspólnoty, rodzina idzie w linii macierzystéj, a plemieniem rządzi zazwyczaj mistyczny związek kapłański, oparty na ścisłéj hierarchii i stopniowaniu wtajemniczeń; hierarchia ta określa stanowisko każdego członka gromady.

Mieszkańcy tych wysp noszą od Malajczyków nadaną sobie nazwę Papua, t. j. kędzierzawi. Są oni silni i dobrze zbudowani, a ponieważ nie są zmuszeni jak Australczycy z trudem szukać pożywienia, żywią się zatém dobrze, mają temperament żywy i wesoły, lubują się w kolorach jaskrawych, ozdobach i piórach.

Religie ich badał Anglik sir Codrington, szczególniéj zaś plemiona wysp Salomona i Banks, które zresztą spokrewnione są z legendami innych plemion.

Papua wierzą w istnienie dwojakich duchów: Tamate czyli duchów umarłych i Vui, duchów, które nigdy nie były połączone z ciałem ludzkiém. Vui bywają bezcielesne i cielesne, ale ciało ich nie jest ciałem ludzkiém, tylko natury specyalnéj. Vui cielesne są najbardziéj zbliżone do pojęcia bóstwa. Z pośród nich najważniejsze są: I Qat, jego jedenastu braci oraz ich przyjaciel Marawa. Ci Vui należeli do dawnéj rasy olbrzymów, którzy poprzedzili plemię ludzkie i mieszkali w Vanua-Levu (jedna z wysp Fidżi; może to być pamiątka wędrówki tego ludu). Choć są niewidzialni, ludzie zwracają się do nich z modłami, które przypominają błagania i litanie greckie i indyjskie.

— „Qat! Marawa! zwróć ku mnie swe oczy i wygładź morze abym mógł po niém płynąć spokojnie... Spłaszcz na méj drodze bał-

---

[1]) Callaway, „The religious system of the Amazulu.

wany! Niechaj wicher zamilknie i pójdzie w dal odemnie. Spraw, niech się morze uciszy, niech wzburzone fale pójdą w dal odemnie. Spraw, niech dopłynę bezpiecznie do jakiéj spokojnéj przystani!"

Niemal dosłownie tak samo zaklina Odysseusz Poseidona (Ks. V).

Qat bardzo przypomina człowieka i gdyby nie jego potęga nadprzyrodzona, oraz rola jego jako stworzyciela, byłby to raczéj bohatér, Herakles czy Prometeusz, niźli bóg rzeczywisty.

Jego matka była kamieniem, jak Niobe, miał on jedenastu braci, między którymi Tongaro mądry i Tongaro głupi (Lolokong). Ów Tongaro głupi przez głupotę raczéj, niż złośliwość psuje dobro, jakie tworzy Qat. Pewien zły duch zabił wszystkich braci Qata i pożarł ich; ale Qat wroga zabił i wyciągnął ich z jego brzucha, tak jak się to stało z dziećmi Kronosa (lub z koźlętami w bajce o wilku i kozie). Qat nauczył ludzi wszystkich sztuk, ale przedtém jeszcze nie mało dobrego światu poczynił—i tak on to sprowadza jutrzenkę, bo dawniéj słońce wcale nie zachodziło (przypominamy mit australski) i ludzie męczyli się ciągłém światłem; więc Qat kupił materyę ciemności Qonga t. j. nocy, i odtąd kolejno dzień i noc panuje. Jutrzenkę stworzył Qat, rozciąwszy ciemność nożem z czerwonego obsydyanu.

Prócz brata Lolokonga, który mu psoci z głupoty, miał Qat swego złośliwego Ahrymana, imieniem Qasavara: po długich walkach Qat zwyciężył Qasavarę i zamienił go w kamień. Ma on natomiast przyjaciela imieniem Marawa. Jest to pająk lub téż duch w postaci pająka, który gra taką rolę w jego dziejach, jak mrówki i pszczoły w baśniach o zaklętym królewiczu. Marawa za Qata w jedną noc ciosa łódkę, sadzi lasy, osusza rzeki, napełnia wodą pustynie.

Qat znika tajemniczo ze świata: grób jego ani miejsce pobytu nikomu nie są znane. Bezładne przygody kilku istot nadludzkich i jednego pająka — do tego właściwie sprowadza się cała mitologia Papuasów.

Téż same legendy spotykamy na Nowych Hebrydach. Tagar gra tu rolę Qata, a Luke jest Qasavarą. Na wyspach Fidżi religia się zaćmiła ludożerstwem. Istnieje pewne rasowe pokrewieństwo między Papuasami a plemieniem negritów z wysp Andamańskich, które zresztą liczą się do Azyi.

Co do kultury nie stoją oni wyżéj od Papuasów: są dzicy, ale pojęcia religijne mają dość wysokie, zresztą przemieszane z nielogicznemi baśniami. Wpływ budyzmu, islamu, wreszcie chrześciaństwa jest u nich widoczny. Władcą i stwórcą świata jest u nich Istota niewidzialna, zwana sędzią (Puluga).

Godne uwagi, że to bóstwo metafizyczne ma żonę w postaci zielonego węgorza i kamienny dom w niebie. Baśń zresztą o miłości Pulugi z węgorzem nie jest wcale dziwniejsza od romansów Jowisza z mrówką lub kukułką.

Syn Pulugi i węgorza jest archaniołem i służy sędziemu za gońca do aniołów, którzy znów ludziom noszą rozkazy boskie. Pochodzenie zwierząt wyjaśnia się potopem, aby uniknąć zagłady, ludzie się poprzemieniali w zwierzęta.

VI.

A m e r y k a. — Lądy obu Ameryk zamieszkują różne plemiona barwy miedzianéj w różnych odcieniach, podług ogólnie dziś przyjętéj zasady, spokrewnione z rasą mongolską; na północy, u Eskimów, Aleutów, Koniagów, Tlinkitów — występuje to widoczniéj: to téż plemiona te nie noszą nazwy czerwonoskórych, którą oznaczono ludy Stanów Zjednoczonych, Ameryki brytyjskiéj, środkowéj i południowéj, wreszcie wysp Antylskich i Ziemi Ognistéj. Te ostatnie ludy, pomimo różnic języka i kultury, bliskie są sobie barwą skóry, wyrazem twarzy, charakterem włosów i oczu.

Co do kultury znowu, to znajdujemy mieszkańców Ziemi Ognistéj, którzy dotąd nie wyszli z okresu k j ö k k e n m ö d d i n g ó w, Diggertów i Ahtów, stojących na równi z Australczykami, Irokezów, którzy znacznie przewyższają Papuasów i myśliwskie komunistyczne ludy Pueblos, które stworzyły religię pełną mistycyzmu; daléj półbarbarzyńskie plemiona Natchezów i Quiché; wreszcie cywilizowane państwa Meksyku i Peru.

Dodać należy, że i tu — jak u Buszmenów — widzimy zjawiska upadku kultury, czego ślady widzimy w tajemniczych ruinach Nowego Meksyku i Aryzony.

Ogólny typ wierzeń czerwonoskórych niewiele się różni od poznanych dotychczas. Wiara w czarnoksięstwo, bojaźń duchów, kult zwierząt i wiara w zwierzęta pokrewne, opiekuńcze, służące za protoplastów, ubóstwienie przedmiotów martwych, cześć dla ciał niebieskich uważanych za osoby ludzkie — oto główne punkta tego katechizmu. Mity teryomorficzne, epos zwierzęce niezmiernie bogate i urozmaicone, stanowi zewnętrzną, legendową stronę téj religii.

Z innego stanowiska patrząc, widzimy tu długą ewolucyę w poszukiwaniu idei bóstwa i pierwotny ów monoteizm pogański, który Max Müller zowie henoteizmem. Zwierzę opiekuńcze staje się zwolna

duchem opiekuńczym i wielkim duchem — Manitoo, którego czerwonoskórzy wzywają w chwilach rozpaczy. Sentyment religijny z konieczności jest jednobożny: tak się wytwarza teizm nieświadomy, a śród medycyn-czarowników, powstają bardziéj metafizyczne pojęcia. Czarownik u wielu plemion zowie się wakan, to znaczy ten, który widzi boga we śnie; stąd wakanizować się, znaczy wchodzić w stosunek z bogiem, odbiérać od boga objawienie.

Należy jednak zaznaczyć, że znany z powieści Mayne-Ride'a i Coopera wielki duch jest pożyczony od chrześcian; czerwonoskórzy sami dochodzą do innych pojęć, ale dziś wpływ europejski jest nieunikniony. Każde plemię ma swoje bóstwo, zamieszkałe już to w wodzie, niebie, wiatrach i t. d. Kapłani i nawet ludzie zwyczajni za pomocą postów i umartwień dochodzą do objawień. W każdém téż plemieniu był prorok w rodzaju Hiawaty, znanego z poematu Longfellowa.

Przejdźmy teraz do plemion poszczególnych, które będziemy opisywać stosownie do stopnia kultury.

Na dwóch krańcach obu lądów Ameryki znajdujemy dwa ludy, nie mające żadnego ze sobą pokrewieństwa, lecz bardzo podobne urządzenia społeczne. Fuegianie, równie jak Eskimowie, nie znają zupełnie władzy ani własności: ale jest u nich pewna hierarchia, oparta na magii, wiara w duchy i zwierzęta opiekuńcze.

Eskimowie mają system dualistyczny w religii. Bóg dobry, zwany Torngarsuk w rozmaitéj postaci bywa wyobrażany: już to wcale nie ma kształtu, już to kryje się w formie niedźwiedzia; czasami jest to człowiek olbrzymi, a czasami karzeł, w rodzaju Tomcia-Palucha: ściśle biorąc jest on tém wszystkiém jednocześnie, ma cechy wszystkich postaci duchów, jakie w naszych bajkach się napotyka.

Dobry bóg jest nieśmiertelny. Zły bóg, nieprzyjaciel dobrego— jest to istota bezimienna, własna żona Torngarsuka, mieszkająca w morzu, pod strażą psa, który jéj na zło nie pozwala. Torngarsuk nie jest stworzycielem świata, ale bardzo blisko stoi pojęcia Boga. Zresztą Eskimowie mało się zajmowali pytaniami, skąd pochodzi świat i rzeczy na nim. Za to mają oni obszerną demonologię, całe legiony złych i dobrych duchów pod wodzą starszego dyabła, w rodzaju Plutona. Są duchy (Torngak) wiatrów, morza, ognia, chmur; często przyjmują one formę. Duchy dzieci poronionych, ludzi opętanych i wielkich zbrodniarzy wracają na świat jako widma i upiory. Czasami znow duchy dobre ukazują się na świecie: jest naprzykład legenda o umarłéj matce, która swoją sierotkę co noc odwiedzała.

Eskimowie mają dużo powieści, przypominających zwłaszcza klechdy skandynawskie. Mają też ciekawe bajki o słońcu, księżycu i zaćmieniach. Czarownicy (angakut) posiedli wielką władzę nad wszystkiemi duchami.

Ahtowie, mieszkańcy wyspy Vancouver, mają znacznie bogatszą mitologię. Nie znają Istoty najwyższéj, ale znają wyższą, imieniem Quawteaht, który jak Ozyrys odbiéra cześć we wszystkich klanach. Quawteaht jest to władca krainy duchów, który świat ułożył i uporządkował, jest to naraz Jowisz i Prometeusz i Adam—naraz bóg, tytan-bohatér i pierwszy człowiek. Jest to bóg dobry, ale, gdy się gniéwa, gnębi świat klęskami. Zło jednak po większéj części pochodzi od Tutu-tscha (Plutona): jest to długa postać ludzka, bez kości, z ogromną brodą. Quawteath prowadzi wiekuistą walkę z Tututschem, który w końcu zwyciężył w postaci wieloryba. Sprawę pochodzenia świata dość niewyraźnie tłómaczą sobie Ahtowie. Quawteaht nie stworzył księżyca i słońca, tylko ziemię, zwierzęta i ptaki. Pewnego razu morzem na łodzi przybyli z niewiadomego kraju dwaj Indyanie: ptaki i zwierzęta zaczęły uciekać i przemieniły się w ludzi. Ogień przyniosła ludziom Sepia.

Tlinkici — bardziéj na północ mieszkający — czczą bóstwo, imieniem Yehl. Równie, jak bóg Ahtów, jest on naraz Zeusem i Prometeuszem. Urodził się cudownie, jak Heitsi-Eibib bez udziału mężczyzny i matka jego płakała po stracie synów, gdy delfin czy wieloryb kazał jéj wypić nieco wody słonéj, a po 9-ciu miesiącach urodził się Yehl.

Yehl w młodości swéj zabił żórawia, którego skórę zdjął i latał na jego skrzydłach. Najczęściéj jednak ukazuje się Yehl w postaci kruka. Za jego młodości był na ziemi potop, spowodowany klątwą jego stryja; Yehl, przyczepiwszy się do chmury, uszedł od potopu. On to przyniósł ludziom światło: ciała niebieskie były niegdyś zamknięte w skrzyni, którą Yehl porwał, otworzył i gwiazdy rozsypał po niebie. On też porwał z nieba ogień i rzucił go w drzewa i krzemienie, skąd go dziś można wydobyć. Woda też była niegdyś w niewoli pewnego ducha, nazw. Kanukh, wroga Yehla, a razem protoplasty rodu wilków. Kruk i wilk Tlinkitów—to orzeł i wrona Bonorongów. Kruk walczył z wilkiem: zanim świat zajął przestrzeń — ja byłem już! mówił Yehl. Ostatecznie Yehl porwał studnię Kanukha i dał ludziom wodę.

Diggerowie należą do najdzikszych plemion barwy miedzianéj. Wierzą oni, że świat stworzył wielki kujot (wilk stepowy); po śmierci jednego z nich ciało jego napełniło się różnym tworem. Były

téż ogoniaste istoty podobne do jaszczurek, lecz trzymające się prosto; zwolna zaczęły one tracić ogon i przyjmować formę ludzką. Nawiasowo mówiąc, Diggerowie opłakują wielce stratę ogona, który bądź jak bądź stanowi piękną ozdobę. Przy téj teoryi i ewolucyi, tylko stare baby wierzą w nieśmiertelność: słowem, dodaje Lang ironicznie, wierzenia Diggerów znajdują się na tym samym poziomie, co filozofia naszych uczonych.

Nowayo (Nowy Meksyk) wierzą, że ludzie niegdyś zamieszkiwali jaskinię podziemną i dopiéro późniéj na ziemię się wydostali. Ziemia była z początku mała, ale potém urosła. Na świecie było ciemno — więc dwaj starcy rzucili w niebo dwie kule błyszczące i stworzyli słońce i księżyc. Uważajmy, że religia ta jest ateistyczna.

Winnebago niewątpliwie ułożyli swą kosmogonię pod wpływem biblii. Wielki duch (Manitoo) pewnego razu zbudził się z długiego snu i stworzył ze swego ciała i gliny ziemskiéj—człowieka: ta ostatnia legenda przypomina myt chaldejski.

Papago mają religię mieszaną z pojęć własnych, meksykańskich i biblijnych. Pierwszy człowiek, Montezuma, powstał z gliny i ożywiony został przez wielkiego ducha; ale duchem tym był kujot.

Pimas — jak na zachodnim brzegu Afryki uważają, że pająk jest bogiem. Zowią go Prorokiem ziemi. On to z gliny i potu stworzył człowieka. Tajemniczy orzeł i potop wielką rolę grają w mitologii Pimasów.

W Oregonie również kujot jest stwórcą świata i ludzi; był to jednak lichy robotnik, który musiał wciąż swoje wyroby poprawiać, aż nakoniec zbudował Indyan jak należy.

Czinookowie wierzą, że ludzi poprzedziła rasa olbrzymów: z tych jedni powiększyli się do wielkości bogów; inni się zmniejszyli do wielkości ludzi.

Takulli za boga uznają szczura piżmowego.

Aleuci znów wyprowadzają się od psa. Pies ten nieraz przyjmuje kształt pięknego młodzieńca; z własnéj istoty stworzył on ludzi; jakiś tytan rozdarł go na kawały, jak indyjskiego Purushę — i tak powstawały ptaki, ryby, zwierzęta, ludzie.

Wyższéj kultury są myśliwskie plemiona Irokezów, Algonkinów Huronów. Plemiona te cieszą się szczególną sympatyą niektórych uczonych, jak np. Lewis Morgana, który długie czasy żył między niemi, poznał ich charakter i urządzenia. Ich ustrój komunistyczny, ich

familia macierzysta, równouprawnienie kobiét, ich życie sejmowe, starożytnych Germanów przypominające, zawiera niejedną stronę prawdziwie piękną. Religia ich była mniéj znana; przypomina ona religie dzikszych ludów Ameryki, ale przedstawia się na wyższym stopniu rozwoju. Bogowie tych plemion są to zazwyczaj zwierzęta; występują zawsze parami—dobry walczy ze złym—Ormuzd z Ahrymanem.

Irokezy. — Dobry bóg Irokezów nosi imię Joskeha; zły — Tawiskara; niektórzy pod ich nazwiskami rozumieją słońce i księżyc.

Joskeha zabił niegdyś olbrzymią żabę, która połknęła wody świata (jak Pund-jel australski).

Joskeha też nauczył ludzi sztuki wydobywania ognia, czego sam dowiedział się od żółwia; nauczył też ich rolnictwa, a zwłaszcza objawił im tajemnice kukurydzy i teraz jeszcze przepowiada głód i urodzaj.

On też wyprowadził zwierzęta z jaskini podziemnéj, w któréj żyły dotąd, i dlatego ma władzę nad niemi i dotąd jeszcze w polowaniach myśliwcom pomaga; z jednym tylko wilkiem nie może sobie dać rady, gdyż jest to zwierzę najszybsze ze wszystkich. Piorun, wiatr, echo są to również bóstwa Irokezów; a także i niebo, któremu składają pół-ludożercze ofiary bardzo szczególnego charakteru.

Hurony mają dużo z Irokezami wspólnego w mitologii. Znajdujemy tu też same bóstwa, Joskeha i Tawiskara, w tém samém znaczeniu. Matka ich, Ataentsic, ściąwszy w niebie drzewo święte została—jak grecki Wulkan — z nieba wygnaną i upadła w niziny, na wielką wodę, gdzie osiadła na grzbiecie żółwia. Był w téj wodzie szczur piżmowy, który, szukając pożywienia, pogrążał się w głębi i powracał błotem zaplamiony. Składał on to błoto na jedném miejscu i w ten sposób stworzył ziemię. Ziemia była z początku mała, ale późniéj urosła. Żółw wiele pomagał w téj pracy szczurowi, a wygnana bogini oświecała ich swoją radą. Kiedy ziemia była gotowa, wydała Ataentsic na świat dwóch synów, ale zły Tawiskara wyszedł jéj bokiem, skutkiem czego umarła: z ciała jéj powstały rośliny.

Podług innéj wersyi świat stworzył wilk (Uinkaret), albo też wielki zając imieniem Mizhabo lub Manibozho.

Algonkinowie uznają pięcioro głównych bogów, zająca i cztery wiatry. Zając—jest to tenże Mizhabo Huronów, który tu stanowi główny artykuł wiary, a może od nich został zapożyczony.

Mizhabo postąpił jak Zeus z bogami poprzedniego okresu: wygnał on dawne ludożercze *manitoo* (duchy) i świat niebieski oczyścił. Jest to demiurg, pół-stworzyciel; niektóre rzeczy stworzył, niektóre poprzemieniał, niektóre sfabrykował. Stworzył on mianowicie wodę,

ryby oraz wielką łanię: ale inni bogowie zabili łanię (łania ta przypomina antylopę Cagna).

Ród Zająca jest wielce szanowany u Algonkinów: zapewne musi to być totem jakiéjś potężnéj rodziny.

Mizhabo nie jest najwyższym duchem: owszem, sam on jest zależny od tajemniczéj, niewidzialnéj potęgi zwanéj Atahocan (niegdyś). Poślubił on szczura piżmowego (oczywiście płci pięknéj), a siedziba jest na wschodzie słońca. W pojęciach i legendach Algonkinów częstokroć postać zająca miesza się ze słońcem — i ostatecznie kult zająca staje się kultem słońca: naturalnie długa droga prowadzi do tak niespodzianéj przemiany.

Godne uwagi, że Ozyrys egipski ma wiele łączności z zającem i jedno z jego przezwisk jest Unnu-neferu, co znaczy promienny zając; jakby Ozyrys był na początku Mizhabo; zresztą Maspéro nazwę tę tłómaczy: promienna istota.

W Nowym Meksyku i Aryzonie, na ruinach tajemniczych cywilizacyi umarłych—żyją plemiona osiadłe, zwane Pueblos, żyjące w komunizmie, jak Irokezy, ale wyższe oświatą, a charakterem umysłu przypominający ludy Polinezyi, o których wnet będziemy mówili.

Śród ludów Pueblos najwybitniejsze są Moqui i Zuni. O tych ostatnich posiadamy bardzo dokładne sprawozdanie p. F. Cushinga, który dobrze poznał ich organizacye religijne, gdyż sam należał do wtajemniczonych.

Oczywiście, nie mało w ich legendach jest dziś wpływów chrześciańskich, ale rodzaj ich metafizyki ma wszelkie cechy samorodne.

Zuni uważają, że wszystkie rzeczy: „słońce, księżyc, gwiazdy, niebo, ziemia, morze i wszystkie zjawiska i żywioły, przedmioty martwe, rośliny, zwierzęta i ludzie należą do pewnego systemu życia świadomego, gdzie wszystko jest powiązane stopniami pokrewieństwa, które się określa stopniami podobieństwa rzeczy.”

Zuni więc pojmują świat panteistycznie jako dramat, którego wszystkie żywioły są aktorami; oczywiście, Zuni przypisują wszystkim żywiołom duszę osobistą. Tak np. błyskawica jest to dla nich rodzaj węża, a wąż zajmuje stanowisko pośrednie między błyskawicą a człowiekiem.

Bogowie ich mają postać zwierząt i półzwierząt: nie ma tu jednak osobnéj nazwy Boga, wiele natomiast imion, jak: twórca, pan, robotnik, obrabiacz, zlepiacz; wreszcie—nieśmiertelny.

Najbliższe ludzi są bogi-zwierzęta; są to pośrednicy między ludź-

mi a wyższymi bogami. Ale Zuni mają jeszcze pośredników między sobą a temi zwierzętami: są to fetysze, kamienie, najczęściéj przypominające kształtem dane zwierzę: podług wiary przyjętéj są to téż same zwierzęta skamieniałe, a ukrywa się w nich siła amuletowa, magiczna i lecznicza.

Wszystkie te wierzenia opiewa epopea Zuni, która się w tradycyi ustnéj przechowuje i którą w pewnym czasie dają poznać wtajemniczonym.

W kosmogonii tego eposu mówi się, że pierwiastkowo ludzie żyli w głębokich ciemnościach czterech jaskiń podziemnych i skarżyli się na mroki, jak dzieci Urana i Gei. „Ten, który zamieszkuje drogi życia, Słońce, stworzył wówczas dwie istoty ze swéj substancyi; spadły one na ziemię, zbrojne tęczą i błyskawicą, puklerzem i magicznym nożem krzemiennym. Tedy nożem swoim rozcięli ziemię i ludzie wyszli na światło po puklerzu, przechodząc kolejno cztery jaskinie."

Ale ziemia była wtedy cała wodą zalana, więc tytani ziemię wysuszyli, a pierwotne potwory zamienili w głazy.

Zuni mają bohatéra imieniem Poshai-auk'ia, który jest prawodawcą i założycielem religii: on téż nauczył swój lud rolnictwa i innych umiejętności. Dotąd słucha modłów i czuwa nad urodzajem i szczęście przynosi w łowach. Ludzie téż chętnie modlą się do niego, jak i do innych bogów. Oto niektóre modlitwy:

— „Daj mi światło! Ukaż mi prawdę! Spraw, niechaj drogą zacną pójdę w życiu, a wraz i moje dzieci!...

— „W dzień ów, ojcowie moi, zwierzęta-bogi, chociaż ten kraj będzie pełny wrogów, błogosławcie mi i bądźcie mi przeciw nim ucieczką serca."

Posępna religia Zuni ze swą metafizyką i rytuałem zapowiada już obszerny system kultu Azteków; podobnież łagodna wiara Natchezów, na których czele stało słońce, „wielki wódz Natchezów", zwiastuje słoneczną wiarę Inków.

Zanim jednak przejdziemy do tych najwyższych wykwitów myśli religijnéj ludów kolorowych, zatrzymamy się na Polinezyi.

VII.

Polinezya. Mieszkańcy Nowéj Zeladyi, wysp Hawa, Tonga i Samoa—stanowią plemię oddzielne, ale pochodzą z połączenia pierwotnych wyspiarzy Oceanii z najeźdźcami malajskimi. Rasa malajska

— cery oliwkowéj — jest jedną z najpiękniejszych i najinteligentniejszych na ziemi; przytém posiada wielki zasób odwagi i przedsiębiorczości, którą przelała téż i na swych potomków Polinezyan. Malajczycy—Wikingi oceanu indyjskiego — prócz wysp Oceanii zasiedlili téż Madagaskar z jednéj strony a Japonii dali nie mało krwi swojéj. Niemniéj téż ruchliwe były wędrówki Polinezyan: i oni téż z kolei zaleli Japonią, która w ten sposób coraz bardziéj traciła swoją krew mongolską; a w Kalifornii istnieją ludy, które nic nie mają wspólnego z rasą miedzianą i które są niewątpliwie potomkami awanturników polinezyjskich, zagnanych burzą w nieznane kraje. Odważni ci żeglarze i wojownicy—są jednocześnie uzdolnieni do spekulacyi filozoficznych; języki mają giętkie i nadające się do wyrażania pojęć bardzo subtelnych; to téż i ich religie daja nam obraz systematów ściśle wyrozumowanych, a niektórzy jak Maori przypominają Indye i Grecyę, choć nieraz baśń dzika przeświéca jeszcze poprzez metafizykę.

Jak Pueblos porządkują już chaos pojęć barbarzyńców, tak ludy Polinezyi o krok daléj się posunęły—i, niedochodząc jeszcze do wyżyn Meksyku i Peru—dają nam jednak wysoko już rozwinięte kulty, niekiedy zaś przewyższają ich nawet. Pokrewieństwo żywiołów staje się tu świadomym panteizmem, przemiany istot—metampsychozą, a z drugiéj strony—zasadą rozwoju, która zresztą wiąże się z ideą kreacyi. Hymny Maorisów przypominają Wedy, a czasem każą myśleć o Heglu i Heraklicie.

Mimo to znajdujemy w ich mitologii absurda, przypominające Bonorongów i Papuasów: jak w Grecyi, Egipcie, Meksyku tak i tutaj religia wyprzedziła mitologię. I tu zresztą znajdujemy stopniowanie kultury.

T o n g a stali na nieco wyższym od Papuasów stopniu oświaty i religijne ich pojęcia są podobne, zwłaszcza co się tyczy magii. Zamiast Tamate i Vui — mamy tu duchy zwane Hotua lub Atua: są to istoty czysto duchowe lub téż duchy odłączone od ciała: nie wszyscy jednak mają dusze, tylko szlachta (*egi*) duszę nieśmiertelną posiada i po śmierci idzie do Bulotu. Podział na kasty, bardzo surowy w Polinezyi, jest pamiątką podboju plemion czarnych przez oliwkowe.

Bulotu—jest to rodzaj nieba czyli raju, do którego dusza płynie na okręcie żelaznym, a podróż ta przypomina egipskie wędrówki pośmiertne.

Niektóre duchy osiągają boskość: są to owe *hotua* niewidzialne. Ci bogowie, którzy zawsze byli bogami—najchętniéj przyjmują postać jaszczurek, morświnek, wężów morskich i t. d. — dlatego téż te zwierzęta wielkiéj czci doznają. *Egi* zaś nie mogą się pojawiać w formie

zwierząt. Czy każda rodzina ma jakieś specyalne bóstwo, wcielone w zwierzę, jak to ma miejsce na wyspach Samoa — o tém nie wiadomo.

Bogowie karzą zło i nagradzają dobro; kar i nagród wiecznych Tonga nie znają.

Tonga—w sprzeczności z innymi dzikimi, którzy z niskich elementów powstali — pochodzą od bogów: opuścili oni kiedyś Bulotu i zestąpili na ziemię, a zjadłszy owoców ziemi, jak Persefona, gdy piekielnego zażyła owocu — musieli już tu pozostać i stali się ludźmi; a jednocześnie natura ich się zmieniła: byli teraz *mea mama* — śmiertelni, a wraz z nimi i wszystko co ziemskie: zwracamy uwagę na poetyczność téj legendy.

Z pojęć Tonga najbardziéj do pojęcia *Deus* zbliża się *Taly - i - Toobo* (czekaj, Toobo! t. j. jakby wieczny). Nie jest to bóg lokalny, lecz wspólny dla wszystkich klanów; jest niewidzialny i bez kształtu; jest on opiekunem domu rodziny królewskiéj. Od niego idzie słynne prawo *tabu*, zakazów różnego rodzaju: rzecz każda, a nawet wyraz, imię — może być *tabu* t. j. zakazane, niedotykalne. Wielką czcią téż cieszy się Toobo Toty—bóg morza. Ofiary ludzkie, zwłaszcza małych dzieci, są praktykowane.

Maori — mieszkańcy Nowéj Zelandyi—bardzo piękni, silni i rośli, przytém inteligencyi niepospolitéj — mają dość wysoki stopień kultury i w daleką przeszłość sięgające tradycye mityczne i bohaterskie; dziś właśnie żyją oni w okresie heroicznym, mają swoich rapsodów i psalmistów, swoich Homerów i Hezyodów. Pojęcia ich filozoficzne musiały się długo wytwarzać, doszły jednak do pewnéj formy skonsolidowanéj i określonéj. Bastian (w dziele *die Sage der Polynesias*) porównywa ich hymny do tworów Heraklita. — Oto jeden z nich: „Z poczęcia wzrastanie—ze wzrastania natężenie—z natężenia myśl—z myśli wspomnienie — ze wspomnienia żądza! — Słowo staje się płodném,—ze słabą światłością się łączy—i wyłania Noc. Z nicości narodzenie...—Rodzi ono atmosferę ponad nami...—Atmosfera nad nami łączy się z niebem promienném: natychmiast urodziło się słońce. — Wówczas powstał księżyc—rzucone były w górę jako główne oczy nieba; wtedy niebo stało się jasném. Niebo płynące na górze łączy się z ziemią Hawaiki [1]) i rodzi niektóre wyspy."

Hymny te są raczéj metafizyczne niż mitologiczne. Jednakże Maorisowie mają swą mitologię i kosmogonię bajeczną; mają téż

---

[1]) Ziemia Hawaiki przyjęta tu w znaczeniu Ziemi Papa.

Olimp bardzo bogaty, mają nakoniec bohatera narodowego, Prometeusza - Herkulesa, imieniem Maui.

W mitologii téj pojęcia metafizyczne zlewają się z duchami przodków i wielkiemi siłami natury. Na początku były dwa bóstwa, *Rangi* i *Papa* — połączone, jak niegdyś Uran i Gea — w jedno ciało; w próżném wnętrzu tego ciała była ciemność, a w ciemności téj żyli młodzi bogowie (*Atua*, *Otepo*). Ci młodzi bogowie Kronidzi maoryjscy byli to: bóg wojny *Tamatauenga*, bóg lasów *Tane Mahuta*, bóg wiatru *Tawhiri Natea*, bóg oceanu *Tangazoa* i in. Bogowie ci postanowili rozłączyć Rangi i Papa—i siłą swych ramion unieśli Rangi ku górze, tworząc niebo, a Papa została na miejscu jako ziemia. Bóg wiatru także uleciał do nieba i stamtąd walkę toczy ze swoim wrogiem — bogiem lasów.

Po rozłączeniu Rangi i Papa—tytani świat jęli czyścić i porządkować. Tane Mahuta i Tiki stworzyli ludzi: mężczyznę z gliny czerwonéj, kobietę z e c h a i p r o m i e n i s ł o ń c a: jest to może najpiękniejsza legenda o stworzeniu kobiety. Tane ozdobił niebo (Rangi) gwiazdami; stworzył drzewa i ptaki; Ru—stworzył góry; Tangazoa ryby i t. d. Niektóre istoty urodziły się same. Bogowie ci mieli kształt roślin, ryb i gadów. Tylko bóg wojny ma postać człowieczą; ale współcześnie z nim istniał już *Maui* bohater cudowny.

Był on najmłodszym synem swego ojca—Beniaminem. Urodził się przed terminem. Matka rzuciła go w morze, ale go wyciągnięto i wnet działać rozpoczął.

On to słońce ujął w zasadzkę, opanował je, obił i kazał mu prawidłową drogą płynąć, zamiast jak dotąd skakać bezładnie i kapryśnie. (Jest mit podobny o Indrze).

On wynalazł strzały i wędki; również wymyślił zaklęcia (*karakias*). Szwagra swego przemienił w psa, i od niego pochodzą wszystkie psy, którym się też cześć religijna oddaje. On wydobył z morza Nową Zelandyą, która była niegdyś wielką rybą; on wreszcie ogień porwał z nieba. Zabija on potwory, lata po powietrzu, zmienia postać dowoli.

Jedna tylko rzecz mu się nie udała: chciał on przejść przez ciało Nocy do Słońca, ale mały ptaszek Noc przebudził — i dla tego ludzie muszą umierać: tak się wyjaśnia pochodzenie śmierci.

Słowem Maui jest to największy czarownik—i stosownie do inteligencyi i kultury ludu, daleko więcéj ma treści niż Qat, Yehl, Joskeha, a nawet Heitsi-Eibib i Poshai. Maorisi mają wiele inkantacyi rymowanych, które mają znaczenie modlitw, a które też są dziełem Maui.

Cześć duchów (Atua) niemałą rolę gra w ich życiu; nawet ci, którzy chrześciaństwo przyjęli, wiary téj nie opuścili i uważają Jezusa za jednego ze swych Atua.

Bogowie stworzyciele nie mają u nich znaczenia moralnego; nad etyką czuwają właśnie Atua. Lud zresztą jest łagodny, rycerski i szlachetny; w rozkosznym przebywając klimacie, żyje bez trudu i mało ma skłonności do zbrodni: dopiéro cywilizacya ludów białych—sprowadziła im to, czego nie znali — zepsucie, nie mówiąc o straszliwém wytępieniu, które bezecnym sposobem prowadzili względem tego ludu Anglicy.

Mitologia Maorisów nie jest tak bezmyślną jak poprzednia i w gruncie rzeczy niewiele się różni od mitologii greckiéj i indyjskiéj; nie znajdujemy w niéj jednak niemoralności bogów greckich, ani téż okrucieństwa rytuału Azteków. Bastian w dziele *Die heilige Sage der Polynesier* dał piękny wy-kład ich religii oraz tłumaczenie ich Rig-Wedy.

M a n g a i a n i e posiadają religię pod wielu względami podobną do maoryjskiéj. Świat wyobrażają sobie oni, jako wklęsłość olbrzymiego kokosu; kokos ten dzieli się na idealne kręgi w rodzaju tych, na jakie dzielili świat scholastycy średniowieczni. Niebo jest to druga wklęsłość, dopełniająca kokos ziemi; jest to okrągłe sklepienie z błękitnego kamienia.

U ogonka tego kokosa żyje demon; u przeciwnego końca inny demon—niewieści, nazwany P i e r w s z y p o c z ą t e k. Demon ten zapragnął mieć dzieci i wyciągał je ze swego biodra jak Bóg Ewę z biodra Adama.

Pierwszém dzieckiem był Vatea (Atua) — ojciec bogów i ludzi, jak chaldejski Oannes, mający formę pół człowieka pół ryby.

Późniéj narodzili się inni bogowie, wszystko dzieci demona niewieściego. Pierworództwo daje tu bogu Vatea przewagę nad innymi, i żyje on wyżéj od nich: ma siedlisko w powietrzu.

Żoną jego jest Papa — istota ze sfer niższych, która mu wiele dzieci urodziła; niektóre z nich są formy ludzkiéj, niektóre zaś zwierzęcéj; jedna z jego córek jak Atene wyszła na świat z głowy Papy, inna zaś z jego uda; młodsza siostra ma postać jaszczurki. I tu jak w Nowéj Zelandyi i starożytnéj Grecyi, niebo i ziemia (Papa) — były niegdyś połączone i dopiéro bóg *Ru* chciał je rozdzielić, gdy oto znany już nam bohater Maui rozbił ich, rzucając w powietrze część górną a razem i Ru, który w ten sposób jak Atlas podtrzymuje niebo.

S a m o a przedstawiają również naród inteligentny, który swe idee religijne wysoko rozwinął. Idee pokrewieństwa żywiołów i wynikający stąd system herbowy (totemiczny) doprowadziły tu całe plemię do je-

dności narodowo-religijnéj, przypominające zarówno Peru jak i greckie amfiktyonia.

U większéj części ludów dzikich totemy błądzą luzem: kangur, kakudu, wrona, oposum, jaszczurka, pies — są to istoty oddzielne, oddzielni bogowie, praojcowie różnych rodów. U Samoan przeciwnie: kangur, kakadu, wrona, pies — są to wcielenia zawsze jednego i tego samego bóstwa w różne totemy; znaczy to, że wszystkie hordy czy klany, zachowując wciąż wiarę w swój totem, uważają go tylko za siedzibę tymczasową jednego boga, całemu plemieniu wspólnego. Tu poczucie religijne jest świadomsze, kult racyonalniejszy i w system ułożony. Nie pokrewieństwo czczą oni w totemie, lecz nieznaną potęgę, która w nim mieszka: podobna była wiara niższych plemion w Peru.

To poczucie religijne nie chroni zresztą Samoan od okrucieństwa: owszem niektóre wcielenia boga, jak np. rekin, wymagają nie mało ofiar ludzkich.

Nadto każda rodzina, każda horda i plemię — ma swoje zwierzę opiekuńcze (*aitu-fale*). Dlatego téż Samoanie chowają pobożnie niektóre zwierzęta np. sowy. Mają przytém bogów, zarządzających morzem, ziemią, wojną, zdrowiem i t. d.

I tu znajdujemy wiarę, że ziemia i niebo były niegdyś połączone: dopiéro późniéj dwa drzewa, rosnąc ku górze, podniosły je w wyżyny; inni zaś mówią, że uczynił to bóg *Titi*.

Kosmogonia Samoan wyprowadza świat *ex nihilo*, ale rychło się zmienia w fantastyczną historyę chmur, skał, drzew i zwierząt oraz 23 pokoleń królewskich Samoa. Metafizyka i grube baśni mięszają się w ich mózgu. Przestrzeń posiada gdzieś w błękitach wygodną sofę, na któréj odpoczywa, a niewidzialny bóg Tangaloa ma córkę, która jest bekasem. Człowieka wyprowadził Tangaloa ze ślimaków morskich.

VIII.

Opuszczamy teraz ludy, mniéj lub więcéj dzikic—i przechodzimy do tych plemion amerykańskich, które osiągnęły stosunkowo wysoki stopień kultury, założyły silnie zjednoczone państwa, pochłonęły lub zasymilowały liczne plemiona, pobudowały miasta ludne i bogate. Były to ziemie Quiché (w Guatemali), Meksyk i Peru, które powolną drogą, zapewne poprzez idee podobne do idei Algonkinów i Zuni, Samoan i Maorysów—doszli do cywilizacyi tego typu, jaki przedstawiał Egipt, Babilon, Assyrya, Kartagina, Chiny, a może i starożytny lud Akkadów.

Ludy te znały architekturę, sztukę inżynierską, mechanikę, geometryę, metalurgię, ceramikę, rzeźbę i malarstwo; miały téż wiadomo-

ści z astronomii i ułożyły kalendarz, wynalazły nawet pismo u Quiché i Azteków piktografię, w Peru—sznury węzłowe (*quipu*).

Ludy te żyły w pewnym rodzaju komunizmu, opartym na scentralizowanéj despotycznéj władzy monarszéj. Komunizm ten nie wyłączał bynajmniéj podziału na kasty dość wyraźne, a wynikające z zasady podboju. W rzeczach religii i moralności doszły one do odkryć wcale głębokich — i gdyby były w stanie obronić się Hiszpanom, poznalibyśmy świat niezwykle ciekawy: ale ludy te były w swoim wieku miedziano-spiżowym—i nie mogły się obronić ludziom zbrojnym w żelażo, a przeto zginęły.

Quiché (Kwisze) — przechowali zbiór legend pod nazwą *Popol-Vuh*; księga ta była sporządzona po najściu białych i przyjęciu wiary chrześciańskiéj: zawiéra więc nie mało elementów obcych; oryginał jéj piktograficznie ułożony, miejscowém narzeczem oddany, zginął w czasie pożaru; pozostało kilka jego kopii, które jednak uczeni uważają za niesfałszowane.

Garcilaso de la Vega twierdzi, że ludy przez Hiszpanów podbite chciały wykazać, że ich religie nie były tak bezmyślne, jak to sądzili przybysze: stąd owa księga, ułożona przez kapłanów i starców, którzy znali tradycye swego narodu, a którym nie obce były i nauki ludów białych.

Popol-Vuh mówi, że na początku była tylko woda i olbrzymi wąż piérzasty, jeden z głównych bogów. Byli nadto różni d a w c y ż y c i a w rodzaju elohimów, o których mówi Biblia w pierwszych rozdziałach. Nazwiska ich są: ten który sarbakanem zwalcza kujota, oposum i t. d. Ci powiedzieli: Ziemia! i była ziemia, a na niéj rośliny. Późniéj zjawiły się zwierzęta, a dawcy życia rzekli: Powiedźcie wasze nazwiska! Ale zwierzęta zaczęły krakać, wyć, syczéć, brzęczéć, więc bogowie powiedziell: ponieważ nie umiécie nas uwielbiać, więc będziecie zabijane i zjadane! Wtedy duchy świata stworzyły ludzi z gliny: ale ludzie ci byli słabi, wodniści—i zginęli od wylewu wody; zatém stworzyli nowe pokolenie ludzkie: mężczyzn z drzewa, kobiety z jego rdzenia, ale i ten lichy gatunek zginął w olbrzymim deszczu żywicznym. Ci, co pozostali, przemienili się w małpy.

Późniéj nastąpił okres walk Tytanów, którzy walą góry i sami w skały się przemieniają. Ostatecznie ludzi stworzyli bogowie z kukurydzy białéj i żółtéj. Dodać należy, że kukurydza u ludu Quiché jest istotą tak świętą, jak Soma u Hindów. W kosmogonii téj widzimy połączenie idei kreacyi i ewolucyi: mieszaninę podobną znajdujemy u Braminów.

Księgi *Popol- Vuh* zawiérają nie mało pięknych modlitw jak np: „Chwała ci, Stwórco, Budowniku! Ty, [co nas słyszysz i rozumiész, nie opuszczaj nas, nie pozostawiaj nas samym sobie! Dawco życia, który jesteś w niebie i na ziemi! O Serce nieba, o Serce ziemi! daj nam liczną dziatwę i potomstwo, które trwać będzie, póki światła." Jest oczywiście różnica w tonie religii i mitu, ale to samo widzieliśmy wszędzie: zmysł religiny wyprzedza mitologią—i różne warstwy myślenia spółistnieją u Papuasów, Greków, Egipcyan, Quiché i Azteków.

M e k s y k. Cała nasza znajomość o urządzeniach i religii starożytnych Azteków mieści się w pamiętnikach misyonarzy Sahaguna i Mandieba, żołnierza Bernala Diaza -- i szlachetnego metysa Ixtlixochitl, potomka królów meksykańskich.

Żaden naród Ameryki nie osiągnął tak wysokiego stopnia kultury i żaden nie doszedł do tak filozoficznych pojęć w religii.

Klasy wyższe szły, jak wszędzie ku metafizyce czystéj — i na krótko przed Montezumą, było dążenie do wprowadzenia rzeczywistego monoteizmu, który się wytwarzał w klasie wykszałconéj i śród kapłanów.

Ale nigdzie—nawet w Kartaginie, nawet w Dahomeyu i u Aszantów, rytuał i wierzenia nie były tak okrutnie krwawe; nigdzie tyle krwi ludzkiéj nie płynęło, co w świątyniach Meksyku. To zimne, rozumowane okrucieństwo, które cechuje Huronów i Irokezów — tu ułożone było w nieubłagany system religijny. Ludożerstwo, tortura, rąbanie członków, palenie na wolnym ogniu, morderstwo rytualne na ołtarzu—były to środki błagalne o łaskę bogów.

Bogowie ci mieli głowy potwornych zwierząt i ptaków, a ich kapłani zawsze nosili maskę jakichś dzikich bestyi.

Krwawe ofiary ludzkie w religii meksykańskiéj tłumaczą brakiem zwierząt domowych: w biblii, u Greków ofiary ludzkie rychło ustąpiły zwierzęcym (Izaak-Ifigenia)—ale Meksykanie tego uczynić nie mogli—i pozostali na pierwotnym stopniu ceremoniału, kiedy ich pojęcia religijne same w sobie stawały się coraz czystsze i filozoficzniejsze.

To też jednocześnie istniały dwie warstwy myśli: metafizyka klas wykształconych i dzikie baśni ludu, wcale zresztą nie odrzucane przez kapłanów.

Widzimy oba te prądy myśli w kosmogonii Azteków: — świat podług nich ulega szeregowi stworzeń i zniszczeń i nowych odbudowań— po przez cykle stuleci, odpowiadające kalpom indyjskim. Pięć wieków było na świecie; pięć słońc kolejno ziemi świeciło, ale były to słońca niedoskonałe, ze złéj substancyi i gasły kolejno, a ludzie w ich oświe-

tleniu—wymierali. My żyjemy w piątém słońcu, które z lepszego jest materyału i lepiéj świat oświéca i ogrzéwa.

Podobnież jak w opowieściach Braminów, były kolejno różne pokolenia ludzkie i ginęły jako nieodpowiednie swemu przeznaczeniu lub się przetwarzały w rasę doskonalszą. — Z tych pojęć o kolejnych zniszczeniach i odrodzeniach świata, wynika hypoteza meksykańska o wieku nicości, który się zakończył zjawieniem bytu; o wieku wody, który się zakończył potopem; o wieku ziemi, który się zakończył trzęsieniem planety; wieku wiatru, który się zakończy straszliwym huraganem; i wieku obecnym, który się zakończy ogólnym pożarem świata. (Idea ta przypomina skandynawskie Ragnaräki).

Taką jest nieosobista metafizyka Azteków, ale poza tém istnieją starożytne podania ludowe, razem dziecinne i barbarzyńskie.

Był w niebie bóg Citla-latonac i bogini Citla-licue. Bogini ta urodziła wielki nóż krzemienny, który rzuciła na ziemię; z noża tego powstały olbrzymy, półbogi w liczbie tysiąca sześciuset. Ci wysłali sokoła do swéj pramatki, aby im pomogła stworzyć ludzi na służbę dla siebie. Ale bogini posłała ich do krainy cieniów, aby króla umarłych Mictlantenctli poprosili o kości i popiół (*nb.* zwykła w mitach niekonsekwencya: widać stąd, że już przedtém byli ludzie). Nie bez trudu Tytani wydostali z piekła kości i popiół, własną krwią je oblali (jak w mitach chaldejskich)—i w kotle wygotowali. Ostatecznie wyszedł z kotła chłopiec i dziewczyna, niby Adam i Ewa.

Dwoje z bogów skoczywszy w pozostałe ognisko — przetworzyli się w słońce i księżyc, — jakby ofiarując się zwyczajem Azteków na cześć obu tych ciał niebieskich: potém znów się ukazali i ogłosili nowonarodzonym ludziom przepisy swego kultu.

Podług innych podań — jak u Irokezów i Zuni — ludzie wyszli z ciemnéj jaskini podziemnéj.

Główny bóg meksykańskiego Olimpu Huitzilopochtli — (zwany u białych Witzli-Putzli) — był to początkowo niewinny koliber; mały ptaszek z klechd ludowych, który zbłąkanych wędrowców prowadzi do celu. Aztekowie przybyli do Meksyku z niewiadomego kraju i legenda półbajeczna opiewa, że on to poprowadził lud wędrujący do ziemi obiecanéj. Śmiały ten, pięknie ubarwiony a wojowniczy ptaszek—stał się późniéj potwornym bogiem wojny z kolibrem na ramieniu i ozdobami z piór kolibrzych na głowie; czasem też z głową kolibra, oczywiście powiększoną: mamy tu więc ewolucyę tę samę, co w Egipcie i Grecyi.

Nazwa tego boga—choć spokrewniona z nazwą kolibra (*huitzilin*) — w ostateczności jednak przybrała znaczenie greckich bóstw

δειμός i φόβος (groza i strach). Była też Ceres meksykańska (*Teteo Innan)*, był Eol (*Mixcoatl*—wąż chmurny), Wenus (*Tlazelteotl* — nieczysta), był Wulkan, Lucyna, Minerwa, Flora (*Coatlicue*—wąż-niewiasta), Prometeusz-Herkules meksykański, *Tezcatlipoca*—miał głowę niedźwiedzia i błyszczące oczy, zaopatrzone w zwierciadła. Tezcatlipoca prowadził długie walki z bohatérem sąsiedniego ludu Tolteków—*Quetzalcoatl.*

Wszystkie te bóstwa mają znaczenie totemiczne: są to zwierzęta, ptaki, węże, które powoli przybierają postać ludzką, zachowując najczęściéj głowę zwierzęcia. Pomimo okropności tego całego Olimpu, pomimo głodu krwi, jakim wiecznie dyszały te nienasycone demony tak, że ich świątynie gorzéj cuchnęły niżeli szlachtuzy: miały téż jednak i one znaczenie moralne; niektórzy bogowie nie tyle krwawych rąk, ile raczéj serc czystych żądali od swego ludu.

Czystości ducha jedynie, dobroci serca, prawości — wymagały świetlane bóstwa peruwiańskie. Peru, urządzone społecznie w sposób nie wiele różny od Meksyku, miało nad nim wyższość ogromną w posiadaniu zwierząt domowych. Lama, wigoń, guanak, juczne oswojone zwierzęta Andów, przynosząc wiele korzyści gospodarczych, ochroniły téż świątynie peruwiańskie od krwawych ofiar z ciała ludzkiego. I tu jednakże były różne stopnie kultury i różne religie, których co najmniéj trzy można odróżnić, stosownie do trzech sfer, na które dzieliło się państwo: gorące a jałowe pobrzeże morskie, żyzna kraina górska zewnętrzna naokoło jeziora Titikaka; wreszcie dziki pas górzysty wewnętrzny—miały każde swój lud, swoją kulturę i swoją religię: wszystko co było w Peru najlepszém, zbiegało się w kraju górskim zewnętrznym.

Nad jeziorem Titikaka było miasto Cuzco, stolica Inków i całéj kultury peruwiańskiéj. O téj kulturze mamy obfite szczegóły od współczesnych, jak ksiądz Valverde, misyonarz Cieza de Leon, wreszcie Garcilaso de la Vega, metys, z królewskich Inków pochodzący; daléj Christoval de Moluna i in.

Garcilaso dobrze pojął i wyłożył stan polityczny i religijny Peru. Pominąwszy cyklopowe budowle jakiéjś rasy nieznanéj, która poprzedziła współczesny Kortezom i Pizarrom naród Peruwiański—Garcilaso de la Vega swoim przodkom Inkom, przypisuje zaprowadzenie cywilizacyi w tym kraju. Uznając stronę mityczno-bajeczną powieści tradycyjnych, wydziela z nich część historyczną; rozumié dokładnie różnice kultury trzech stref i rozmaitych okresów dziejowych.

Pierwotna religia była to magia i totemizm. Śród fetyszów (*huaca*) i totemów (*pacarissa*) — były drzewa, góry, jaspis, szmaragd, ja-

guar, lis, niedźwiedź, małpa, kondor, sowa, jaszczurka, żaba, kukurydza, krab, nietoperz: były to różne wcielenia jednego bóstwa w tym samym duchu, jak to widzieliśmy u Samoan. Wszystkie te bowiem rody i klany łączyły się w jeden naród; zarazem *pacarissa* oznaczała szlachectwo. Inkowie za totem swój wybrali słońce — i w ten sposób nadali wyższy i szlachetniejszy charakter swemu kultowi

Podług legendy Inków, ludzie wyszli z jaskini podziemnéj koło jeziora Titikaka—i tu założyli swe państwo.

W mieście Cuzco była świątynia słońca, w któréj przechowywano malowane kroniki przeszłości: z kronik tych, od starców i dawnych kapłanów dowiedział się ksiądz hiszpański Moluna (1570) o kosmogonii i teogonii Inków.

Powieść zaczyna się od potopu, który zakończył jeden okres dziejów ludzkości. Wszyscy ludzie zginęli, wyjąwszy jednego mężczyzny i jednéj kobiety, którzy płynęli w skrzyniach w okolice Cuzco. Tu kazał im się zatrzymać Stwórca — poczém z gliny ulepił postaci ludzkie, mające służyć za wzór dla plemion. Dał im naraz stroje narodowe, ziarno na zasiéw i pieśni odpowiednie. Potém je pomieścił w jaskini podziemnéj i każde plemię wyszło na świat w okolicy właściwéj koło jeziór, rzek, źródeł, skał, lasów. Dlatego wszystkie te żywioły zostały *huacas.*

Niektórzy ludzie przemienili się w kamienie, kondory, nietoperze, jaguary i t. d., które jak wiemy stanowią herby: mit ten prawdopodobnie stworzony został ku wyjaśnieniu czci totemów.

W powieściach tych bóg zowie się *Pachyachachi* — kierownik, mistrz świata.

W Tituanaco—bóg słońca przybrał postać ludzką; wezwał Manco-Capaca, pierwszego z Inków i rzekł do niego: Uważaj mię za swego ojca i czcij jako ojca! Odtąd nastał w Peru kult słońca. Podług Moluny, bóg i jego synowie są niezmienni i nieśmiertelni.

Cieza de Leon nieco inaczéj opowiada tę legendę:

„Człowiek biały — olbrzymi (nadprzyrodzony) — przyszedł na świat i stworzył ludzi i zwierzęta. Imię jego *Ticivizacocha*: nazywano go ojcem słońca. On to nauczył ludzi moralności: obrazy jego były w świątyni. On wyprowadził z jaskini czworo sióstr i braci, potomków słońca, którzy nauczali rodzaj ludzki. Bogowie ci poczuli naraz zazdrość do jednego ze swych braci — i jak to bywa w baśniach ludowych—zamknęli go w jaskini. On jednak wydostał się z ciemnicy i zazdrosnych w kamienie obrócił: był to Manco-Capac, prarodzic Inków.

Obok tych mitów niższego typu — była téż u Peruwian wiara metafizyczna w niewidzialne bóstwo *Pachacamac*, które nie miało żadnéj postaci i żadnych posągów. Nazwisko jego znaczy *Spiritus mundi*: nie stworzył on świata, ale przenika jego istotę.

Pachacamac stworzył słońce, piorun i błyskawicę. Czasami jest to grecka Ananke. Garcilaso mówi o pewnym Inku sceptycznym, który twierdził, że słońce bynajmniéj nie jest samowładnem, ale ma pewną siłę wyższą nad sobą, która mu każe fatalnie tak a nie inaczéj się poruszać.

Mało znamy jednak mitologię peruwiańską; pochodzi to stąd, że ich literatura jest dotąd dla nas *terra incognita*: pomimo znacznéj ilości sznurów węzłowych, jakie posiadamy, dotąd ich nie odczytano. Są podobno starzy Indyanie, którzy je czytać umieją, ale nie chcą swéj tajemnicy objawić.

Może w przyszłości *quippu* znajdą swego Champolliona.

A. Lange.



Z ŻYCIA.

NOWELA.



Mieszkaliśmy we dwóch ze Stachem Pełką w niewielkim pokoju, na trzeciém piętrze oficyny dużego, mrocznego domu. Z jedynego okna mieliśmy widok na szaro-brudne ściany przeciwległych oficyn, formujących jeden bok regularnego czworokąta. Wyglądało to jak dobrze ocembrowana studnia, któréj dno tworzyło niewielkie podwórko, wylane asfaltem. Turkot, dochodzący z ulicy, głos służby, kłócącéj się w bramie, śmiéch w kuchni, trzaśnięcie drzwiami, a nawet sonaty, od świtu do ciemnéj nocy z wściekłością wybębniane na fortepianach, — wszystko przybiérało tu jakieś ostre, metaliczne brzmienia. Czasem zabłąkał się tu snop jasnych, słonecznych promieni, przywodząc na myśl wspomnienia o innym, biegunowo różnym świecie, pełnym powietrza, światła, zieloności, szczebiotu ptasząt i — szerokiego, swobodnego rozmachu skrzydeł.

Tego ostatniego, coprawda, nie brak było i nam. Codzień przed wieczorem, gdyśmy już wrócili do naszego wspólnego mieszkania: ja od swych zwykłych dziennikarskich zajęć, a Stach najczęściéj z włóczęgi po mieście, — rozpoczynały się ożywione rozprawy na tematy przeważnie w bliskim związku ze sztuką, a więc i poezyą, będące. Stach bowiem był poetą. Poetą, aczkolwiek jeszcze niezbyt głośnym,

tém niemniéj jednak zapowiadającym się jako wybitny i oryginalny talent.

Przed kilku laty, będąc żółtodziobym studencikiem, zaniósł pewnego razu pierwociny swych natchnień, w postaci paru dłuższych poematów, jednemu z głośniejszych literatów, znanemu ze swéj bezstronności w sądach i bystrego krytycznego umysłu. Ten, po przeczytaniu owych utworów, nietylko przyznał ich autorowi talent, lecz nawet potrochu zachęcał go do poświęcenia się głównie poezyi, przepowiadając mu na téj drodze znakomitą przyszłość. Zarazem jednak ostrzegał go, iż powodzenia materyalnego, szczególnie w początkach, spodziéwać się trudno, co zresztą żadnego wrażenia na młodym słuchaczu nie zrobiło. Otrzymawszy taką zachętę, Stach, ufny już teraz we własne siły, zabrał się z zapałem do dalszéj pracy. Pisał, przerabiał, i znów pisał i przerabiał, doprowadzając wiersz każdy do możliwéj dźwięczności i potoczystości. Lecz gdy nareszcie uznał sam utwory swe za godne druku i zwrócił się z nimi do redakcyi jednego z pism literackich z prośbą o ich wydrukowanie, — spotkał się z odmową, motywowaną zbyt obszernemi rozmiarami poematów. To samo czekało go w drugiéj, trzeciéj i czwartéj redakcyi. Powody przytaczano najrozmaitsze: jeden redaktor twierdził, iż obecnie publiczność wolałaby raczéj dać się zarznąć, aniżeli czytać jakikolwiek dłuższy poemat, a témbardziéj trzymany w poważniejszym tonie, drugi tłómaczył się brakiem miejsca, inny znowu pytał przedewszystkiém o nazwisko autora, gdyż, jak mówił, jeśli podpis pod wierszami potrafi przemówić do serc czytelników, wówczas i utwór sam będzie budził powszechny zachwyt i będzie zwiększał w ten sposób poczytność pisma, nieznane zaś nazwisko autora wywołać może, co najwyżéj, grymas niezadowolenia na twarzach prenumeratorów.

Była to dla Stacha porażka na całéj linii: i w tém jednak strapiepieniu nie obeszło się bez pewnéj pociechy — mianowicie: nikt nie odmawiał mu talentu, przeciwnie nawet, z paru życzliwszych ust usłyszał gorące pochwały, które nie pozwoliły mu stoczyć się na dno zwątpienia. A był już bliskim tego: najdroższe bowiem jego marzenia, wykołysane i wypieszczone podczas długich godzin rozmyślań, raptem odsuwały się w niewiadomą, pewno daleką, przyszłość, stawały się bodaj że nieziszczalnemi, a przynajmniéj niemożliwemi do urzeczywistnienia na teraz. Po cóż więc obecnie miał pisać? w jakim celu? Nie na to przecież poświęcał tyle czasu, pracy i sił, nie na to przechodził czyścowe męki tworzenia, nie na to wreszcie przeléwał na papiér najistotniejszą treść swego umysłu, aby ten, z krwawych wysiłków zrodzony dobytek ginął w zamkniętéj szufladzie, znany tylko kilku najbliższym.

Nie! on chciał przemawiać do wszystkich, zdolnych odczuć i zrozumieć duszę poety, chciał rzucić ludzkości pęk jasnych promieni, choć trochę rozświetlających zawiłe zagadki wszechbytu, dręczące je od dawien dawna z pokolenia w pokolenie, chciał budzić do życia drzémiące siły narodu, donośnym głosem wywołując promienne hasła postępu! Tymczasem teraz, jak Tantal, męczył się i rozpaczał, przygniatany brzemieniem bezpłodnych wysiłków: z im większym zapałem zabiérał się do pracy, aby nareszcie dostać się na to pole, gdzie można pracować z największym stosunkowo pożytkiem dla ogółu, tém daléj usuwał się ów upragniony ideał.

Płynęły miesiące bezbarwne, smutne, gdy kiedyś, niespodzianie, zetknęliśmy się ze sobą. Prędko odżyła dawna znajomość, jeszcze na ławach gimnazyalnych zawarta. Stach, który obecnie uczuwał potrzebę mieć koło siebie jakieś życzliwe serce, z którémby mógł dzielić swe strapienia, natychmiast umówił się ze mną o wynajęcie wspólnego mieszkania i wkrótce chudoba każdego z nas mieściła się w jednéj połowie niedużego pokoiku.

Rad byłem niezmiernie z tego spotkania: oprócz bowiem od dawna datującéj się życzliwości, uczuwałem względem jego osoby niezwykłą ciekawość, — ciekawość psychologa, natrafiającego na rzadki okaz duszy ludzkiéj. Była to dusza rzeczywiście niepospolita, dusza mocna, jedna z tych, których przeznaczeniem jest porywać, podnosić, uszlachetniać, z pieśnią na ustach prowadzić nas ku złocistemu brzaskowi, gdzieś daleko majaczącemu na widnokręgu. Podziwiałem w nim przedziwny zapał, siłę przekonań, jasność umysłu, i ów czar, ową moc natchnienia, która zmusza słuchających wierzyć, ufać i ze zdwojoną energią dążyć naprzód po wskazanéj ścieżce. Im lepiéj poznawałem głębie i tajniki jego duszy, im dokładniéj zarysowywała mi się przed oczyma jéj wyrazista sylwetka, tém potężniejsze fundamenty murowałem we własnym umyśle pod wykończony już pogląd na świat. A była niedawno chwila, kiedy ten mozolnie wznoszony gmach chwiał się, rysował i w gruzy miał rozpaść za jednym jeszcze podmuchem krytycznego wiatru. Naszkicowałem sobie bowiem we wczesnéj jeszcze młodości następujący zarys filozoficznego całokształtu poglądów.

Ludzkość nie jest stadem bydła, zadawalającego się dniem dzisiejszym, jest raczéj gromadą istot uspołecznionych, świadomych swoich celów, streszczających się w dążenia do powszechnego szczęścia. A jak wojsko bez wodza nie jest wojskiem, lecz niesforną hordą, oddaną na pastwę losu, tak i gromada ludzka, złożona z osobników różnego stopnia umysłowego rozwoju, bez przewódców nie jest zorganizowaną społecznością, gdyż tłum, choćby z najinteligentniejszych jednostek

złożony, pozbawiony kierowników, rządzi się zawsze owczym pędem. Jeśli kto, straciwszy głowę, krzyknie: uciekajmy! — i rzuci się w przepaść, wszyscy będą go naśladowali. Niezbędna więc jest potrzeba przewódców, wskazujących drogę. Na tak ważne stanowisko nie zaprosimy jednak ani hrabiego, ani témbardziéj robotnika, gdyż panowie ci, pogrążeni po uszy w kastowym egoizmie, żadnych w gruncie rzeczy kwalifikacyi po temu nie posiadają. Miejsca te zająć powinni ludzie, których osobista wartość wyniesie ponad zwykły poziom, mianowicie jednostki, posiadające przedewszystkiém możliwie wyrobiony umysł i gorące umiłowanie ideału, a także potęgę słowa i zapał, elektryzujący otoczenie.

Tymczasem poznawałem coraz lepiéj świat i ludzi i z chaosu wciąż nowych wrażeń zwolna począł wyłaniać się wniosek — najmniéj spodziéwany. Oto pomimo iście gorączkowéj ciekawości, z jaką starałem się wynajdywać owych upragnionych przodowników społeczeństw, nie napotkałem nawet ich śladu. Ludzie bowiem, pod względem aspiracyi niemateryalnych, poprzestają wogóle na małém: małe dążenia, małe czyny, małe rezultaty — wystarczają im w zupełności. Nicość władz moralnych i umysłowych żre im mózg i wysysa szpik z kości, a mimo to wciąż z uporem trzymają się ohydnego „złotego środka", będącego zawsze grobem wszelkich indywidualności. Naturalną jest rzeczą, iż na takim gruncie niełatwo, chyba wyjątkowo wyrosnąć może jakaś potężniejsza organizacya duchowa. Wyrastać jednak musi, bo inaczéj—czémże byłaby ludzkość? Zresztą i w tym goniącym tylko za marnemi uciechami, bezbarwnym tłumie tkwią, mniéj lub więcéj świadomie, pewne podnioślejsze pragnienia, które należy koniecznie rozniecić, ożywić i pchnąć wreszcie na właściwą drogę.

Lecz tych duchów potężnych i czystych, mimo usilnych poszukiwań, nie znalazłem. Daremnie zaglądałem w dusze bardziéj zajmujących jednostek z pośród grona moich znajomych, daremnie przedostałem się w sfery wyższéj inteligencyi, znane pod nazwą „przodujących społeczeństwu", by tam studyować ciekawsze osobniki, daremnie śledziłem życie i czyny wszelkich wybitniejszych jednostek, jaśniejących obecnie na naszym zacieśnionym widnokręgu, — wszyscy ci mniemani przodownicy okazywali się, po bliższém poznaniu, stworzonymi „raczéj na miarę krawca, niż Fidyasza." Ludzi dobrych, rozumnych i bardzo rozumnych bynajmniéj nie brakowało, lecz te tylko kwalifikacye były jeszcze niewystarczające. I ogarnęła mnie przygnębiająca niepewność, zatruwająca mi niepokojem jasny dotychczas i przejrzysty gmach poglądów...

Wówczas to spotkałem się ze Stachem. Znałem go przed laty jeszcze wyrostkiem i wtedy już zastanawiała mnie jego siła charakteru, lotność wyobraźni i dziwny wpływ, jaki wywierał na kolegów. Gdy mówił, słuchali go wszyscy, nie wyłączając źle usposobionych; gdy rozkazywał, spełniali rozporządzenie bez wahania, a nawet z widoczną przyjemnością. Był téż naturalnym prowodyrem klasy we wszystkich ważniejszych przedsięwzięciach.

Teraz polor towarzyski starł zeń zewnętrzną powłokę oryginalności i upodobnił go z wyglądu przeciętnemu „inteligentowi". Lecz po paru dniach bliższéj znajomości przekonałem się, że składniki wewnętrznéj jego treści pozostały niezmienione: ten sam zapał, ta sama bujność fantazyi i potęga słowa, co dawniéj, tylko jeszcze bardziéj wykształcone i pogłębione, biły zarówno z jego poematów, które odczytywał nam zwykle głośno, jak i z rozumowań, w które niemniéj lubił się zapuszczać. To téż rad byłem ze szczęśliwego trafu, który pozwolił nam spotkać się ze sobą. Odtąd już nie mogły mnie dręczyć wątpliwości, podobne do tych, jakie mnie gnębiły tak niedawno. Miałem bowiem przed sobą w Stachu żyjący dowód, że duch ludzki nietylko potrafi wznieść się wysoko ponad poziomy, lecz także zdoła stale, nie zniżając lotu, przebywać na raz zajętych wyżynach. Stach, coprawda, był dotychczas zaledwie aspirantem do wybitniejszego miejsca w społeczeństwie, będąc jednak młodym, nie potrzebował się zbytnio śpieszyć; przytém z czasem z łatwością mógł je zająć, gdyż posiadał niezbędne po temu warunki, — należało mu tylko wykazać przed światem swe zdolności.

Upłynęło parę miesięcy gorączkowéj pracy, przerywanéj tylko kiedy niekiedy dłuższemi odpoczynkami, gdy niespodzianie otrzymaliśmy wiadomości o śmierci ojca Stacha. Pan Franciszek Pełka, zadomowiony wieśniak-prowincyonalista, nie mogąc od dłuższego już czasu zrozumiéć dążeń syna, przycupnął w jakimś głuchym, piaszczystym zakątku na niewielkiéj dzierżawie, skąd parę razy do roku przesyłał synowi drobne zapomogi, jako jedyny znak swego istnienia i—miłości ojcowskiéj.

Stach jeździł na pogrzéb. Następnie zabawił tam parę tygodni dla uregulowania interesów, i gdy wrócił, to nie bez pewnego zadowolenia, jakie zawsze daje zdobyta siła. Siłą tą było teraz parę tysięcy rubli, otrzymanych po zrealizowaniu spadku. Przy ich pomocy miał nadzieję podbić świat.

Natychmiast ułożył plan kampanii. Tyle a tyle będzie go kosztowało wydanie paru poematów,—reszta pozwoli mu tymczasem spokojnie oczekiwać powodzenia. Aby jednak nie wypuścić z rąk zwy-

cięstwa, zabrał się pierwéj do nowego przeglądania i przerabiania utworów, uznanych za najlepsze i godne druku.

Ślęczał nad tém zadaniem parę długich miesięcy. Gdy to skończył, musiał przystąpić do czynności wydawniczych. Nareszcie i te kłopoty zostały ukończone i pewnego wieczoru Stach, rozpromieniony, pokazał mi ozdobnie wydaną książeczkę, obłożoną gustowną okładką, na któréj wyraźnie czerniły się tytuły poematów: „Na szczytach". „Z wrażeń". Długo w noc, słuchając podszeptów wiecznie młodéj nadziei, głośno snuliśmy pasmo wrażeń, wierząc, iż talent zostanie należycie oceniony i ciekawi czytelnicy długo na siebie czekać nie dadzą.

Przez parę dni następnych, Stach przyjmował powinszowania od kolegów i znajomych. Wszyscy z zapałem mówili o świéżo wydanych utworach, przepowiadając im wielkie powodzenie.

Czas schodził na ożywionych pogadankach, które Stach starał się teraz przedłużać do nieskończoności, pragnąc jak najbardziéj skrócić chwile oczekiwania na publiczne oceny swych utworów.

Upłynęło jednak parę tygodni i pomimo rozesłania przez Stacha wszystkim prawie redakcyom po egzemplarzu swych utworów z prośbą o ich ocenę, nie spotkaliśmy o nich nawet wzmianki. Stach począł się niepokoić, lecz uspokajałem go zapewnieniem, iż sprawozdawcy nie mieli jeszcze czasu w nie się wczytać i dlatego właśnie lepiéj jest, iż się oceny późniéj ukażą, bo będą niezawodnie bardziéj wyrozumowane i słuszniejsze.

Aż wreszcie ukazała się w jedném z pism kilkunastowierszowa notatka o świéżo wydanych utworach poetycznych Stanisława Pełki, potém w innéм piśmie kilkuwierszowa wzmianka, znowu trochę dłuższa notatka i dwie oceny, a następnie jeszcze kilka wzmianek i notatek. Z niezmierną ciekawością studyowałem te krótkie, często dorywczo, na kolanie pisane sprawozdania, były one bowiem dla mnie głównym sprawdzianem wytwarzającego się obecnie nastroju opinii publicznéj względem początkującego autora, pragnąłem więc z nich wywnioskować, jaki obrót przybierze walka, zawiązująca się między wybitnym talentem a zwartym tłumem miernot.

Wkrótce nie pozostawało już żadnéj wątpliwości: była to stanowcza dla Stacha porażka!

Wszystkie krytyki były dziwnie jednomyślne, — jednomyślne aż do głupoty. Wszystkie zarzucały Stachowi niepotrzebne, ich zdaniem, lubowanie się w abstrakcyach i brak zrozumienia ducha czasu, a przytém wszystkie starały się najwidoczniéj unikać jakichkolwiek pozytywnych wniosków o rozpatrywanych utworach, to téż rozléwały tylko na szpaltach pism całe beczki zamarynowanych ogólników, nieraz do-

brze trącących myszką. Jeśli ganiły, to ostrożnie, widocznie łagodząc rozmach pióra, wyostrzonego na garbowaniu skór przeciwników, — a jeśli chwaliły, to półgębkiem, i z tylu zastrzeżeniami, że już lepiéj było, kiedy ganiły.

Wobec tak obojętnego przyjęcia u krytyków, nie było co marzyć o lepszém powodzeniu u publiczności. Przez dwa miesiące rozkupionych zostało zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy; reszta miała zostać zdobyczą handlarzy makulaturą.

Widziałem dobrze, jaką przykrością było dla Stacha to niepowodzenie: schudł, posmutniał, usiłował jednak miną nadrabiać.

— Słuchaj-no, Felek! — mówił mi nieraz. — Ty musisz miéć tu jakiego znajomego szewca. Zapytaj go się, z łaski swojéj, czyby nie zechciał przyjąć mnie na terminatora. Byłbym ci nieskończenie wdzięczny...

Poczém, jakby dla wytłómaczenia się, dodawał:

— Bo widzisz... ja nie chcę być społeczném zerem. Jeśli nie potrafię tworzyć dobrych wierszy, to może choć nauczę się szyć uczciwie buty.

Tymczasem jednak po kątach gryzł ręce z bólu.

Wiele zużyć musiałem nadaremnych wysiłków, zanim zdołałem go przekonać, iż nie przytrafiło mu się bynajmniéj druzgocące nieszczęście, lecz tylko prosta nieprzyjemność, ponieważ wzmiankowanych krytyk niepodobna brać na seryo, jako pisanych przez ludzi, nie mających pojęcia o ważności zajmowanego przez się miejsca, i wskutek tego ferujących wyroki wyłącznie według swego widzimisię. Najlepszy jednak plaster na jątrzące się rany przyłożony został niebawem umiejętną ręką jednego z pierwszorzędnych krytyków.

Krytyk ten, ogólnie poważany dla swéj prawości i sumienności, po upływie trzech kwartałów od chwili ukazania się w handlu księgarskim utworów Stacha, zamieścił dłuższą ich ocenę w jednym z tygodników, poświęconych głównie literaturze. Przedewszystkiém zwrócił w niéj uwagę na rozpanoszone obecnie w naszém piśmiennictwie reporterskie sprawozdania i krytyki, które, czy chwalą, czy ganią, zawsze wyrządzają krzywdę branym na męki autorom. Następnie, delikatnie omijając drażliwą kwestyę, odrazu zabrał się do rozpatrywania poematów. W dłuższym rozbiorze podnosił wybitniejsze z nich ustępy, nie szczędząc słów uznania dla niepospolitych zdolności autora, aż wreszcie, sumiennie zobrazowawszy wszystkie strony dodatnie, przeszedł do ujemnych. Wykazywał mianowicie pewne braki w kompozycyi całości, składające się na niedostateczną jednolitość utworów;

zarzucał także zbyteczną bujność stylu i nadmierną obfitość przenośni, zaciemniających tylko i bez tego wymagającą przy czytaniu znacznego skupienia uwagi myśl przewodnią każdego poematu. Wyliczywszy jeszcze kilka zauważonych niedokładności językowych, zakończył sprawozdanie swe uwagą, iż poematy te, pomimo wymienionych usterek, zapewniają ich autorowi niepoślednie miejsce wpośród żyjących poetów polskich.

Ocena, pisana obiektywnie i utrzymana w poważnym nastroju, zrobiła na Stachu piorunujące wrażenie. Cieszył się, jak dziecko, odczytując ją po raz chyba dwudziesty, jakby dla dokładnego zapamiętania każdego z zamieszczonych tam zdań.

— No — mówił wesoło — teraz już do szewca nie pójdziemy. Może i pod chorągwią poezyi jakiego stopnia się dosłużymy. Teraz już przynajmniéj wiem, jakich się zbrodni dopuściłem, a więc będę mógł nadal wystrzegać się podobnych braków. Zresztą wiadomo, iż każde pisklę literackie, zanim wykluje się z powijaków frazeologii i w zupełności zapanuje nad formą, musi wpierw wyczerpać całe morze atramentu i zużyć roczną produkcyę największéj fabryki stalówek w Birmingham. Ja zaś jeszcze tego nie uskuteczniłem, a więc — do pracy!

I z nowym zapałem wziął się do tworzenia.

Popłynęły znowu dni jednostajne, blade napozór, lecz dające wielkie zadowolenie z posuwającéj się wciąż naprzód pracy. Mijały wesoło, gdyż fantazyi i humoru nigdy nam nie brakowało. Wieczory spędzaliśmy zwykle na ożywionych pogawędkach, często w towarzystwie kilku kolegów. Potém, podnieceni rozmową, zasiadaliśmy do pisania.

Rwaliśmy się bo wówczas do pióra, jak koty w marcu do miłości. Stach, że tak powiem, z profesyi; ja zaś, oprócz codziennego obowiązkowego robienia polityki w dzienniku, usiłowałem przeléwać na papiér wspomnienia swe i wrażenia, ujęte w formę dłuższych lub krótszych opowiadań, — poczém, naturalnie, te płody natchnienia profana chowane były pod klucz aż na spód szuflady. Pisaliśmy w dzień, wieczorem i w nocy, i znowu zrana, korzystając z każdéj chwili, aby wyrabiać i udoskonalać pióro, owo narzędzie życia ludzkiego, posiadające już teraz pierwszorzędne znaczenie.

Lecz po upływie pewnego czasu widnokrąg nasz począł się znowu zachmurzać: kapitał Stacha był już na wyczerpaniu. Nie na wiele przydały się oszczędności, jakie teraz na gwałt począł robić, zmniejszając o ile można wszelkie wydatki, aby choć trochę przedłużyć dotychczasowy znośny byt; nie na wiele téż zdały się usilne starania

o jakiekolwiek płatne zajęcie: wszędzie pytano się go przedewszystkiém:

— Czem-eś się pan zajmował dotychczas?

— Pisaniem poezyi.

Następowało litościwe, a właściwie bezlitośne wzruszenie ramion — i tyle.

Gdy jednak fundusik wciąż topniał szybko i w kasie pozostawało zaledwie dwadzieścia rubli, należało przedsięwziąć natychmiast stanowcze kroki dla zabezpieczenia możności dalszego istnienia. Złożyliśmy tedy we dwóch ze Stachem walną naradę, na któréj, mając prawo pierwszego głosu, postawiłem odrazu wniosek, aby zwrócić się do redakcyi którego z pism, z prośbą o wydrukowanie jednego ze świéżo przezeń wykończonych utworów; propozycycya taka możliwą jest do przyjęcia teraz, gdy nazwisko Stacha znane już jest w literaturze.

Lecz Stach zerwał się szybko i począł mówić z widocznem rozdraźnieniem.

— Co!? Ja mam znowu puścić się na żebraninę? Znowu błagać pokornie, omal że nie ręce lizać? Znowu znosić lekceważące przyjęcie? I w rezultacie, jak i przedtém, nic nie otrzymać? Nie, mój drogi! Przeszedłem już raz przez to, i czuję dobrze, że sił-by mi zabrakło na powtórne przebycie téj cierniowéj ścieżki. Wolałbym raczéj nosić ciężary, tłuc kamienie na drodze, lub wreszcie pod pociąg się rzucić!...

Nie miałem w téj kwestyi nic już więcéj do powiedzenia: była to bowiem widocznie zbyt drażliwa dla niego propozycya. Należało jednak koniecznie coś uradzić. Wiedziałem dobrze tylko o jedném: mianowicie, że Stach, po za obrębem poezyi, nie był właściwie zdolny do żadnego zajęcia: zbyt długo zajmował się niemal wyłącznie układaniem wysnuwanych obrazów i myśli w okresy i pojedyńcze zdania i zakuwaniem ich w jednobrzmiące końcówki, zbyt długo przyzwyczajał się uważać za rzeczywistość jedynie płody własnéj wyobraźni, zbyt długo wreszcie żył życiem duchowém, daleki od trosk i zabiegów realnéj rzeczywistości, ażeby mógł teraz choć na czas jakiś włożyć na się jarzmo jednostajnéj, spokojnéj napozór, lecz natężonéj, codziennéj, obowiązkowéj pracy. Mógł żyć obecnie tylko dla poezyi i przez poezyę. Lecz praca jego na tém polu nie została dotychczas uznana. A więc, czyż nigdy nie będzie zaliczony w poczet pożytecznych i niezbędnych członków społeczeństwa? czy zawsze ma pozostawać na stanowisku paryasa, żyjącego tylko ochłapami, rzucanemi mu od czasu do czasu ze stołu możnych? Zagłębiłem się w tych rozmyślaniach, pragnąc wynaléść nić przewodnią, któraby mi pozwoliła wskazać Stachowi drogę

do wyjścia z tego przykrego położenia. Wiedziałem przytém, że ofiarowywać mu jakąkolwiek pomoc materyalną na nicby się nie zdało; przeciwnie nawet, pogorszyłoby tylko znacznie sytuacyę. Stach bowiem był w kwestyach pieniężnych niezmiernie drażliwy: pożyczek nigdy nie zaciągał i nawet zaofiarowéj bezwarunkowo-by nie przyjął, żyć téż na cudzy koszt nie chciałby i przez dzień jeden. Było to więc błędne koło, bodaj że bez wyjścia. Rozmyślać na ten temat można było do nieskończoności. Stach téż puścił wodze myślom i wsparty na łokciu, siedział cichy, nieporuszony.

Zmrok zwolna począł zasnuwać kąty pokoju. Na dworze szumiał jesienny wicher, bałwaniąc wielkie, mroczne chmury, przewalające się tuż prawie nad dachami domów. Wieczór zbliżał się przedwcześnie. Pomału, niepostrzeżenie, sprzęty w pokoju poczęły tracić swą wyrazistość, zaciérały się, zléwały z sobą, aż wreszcie ciemność otoczyła nas zupełna.

Stach westchnął, lecz nie przerywał milczenia. Myśli nasze przeradzały się zwolna w marzenia, coraz bujniejsze i rozkoszniejsze w miarę, jak wciąż doskonalsza cisza i gęściejsze mroki zasłaniały i oddalały świat realny.

Nagle dzwonek u drzwi ostro zabrzęczał. Szybko zerwaliśmy się z krzeseł, zdziwieni i zaniepokojeni tym gwałtownym dysonansem. Stach począł szukać zapałek, ja zaś pobiegłem otworzyć drzwi. W jasno oświetlonéj sieni ujrzałem dwóch najlepszych znajomych: Zynia i Apellesa.

Przywitaliśmy się serdecznie, poczém usunąłem się na bok, robiąc wolne wejście. Widocznie jednak Stach nie znalazł dotychczas zapałek, gdyż ciemno było, jak w kałamarzu.

Zynio, stojąc we drzwiach pokoju, począł pytać rubasznym tonem:

— A to co, u licha? Pchła wam zdechła i pogrzéb jéj sprawiacie? Czy może Eusapię Palladino sprowadziliście sobie na jedno posiedzenie? Czemu to u was tak ciemno?

— Nie ma kto z was zapałek? — zabrzmiał z głębi pokoju głos Stacha.

— Czy to na Olimpie zapałki nie są jeszcze w użyciu? — pytał daléj Zynio. — Prawda, tam, gdzie błyszczy Afrodyta i inne boginie, światło jest nie na miejscu. No, Apellesie, pal, ile wlézie! zrobimy im iluminacyę.

Przy świetle zapalonych odrazu kilku zapałek ujrzeliśmy Stacha, szukającego wciąż zguby.

— Apollinie! Na miłość Boga! Pękło ci coś!—zawołał znowu Zynio z wielkiém przejęciem:

Stach natychmiast zaprzestał poszukiwań i począł oglądać swe ubranie. Zmiarkowawszy jednak z naszego śmiechu, że to tylko żart, zaczął nareszcie witać się z gośćmi, rozweselony nietyle konceptem Zynia, ile ogólną atmosferą niewymuszonéj wesołości, jaka po niedawném przygnębieniu poczęła nas ogarniać ciepłém objęciem.

Zapalono lampę i rozmowa, będąca dotychczas bezładną wymianą zdań, zwolna wchodziła na tory ożywionéj, zajmującéj dla wszystkich pogawędki. Tylko Zynio, chodząc po pokoju, często ją przerywał z humorem wypowiadanemi uwagami.

Nazywał się on właściwie Zygmunt Złyński, a przezwisko: Zynio urobione zostało z połączenia brzmień imienia jego i nazwiska. Była to ze wszech miar ciekawa osobistość, ciekawa szczególnie z powodu dziwnego połączenia zewnętrznéj formy i wewnętrznéj treści, nietylko różniących się znacznie między sobą, lecz nawet z pozoru wprost wyłączających jedna drugą. Krępy, przysadkowaty, z szeroką, pełną twarzą, ogoloną z powodu słabego zarostu, z dużym, mięsistym nosem, zresztą młody jeszcze chłopak, nie posiadał bynajmniéj powabnéj powierzchowności. Przytém niełatwo było odnaléść w nim, przy bliższéj nawet znajomości, jakichkolwiek zalet umysłowych. Drwił sobie ze wszystkiego, jak najpospolitszy chłystek, poważne rozmowy przerywał zwykle uciesznemi konceptami, nie wierzył, a przynajmniéj udawał niewiarę, w nic i nikomu, jedném słowem—zachowywał się, jak tysiące blagierów, osłaniających w ten sposób nicość swego umysłu. To téż gdyby nie to, że okazał się szczęśliwym posiadaczem pewnéj dozy literackiego talentu, przeszedłby był przez życie, nie pozostawiwszy po sobie śladów więcéj od jednodniowego motyla. Znano-by go tylko z lekkiéj strony i cenionoby go téż lekko. Dopiéro przed paru laty zaczął umieszczać w pismach realistycznie pisane obrazki, przeważnie z życia ludu, z których biły świéżość i moc niepospolitego umysłu. Następnie, z rozwinięciem talentu, przeszedł do powieści, których napisał parę, dobrze przyjętych przez krytykę i publiczność. W utworach tych ujawniły się takie strony ducha, jakich nikt dotychczas nie poważyłby się w nim podejrzéwać. Wydawał się płytkim umysłem i sercem, a z obrazków tych i powieści biła głębia uczucia, przyśpieszająca tętno serc czytelników; zdawał się egoistą, zajętym wyłącznie korzystaniem z uciech, jakie daje życie, a z pod pióra jego wypływały wzniosłe hasła niczém niezamąconego altruizmu; przytém poglądy swe i przekonania formułował jasno i wypowiadał szczerze, głosem donośnym, nie krępując się żadnemi ubocznemi względami. Tak niezgłę-

biona przepaść leżała między tém, co pisał, a tém, co mówił i robił, że, pomimo od kilku miesięcy datującéj się znajomości, dotychczas nie chciało mi się wierzyć, że nasz znajomy Zynio i powieściopisarz Zygmunt Złyński—to jedna osoba.

Teraz chodził wielkiemi krokami wzdłuż pokoju i wydrwiwał Apellesa:

— Powiadam wam, chłopcy, że ten oto kiepski waryat wymalował paskudny obraz, na którym każdy szczegół posiada barwę, wprost przeciwną istniejącéj w rzeczywistości: wierzba jest tam purpurowa, niebo czarne, a żaba różowa. Gdym, ujrzawszy ten bohomaz, wyraził mu swój oburzający zachwyt, nasz Apellesik, posiadając rybi charakter, nie odpowiedział mi równie zachwycającém oburzeniem, lecz łagodnie zapytał, czy wiem, co to jest plain'-airyzm, lub impresyonim? Zapewniłem go, klnąc się na pamięć swéj nierodzonéj babki, że już miałem nieprzyjemność poznać się z tém parszywém jagniątkiem, a na dowód, że tak jest, podałem mu przepis, ułożony przez rodzącego się teraz teoretyka szkoły impresyonizmu, na malowanie portretu adeptów tego kierunku malarstwa. Mianowicie: należy wziąć dużo farby zielonéj, potém znowu zielonéj, potém jeszcze raz zielonéj, zmieszać to dobrze i zamalować nią odpowiedni kawał płótna. Pod spodem, na objaśniającéj kartce, można położyć napis: Apelles, czyli chodzące głupstwo.

Apelles, a właściwie Krzczonowski, zwany tak przez ironię, ponieważ trzymał się jak najdaléj od pozostałości klasycznego malarstwa, uśmiéchał się wyrozumiale, obyty już widocznie z konceptami Zynia.

— Kpij zdrów!—mruknął tylko, machając ręką.

Po upływie pewnego czasu, gdy już zbliżała się chwila zwykłego wieczornego posiłku, zeszedłem na dół, aby zadysponować usługującéj nam stróżce obfitszą tym razem zastawę.

Gdym wracał, usłyszałem znowu Zynia piorunującego:

.....— seryo radzę wam sprowadzić sobie Eusapię. Powiadasz, że echo jéj tryumfów przebrzmiało już w Warszawie. Lecz właśnie to powinno posiadać najwięcéj uroku dla was, którzy tak lubicie różne tradycyjki. Przyniosłoby to wam niemało pożytku i przyjemności: jednemu za pomocą duchów wywróżyłaby, czy Salisbury z Krügerem wezmą się kiedy za łby, i jeśli tak, to kiedy to nastąpi, — drugi-by się mógł dowiedzieć, czy poeci zostaną jeszcze kiedy królami stworzeń. Coprawda, nie przypuszczam, aby cię mogła pocieszyć pomyślną przepowiednią, gdyż poezya coraz bardziéj schodzi na dziady. Szczególnie szybko odbywa się to przywdziewanie żebraczéj torby od czasu,

kiedy jéj kapłani wystąpili z szumnobrzmiącém, lecz niedorzeczném hasłem: sztuka dla sztuki. Wypisawszy te słowa na sztandarze, pozamykali oczy i dążą tam, gdzie ich ślepy traf zaprowadzi. To się nazywa: rozmijać się z życiem.

Stach uśmiéchnął się pobłażliwie:

— Przyznam ci się, Zyniu, że wolę, kiedy drwisz. Przyzwyczaiłeś się już do tego rzucania słów na wiatr, i jesteś wtedy w swoim żywiole. Kiedy jednak zaczynasz rozprawiać, zapominasz o tém, że wszelkie dowodzenia powinny się opiérać na trwalszych podstawach.

— O, królu stworzeń! — zawołał z patosem Zynio, składając przesadny ukłon—bądź tak wspaniałomyślny i spuść na biédną moją mózgownicę promień boskiego światła.

— Zdaje ci się—rzekł Stach—że hasło: sztuka dla sztuki, jest niedorzeczne? Lecz jeśli słuszném jest twoje mniemanie, to jakie cele zakładać sobie mają literaci przy pisaniu utworów? Rozpowszechnianie wśród ogółu zacnych myśli i pożytecznych wiadomości? Ładnie to brzmi, nie przeczę, ale czy nie wiész, że tendencya w dziełach sztuki wywołuje tylko rozłam w ich jednolitości, albowiem tendencya podstawia nogę sztuce, a znowu sztuka często na manowce prowadzi piękną tendencyę? Przecież dwóch srok odrazu za ogony schwytać niepodobna. Jeśli chcę uświadomić społeczeństwu ważniejsze jego zadania, lub téż wskazać sposoby najrozumniejszego i najszybszego wprowadzenia ich w wykonanie, wówczas, trzymając pióro w garści, pamiętać winienem o tém, że w danéj chwili jestem tylko publicystą, i myśli moje i poglądy powinny wyléwać się na papiér w formie artykułu, gdyż zresztą w téj tylko sukience mogą być należycie zrozumiane, przyjęte i zapamiętane... W żadném ucywilizowaném społeczeństwie niepodobna napotkać tak zacofanych poglądów w kwestyach artystycznych, jak u nas, gdzie przysięgli estetycy, dla urojonych korzyści, bałamucą siebie i publiczność...

Tu zatrzymał się na chwilę, aby odsapnąć.

— Wyplułeś już? — z ironicznym uśmiechem na twarzy zapytał Zynia.

I, nie czekając odpowiedzi, ciągnął daléj:

— To chwała Bogu! Teraz obetrzyj sobie usta, boś się zaślinił a następnie całuj się w prawy łokieć przez lewe ramię. Mnie nie przekonałeś...

Stach zerwał się, jakby ukłóty ostrogą, lecz natychmiast pohamował się i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, rzucił wyzywająco:

— Słucham!

Zynio, z tym samym ironicznym uśmieszkiem, lecz głosem spokojnym, w miarę mówienia coraz silniéj nabrzmiewającym przekonaniem, zaczął powoli:

— Wszelkie przedsiębrane przez nas czynności, mają na celu dostarczenie ludziom pożytku, lub téż przyjemności tylko. Powiadam: tylko, ponieważ życie w swych objawach daje nam już niemało uciech, i przytém dwa te najpotężniejsze czynniki naszego rozwoju, tak dziwnie łączą się ze sobą, iż można powiedziéć, choćby to się miało wydać paradoksem, że im większa rozkosz, tém większy pożytek, i nawzajem. Przykładów przytaczać nie będę, ponieważ łatwo możesz je znaléść w najpospolitszych naszych czynnościach. Dlatego też jestem zdania, iż przyjemność, nie łącząca się z korzyścią, jest zbytkiem, a więc czémś zupełnie nam niepotrzebném. Mówiąc krócéj: wszystko, co robimy, powinno być pożyteczne, gdyż dzieła nasze, niosąc pożytek, tém samém i w takim samym stopniu dawać będą przyjemność, zarówno swym twórcom, jak i tłumom, z nich korzystającym. Wychodząc z tego założenia, żądam od każdego dzieła, zaliczającego się do literatury pięknéj, aby, oprócz możliwie doskonałéj formy, dawało i treść pożywną, czy to przedstawiając społeczeństwu pewne strony jego życia, mało znane znane dotychczas, a godne bliższego rozpatrzenia, czy to propagując jaką myśl piękną i zacną, która w formie powieści najprędzéj, bo bez umysłowych wysiłków i prawie niepostrzeżenie, może się przedostawać do serc i umysłów. Dwa te pierwiastki: piękno i dobro — nie są to dwie sroki, nie dające się razem schwytać, przeciwnie nawet, łączą się wzajemnie i godzą znakomicie, i tylko w połączeniu ze sobą mogą osiągnąć najwyższe szczyty swego rozwoju. Dlatego to zasadę: sztuka dla sztuki, mającą na celu rozwój samego tylko piękna, uważam za bezużyteczną i wprost bezsensowną... *Dixi*...

To powiedziawszy, począł filuternie mrużyć oczy, pragnąc widocznie jakim wesołym konceptem przerwać dalsze rozprawy i tym sposobem pozostać w sporze zwycięscą.

Lecz Stach, nie dając mu przyjść do słowa, począł mówić szybko, z przejęciem, dobitnie zaznaczając ważniejsze zdania:

— Zaczekaj-no jeszcze chwilkę. Pozwól i mnie parę słów powiedziéć. Pewne wyjaśnienie uważam za niezbędne wobec tego, iż zupełnie błędnie przedstawiasz sobie podjęte przez nas hasło. Mylisz się, utrzymując, iż my, głoszący zasadę: sztuka dla sztuki, usuwamy się tém samém od powszechnéj pracy koło dobra ludzkości, a natomiast, skierowując wysiłki w powiewne, błękitne sfery podniebne, zakładamy cel nasz w osiągnięciu chimery — piękna. Nie! my także uważamy za jedynie godną naszego potu i wysiłków pracę dla dobra

mniejszych lub większych gromad ludzkich, my także chcemy ludzi uszlachetniać, podnosić, ożywiać i udoskonalać. Cele więc mamy te same. Różnimy się tylko w doborze środków dla ich przeprowadzenia. Kiedy wy chcecie zbogacać za każdym razem umysły i serca waszych czytelników choćby o jednę zacną myśl lub pożyteczną wiadomość, — my pragniemy rozwijać ludzi duchowo za pomocą czystéj sztuki. Spór ten: sztuki z tendencyą, nie jest bynajmniéj nowością w dziedzinie ogólnych poglądów, wyrabianych pracowicie przez każde niemal pokolenie ludzkie. Podobna, prawie identyczna walka wrzała przed kilkudziesięcu laty w pedagogice: i tam belfrowie starego autoramentu uważali za najpierwszy i jedyny swój obowiązek zakuwać w głowy dzieciom różne, przyjęte już oddawna, gotowe formuły i wiadomości, gdy tymczasem pedagodzy nowszych czasów starali się głównie o ogólny, jak najszerszy, rozwój umysłów swych uczniów, słusznie dowodząc, iż gotowa formuła łatwo wchodzi, lecz jeszcze łatwiéj wylata, i tylko samoistnie przerobiona i osiągnięta staje się nie chwilowym, lecz trwałym nabytkiem. Gdy jednak kwestya powyższa dawno już została rozstrzygnięta, spór literacki wciąż istnieje i nie przestaje robić wiele hałasu, szczególnie w naszym światku. Na szerszym bowiem świecie nikt się już nim właściwie nie zajmuje, — sztuka zwyciężyła stanowczo — i tylko u nas publicyści i krytycy, z powodu specyalnych warunków, na wszystko chcą nakładać specyalne powijaki. Kwestya, zdaje się, jest jasna: poglądów nikomu się nie narzuca, boby to chybiało celu, lecz można je wyrabiać. Otóż właśnie pisarze tendencyjni pragną wpajać w umysły czytelników wyrobione już myśli i poglądy, co im się naturalnie nigdy nie udaje, gdy tymczasem pisarze-artyści wszystkie swoje wysiłki skierowują wyłącznie do osiągnięcia najwyższych szczytów artyzmu, wiedząc doskonale, iż tylko sztuka, nic, tylko sztuka rozszerza umysł, pogłębia inteligencyę, rozwija i kształci uczucia, jedném słowem — podnosi na wyższe szczeble umysłowego rozwoju, na których każdy, dobrowolnie i samoistnie wyrobi już sobie następnie te piękne poglądy i przekonania, których nie mógł, czy nie chciał zrozumiéć i ocenić podczas wkładania mu ich łopatą...

Mówił to głosem donośnym, gładko, bez mozolnego dobiérania wyrazów. Znać było, że wszystko to przerobił i przemyślał już oddawna i teraz odrazu wypowiada swe istotne, ostatecznie skrystalizowane poglądy, nie rozpraszając się w mniéj ścisłém dowodzeniu.

Twarz mieniła mu się podniosłém ożywieniem. Na wysokiém czole, zakrytém w części bujną blond czupryną, znać było skupienie uwagi i przejęcie się rozmową. Rysy wydelikatniały i uwypukliły się wyraziściéj, kładąc na twarz piętno niezwykłéj inteligencyi. Siwe

oczy, zwykle zadumane i ciche, gorzały blaskiem wielkich świeczników.

W miękkiém, łagodném półświetle, padającém od przykrytéj zielonym kloszem lampy, obserwowałem twarze naszych współbiesiadników, na których malowały się uczucia — niejednakowe. Apelles, zawsze dbały o zachowanie przyjętych form światowych, w skupieniu ducha, łagodnie tarmosił swą wypieszczoną, przystrzyżoną w szpic bródkę, i tylko delikatny, potakujący uśmiéch świadczył o zupełnéj jego aprobacie. Co się zaś tyczy Zynia, to ten wsparłszy się o framugę okna i skrzyżowawszy na piersiach ręce, nie interesował się już widocznie rozmową: rozweselona jego fizyognomia wskazywała, iż na końcu języka wisiał mu już koncept, mający na poczekaniu zmienić nastrój naszego kółka.

To też zalewie Stach przestał mówić, wiedziałem napewno, że już dziś podobna rozmowa nie da się nawiązać. Zynio natychmiast podjął wątek tematu, aby skierować go na tory, najmniéj spodziéwane.

— Powiem ci tylko tyle — rzekł, podchodząc ku nam bliżéj. — Mowa twoja jest słodka i wonna, jak miód; jednakże, jak na zwykłe wypowiedzenie swego zdania, jest ona zadługa, a jak na porządnie wymotywowany pogląd—stanowczo zakrótka. Lecz musisz mi jeszcze coś powiedziéć: czyś ty widział kiedy zdechłą małpę?

— Nie—ze zdziwieniem odparł Stach.

— A ja widziałem — wtrącił niespodzianie Apelles, uśmiéchając się sfinksowo.

— Widziałeś, artysto? No, to mów, co ona robiła?

— Ruszała ogonem, jak to, nie przymierzając, jeden z moich znajomych chce teraz zrobić z dowcipem.

Wybuchnęliśmy głośnym śmiechem, gdyż, przedewszystkiém, Apelles dowcipkujący, był dla nas widowiskiem jeszcze nie widzianém, a po za tém radzi byliśmy, że choć w tak niewybredny sposób dociął Zyniowi za jego dziwactwa.

Ten ostatni, choć widocznie zbity z pantałyku, począł z zapałem ściskać i całować Apellesa, powtarzając z rozczuleniem.

— Piramidalnie, mój aniołku! piramidalnie! Jak widzę, masz prawdziwe zacięcie na humorystę, a wierzaj mi, że jest to jedyne godne zajęcia stanowisko w społeczeństwie.

Dalszy wylew radości przerwało wejście stróżki, ostrożnie niosącéj herbatę i przekąski.

Zabraliśmy się więc do jedzenia, poczém jeszcze gawędziliśmy dość długo.

Wreszcie Zynio pierwszy począł się żegnać.

— A wy, panowie, literaty, pewno jeszcze do pracy? Bardzo to będzie pięknie i pożytecznie. Tylko uprzedzam was, że jeśli zbyt długo dumać będziecie, to nosy wasze trafią do kałamarzy i legną tam snem bohatérów. Ale — dodał, zwracając się do Stacha — mogę ci jeszcze na pamiątkę poddać parę niezwykłych rymów. A więc słuchaj: papier—lord Napier, pióro—obscuro, atrament—zamęt...

— I głupia głowa—szczęścia połowa — dorzucił zcicha Apelles, stanowczo biorący dziś na kieł.

Lecz Zynio widocznie nie dosłyszał tego rymu, gdyż ciągnął daléj:

— W razie jednak, gdyby rymy te nie podobały ci się tak bardzo, zastrzegam sobie możność ich zwrotu. A my, Apellesku, potryńdamy się pomaleńku do naszych ciupek i wnetki ułożymy się spać: my i pchły nasze.

— Mówisz, jak sam Zagłoba—z drwiącém uznaniem zapewnił go Apelles.

— Lecz téż na tém kończy się całe nasze podobieństwo. Gdy bowiem Zagłoba należał do pokolenia ludzi, które umiało żyć, ja umiem tylko być—kpem...

Zynio mówił to tym samym wesołym tonem i jednocześnie mrużył filuternie oczy, dając tém do zrozumienia, że i teraz pod pozornie poważném zwierzeniem kryje się jakiś koncept.

Lecz przytém poczęli już schodzić ze schodów, więc nie mogłem się dowiedzićć, co właściwie chciał przez to powiedzićć. Może naprawdę był to tylko żart, a może... Może on jednak zdaje sobie sprawę z głupoty przyjętego przez się sposobu zachowania się, może on to rozumié, że podjął pracę, niegodną siebie, pracę szczura, podgryzającego wszystko, co pod ząb podpadnie, bez względu na wartość przedmiotu, nie robiąc wyjątku nawet dla najcenniejszych, bo jedynie prawdziwych umysłowych dorobków ludzkości...

Długo rozmyślałem nad tém przed zaśnięciem. Czemu przypisać należy to dziwne przybieranie pozorów lekkomyślnych pustaków przez takiego Zynia i jemu podobnych, którzy, zapatrując się poważnie, w gruncie rzeczy na zadania życiowe, przy dobrych chęciach, mogliby dodatnio oddziaływać na swe otoczenie? Modny zwyczaj wszystkiego jeszcze nie wyjaśnia. A więc może strój klowna ma służyć za tarczę dla serc delikatnych a czułych przeciwko zjadliwym pociskom, wymierzonym z przeciwnego obozu? Może i to być. Lecz ileż to serc zacnych i umysłów podniosłych ściéra się i paczy w tym ciągłym fałszu, zadawanym własnéj naturze!... Ileż to dzielnych duchów, nie mogąc

lub nawet nie śmiąc myśli i czynu zestroić w zgodny akord, wykoślawia się w zarodku!...

. . . .

Nazajutrz Stach od rana ruszył na poszukiwanie szczęścia, jak sam nazywał zwykłą swą włóczęgę po mieście. I ja też niebawem udałem się do swéj redakcyi, mając nadzieję pozbyć się tam, przy obowiązkowéj pracy, przygnębienia, które, niewiadomo skąd poczęte, gniotło mnie dzisiaj swą żelazną dłonią.

Powracałem do domu dopiéro o zmroku. Powietrze było posępne, chłodne. Chwilami zrywał się podmuch jesiennego wiatru, przenikając przechodniów do szpiku kości. Niskie niebo okryte było ciężkiemi, płynącemi zbitą masą, chmurami.

W bramie domu zatrzymałem się zdziwiony. W mętném świetle gazu dojrzałem rozmawiające z ożywieniem dwie osoby. Jedną z nich był Stach, którego poznałem od pierwszego rzutu oka. Lecz drugiéj zupełnie nie znałem: jakaś młoda dziewczyna, o przyjemnych, inteligentnych rysach twarzy, ubrana skromnie, lecz starannie, z teczką w ręku.

Przygnębienie moje znikło, jak ręką odjął. Zachciało mi się tak śmiać, tak śmiać... Ależ to paradne, znakomite! Ten Stach, ten zrozpaczony, grobowemi rozmyślaniami zaprzątnięty Stach flirtuje sobie w najlepsze z młodą dziewczyną!... Widocznie nie jest jeszcze tak źle, jak mi się zdawało.

Szalonym wysiłkiem woli poskromiłem chęć śmiechu, rozpierającą mi płuca i dyskretnie usunąłem się w półcień, pragnąc następnie wycofać się na ulicę. Lecz dziewczyna zauważyła mnie widocznie, gdyż, skinąwszy uprzejmie głową Stachowi, oddaliła się szybko w stronę podwórza.

Wówczas, nie widząc potrzeby ukrywania się dłużéj, podszedłem do Stacha i wesoło począłem się go pytać:

— A to co znowu za dzierlatka? Nie wiedziałem, że masz takie znajomości. Możebyś i mnie z nią zapoznał, bo wcale niebrzydka. Proszę cię, nie skąp mi wyjaśnień, abym wiedział, czy mam ci winszować, czy też płakać nad twą dolą?

Widocznie jednak osoba moja przypomniała mu jego strapienia, zapomniane na chwilę, gdyż twarz mu odrazu sposępniała.

— Sam wiem o niéj niewiele więcéj od ciebie — rzekł wreszcie, przecierając oczy, jakby chciał sobie lepiéj zdać sprawę z rzeczywistości. — Mieszka z matką w tym samym, co i my, domu. Sprowadziły się niedawno. Spotykamy się prawie codzień ze sobą, więc znajomość

zawiązała się łatwo. Wiem tylko tyle, że daje lekcye muzyki, czy też innych szopek.

— At! Głupstwa mi w głowie! — dodał po chwili, lekceważąco machnąwszy ręką. — A tu śmierć za progiem.

— Co ty gadasz? — zawołałem zdziwiony. — Skąd tobie takie czarne myśli do głowy przychodzą? Przecież prawie wszyscy w swém życiu nie raz, lecz setki razy bywają w kłopotach pieniężnych, a jakoś żyją. Dlaczegóżby ciebie inny los miał czekać?

— A jednak ja to czuję — odparł smutnie. — Jakiś maleńki robaczek zasiadł mi w mózgu i chroboce tam bezustanku, przypominając mi wciąż, że położenie jest bez wyjścia. Nieprzyjazne okoliczności spiknęły się przeciwko mnie, wiadomo, że głową muru nie przebić, a cóż dopiéro takiéj żelaznéj obręczy.

Tyle w tych słowach było jakiegoś cichego, lecz głębokiego smutku, że mi się bardzo niedobrze koło serca zrobiło. Co, u licha! Znałem go zawsze takim rzeźkim, wesołym, rwącym się do życia, aż tu nagle dla błahéj przyczyny stał się puszczykiem żałobnym, omal że nie płaksą.

— Stachu! — rzekłem serdecznie, biorąc go poprzyjacielsku pod ramię. — Niepotrzebnie przejmujesz się i martwisz taką drobnostką: niewarto nawet sobie nią głowy zaprzątać. Wszystko się jeszcze ułoży. Dochody jakieś wynajdziemy, jeśli na dobre postaramy się o to. No, a tymczasem, przecież kąt pod dachem i kawałek chleba masz zapewniony, bo nie przypuszczam, ażebyś chciał zrobić mi ten afront, odmawiając przyjęcia tak drobnéj przysługi. Jeślibyś zaś pomimo to nie mógł pozbyć się swoich skrupułów, to ja zobowiążę się, choćby piśmiennie, odmieszkać i odjeść u ciebie po upływie roku wszystko to, z czego ty korzystać będziesz przez parę, lub kilka dni, niezbędnych dla zoryentowania się w położeniu.

— Daj pokój! — przerwał głosem spokojnym, lecz stanowczym. — Dowodzenie to mogłoby być dobre dla wielu, nawet dla bardzo wielu, ale nie dla mnie. Ja zostałem wychowany i wzrosłem w takich pojęciach, że pieniądz, pożyczony bez pewnéj gwarancyi zwrotu, paliłby mi ręce, a chléb łaskawy z pewnością nie przeszedłby mi przez gardło. Nie mówmy więc lepiéj o tém, gdyż ja nie byłbym w stanie zadawać w ten sposób gwałtu własnéj naturze.

Podczas téj rozmowy, bezwiednie skierowaliśmy swe kroki na ulicę. Szliśmy teraz bez celu, nie zwracając najmniejszéj uwagi na otoczenie.

Tymczasem wiatr wzmagał się nieustannie, zacinając czasem kroplami deszczu. Jesienna szaruga poczynała już dusić świat cały w swém

zimném, wilgotném, oślizgłem objęciu. Wreszcie przesłoniła ulice drobna, gęsta mgła, jakby z przędzy pajęczéj usnuta, z poza któréj błyszczały tylko żółtém, chorobliwém światłem rzędy latarni gazowych, idących w nieskończoność długim szeregiem.

Stach opamiętał się pierwszy.

— Gdzieżeśmy to zaszli? — zauważył zdziwiony. — Toć to chyba Aleje Jerozolimskie.

— Racya! — dodałem ze swéj strony, oglądając się dokoła, — Wracajmy do domu, bo inaczéj zmokniemy do nitki.

Lecz Stachowi nie uśmiéchała się widocznie perspektywa spędzenia w domu całego wieczoru, gdyż odrazu wpadł na myśl.

— Wiész co? — zaproponował — zajdźmy do Apellesa. On tu niedaleko mieszka. Dawno już u niego nie byliśmy, a właśnie wczoraj mówił mi, że świéżo wykończył studyum do swego obrazu, z którego jest w zupełności zadowolony. Musi to być coś ciekawego. Bardzobym rad je zobaczyć.

— Chodźmy!

Apelles odnajmował wraz z matką trzy pokoje, z których najwidniejszy, z oknami na północ, zajmowała jego pracownia. Tam to, podczas nigdy nieskończonych rozpraw i sporów, ściérały się ze sobą i wyrabiały ostatecznie nasze poglądy na sztukę, tam dowiadywaliśmy się o nowych prądach, wiejących do nas z zachodu, i rozpatrywaliśmy je krytycznie, tam wreszcie spędziliśmy wiele rozkosznych chwil w kontemplacyi przed utworami, mającemi na celu jedynie osiągnięcie czystego piękna i nieraz zbliżającemi się do zakreślonego ideału.

Wróciwszy z akademii monachijskiéj, gdzie znakomicie przyswoił sobie technikę malarską pod okiem doświadczonych profesorów, począł on zrazu fabrykować oklepane, lecz łatwo znajdujące zbyt i popłatne, tak zwane przyjemne obrazki. Zapewniało mu to przyzwoite utrzymanie i życie filistra. Widocznie, jednak kipiały w nim ciągle, chociaż bezwiednie, porywy ku szerszym i podnioślejszym horyzontom, gdyż pomimo tak nieprzyjaznych warunków zdołał przechować w sobie niczém nieskalaną cześć dla piękna, cześć, która potrzebowała tylko silnéj podniety zzewnątrz, aby przetworzyć go całkowicie. Tak się téż stało. Gdy jedna z fal, rozchodzących się po świecie z Paryża od wybijającego się na wiérzch nowatorskiego ruchu w malarstwie zawadziła o Warszawę, — w naszém kółku zawrzało, jak w ulu. Zrazu, co prawda, zdania były podzielone; przeważało zdziwienie, a nawet zdumienie. Czy możebném jest, aby malarski sposób patrzenia na naturę, uświęcony wiekami, tradycyą i mnóstwem wielkich talentów, okazał

się już teraz niedostatecznym? Czy takie oczywiste zuchwalstwo warto nawet brać pod rozbiór? Rozpatrzywszy jednak dokładniéj to zuchwalstwo, doszliśmy do przekonania, iż Monet tyle zrobił dla malarstwa, ile Kolumb dla geografii, to jest odkrył nowy świat.

„*Plein-air*" była teraz na wszystkich ustach.

Apelles aż się za głowę schwycił, ujrzawszy pewnego razu ostatnio przez siebie malowany obrazek. Wyrzucił go natychmiast z mieszkania, nie chcąc jak mówił, psuć oczu swoich i cudzych widokiem podobnego bohomazu. Odtąd stanowczo zaprzestał dalszéj fabrykacyi wesel krakowskich, napadów wilczych i tym podobnych wyjazdów na polowanie, a natomiast począł studyować naturę we właściwém jéj oświetleniu, pragnąc pozbyć się wreszcie dotychczasowego swego pracownianego kolorytu i takiéj téż perspektywy powietrznéj, które teraz oglądane na obrazach, wydawały mu się wprost obydne. Z początku szło mu to opornie: rutyna trzymała go w kleszczach. Jednakże po kilku miesiącach codziennych prawie studyów, drogą usilnéj pracy, a w części intuicyi, doszedł wreszcie do praktycznego zrozumienia tajników *plein-airu*.

Wówczas powziął zamiar namalowania obrazu, którego celem byłoby przedstawienie kawałka natury w prawdziwém, a nie tradycyonalném, oświetleniu, według zasad nowéj szkoły. W tym celu wynalazł odpowiedni widoczek kolo Wilanowa. Kilka wierzb, schylonych nad wodą. Po za tą łachą rzeczną ogromna, równa łąka; horyzont zamyka ciémna linia lasu, błękitniejąca w oddaleniu. Upalne letnie słońce zachodzi za plecami widza, powietrze nasyca się purpurą i złotem, a na spękaną, omszoną korę wierzb padają przezroczysto-krwawe tony. Nad pyszną doliną łąki wiszą całe masy powietrza, tak prawdziwego, że widz zdumiony, mimowoli podchodzi bliżéj, aby zaczerpnąć go w płuca.

W trakcie téj pracy, wymagającéj wiele mozołu i nadzwyczaj zmudnéj, z powodu niedostatecznego zapanowania nad przyswajaną sobie dopiéro techniką, wciąż chciwie chwytał odgłosy z szaloną szybkością odbywającéj się nad Sekwaną ewolucyi poglądów malarskich. *Plein-air*'yzm w oka mgnieniu przerodził się tam w krańcowość—w impresyonizm. Zmieniając przeto pierwotny układ swego dzieła, począł i Apelles tworzyć teraz łąkę żółto-czerwoną, a na wierzbach kłaść od zachodzącego słońca krzycząco-purpurowe blaski. Przy odrobinie dobréj woli, można było znaléźć w tém złudzenie rzeczywistości, — naturalnie w pewném oddaleniu.

Lecz malowanie przeciągnęło się na drugi rok, gdyż tylko latem mógł się niém zajmować, pracując na otwartém powietrzu. To téż za-

nim obraz został wykończony, opadła gorączka nowych pojęć, i Apelles, rozpatrując swe dzieło ze spokojnym już i zrównoważonym umysłem, zapragnął nieco zmodyfikować chaos barw, w takim stopniu w naturze niespotykany.

Zwolna budziło się w nim teraz przekonanie, że prawdziwych artystów żadne teorye obowiązywać nie mogą i nie powinny. Teorya bowiem jest to szablon. Śmiesznością więc jest narzucanie jéj sztuce, która cały swój byt opiéra i wszystkie siły żywotne czerpie właśnie z różnolitości duchowego ustroju jednostek. Jeden tylko pewnik powinni artyści ciągle mieć w pamięci, że szablon, czyli teorya podcina skrzydła prawdziwéj sztuce. Niech więc każdy z nich samotnie dąży do ucieleśnienia własnych ideałów, i niech maluje, patrząc na naturę własnemi oczyma, a czy to będzie malarz historyczny, czy pejzażysta, czy monachijczyk, czy też *plein-air*'zysta lub impresyonista,—rzeczywisty talent, nie krępowany uciskającemi go formułkami, zawsze i w każdym rodzaju, byle odpowiednim przyrodzonym zdolnościom, jest w stanie wydać z siebie dzieła trwałéj wartości.

Wówczas znowu odłożył na czas pewien ostateczne wykończenie obrazu, a natomiast raz jeszcze powrócił do studyów. Pragnął teraz wyjaśnić sobie i dokładnie uświadomić swój własny malarski sposób patrzenia na rzeczy. Aby jednak nie tracić z uwagi utworu, który go już tyle czasu i trudów kosztował, przedsięwziął wyłącznie malować olejne szkice poszczególnych części opracowywanego krajobrazu. W ten sposób wystudyował łąkę, następnie wodę, a wreszcie ostatnio jednę z wierzb, którą właśnie teraz mieliśmy zobaczyć.

Gdy zmoknięci i zziębnięci, dostaliśmy się do mieszkania Apellesa, przyjął on nas ze zwykłą uprzejmością; zauważyłem jednak na jego obliczu coś w rodzaju zdziwienia. W rzeczy saméj, mógł nie spodziewać się gości teraz, w takiéj porze, kiedy pies nawet podwija ogon i ospały, kuli się w najcichszym zakątku.

W pracowni, na najwidoczniejszém miejscu, wisiał na sztalugach duży obraz, któremu zaledwie kilka pociągnięć pędzla brakowało do zupełnego wykończenia. Były to owe sławne „wierzby nad wodą". Obraz ten ciągnąc ku sobie, ciągnął jakimś nieuchwytnym czarem, pomimo nadzwyczajnéj prostoty treści i pewnych impresyonistycznych jaskrawości, gdyż czuć było, że twórca włożył w niego cząstkę własnéj duszy, że ten twórca nie schlebiał w nim czyimś upodobaniom, lecz za jedyny cel postawił sobie: odtworzyć z możliwą dokładnością kawałek natury, widzianéj przez pryzmat własnego indywidualizmu.

Po krótkiéj, okolicznościowéj pogawędce wyłożyliśmy wreszcie główny cel naszego przybycia. Apelles, zdziwiony, począł zaklinać

się na wszystkie świętości, że nic dziś z tego nie będzie, że on się na to zgodzić nie może, gdyż jak mówił, jedynie ślepi mogą wieczorem oglądać obrazy bez skrzywdzenia ich twórców obniżeniem swego wysokiego o nich mniemania. Gdy jednak porządnie przyparliśmy go do muru, obiecując powtórzyć wkrótce odwiedziny, ale już w dzień, — uległ, nie bez pewnego zadowolenia miłości własnéj.

Urządziliśmy brylantowe oświetlenie, zapalając wszystkie lampy i świéce, jakie tylko dały się odnaléźć. Apelles przyniósł spore płótno i w skupieniu ducha umieścił je na sztalugach, zasłaniając jednocześnie widok własną osobą. Wreszcie usunął się.

Na zaledwie podmalowaném płótnie widać było narzuconą kilku śmiałemi rzutami pędzla starą, schyloną, nadpróchniałą już wierzbę. Widocznie jednak siły żywotne grały w niéj jeszcze potężnym strumieniem, gdyż z boku, w miejscu nachylenia się wierzchołka, wyrastał cały las młodych pędów, o świéżéj, soczystéj, bujnéj zieloności. Na jéj spękaną, omszoną korę, na koronę o przyblakłych, matowych barwach, i na młodzież, bujnie krzewiącą się od dołu, padały całe snopy krwawéj czerwieni od chylącego się już ku zachodowi jaskrawego słońca. Promienie jego purpurą powlekały żółto-zielony mech, okrywający jéj zbocza, krwawe smugi kładły na obnażony miejscami gładki rdzeń drzewa, i gdzieniegdzie rdzawiły pyszną zieloność młodych gałązek. Wierzba żyła, z upojeniem wchłaniając błogi spokój letniego zachodu.

Patrzałem, nie mogąc oczu oderwać od tego widoku. Zbudził on we mnie, zasnute już mgłą oddalenia, wrażenie bajecznego uroku, jaki posiada natura dla tych, co ją odczuć umieją. Oczyma duszy widziałem krwawą, rozpaloną, jakby nabrzmiałą tarczę słoneczną, dążącą na spoczynek poza czarną smugę lasu; widziałem barwistą łąkę, przetykaną jaskrami i złotemi kaczeńcami; i kupy niezapominajek nad rowem. Słyszałem nieustanny szelest licznego państwa owadów w trawie i w zbożu, ćwierkanie konika polnego, nawoływanie przepiórek; i ostry, monotonny krzyk derkacza, i rechot żab, nastrajających swe gęśle do wieczornego chorału, i pisk kulika rzecznego...

Dobrze mi było. Ah, jak dobrze!

Stach wreszcie począł mówić głosem miękkim, łagodnym, przejętym powagą nastroju.

— Są tacy, co twierdzą, niewłaściwie powtarzając słowa Mickiewicza, że utwory czcicieli czystego piękna są jak misterne i ozdobne świątynie, w których nie ma Boga. Nieprawda! Bóg jest: nie Ten obrzędowy, lecz Bóg, który jest życiem, światłem i duszą wszystkiego. Talent w swych przejawach zawsze daje świadectwo, iż zawiéra w so-

bie pierwiastki boskie: samoistność i nieśmiertelność. Po cóż więc zakuwać go w twardą obrożę jakichś, fałszywych najczęściéj, teoryjek, gdy wiadomém jest, że ani jedno z arcydzieł, którémi się ludzkość chlubi, nie zostało stworzone według pewnéj recepty, lecz powstawały wszystkie za sprawą nieuchwytnéj, niezbadanéj dotychczas siły, zwanéj talentem? Krytykować można wszystko, a więc i rodzaj talentu; przepisy jednak dawać można tylko na to, co przez nas zostało stworzone i od nas wyłącznie zależy, to jest na technikę, czyli sposób zakuwania w stałe formy owych rzadkich objawów nieśmiertelnego ducha.

Zapanowało chwilowe milczenie. Jedynie świéca głośno skwierczała, dogasając w lichtarzu.

— Nie ma co mówić, szkic ci się udał — mówił daléj Stach. — Tylko, widzisz szkic w malarstwie jest jak jeden wyraz w rozmowie. Może ten wyraz być bardzo rozumny, albo téż dosadny, nigdy jednak nie wypowie tak dokładnie tego, coś miał na myśli, jak całe zdanie, z kilku wyrazów złożone... A kiedyż ty swoje zdanie wypowiesz?

— Latem niezawodnie już wykończę — zapewnił Apelles.

Ja tymczasem oglądałem się za jedném z dawniejszych jego studyów, przed którém za każdym razem stawałem z nową przyjemnością. Było to studyum wody. Widać na niém było tył łódki, która, mknąc chyżo po gładkiéj, szklistéj, o stalowym odcieniu powierzchni, pozostawiała za sobą długą, sperloną bruzdę. Dokoła rozchodziły się lekkie, ruchome fale. Dalszy plan tworzył wysoki brzeg, gęsto zarośnięty sitowiem. Nadzwyczajnością wydawała mi się tu woda, do odtworzenia któréj sam twórca głównie, jeśli nie wyłącznie skierował był swą pracę, zaledwie szkicując inne pozycye. Jasna i jak kryształ przezroczysta bliżéj widza, przybierała daléj odcień zielonkawo-niebieski, aż wreszcie u przeciwległego brzegu przechodziła w ton ciemno-granatowy, prawie czarny, o zimnym, posępnym połysku.

Nieraz usiłowałem zdać sobie sprawę, czém właściwie szkic ten tak przykuwa moją uwagę? I czemu ten właśnie, a nie inny? Nie zdołałem jednak w tych rozmyślaniach dojść do jakichkolwiek zadawalających rezultatów. Zmysł piękna albowiem rozwinięty jest w ludziach nader nierównomiernie: co jeden okrzyknie za arcydzieło, na to drugi spojrzéć nawet nie raczy. Ułożyłem sobie, coprawda, formułę, że: ten utwór pióra, pędzla lub dłuta jest dziełem talentu, który przykuwa do siebie uwagę czytelników lub widzów, i daje im zupełne zadowolenie estetyczne,—lecz sam rozumiałem to doskonale, że możnaby jeszcze długo nad nią dyskutować.

Tymczasem odnalazłem tak długo szukany utwór. Podszedłem więc ku niemu bliżéj, aby odświéżyć wrażenia, lecz—niestety!—w wie-

czornem oświetleniu nie posiadał nawet części właściwego mu uroku. To też przypatrywałem się tylko szkicowym zarysom, odtwarzając w umyśle zamglone już pojęcie o całości.

Nagle z drugiego kąta pokoju doszedł mię suchy, bezdźwięczny głos Stacha, pytającego:

— A to co?

Zdziwiony, zbliżyłem się, aby się dowiedzieć, o co rzecz idzie.

Stach, nic nie mówiąc, wskazał dwa płótna, wiszące w cieniu, we framudze okna. Przynieśliśmy światło, aby się w nich lepiéj rozpatrzéć.

Były to ordynarne obrazki, o banalnéj treści: jeden z nich przedstawiał krajobraz późnéj jesieni, z nieodłącznym sztafażem, w postaci „wypadku w drodze"; drugi wyobrażał ten sam „wypadek", ze zmienionemi szczegółami, na tle widoku letniego. Koloryt, jakiś niewyraźny, tworzył tak zwaną „miłą dla oka" mieszanikę barw: za to wszystkie drobne szczegóły i szczególiki, jak np. uprząż na koniach, lub guziki u liberyi stangreta, odtworzone były z możliwą dokładnością. Widać było odrazu, że obrazki te zostały namalowane specyalnie dla zadowolenia upodobań przeciętnéj, estetycznie niewyrobionéj, burżuazyi.

Długo ze zdziwieniem przypatrywaliśmy się tym arcydziełom — niesmaku. Zrazu przemknęła mi przez głowę myśl, że to może są oleodruki. Lecz nie! coby oleodruki robiły w pracowni artysty—malarza? Wówczas zacząłem sobie przypominać, że przed kilku laty wróciwszy z Monachium, Apelles takie właśnie malował obrazki.

— A wy tu co robicie? — rozległ się za nami wesoły głos gospodarza.

Obejrzeliśmy się. Musiał wzrok nasz być bardzo wymowny, gdyż odrazu domyślił się zrobionego przez nas odkrycia. Tracąc zwykły kontenans, stał spłoszony, jak żak przed profesorem i z tragicznym ruchem rąk tłómaczył się pokornie:

— Cóż chcecie? Trzeba żyć.

Zdziwieni, nie przerywaliśmy milczenia.

— Matkę mam—dodał po chwili pewniejszym już tonem, trafiając na właściwą myśl.

Prawda! Matkę ma. To zupełnie zmienia postać rzeczy. Jakie to jednak dziwne, że przez tak długi czas ani razu nie wzięła nas ochota spytać się, z czegoby żył: on i jego matka. Przecież wiedzieliśmy dobrze, że kapitalistą nie był, więc łatwo się było domyśléć, że, jeśliby nie miał postronnych źródeł dochodów, niezawodnie oddawna już gryzłby świętą ziemię.

— Wy, coście tego nie doświadczali, — ciągnął daléj Apelles — nie możecie mieć pojęcia, jak to boli — sprzeniewierzać się własnym ideałom. A jednak zmusza nas zwykle do tego okrutna igraszka, zwana życiem...

Po chwili innym już tonem dodał:

— Zresztą istnieją różne poglądy na tę kwestaę. Zdaje mi się, że wobec powszechnego demokratyzowania się społeczeństw, sztuka, ten szczyt arystokracyi, musi opłacać czémśkolwiek swe prawo istnienia, gdyż, bądź co bądź, demokracya to wielkie hasło...

— Powiédz raczéj: głupie hasło — przerwałem, zniecierpliwiony.

— Jakto? — Apelles zrobił duże oczy.

Mnie tymczasem brała szewcka pasya. Przykrość, jakiéj doznałem, dowiadując się o prowadzonym przez naszego przyjaciela handelku sztuką, pod wpływem słyszanych zdań przeradzała się w oburzenie. Zrobił źle? To racya. Lecz zmuszony był do tego nieprzyjaznemi okolicznościami? I to racya. Po cóż więc wykręca się fałszywémi doktrynami, jak liszka ogonem, usiłując zamydlić nam oczy?

— Wierzaj mi — rzekłem, zbliżając się ku niemu i biorąc go za guzik od surduta. — Wierzaj mi, że jest to głupie hasło. Miało ono racyę bytu przed dwustu, stu, wreszcie pięćdziesięciu laty. Lecz teraz? Teraz, kiedy główne żądania tego, niezbędnego w swoim czasie, demokratycznego ruchu zostały już urzeczywistnione, jakie widoki otwiéra on przed nami?..

— Nie wiem, jakie to żądania demokracyi masz na myśli, mówiąc o ich urzeczywistnieniu? — zapytał przeciągle Apelles.

— A wydobycie ludu z pod przemocy możnych i zrównanie wszystkich w obliczu prawa?

— To było tylko burzenie starego, zatęchłego gmachu, pełnego przesądów i wzajemnych swarów. Rozklecona budowa nie zadawalnia już nikogo, więc poczynamy stawiać nowy gmach.

— Jaki?

— Taki, w którym by dla każdego miejsce się znalazło, i to miejsce — nie gorsze, niż dla innych.

— A więc myślicie wprowadzić powszechną, absolutną równość?.. Ładny projekt, nie przeczę, ale tylko zzewnątrz, gdyż w gruncie rzeczy jest on odstręczająco szpetny.

— O?! — zawołał Apelles, usiłując nadać temu wykrzyknikowi ton nieopisanéj ironii.

— Między ludźmi — mówiłem daléj — istnieją tak niezgłębione różnice w pojęciach i potrzebach, że jakaś jedna, wszystkich obowiązująca miarka mogłaby zadowolnić, co najwyżéj, pewną, drobną tylko,

cząstkę ludzkości. Gdyby np. zwyciężyły i ostatecznie zapanowały nad światem socyalistyczne idee, w państwie, naówczas utworzoném, nie znalazłoby się miejsca dla inteligentniejszych, indywidualnie rozwiniętych jednostek... Byłaby tu zupełna zagłada ludzkości.

— Jak widzę, stałeś się zwolennikiem ponownego rozklasyfikowania ludzkości na cztery stany, z których najmniejszy posiadałby najwięcéj prerogatyw, a najliczniejszy—żadnych.

— Ależ nie! Chyba nie chcesz mię zrozumiéć... Jestem właśnie stanowczym przeciwnikiem wszelkich sztucznych przegródek. Pragnę tylko, aby każdemu wolno było osiągać szczęście według własnéj jego miary. A tymczasem dzisiejsi demokraci myślą wznowić dawną niesprawiedliwość, z tą jedynie zmianą, iż z bitych sami chcą zostać bijącymi. To właśnie mię oburza...

Naturalnie, Apelles nie dał się przekonać, gdyż zresztą żadne spory nigdy tego celu nie osiągają. Natychmiast téż wypalił krótką, ale dosadną replikę, która wywołała nowe argumenty z méj strony.

Jakkolwiek omawiana kwestya interesowała mię bardzo, nie zacietrzewiłem się jednak w dowodzeniach do tego stopnia, żeby aż tracić z uwagi otaczającą mię rzeczywistość. Chwilami, słuchając oklepanych teoryjek mego interlokutora, zwracałem uwagę na Stacha, siedzącego wciąż w jednéj pozycyi przed owemi nieszczęsnemi, omal że nie oleodrukami, z wyrazem jakiéjś niezgłębionéj zadumy w oczach. Może zastanawiał się nad obniżaniem artystycznych ideałów, czego smutne rezultaty miał przed sobą na widoku? A może, słuchając naszych coraz to gorętszych dowodzeń, snuł jednocześnie pasmo swoich własnych myśli?

Tymczasem urządzona w pokoju iluminacya poczęła zwolna słabnąć w swém natężeniu. Świece, a raczéj kawałki świec, poobsadzane w starych lichtarzach i butelkach gasły jedna po drugiéj z syczącym szelestem, napełniając dokoła powietrze nieprzyjemną pozostałością swędu. Tylko dwie lampy wciąż rzucały jednostajne, przyćmione światło na pokój, coraz głębiéj pogrążający się w cieniu.

Czas jakiś jeszcze spieraliśmy się z zapałem, rzucając masy nowych myśli, dobitnie podkreślając ważniejsze. Ponieważ jednak coraz widoczniejszą dla nas samych stawała się ich jałowość, przeto, poddając się ogarniającemu nas znużeniu, coraz ciszéj i coraz niechętniéj snuliśmy dalsze dowodzenia, błąkające się teraz, jak niedobitki po całodziennéj walce.

Rozmowa nieznacznie przeszła na tematy obojętne. Wreszcie, czując, iż nie mamy tu już nic więcéj do robienia, wraz ze Stachem

pożegnaliśmy gospodarza, obiecując zajrzéć tu niedługo, aby przy świetle dzienném obejrzéć interesujące nas szkice.

. . . .

Na ulicach ruch wrzał duży, gdyż nie było jeszcze późno. Deszcz ustał i niebo się wypogadzało: z czarnego jego stropu przezierały miejscami drżące złote gwiazdy. Chodniki, mokre od deszczu, błyszczały w świetle gazu, jak wypolerowana zbroja. Dorożki hałaśliwie turkotały po bruku. Czasem powóz przemknął chyżo, cicho, prawie niepostrzeżenie, jedynie tententem anglezów dając znać o sobie.

Nie chciało nam się wracać do domu: zanadto przejęliśmy się zrobioném u Apellesa odkryciem. Siedziéć teraz w pustym pokoju znaczyłoby — oddać się na pastwę przygnębiającym dociekaniom, tém przykrzejszym, im trudniejszém okazywało się wysnucie z nich jakiegokolwiek logicznego wniosku.

Z niemałą trudnością wyrabiamy w sobie ideały, to téż niełatwo rozstajemy się z niemi. Raz skupiwszy poglądy w syntetyczną całość, trzymamy się ich zazwyczaj oburącz, choćby nawet o ich bezzasadności przekonywały nas fakta. Na te ostatnie zamykamy zwykle oczy, lub téż z powziętym naprzód celem tłómaczymy je sobie fałszywie, aby tylko nie mącić spokoju ducha, będącego częstokroć jedyném naszém pożądaniem. Są jednak i takie umysłowe organizacye, które nie mogą spać spokojnie wówczas, gdy na widnokręgu zamajaczy choćby słabe światełko...

— Światło rozjaśni wątpliwości nasze i naszych współbliźnich!— wołają. — Światło zapewni nareszcie spokój duszom, znużonym nadaremném błąkaniem się po manowcach zagadek wszechbytu, — nie ten sztuczny spokój apatyi i martwoty, będący teraz ich udziałem, lecz błogi spokój świadomego sił swoich życia!

Wołają tak, i porywają się natychmiast do lotu, i lecą, pchane wewnętrzną potrzebą poznania prawdy... I giną...

Tak bywa z każdą prawie myślącą jednostką, tak téż mogło być i z nami. Dopoki poglądy nasze były w stanie czynnym, w okresie walki, dopóty nie zwracaliśmy uwagi na przeczące im strony życia, lub téż wyjaśnialiśmy je sobie tak, jak sami chcieliśmy je widziéć. Lecz kiedy nadszedł wiek męskiéj dojrzałości, równocześnie z zanikaniem młodzieńczego zapału, poczęliśmy bezstronniéj rozpatrywać objawy życiowe; wówczas téż spostrzegliśmy, jak wielkim błędem jest apryorystyczne układanie teoryi o życiu, bez dokładnéj jego znajomości. Nie ma bowiem nic boleśniejszego nad utratę ideałów: wraz

z niemi ginie największy nasz skarb umysłowy, nagromadzony w ciągu młodych lat, kiedy siły i ochota są do tworzenia.

. . . .

Szliśmy tedy, gdzie nas oczy powiodą, mając jedyny zamiar: dostać się tam, gdzie największy panuje ruch, wesołość i ożywienie. W kalejdoskopie wciąż nowych wrażeń spodziewaliśmy się natrafić na jakiś czynnik, odświeżający naszą energię życiową, aby następnie ze spokojem i ufnością we własne siły módz stanąć wobec powstających w nas pytań.

. . . .

Wróciliśmy do domu koło północy. Pokoik nasz, tchnący zwykle atmosferą przyjemnego zacisza, wydał mi się dziś jakiś niegościnny, posępny. Milcząc, rozbieraliśmy się do snu. Wreszcie Stach, mało co dotychczas mówiący, zapytał takim tonem, jakby sobie coś przypominał:

— Co to on dziś tak gorąco prawił o demokracyi, czy też demokratyzacyi? Ciekawa to bardzo dla mnie kwestya, alem nie słuchał waszéj rozprawy, bo co innego miałem na myśli.

W krótkich słowach wyjaśniłem główną treść dowodzeń Apellesa: demokracya jest tak wielkiém hasłem, że dla miłości jego powinna sztuka obniżyć nieco swe ideały, czyli stać się przystępną dla tłumu.

Stach zaśmiał się z goryczą.

— A to dobre! Zaczyna już, jak widzę, wyjaśniać i uzasadniać swe fałszywe kroki układanemi w tym celu teoryami. Może go to zaprowadzić daleko na drodze do stałéj sytości brzucha i kieszeni, lecz umysłu jego i serca z pewnością nie zadowolni... Chyba, że zgłupieje ostatecznie...

Głos jego brzmiał melancholijnie, czasem jednak czuć się dawała nutka rozdrażnienia.

— Raz postawiwszy nogę na chwiejnym gruncie podrabianych idei, z łatwością będzie mógł staczać się daléj po pochyłości. Występują już nawet niedobre oznaki. Oto, naprzykład, nie rozróżnia widocznie dóbr duchowych od materyalnych. Gdy bowiem, te drugie, jako wzrastające w nader nieznacznym stopniu i przytém zagrożone zupełném wyczerpaniem wszelkich źródeł nowych bogactw, mogą być dokładnie wymierzone i obliczone, przeto pojmuję, że mogła komu przyjść do głowy myśl dopuszczenia wszystkich do korzystania w równéj mierze z tych dóbr, przez ludzkość posiadanych, — chociaż się z nią bynajmniéj nie solidaryzuję. Jak jednak można podzielić na

małe dawki te pierwsze t. j. duchowe dobra, jestto dla mnie najzupełniéj niezrozumiałe, ponieważ jak to wiadomo powszechnie, jeden duży talent więcéj znaczy od stu małych. Zdaje mi się téż, że demokratyzacyę utworów ducha uskuteczniać można jedynie, że tak powiem, zewnętrznie, to jest za pomocą uprzystępniania ich szerokim warstwom w tanich edycyach i otwartych muzeach — lecz nigdy przez obniżanie ideału. Ten ostatni środek zabiłby prawdziwą sztukę, a przecież piękno jest bodaj że pierwszorzędnym czynnikiem naszego umysłowego wyszlachetnienia.

To mówiąc, zgasił świecę i wsunął się pod kołdrę. Widocznie jednak dojmująca gorycz ciągle w nim nurtowała, podsuwając mu przeróżne myśli, gdyż po chwili znów mówić zaczął:

— To, że Apelles opuścił nasz sztandar, dlatego boli mię tak bardzo, iż widzę coraz większe rozpowszechnianie się tych ogłupiających poglądów, i co gorsza, bezczelne wprowadzanie ich w czyn. Nie mówiąc już o malarstwie i innych sztukach pięknych, oddawna cierpi na tém niegdyś dziecię bogów—poezya. Ogromna większość adeptów tego kunsztu woli obecnie zapisywać się do cechu wierszokletów, przytaczając na swe usprawiedliwienie oklepaną wymówkę, iż publiczność głębiéj odczutych i szerzéj pomyślanych poezyi nie rozumié i czytać nawet nie chce. To też niechętnie biorę do ręki tomik nowych poezyi, gdyż najczęściéj widnieje z nich przerażająca banalność. Wszystkie, napotykane tam uczucia, myśli, obrazy, powielekroć były już opiewane, i to z lepszym skutkiem, gdyż samoistnie i szczerze. Często mi się wydaje, że podobnych utworów nie mogli pisać ludzie, posiadający większą od innych wrażliwość na piękno i talent słowa, lecz automaty, oczytane w poezyach i obdarzone pewną zdolnością reprodukowania otrzymywanych zzewnątrz wrażeń. Zapewne... zasadnicze uczucia ludzkie, jak: miłość, zapał do czynu, smutek, tęsknota, nie zmieniają się nigdy w swéj treści, lecz przecież życie tak misternie rzeźbi nasze duchowe organizacye, iż każdy z nas może wyrobić w sobie swój własny sposób patrzenia na rzeczy i odczuwania wrażeń. Ta właśnie ostatnia okoliczność zapewnia poezyi wieczną trwałość, a jednocześnie upoważnia poetów do nowego obrabiania po stokroć już podejmowanych tematów, byleby tylko mogli i umieli powiedzieć o nich coś własnego. Tymczasem cóż widzimy?... Przeważna większość współczesnych poetów — chwała Bogu nie wszyscy! — czy to wskutek braku poczucia artystycznego, czy téż z powodu lenistwa, pisuje głównie, jeśli nie wyłącznie króciutkie, z kilku lub kilkunastu rymów składające się wierszyki, nie pomnąc o téj prawdzie, iż na podobne figielki pozwalać sobie może bezkarnie tylko wielki, skupiony w sobie, i znakomicie już

wyrobiony talent twórczy. Zaledwie pan, tytułujący się poetą, zawiadomi w takim wierszyku publiczność, że mu jest smutno, gdy nagle urywa—i kładzie swój podpis. W najlepszym razie może to rozśmieszyć, zwykle jednak czytelnik z niesmakiem odkłada na bok pismo, lub książkę, zarzekając się dalszego zaznajamiania się z nowożytną poezyą. I słusznie! Boć przecie, jeśli temat stary, jak świat, to tylko własne, oryginalne jego uzasadnienie może mu nadać nowy powab w oczach czytelników. Tak np., gdy Słowacki przejmującym głosem woła: — Smutno mi, Boże! — to wszyscy wierzymy w szczerość téj skargi, i serdecznie współczujemy poecie, ponieważ następnie z niepospolitą siłą słowa, na jaką tylko prawdziwe uczucie zdobyć się może, kréśli w szeregu przepysznych plastycznych obrazów powody tego smutku... Tymczasem większość współczesnych poetów, nie bacząc na przykłady, dane im przez mistrzów, wcale nie dba o umotywowanie opiewanych przez się uczuć. Każą nam cieszyć się, lub płakać — bez powodu. W tém tkwi, według mego zdania, główna przyczyna coraz wyraźniéj zarysowywującego się rozdźwięku między poezyą a życiem...

— Albo te fragmenty — ciągnął daléj po chwilowéj przerwie.— Zaczynają się od domyślników i kończą się niemi, a zawiérają w sobie ułamki myśli, okruchy uczucia... Czyż może być coś bezsensowniejszego? Ilekroć natrafię na podobny urywek, zawsze poczyna mię dręczyć gorzka myśl: jak téż daleko odbiegliśmy od prawdziwéj sztuki! A gdzie rozwinięcie tematu w skończoną całość? Gdzie architektonika utworu? Gdzie jasność, ład i przejrzystość utworu? Toć romantycy, nasi mistrze, wojując z klasykami, nie burzyli bynajmniéj zasad sztuki, lecz tylko protestowali przeciwko martwocie ducha, uśpionego w pięknych nieraz formach. Ruch, wywołany walką, wpłynął na rozszérzenie i udoskonalenie teoryi, któréj główne zasady pozostały, mimo to, niezmienione i obowiązują teraz wszystkich tak samo, jak przed półwiekiem lub całém stuleciem...

Długo jeszcze snuł swe dowodzenia, których chętnie słuchałem, jak zawsze z przyjemnością słucha się jasnych i szczerych poglądów, — szczególniéj w kwestyach sztuki, w których lada filister czuje się upoważnionym do wścibiania swoich trzech groszy, a i sami twórcy niejednokrotnie zniżają się do tego samego poziomu.

Zasnęliśmy dopiéro nad ranem.

. . . .

Przez kilka dni następnych życie nasze z pozoru toczyło się zwykłym, dawno już wyżłobionym, torem, odczuwaliśmy jednak przytém pewne niewyraźne przygnębienie, jakby w oczekiwaniu niezawodnego, zbliżającego się już, lecz dla nas samych jeszcze niejasnego, nieszczęścia. Zdawało nam się, jak gdyby dokoła nas rozpostarło się niezgłębione bagno: gdziekolwiek się zwrócić, wszędzie czyha toń bezdenna; wreszcie i pod nami grunt zwolna poczyna się uginać, gnie się, chwieje, zniża...

Właściwie tyczyło się to głównie Stacha, jako bezpośrednio zainteresowanego, lecz i ja, tyle nadziei oparłszy na niezłomnéj prawości i podniosłości jego ducha, drżałem na samą myśl ogniowéj próby, oczekującéj go wobec zbliżających się trudności. Przechodziłem te same, mniéj więcéj uczucia, o mniejszéj tylko, zapewne, skali natężenia.

Usiłowania nasze, przedsiębrane w celu wynalezienia, jakiegokolwiek chlebodajnego zajęcia, spełzły znowu na niczém. Daremnie próbowałem osobistemi wpływami oraz za pośrednictwem znajomych i kolegów wyrobić mu stanowisko przy jakiéj redakcyi. Wszędzie dawano mi jednakową odpowiédź: kandydatów mamy więcéj, niż potrzeba.

Wkrótce téż Stach począł się fantować: najpierw poszły do lombardu rzeczy kosztowniejsze, dające tém samém możność dłuższego zaspakajania bieżących wydatków otrzymanemi za nie pieniędzmi. Niewiele ich, coprawda było: staroświecki złoty zegarek po ojcu i jego własny srebrny, pozatém kilka drobiazgów ze szlachetnych kruszców — oto wszystko. Lecz żyć za nie można było jeszcze parę tygodni.

Kiedyś niespodzianie zetknąłem się z Zyniem. Szedł w wybornym humorze w towarzystwie paru niemniéj rozweselonych fircyków, tamując wraz z nimi przejście na jednéj, co najmniéj, połowie chodnika. Gdy mnie ujrzał, natychmiast pożegnał się z wesołymi koleżkami, aby i ze mną trochę porozmawiać.

Wyznałem mu nasze strapienia. W odpowiedzi począł się śmiać serdecznie.

— Jacyście wy cudaczni ludzie! Wrota są otwarte, więc niepotrzebnie silicie się je wyłamać!

Żywo zapytałem go, co rozumié przez tę przenośnię.

— Najprostszą w świecie rzecz! Niech Stach poemata swe złoży pod klucz do jakiego muzeum, z poleceniem odczytania ich i spożytkowania dopiéro po jego śmierci, a może być pewnym, że kiedy robactwo toczyć będzie jego ziemską skorupę, jednocześnie imię jego za-

grzmi od Karpat aż do Baltyku, i rodacy, w uznaniu geniuszu, stawiać mu będą pomniki. Tymczasem jednak niech nie droży się zbytnio ze swą umiejętnością klejenia rymów, lecz niech smali siarczystą odę do dziurawego buta, lub téż co podobnego. Im głupszy temat uda mu się wynaléźć, tém lepiéj dla niego, gdyż tém łacniéj zrozumiany i oceniony zostanie przez gruboskórnych filistrów, tworzących tak zwaną czytającą publiczność. Uzyska rozgłos, nieco mamony, a więc wszystko, czego potrzeba dla osłodzenia głupiéj farsy, odgrywanéj przez każdego z nas na tym padole...

— Zresztą — przerwał nagle sam sobie — nie on pierwszy pójdzie tą drogą. Chyba ostatni... Koledzy jego z akademii częstochowskiéj dawno już to samo zrobili. To téż rymotwórców bieżącéj doby rozklasyfikować można na dwie tylko grupy: takich, co pieją hymny na cześć zwiędłego liścia lub zgubionéj podwiązki zupełnie poważnie, w dobréj wierze, najmocniéj przekonani o świętości swego powołania i niepospolitéj ważności podejmowanéj przez się pracy, i tych, co czynią to samo z podkładem ironii nad głupotą czytelników i — swoją własną. Zarówno jedni, jak i drudzy w utwory swoje wkładają, mniéj, lub więcéj świadomie nieocenione skarby humoru, i dlatego to tak zwana „poezya" nie schodzi dotychczas ze szpalt kuryerów, a nawet tygodników...

Widząc, że nie jestem dziś w usposobieniu do bawienia się jego dowcipami, pożegnał mnie jeszcze szybciéj, niż się był przywitał i ruszył dopędzać towarzyszów, zagubionych w tłumie.

Słowa jego zrobiły na mnie wrażenie jaskrawéj racy, wybuchającéj niespodzianie tuż pod nogami: narazie oszołomiły i ogłuszyły. Szybko jednak zoryentowałem się, że są to zwykłe jego koszałki-opałki, z których jakichkolwiek pozytywnych wniosków lub wskazówek wyciągnąć niepodobna. Lecz nie! Zdawało mi się, że jakąś myśl dostrzegam, myśl mogącą się okazać pożyteczną dla Stacha... Otóż jest! Radził przecież Stachowi wziąć się do pisania wierszyków do kuryerów i innych pism, zajęcia, z takiém powodzeniem osobistém uprawianego przez tylu wierszokletów!

Czépiałem się pierwszéj lepszéj poddawanéj mi myśli, wierząc naślepo, iż okaże się zbawienną.

Lecz Stach był innego zdania w téj kwestyi. Zmył mi nawet porządnie głowę za zachęcanie go do złego czynu.

— Nie mogę — mówił przyjąć waszych rad, gdyż nie zgadzają się one z mojemi istotnemi poglądami na godność i znaczenie poezyi. Jestem zdania, że każdy profesyonista czy to będzie rzemieślnik, czy poeta, powinien zawsze wkładać w swoją robotę tyle uczciwości i do-

bréj woli, o ile go tylko stać. Przytém świadome oszukiwanie współbliźnich nigdy na dobre nie wyjdzie właściwemu sprawcy złego czynu. Z raz zajętego stanowiska schodząc na niższy poziom, zostajemy obryzgani błotem, które nigdy już potém zetrzéć się nie da. Tak np. jeśli dobry szewc pocznie przez czas jakiś popartacku wykończać swoją robotę, to niezawodnie późniéj pomimo najszczerszéj chęci nie zdoła już ani jednéj pary butów odrobić z taką, jak dawniéj, precyzyą. Takie samo zjawisko obserwować możemy u wszelkich upadłych artystów...

— A jednak trzeba skądciś ten grosz wydobyć — przerwałem z cicha.

— Tak, mój drogi, tak! Trzeba! Koniecznie trzeba! — uniósł się Stach. Tylko nie za pomocą takich środków, które ujemnie oddziaływają na ogólne dobro społeczne, w najdrobniejszéj choćby mierze. Jeśliż głodny, panie poeto, to weź się do mechanicznego przepisywania papierów, lub do tłuczenia kamieni na szosie, wreszcie tragarzem lub posłańcem zostań, gdyż takie, lub temu podobne zajęcie, jeśli dla ciebie przykrém będzie, to innym tylko pożytek przynieść może. Nie waż się jednak pisywać niewybrednych, łatwo dających się spieniężać, wierszyków, gdyż w ten sposób przyczyniać się będziesz do wyrabiania bałamutnych poglądów w naszych, i tak nieszczególnie rozwijanych umysłach...

— Przecież nie zechcesz chyba w czambuł potępiać wszystkich tych rymotwórców. Są między nimi ludzie zupełnie uczciwi — wtrąciłem znowu.

— Masz racyę. I ja wiem o tém, że owa zwarta falanga dostarczycieli rymów działa przeważnie w dobréj wierze. Tylko, zbyt niskie kręgi zataczając ubogim umysłem, żaden z nich nie jest w możności dokładnie ocenić bezsensowności własnych wierszydeł. To téż przy czytaniu owych utworów chce się wołać: Panie, przebacz im!

— Co jednak jabym robił pośród tylu ćwierkających wróbli? — zakończył, zwracając się z pytaniem wprost do mnie.

Nie wiedziałem co mu na to odpowiedzieć. Teraz dopiéro zoryentowałem się, iż zupełnie nie potrzebnie wszczynałem tę rozmowę, ponieważ Stach nieraz już wypowiadał się w téj kwestyi: poglądy jego były już ustalone i przytém znane mi dokładnie. Przypomniałem sobie jednocześnie jego opowiadanie, jak, mając lat szesnaście, po naczytaniu się poezyi, secinami tworzył mnóstwo ulotnych wierszyków, widocznie gładkich zupełnie i niegłupszych od innych, skoro niejeden z nich w swoim czasie wydrukowany został w pismach peryodycznych. Następnie jednak, kiedy, jak sam się wyrażał, doszedł już nareszcie

do rozumu, to jest wyrobił w sobie szersze poglądy estetyczne, zaprzestał naturalnie uprawianego dotychczas z niejakiém powodzeniem młócenia słomy, a natomiast, odświeżywszy w umyśle zasady umiejętnego tworzenia, począł, z większym nakładem twórczych wysiłków, dbać nie tylko o formę i dobór rymów bez zarzutu, lecz i o prawdziwie artystyczne rozwinięcie i obrobienie podejmowanych przez się tematów. Niestety!—zapewniło mu to uznanie grona znawców i nic więcéj.

Nagle zadrżałem. Raptowny odruch świadomości, jak błyskawica, rozdarł powłokę niejasnych dotychczas dla mnie stanów ducha ludzkiego i oświetlił ich mechanizm. Odnalazłem źródło, skąd tryska ów magiczny zdrój wiecznie młodéj, wiecznie potężnéj siły, czarującéj wszystkich słuchaczy Stacha. Pojąłem przyczyny i podstawy porywającego zapału, z jakim wypowiadał swe szczere, z głębi serca płynące przekonania... Jedynie hołdowanie bezwzględnéj prawdzie, jedynie szczerość względem samego siebie i w stosunku do innych mogła mu dać tę pewność siebie i tęgość charakteru, które w połączeniu z darem słowa i z niepospolicie wyrobionym umysłem, składały się na utworzenie z niego wyjątkowéj i do wyjątkowych celów przeznaczonéj jednostki... Lecz i to jednocześnie zrozumiałem, żem niegodnie postąpił, usiłując nakłonić go do ustępstwa na rzecz wymagań życiowych, sprzecznych z jego najgłębszemi przekonaniami. Wszelkie bowiem kompromisy z życiem są to podjadki naszego charakteru: raz uznawszy własną głupotę, lub téż bezsilność, coraz słabszy opór stawiamy nacierającym na nas wątpliwościom, aż wreszcie pewnego pięknego wieczoru z westchnieniem ogromnéj ulgi precz odrzucamy pozostałe w nas jeszcze zasady, i odtąd już płyniemy z prądem, jak baranki cierpliwi i pokorni, z jedném tylko hasłem na zgorzkniałych ustach: żyć i używać...

. . . .

Tymczasem dni płynęły i położenie wciąż stawało się groźniejszém. Od pierwszego nowego miesiąca ja już sam opłaciłem mieszkanie, które przedtém najmowaliśmy do współki. Gryzło to Stacha niezmiernie; to téż nawet słuchać nie chciał obecnie o żadnych, choćby najskromniejszych i najmniéj drażliwych środkach pomocy, jakieśmy mu próbowali podsuwać wraz z paru kolegami. Sprzedawszy, lub zastawiwszy w lombardzie wszystko, co tylko miało pewną wartość, żył teraz jedynie herbatą z bułkami, nie będąc w stanie pozwolić sobie na obiady. Godzinami całemi siadywał nieraz w mieszkaniu, przy swoim stoliku, pogrążony w głębokiéj zadumie. Patrząc nań, odgadywałem, jakie piekło demonicznych pytań dręczy go i szarpie w podobnéj chwi-

li. I to pytań, na które nie masz odpowiedzi. To też coraz częściéj w oczach jego spostrzegałem blask spokojnéj determinacyi, lodem ścinający moje trwożliwe przypuszczenia.

Okrutne są to dni, prawdziwe dni rozkładu, kiedy zjawia się przed nami groźne widmo niedostatku, powodując brak możności zaspakajania najpierwszych naszych potrzeb. Ciocia-nędza kościstą dłonią impertynencko chwyta za ozydle,, a drugą, w pięść zwiniętą, wybębnia *requiem* na głowie swéj ofiary.

Są jednak, pomimo to ludzie, a nawet wielu jest takich, co twierdzą, iż nędza hartuje ducha. Kłamstwo! Ohydne kłamstwo, wymyślone przez sytych dla zaspokojenia własnego sumienia! Nic właśnie tak, jak nędza, nie podgryza, nie niszczy, nie ściéra w strzępki całego, bez wyjątku, naszego jestestwa! W nieubłaganych, jak kleszcze twardych jéj uściskach umysł nasz łamie się, kona... Dobrze jeszcze, jeśli tylko ugnie się w tych zapasach. Lecz i wtedy inny już człowiek, niż dawniéj, toczy dalej swą taczkę życia...

. . . .

Któregoś dnia wpadł do nas Zynio, a widząc Stacha niezwykle rozdrażnionym, powziął myśl spróbowania jeszcze jednego środka. Długo chodził po pokoju, coś sobie przypominał, tarł czoło, wreszcie zwrócił się do mnie:

— Ty, Felek, zdaje się znasz Klimeckiego? Co?... Tam by się zwrócić należało, do jego „Świtu.” To bogate pismo, kto się do niego przyczepi—nie zginie...

Rzeczywiście, znałem osobiście redaktora jednego z poczytniejszych pism, Klimeckiego, do którego Stach wcale się nie zwracał, mając go za betkę-pętelkę. Był to człowiek, poważający literaturę wyłącznie, jako interes, to też nie mogliśmy czuć dla siebie wielkiéj sympatyi. W danych jednak warunkach należało wyzbyć się skrupułów, gdyż Klimecki, radząc się w prowadzeniu pisma wyłącznie swego widzimisię, mógł być innego od swych kolegów zdania co do przypuszczalnéj poczytności utworów Stacha. Była w tém więc jeszcze pewna nadzieja.

Stach wysłuchał propozycyi ze wzruszeniem ramion. Biorąc to za oznakę milczącego zaakceptowania, tego samego dnia udałem się do Klimeckiego.

Przyjął mnie, według swego zwyczaju, z wyszukaną uprzejmością, pod jéj osłoną ukrywał on głęboką pogardę względem wszystkich, którzy naokoło innéj, aniżeli pieniądz, obracają się osi Z sympatyą i współczuciem wysłuchał relacyi o położeniu bez wyjścia utalentowa-

nego poety, a mego przyjaciela; poczém prosił o pozostawienie mu do przejrzenia przyniesionego przezemnie rękopisu Stacha, solennie obiecując ze swéj strony zrobić wszystko, co tylko w jego mocy i t. d.

Dobrze znałem wartość jego lisiéj grzeczności, lecz przypuszczałem, że może zdoła podanie pomocnéj ręki Stachowi skombinować z własną korzyścią, a przeto postanowiłem czekać.

. . . .

Nazajutrz humor Stacha zmienił się do niepoznania. Zrana obudził się rzeźki, wesoły, jak człowiek, nie mający żadnych kłopotów, lub przynajmniéj nie dbający o nie. Zdziwiło mię to bardzo, gdyż nie widziałem słusznych powodów takiego ożywienia. Szczególnie jednak zwróciła moją uwagę wyjątkowa serdeczność, a nawet tkliwość, z jaką stale przemawiał dziś do mnie. — Co mu się u licha stało?—myślałem z niepokojem. Nie miałem jednak czasu zapuszczać się w dłuższe dociekania, gdyż trzeba mi było ruszać na miasto. Wróciwszy o drugiéj popołudniu, nie zastałem Stacha w domu. Przyszedł dopiéro po jakimś czasie, nucąc w takt swych kroków marsza z operetki. Ze śmiechem opowiedział swe spotkanie z Apellesem, który emablował na ulicy jakiegoś garbatonosego bankiera. Korzystając z tak dobrego humoru, zaproponowałem mu obiad.

— Zgoda! — zawołał. — Ale ja płacę, przynajmniéj za siebie.

— Tak będzie niedobrze — zaoponowałem.—Niechaj ten płaci, kto ma pełniejszy pugilares.

— Nie dokuczaj mi, mój drogi. Nie dokuczaj...—prosił Stach.— Jutro będziesz fundował, bo na dziś mnie jeszcze wystarczy.

Przy obiedzie gawędziliśmy, jak za dawnych, dobrych czasów. Stach przypominał sobie różne anegdotki, wyciągał wspomnienia ze szkolnych czasów, a wszystko z taką swobodą, z taką niewymuszoną wesołością, jak gdyby skończyły się już jego strapienia.

— Musiałeś ty, Stachu, mieć choć jedną ciotkę? — zagadnąłem go wreszcie, pragnąc skierować rozmowę na interesujący mię temat, t. j. wyjaśnienie powodów jego wybornego humoru.

— A bo co?

— Widocznie umarła i zrobiła cię swoim spadkobiercą...

— Może i tak — odparł w zamyśleniu, stając się głuchym na dalsze zapytania.

Zacząłem się teraz przekonywać, że omyliły mię pozory: dzisiejsze jego ożywienie było tylko sztuczne, chwilowe, wywołane prawdopodobnie, uplanowanym projektem, lub téż, co prędzéj powziętą stanowczo decyzyą. Jaką?... tego się nie domyślałem; widocnie jednak

nie zbyt krzepiącą, skoro tak łatwo znowu uległ zniechęceniu. Nerwowo podkręcając wąsa, siedział teraz milczący, z utkwionemi w przestrzeń oczyma, w których wyraźnie malowała się duchowa rozterka. Przyglądając się baczniéj, dostrzegłem w nich odbłysk przestrachu, jaki miewają małe dzieci, gdy je kto chce bić. W jednéj chwili fala przerażenia brała go w posiadanie, nasycając dzikością wzrok, a twarz wykrzywiając kurczowo. Może mi się to zresztą tylko tak wydało, gdyż od zbliżającego się garsona zażądał rachunku spokojnym, zwykłym swym głosem. Następnie uradziliśmy wracać natychmiast do domu, gdyż smętny dzień grudniowy nie usposabiał bynajmniéj do przechadzki.

Lecz i w mieszkaniu u siebie nie zdołaliśmy dojść do większego spokoju ducha: wprost nie mogliśmy znaléźć sobie miejsca. Niepokój smagał nas swém ostrém tchnieniem. Stach chodził szybko po pokoju, co kilka minut przysiadając na krześle; ja wziąłem do ręki jakąś powieść i przerzucałem kartki, nie mogąc połapać się w treści. Raz wraz to jeden, to drugi z nas zaczynał rozmowę, lecz po paru urywanych zdaniach nie mieliśmy już sił, ani ochoty do jéj przedłużania.

W tém od drzwi doszedł nas donośny odgłos dzwonka; naprężone nerwy nasze odpowiedziały szarpnięciem. Posłaniec przyniósł list. Od kogo? Szybko rzuciłem okiem na podpis: Józef Klimecki.

Co téż to on pisze?

„Poemat pana Stanisława Pełki przeczytałem ze szczerem estetyczném zadowoleniem: dziwnie piękny ten utwór świadczy o niepospolitych jego zdolnościach. Z prawdziwą przeto przykrością kreślę tych parę słów, nie mogąc tymczasowo (wyraz podkréślony), ze względów zupełnie od méj woli niezależnych, zadość uczynić życzeniu Panów. Gusta naszéj czytającéj publiczności znane są powszechnie: żąda ona od pisma tylko lekkiéj rozrywki, lub co najwyżéj, informacyi. Dla tego téż dłuższy poemat, szczególnie podpisany mniéj znaném nazwiskiem, bezwarunkowo nie byłby czytany. Pomimo to, pragnąc pana Pełkę dać bliżéj poznać publiczności, przynajmniéj mojéj (znowu wyraz podkréślony) publiczności, ośmielam się uczynić następującą propozycyę. Potrzebuję w tych czasach (jak najprędzéj) do redagowanego przezemnie pisma paru wierszyków o wskazanéj treści i formie, a ponieważ pan Pełka, posiadając wyrobiony talent, łatwo i umiejętnie potrafiłby to uskutecznić, przeto radbym dziś jeszcze ujrzéć go w naszéj redakcyi, w celu osobistego omówienia interesującéj nas kwesyi."

Tfu! do licha! Należało się tego spodziewać! Z niechęcią rzuciłem list na stół.

Stach szybko chwycił go i począł czytać. Widocznie jednak musiała mu się treść jego niepodobać bardziéj jeszcze, niż mnie.

— Cynik bestya! — mruknął, czerwieniąc się z oburzenia.

Poczém machinalnie schował list do kieszeni surduta i począł chodzić wzdłuż pokoju szybkim, niespokojnym krokiem, rzucając od czasu do czasu parę dosadnych słów.

Nagle zatrzymał się, bystro spoglądając na mnie.

— Czy nie uważasz, że bezczelność tych... handełesów przechodzi wszelkie granice? — zapytał, cedząc wyrazy przez zęby.

Spojrzałem na niego uważnie, zdziwiony tonem tych słów.

— Mam już tego potąd! — dodał, robiąc ruch palcem w poprzek gardła. Poczém szybko przeszedł do przedpokoju, narzucił palto i czapkę, i już po chwili dudnił obcasami po schodach.

Zerwałem się jak oparzony. Co mu się stało? Gdzie on pobiegł? Ha! Z niedobrym chyba zamiarem!

Z błykawiczną szybkością narzuciłem wierzchnie ubranie i w oka mgnieniu znalazłem się przed bramą.

. . . .

Był wczesny wieczór. W przejrzystém cichém, lubo chłodném powietrzu każdy przedmiot przedstawiał się wypukło, jak w płaskorzeźbie. Wysokie domy sterczały z obu stron ulicy, jak granitowe ściany. Sylwetki nielicznych przechodniów wyraźnie odcinały się od szklistego, w świetle latarni, tła kamienic i chodników: widać było nietylko zarysy ich postaci, lecz także ich bryłowatość. Stacha dojrzałem niedaleko: szedł szybko, nacisnąwszy czapkę na głowę, z rękoma w kieszeniach paltota.

Podążyłem za nim nieznacznie, obawiając się jakiéj z jego strony ostateczności. Wiedziałem tylko, że ja nie mogę dopuścić go do tego. Nie powinienem. Jeśli lepsi z pośród nas będą ginęli tak marnie, to któż wtedy zostanie?

Tymczasem Stach ze Wspólnéj skręcił na Marszałkowską, gdzie, wobec znacznego ruchu ulicznego zmuszony był trochę zwolnić kroku. Ja téż przystosowałem się do jego chodu: myśli moje poczęły krążyć spokojniéj, w wolniejszém tempie. Przypomniałem sobie teraz, między innemi, iż on nieraz wypowiadał się w kwestyi najłatwiejszéj śmierci przy samobójstwie: według jego zdania najmniéj przykrém, dla osób, nie mających rewolweru, jest być zdruzgotanym kołami pociągu.

Może on właśnie dąży teraz na dworzec wiedeński?

Ścierpłem...

. . . .

Dokoła życie wrzało w całéj pełni. Na tle zapadającéj ciemnéj nocy coraz jaskrawiéj i wyraziściéj świeciły sznury gazowych latarni i masy przeróżnych lamp, umieszczonych w witrynach sklepów. Chłodne, spokojne powietrze nadawało przechodniom rzeźkość, jakby po zimnéj kąpieli, — to téż na wszystkich twarzach znać było ożywienie i bezwiedne lubowanie się ruchem. Urywany turkot dorożek, dzwonienie tramwajów, odgłosy kroków i rozmów zlewały się razem w jeden ogłuszający hałas, którego pojedyńczych dźwięków niepodobna było rozpoznać.

Stach szedł już teraz zwykłym swym krokiem: widocznie chwilowe rozdrażnienie ustępowało miejsca chłodniejszemu nastrojowi. Nagle zatrzymał się i począł się rozglądać dokoła, jakby szukając czego.

Niedaleko widać było wielkie, jasno oświetlone okna cukierni. Tam podążył bez wahania. Wszedłszy, szepnął coś usługującemu chłopcu i usiadł w oczekiwaniu, przy bocznym stoliku. Zatrzymałem się i ja—zdziwiony i zaniepokojony. Przez wielką szybę widać było dokładnie sporą salkę, zalaną jarzącém światłem; przy małych stolikach siedziało wiele osób, lecz jedynie osoba Stacha przykuwała w niéj moją uwagę. Zrazu malowała się na jego twarzy tylko bezmyślna obojętność; widocznie siłą woli oddalał od siebie myśl wszelką, aby nie drażniła bolesnych, otwartych ran jego ducha. Następnie jednak twarz jego przybrała wyraz poważny, skupiony: pewno jedna jakaś myśl zawładnęła nim całkowicie. Zatopiony w dumaniu, nie uważał, jak chłopiec przyniósł mu herbatę. Zwolna goście zaczęli podnosić się od sąsiednich stolików, inni natomiast przybywali. Mnie nogi ścierpły od stania: jąłem więc chodzić na niewielkiéj przestrzeni, aby, o ile możności, nie tracić go z oczu. Widocznie wielkie sprawy ważyły się teraz w jego umyśle, gdyż świat zmysłowy nie istniał dlań wcale.

Nareszcie... nareszcie coś obmyślił.

Uśmiechnął się, lecz dziwny to był uśmiéch, jakiego nigdy jeszcze na jego twarzy nie widywałem. Wydobył notes i począł w nim coś kreślić z przerwami i długim namysłem.

Znowu kolnęło mię niedobre przeczucie. — Zapewne testament pisze,—błysnęła mi myśl — lub może dla mnie parę słów pożegnania... Stachu! Stachu! czyż ci nie żal będzie tak śmiało niegdyś w myśl wznoszonych ideałów, które tu na ziemi zostawisz niespełnionemi? czyż i ty opuścisz tę niwę, na któréj pracowników trzeba jak najwięcéj, pracowników dzielnych i niczém niezmożonych? Z pola walki, jak tchórz nikczemny uciekniesz?...

On tymczasem nie odczuwał moich wezwań, tylko pisał daléj. Skończył, przeczytał, uśmiechnął się, wypił herbatę, zapłacił i wyszedł.

Na dworze zrywał się teraz wiatr, niewielki, jak to zimą bywa, ale dojmujący do kości. Pochód nasz rozpoczął się nanowo. W bliskości dworca wiedeńskiego umyślnie zmniejszyłem dzielącą nas odległość, aby módz zabiédz mu drogę. On jednak inne miał, niż myślałem zamiary, gdyż szedł wciąż prosto...

Tu stała się rzecz nieprzewidziana. Z gmachu dworca poczęły wysypywać się tłumne roje przyjezdnych, z gorączkowym pośpiechem dążąc ku miastu. Posługacze kolejowi, z walizkami i tłómokami w rękach nawoływali dorożkarzy; ci znowu donośném: na bok! — usuwali z drogi publiczność; wszystko to, przy ogólném zamieszaniu, tworzyło nieopisany hałas.

W tym zamęcie Stach zniknął mi z oczu.

Daremnie z szybkością i bezwzględnością szczupaka rzucałem się w najgęstszy tłum, aby dojrzéć tak dobrze znaną mi jego postać, daremnie narażałem się na ironiczne, a czasem opryskliwe uwagi rozpychanych przezemnie przechodniów, — zasapany, zmęczony, musiałem po jakimś czasie uznać bezpłodność własnych wysiłków. Tymczasem fala ludzka niosła mię coraz daléj, — dopiéro koło Złotéj opamiętałem się, że nie mam najmniejszéj potrzeby dążyć w tym kierunku.

Wróciłem do domu, targany niepewnością co do losów Stacha. Wyczerpany długą pogonią, a jeszcze bardziéj gnębiącym niepokojem, rzuciłem się na łóżko, gdziem długo w noc przeleżał bez ruchu, snując w rozgorączkowanym umyśle fantastyczne rojenia.

Mocą wyobraźni widziałem rozpędzoną, ziejącą iskrami lokomotywę, w szalonym pędzie zbliżającą się ku leżącemu w poprzek szyn Stachowi. Lekkie szarpnięcie, potém zgrzyt... okropny zgrzyt miażdżonych kości ludzkich, — i rozhukany pociąg, jak burza, toczy się daléj. aby zniknąć w mrocznych czeluściach nocy... Tu znowu plastycznie zarysowywały się inne, jasne teraz i promienne obrazy; Stach usunął się z dotychczasowéj dusznéj, ciężkiéj atmosfery i pracuje gdzieś na uboczu, zachowawszy dawną moc i nieskazitelność ducha. Wreszcie i ta idylla, i denerwujące zmory i wszystkie, na wpół senne fantasmagorye poczęły zléwać się w jedną całość, tworząc chaotyczny amalgamat obrazów i dźwięków... Zasnąłem...

. . . .

Nazajutrz rano posłaniec miejski wręczył mi starannie zaadresowany list. Przeczytałem co następuje:

Życia sobie nie odebrałem. Żegnam Cię.

Stanisław Pełka

Machinalnie jąłem wsuwać list napowrót do koperty. Wiadomość, zredagowana w telegramowym stylu, oszołomiła mnie do reszty po niedospanéj nocy. Przez chwilę wydało mi się, iż znowu stałem się pastwą przywidzenia. Lecz nie! miałem przecież w ręku realny dowód rzeczywistości.

Powtórnie zabrałem się do odczytywania listu. „Życia sobie nie odebrałem. Żegnam cię. Stanisław Pełka.” Życia sobie nie odebrał! To, naturalnie, bardzo mnie cieszy. Ale dlaczego tak stanowczo żegna się ze mną? Czynimy to wówczas jedynie, kiedy nie mamy już nadziei spotkać się w życiu ze sobą. A przecież nasz świat nie jest tak znów wielki... Warszawa, gdzie istniejąca w wysokim stopniu koncentracya ruchu umysłowego zmusza biorące w nim udział inteligentne jednostki bezustannie ociérać się o siebie, — i prowincya, skąd każdy, przyciągany atrakcyjną siłą wielkiego miasta, z miłą zawsze chęcią śpieszy do stolicy... Jakże tu się nie spotkać?

Chyba... chyba że on odtąd inną pójdzie drogą...

Nie, to nie może być!

. . . .

Przez parę dni następnych chodziłem, jak odurzony. Przypuszczalne odstępstwo Stacha od dotychczasowych zasad dręczyło mnie niezmiernie. Daremnie wszelkiemi sposobami starałem się pozbyć dokuczliwéj myśli. Odepchnięta, wracała natychmiast, coraz nowe dowody przytaczając na swe poparcie. Kropla po kropli do serca mego sączył się jad zwątpienia, — zwątpienia co do ludzi. Jakto? więc człowiek, ta najrozumniejsza istota, nie jest w stanie zdobyć się na tyle rozumu i silnéj woli, aby życie całe przejść po równéj drodze, zawsze w zgodzie z samym sobą? więc ideał doskonałego człowieka, tylokrotnie przez religię lub przez mędrców nakréślony, nigdy nie przejawia się w skończonéj formie? Lecz jeśli tak jest naprawdę, jeśli każdemu z nas sądzono choć raz w życiu unurzać się w błocie, to cóż dziwnego że ludzie, wiedząc o tém, wolą odrazu nie bawić się w cnotę? Idąc konsekwentnie daléj w dowodzeniach, widzą w społeczeństwach ludzkich nie skupione organizacye istot ucywilizowanych, dążących do wzajemnego udoskonalenia, lecz raczéj stada żrących się między sobą pawianów. Siła i spryt stają się jedynymi regulatorami stosunków tak pomiędzy pojedyńczymi członkami w społeczeństwie, jak i między całemi społeczeństwami. Pod osłoną wzniosłych haseł miłości bliźniego trwa daléj walka o byt w całéj swéj zwierzęcości: o grosz lub o niebaczne słówko biorą się ludzie za łby.

Haniebnie wstrętny ten obraz powstrzymał mnie od dalszego snu-

cia wniosków. Niepodobieństwem jest, aby tak źle było na świecie. Zresztą wnioski te same runą, jeśli założenie okaże się błędném, co zupełnie możliwe jest wobec tego, iż niełatwo byłoby zapewne Stachowi przekréślać w ten sposób całą swą przeszłość, a przytém znany mi dobrze nieugięty jego charakter sam zaprzeczał podobnym domysłom. Pomimo to jednak dokuczliwa myśl nie ustępowała: sprzedał swe zasady, sprzedał, sprzedał! — szeptała mi wciąż do ucha. A ja, z uporem człowieka, któremu chcą zabrać najdroższe jego skarby, powtarzałem: nie, nie i nie!...

. . . .

Wieczór zapadał.

Wróciwszy z miasta zziębnięty, znużony, zasiadłem do stolika, aby przy świetle lampy uporządkować nagromadzone od pewnego czasu notatki. Zagłębiłem się po uszy w téj robocie, odtwarzając dzień po dniu swe życie umysłowe z ostatnich paru miesięcy.

Cisza otaczała mnie zupełna; zrzadka tylko przerywało ją wesołe buchanie ognia, niedawno w piecu rozpalonego. Nanowo odczuwałem dawno minione wrażenia. Przeżyte myśli i rozprawy powracały w całym swym uroku. Zdawało mi się, iż znowu rozmawiamy ze Stachem, podnosząc interesujące nas kwestye.

To téż nie bardzo zdziwiłem się, ujrzawszy go w rzeczywistości, stojącego na środku pokoju. — Muszą być drzwi niezamknięte—przemknęło mi tylko przez głowę. Już, już miałem podbiedz ku niemu ze słowami:—Tyżeś to nareszcie!? — gdy, rzuciwszy na niego okiem, zachwiałem się w pierwszém postanowieniu.

Był dzisiaj jakiś inny, niż zawsze. Ubrany z wyszukaną elegancyą, niezwykłą dotychczas u niego, uderzał przedewszystkiém wyzywającą pewnością siebie; po twarzy błądził uśmiéch zagadkowy.

Instynktownie cofnąłem się w zapale radości. Chłodno, z udanym spokojem, podaliśmy sobie ręce.

Pragnąc widocznie odrazu zrzucić z siebie ciężar niezbędnych wyjaśnień, zagadnął mnie z partesu.

— No, ja już wyzbyłem się chłopięcych naiwności, a ty?

Za całą odpowiedź spojrzałem na niego.

Musiała mu się niepodobać ta niema wymówka, gdyż, odrzucając przybraną maskę obojętności, jął mówić szybko, głosem podrażnionym:

— Niewłaściwie patrzysz się na mnie z politowaniem, jak na jakiego głupca, gdyż ja właśnie teraz dopiéro być nim przestałem. Teraz dopiéro zrozumiałem, jak wielką niedorzecznością jest niebotyczne

wywyższanie własnego „ja", stwarzanie we własnym umyśle przez siebie i dla siebie odrębnego zupełnie świata. Istnieją przecież miliony milionów podobnych nam jednostek, nietylko żyjących, lecz i myślących także. Jakiżby więc nieopisany zamęt zapanował na ziemi, gdyby każdy zechciał wyłącznie własne poglądy uważać za nieomylne! Jedynie pycha, zaślepiona pycha młodzieńcza może roić coś podobnego. Brany pojedyńczo, każdy osobnik ludzki jest prochem, pchłą, bańką mydlaną, jedném słowem—czémś nic nieznaczącém. To samo widzimy i w umysłowéj sferze, i dlatego, kto chce dobadać się prawdy, nie powinien zamykać się w czterech ścianach pokoju, sam na sam ze swemi myślami, lecz raczéj niech pilnie śledzi żywe tętno przez ogół wyrabianych ideałów, gdyż w ten tylko sposób zdoła wyrobić w sobie poglądy, odpowiadające rzeczywistym naszym pragnieniom i potrzebom.

— Sofizmaty pana Klimeckiego—pomyślałem w duchu. Słuchałem daléj, nie chcąc bezpożytecznie, jak o tém z góry byłem przekonany, wdawać się w rozprawy.

— W streszczeniu można to wyrazić tak: — prawił daléj Stach z ożywieniem nowonawróconego — wolno nam być reformatorami, lecz nigdy burzycielami istniejącego porządkn, nawet w najlepszych zamiarach, — burzycieli bowiem ludzkość instyktownie się obawia, jakby przeczuwając w nich najgorszych swoich wrogów. Zasadą wszelkich skombinowanych ruchów, a takim właśnie jest ogólne nasze dążenie ku szczęściu, jest hasło: *festina lente* — spiesz się pomału. Otóż, jeśliby nawet przyjęte przez ogół poglądy nie dorównywały moim pod względem szerokiego objęcia i etycznego wyrobienia, to ja ze swéj strony nie powinienem okuniem stawać przeciw wszystkim, — bynajmniéj! w ten sposób przyczyniałbym się tylko do powiększenia zamętu w umysłach! — lecz należy mi przyjąć owe, niezgodne z mojemi, wnioski, wchłonąć je w siebie, udoskonalić w miarę możności, i wtedy puścić je znowu w kurs dla najszerszego rozpowszechnienia. W ten tylko sposób odbywa się ewolucya poglądów szerokich mas; wyższe i szlachetniejsze pojęcia przenikają coraz daléj niepostrzeżenie, nie budząc nawet opozycyi. Zrozumiałem to, powtarzam raz jeszcze, teraz dopiéro, a zrozumiawszy, zostałem najbliższym współpracownikiem pana Klimeckiego, pragnąc iść odtąd w życiu równolegle z innymi, a nie, jak to dotychczas czyniłem, pogonią po manowcach za chimerami ujawniać tylko nadwerężenie swego umysłu... Czy aby tylko ty mnie dobrze rozumiész?...

O! rozumiałem doskonale tę dziwaczną mieszaninę nieprzemyślanych należycie poglądów. Poprzez misterną tkaninę szumnobrzmią-

cych frazesów, przezierała z nich pozioma chęć używania, z szelmowskim sprytem zaszczepiona przez Klimeckiego. Lecz było mi tak smutno, tak przeraźliwie smutno, żem się nie ważył nawet ust otworzyć. W jakim celu? Wszak wiedziałem już to, co mi było potrzebne. Stach okazał się chłystkiem, mało co wyżéj sięgającym mocą umysłu i charakteru od przeciętnych zjadaczy chleba. Złudą więc były marzenia moje o możliwości istnienia czystych i pięknych duchów ludzkich! Złudą był cały gmach poglądów, wysnuwany z nieśmiertelnych pierwiastków prawdy, dobra i piękna! Oto ten Stach, ten bezwzględny dotychczas czciciel zasad tych i obrońca, poczyna nagle pluć na to, przed czém kolana dawniéj zginał. Prawda? zastąpił ją inną, trochę tańszą. Dobro? skopał je nogami, własną korzyść na pierwszym stawiając planie. Piękno? zaprzeczył mu wstrętnym brakiem zasad... I zdjął mnie wielki żal do niego za tę pustkę, com ją nagle uczuł w sercu i umyśle.

Stach widocznie domyślał się mniéj więcéj, co się we mnie działo, gdyż, pakując do walizki szczupłe swoje manatki, począł znowu mówić, party wewnętrzną potrzebą wypowiedzenia się i — wytłómaczenia:

— Zresztą, z jakiegokolwiek punktu rozpatrywać będziemy tę kwestyę, zawsze słuszność pozostanie po mojéj stronie. Tak np. weźmy zasadę walki o byt. Wszyscy uznajemy istnienie jéj w naturze; lecz nie wszyscy dokładnie zdajemy sobie z niéj sprawę. Tymczasem przy bliższém rozpatrzeniu się w jéj objawach doszlibyśmy do odkrycia i poznania prawa,—prawa, od którego nie ma wyjątków, — głoszącego, że w walce o byt zwyciężają nie najlepsze jednostki, lecz jedynie najlepiéj przystosowane do warunków. W takim przeto stanie rzeczy, jaki teraz istnieje, łajdak zawsze będzie tryumfował, a jego antyteza—ginął. Zdaje mi się téż, że owym najlepszym należy wziąć już wreszcie rozbrat z dotychczasową niepraktycznością, należy poczynić pewne ustępstwa na rzecz wymagań życiowych, — opłaci im się to stokrotnie, z ich nawet punktu widzenia, gdyż piastowane przez nich ideały żyć będą i utrwalać się pośród mas, zamiast ginąć niespełnione, jak to dotychczas zwykle bywało. Ale po co ja to mówię? Ty mnie przecież nie zrozumiész! nie zechcesz! Taki staroświecki, jak ty, idealista, będzie sianko swoje gryzł aż do śmierci, nie zamarzywszy nawet o szerszych horyzontach. A więc dobrze! Pójdziemy odtąd odmiennemi drogami!...

Wymawiał te ostatnie zdanie z patosem, usiłując nadać im ton pobłażliwéj ironii; czuć w nim jednak było zrywającą się, niemą do-

tychczas, burzę, podsycaną mojém upartém milczeniem, które widocznie brał za oznakę pogardy.

Walizka, do któréj śpiesznie wpychał swoje manuskrypta, kilka książek i pozostałe mu szczegóły toalety, trzeszczała od nacisku jego rąk.

Nagle zatrzymał się, pomyślał, szarpnął walizkę i począł napowrót wyciągać z niéj swoje rękopisy.

— Nic nie warto robić do połowy — mruknął, podchodząc z papiérami do pieca.—Nie chcę miéć pamiątek dawnéj méj głupoty!

Sycząc z bólu, otworzył rozpalone drzwiczki i na żarzące się węgle począł z impetem ciskać poemata, porozpoczynane urywki, studya, notatki, — cały swój długoletni dorobek. Dogasający już ogień buchnął nagle jaskrawym płomieniem, rzucając łunę na twarz jego, w obecnéj chwili wyrażającą jeno dziką zaciekłość. Pastwił się nad samym sobą, pragnąc znaléść w tém ujście dla bolesnych wątpliwości, dla wyrzutów sumienia, które dręczyły go najniezawodniéj. A mnie rozpacz brała na widok takiego upadku człowieka, któregom przywykł uważać za wyjątkowo rozumnego i zacnego. Chciałem wołać, wzywać go do opamiętania się, lecz głos zamarł mi w piersiach: ból ściskał mnie za gardło żelazną obręczą, obezwładniając całkowicie. Siedziałem bez ruchu, jak skamieniały, z oczyma wlepionemi w ten żywy obraz, szarpiący mi serce.

Gdy już ostatni świstek dopalił się do szczętu, Stach podniósł się zwolna, ociężale i długo patrzał na stygnące popielisko, jedyny ślad tylu wysiłków jego umysłu. Powiódł wzrokiem po pokoju, wziął walizkę i znowu stanął przedemną.

— O, życie! jaką ty jesteś szopką! — wyrzekł po chwili z bolesnym skurczem ust...

I poszedł...

. . . .

Zostałem sam, zbolały i zgnębiony na duchu, napróżno usiłując zoryentować się w chaosie nasuwających mi się myśli, wyglądających z pozoru raczéj na stek niedorzeczności. Bo jakże wytłómaczyć sobie tę okoliczność, iż taki Stach, który stanowczo i z widocznym wstrętem odsuwał od siebie wszelką myśl o nowych sposobach życia, noszących na sobie chociaż cień innéj moralności, aniżeli téj, którą on wyznawał, nagle zostaje najbliższym współpracownikiem Klimeckiego, znanego ze swych cynicznych wynurzeń, głoszących przekonanie, iż rozumny człowiek rządzi się w życiu jedną tylko zasadą: drzyj łyko! — Więc podniosłość ducha, która uchroniła go od drobnych pośliźnięć, okazała się

zbyt słabą, niedostateczną tarczą dla charakteru wobec silniejszéj pokusy?... Wyrzekł się jéj, wyrzekł się wszelkich zasad, frazesami jeno osłaniając swój upadek. Lecz jeśli tak czysty i silny duch uległ w walce z nieprzyjaznemi warunkami, to któż z nas, szaraczków, oprzéć się im zdoła? Gdzież pewność, gdzie rękojmia i przykład, że można życie całe przejść, ani na chwilę nie obniżając raz przyjętych ideałów? Powiedział mi na odchodném, że życie jest szopką. Może to i prawda? Może i ja, chociaż na innych przesłankach się opiéram, taki sam wyprowadzę z nich wniosek? Bo skoro życie nasze nie z jednego motka się przędzie, skoro kierunek jego od błahostek częstokroć zależy, skoro przeważnie ślepy traf niém rządzi,— to czémże ono jest w istocie?

Z rozpaloną od wysiłku głową, rozgorączkowany nawałem pytań, domagających się odpowiedzi, długo w noc szamotałem się bezsilnie, w więzach dręczących zagadnień, nie widząc przed sobą drogi, dróżki nawet najmniéjszéj, mogącéj poprowadzić mnie ku światłu. I jedno tylko pytanie, proste, lecz okrutne w swéj prostocie, poczęło wreszcie dominować nad innemi, powracając wciąż, nieubłagane, jak śmierć, na którą czas już przyszedł:

— Czyż naprawdę życie jest szopką?

. . . .
. . . .
. . . .
. . . .

...Słońce, coraz wyżéj wznoszące się na zodyaku, i ciepły wiosenny wiatr robiły swoje. Napęczniałe zawiązki liści na drzewach, przeistaczając się szybko, poczęły okrywać korony kasztanów i akacyi gęstwą delikatnéj, bladéj zieloności. Miasto maiło się. Jednocześnie z otwiéraniem okien i myciem szyb, mieniących się w słońcu, jak kryształowe, wysypywały się na ulice coraz nowe i coraz gęstsze tłumy, napełniając całe miasto ożywionym pogwarem. Wszyscy z upojeniem wchłaniali świéży, ożywczy powiew młodości, naraz odnajdując w sobie bogate zasoby sił, zdrowia, nowych pragnień, uczuć i myśli. I płynęły zewsząd barwne fale ludzkie, zbitą masą zapełniając chodniki ulic, zatrzymując się w ogrodach i na skwerach, i rozléwając się za miasto do podmiejskich parków, willi i ogródków...

Siedziałem przy stoliku, zajęty czytaniem jakiegoś dzieła, gdy nagle prąd czystego, świéżego powietrza, dostawszy się tu przez otwarte okno, załaskotał mi przyjemnie płuca i zmysł powonienia. Machinalnie zamknąłem książkę i podszedłem ku oknu. Tak ponętnie świéciło dziś słońce na lazurowém niebie, takie łagodne, rozkoszne tchnie-

nia niosły lekkie podmuchy wietrzyka, i tak moc upajająca biła z każdego atomu powietrza, żem, nie namyślając się długo, nałożył palto i kapelusz, i ruszył—gdzie oczy powiodą.

Ulice od mnóstwa jaskrawych strojów kobiécych wyglądały teraz, jak barwna łąka. Kolory: czerwony, niebieski i biały, napotykane w przeróżnych odcieniach, mieszały się z ciemniejszemi ubiorami mężczyzn i starszych pań. Niezliczone tłumy wyległy na miasto, krążąc, uśmiéchnięte, po główniejszych ulicach i szczelnie zapełniając przystępniejsze ogrody.

Podążyłem w stronę Alei Belwederskiéj, spodziéwając się znaléść tam mniejszy ścisk, a za to więcéj natury w jéj pierwotnym blasku i potędze. Jakoż, gdym znalazł się pod rozłożystemi konarami wspaniałych klonów i kasztanów téj alei, gdzie powietrze, nieskalane oddechem wielkiego miasta, było doskonałéj czystości i świéżości, gdzie promienne słońce, poprzez młode pędy, bujnie krzewiące się u wierzchołków drzew, rzucało na ziemię tylko przyćmione, jakby przez sito przesiane światełka, lub zawieszało w powietrzu długie smugi złotego pyłu, i gdzie miękki, łagodny wietrzyk pieściwym podmuchem pogrążał przechodniów w rozkosznéj kąpieli,—uczułem ogarniające mnie zwolna błogie znużenie, w którém wszelkie bóle, smutki i udręczenia roztapiały się i ginęły, a natomiast budziła się, niewiadomo kiedy i jak poczęta, z żywiołową siłą opanowywująca mnie całkowicie—rozkosz istnienia.

Pierwszy to raz od chwili pamiętnego rozstania się ze Stachem uczułem się zadowolonym z życia. Umysł mój reagował na zewnętrzne zjawiska natury, zacierającéj młodzieńczém swém tchnieniem przeżyte już rzeczy i sprawy, przeżyte bóle i cierpienia. Budziły się we mnie nowe myśli, rojne, gwarne, wartkie, skupiające się w podjętém nanowo dążeniu do ostatecznego celu swego—syntezy. Na nieprzebolałéj jeszcze ruinie starych ideałów kiełkowały już nowe, zajęte poszukiwaniem jakiéjś myśli przewodniéj, któraby im dała niespożytą moc i trwałość. Zdawało mi się, że już skończył się ten bezdennie smutny okres przygnębienia, a nawet, właściwie mówiąc, zupełnego unicestwienia umysłowego, jakiemu podlegałem przez czas kilku długich miesięcy zimowych. Zaczynałem teraz wierzyć, że to był tylko sen, który zniknie szybko i bez śladu, jak mgła nocna, rozpierzchająca się za pierwszym podmuchem porannego wietrzyka, i słońce prawdy zajaśnieje wreszcie wspaniale przed mym umysłem.

Doszedłszy do końca alei, zawróciłem z powrotem. Przechodniów było mało, więc już zdaleka dojrzałem rubaszną, choć według

ostatniéj mody przystrojoną postać Zynia. Witał się ze mną z wielkim zapałem, hałaśliwie wyrażając swą radość z tego spotkania.

— Słyszałeś nowinę? — zagadnął po pewnym czasie, poświęconym na wstępne wykrzykniki.

Zrobiłem duże oczy. Nowin żadnych oddawna już nie słyszałem, gdyż, zresztą, słuchać ich nie chciałem.

— Stach wraca na łono uczciwości! — skandował Zynio, pewny wrażenia, jakie na mnie wywrze ta wiadomość.

Rzeczywiście, była to dla mnie prawdziwa nowina, najzupełniéj niespodziéwana. Zdobyłem się téż tylko na odruchowe:

— Nie może być!

Zynio jednak trzymał mnie już za guzik od paltota i z właściwą sobie natarczywością, szybko, trochę niewyraźnie, opowiadał ze wszelkiemi szczegółami nową zmianę frontu niezłomnego niegdyś poety.

Według słów jego, Stach, oceniwszy nareszcie złe, a nawet brzydkie nieraz strony słów i czynów Klimeckiego, zapragnął zerwać z nieprzyjemnym, bo rzucającym posępny cień na swych współpracowników, pryncypałem, i w tym celu skorzystał z pierwszéj lepszéj nadarzającéj się sposobności, aby, podziękowawszy mu za dotychczasową pomoc i współczucie, wyniéść się chyłkiem pod inny daszek. Czy jednak Klimecki został przez kogo przestrzeżony, czy téż sam zwąchał pismo nosem, dość że przy obojętném zresztą pożegnaniu napomknął coś o uciekinierach z pod chorągwi, a nawet odstępcach. Wówczas Stach uniósł się wielkim gniewem i, nie zważając na świadków, wypowiedział mu tyle prawd, że Klimecki, chcąc nie chcąc, musiał zamydlać je pojedynkiem. Wdała się w to jednak policya: panowie tymczasem ochłodli w bojowym zapale i poprzestali jedynie na wzajemném wieszaniu na sobie jaknajwiększéj ilości psów. Wskutek tego zajścia, Stach w pewnych kołach słynie teraz, jako bohatér i męczennik za uczciwość i prawdę. Są coprawda tacy, co twierdzą, choć on, Zynio, zupełnie temu nie wierzy, że właściwą przyczyną całéj awantury nie była wcale różnica przekonań, lecz jakieś drobne, groszowe, nieporozumienie redakcyjne, z którego Stach skorzystał, aby przestać już wypłacać długi wdzięczności, a natomiast wypłynąć na szersze wody poważniejszych i poważniéj płacących tygodników. Ho! ho! ma on teraz bestya znajomości i stosunki, bo ma! Uzyskał téż zaraz miejsce felietonisty w „Tygodniu”, gdzie za każdorazowe nasmarowanie kroniczki pobiéra dość okrągłą sumę. Ile w tém wszystkiém jest prawdy, a ile fałszu, on, Zynio, nie próbuje nawet dochodzić. Stach zresztą nic sobie nie robi z wątpliwości całego świata, gdyż pieniędzy ma już teraz huk, a przytém gorliwie przygotowuje się do bliskiego ożenku.

— Jakto! żeni się?—zapytałem zdziwiony.

— Jakbyś zgadł!—odparł, śmiejąc się, Zynio—i właśnie to pranie brudów przed ślubem dużo mi daje do myślenia.

Mnie także zastanowiło to, com usłyszał. Sprawa cała przedstawiała się jeszcze dość ciemno. Czy to miało być przebudzenie się w poczuciu swéj siły zgnębionych dotychczas lepszych stron jego ducha? Protest nieskrzepłego jeszcze ostatecznie ideału przeciw złéj, głupiéj, ohydnéj rzeczywistości? Czy téż może był to tylko dowód doskonałego zwierzęcego sprytu, rozumiejącego, że do pewnych celów najłatwiéj jest się dochrapać za pomocą podbijania bębenka opinii publicznéj zdawkową moralnością i płaszczeniem się przed jéj bezkrytycznemi nieraz nakazami, a więc oznaka do szpiku kości przenikającego upodlenia? Coprawda, pod wpływem ciepłego tchnienia wiosny, usposabiającego do miłych i radosnych wzruszeń, gotów byłem przechylić się raczéj ku pierwszemu przypuszczeniu. Iskierka nadziei i wiary w niezniszczalność pierwiastku dobra, tkwiąca we mnie, pomimo wszystko, gdzieś w głębinach ducha, poczęła odżywać i rozpościérać się w jasny, bujny płomień.

Zynio tymczasem zagadnął mnie znowu, z maleńkim uśmieszkiem na szerokiéj twarzy:

— Zapewne teraz, wobec mającego nastąpić tak ważnego aktu w życiu Stacha, darujesz mu dawne urazy? Wszak to twój długoletni przyjaciel...

Przyjaciel? Wyraz ten wydał mi się nie dość ścisłém określeniem zachodzącego niegdyś między nami stosunku, gdyż, właściwie mówiąc, uczucie przyjaźni, w niezbyt nawet odległych czasach przeszedłszy do historyi, nie spotyka się teraz wcale. Wpłynęły na to: wzmożenie się do niebywałych dawniéj rozmiarów i szerokie rozpowszechnienie walki o byt, wynikłe ze zmiany ustroju gospodarczego Europy—z jednéj strony, a z drugiéj — coraz bujniéj krzewiąca się indywidualizacya poszczególnych osobników ucywilizowanych społeczeństw. Zbyt wielkie różnice istnieją teraz między ludźmi w charakterach ich i poglądach, ażeby mogła być mowa o całkowitéj i doskonałéj harmonii dwóch bliskich nawet sobie duchów.

To téż odparłem żywo:

— Przyjaźni, we właściwém tego słowa znaczeniu, między Stachem a mną nie było i być nie mogło. Owa przyjaźń dawnych czasów, o któréjby się jeszcze dużo dało powiedzieć, leży teraz w lamusie, w towarzystwie innych starych gratów. Wyszła z użycia. Uczucie to zastąpione zostało w stosunkach między ludźmi bezwzględną, szcze-

rą życzliwością, która, nie nakładając żadnych krępujących więzów, posiada nie mniéj stron dodatnich.

Zynio śmiał się już bez ceremonii.

— Zlituj się, mój Feliksie, nie mów tak górnie, bo gotów jestem pęknąć z natężenia myśli. Dobre to jest na *forum* wobec podtatusiałych ojców miasta, albo na katedrze, gdy cię niebieskie pończoszki słuchają, ale teraz?... — wzruszył ramionami i począł spoglądać na niebo.—Wracajmy do miasta, bo coś się chmurzy. Ilekroć włazisz na koturny, zawsze mi się zdaje, że dészcz będzie padał.

Teraz na mnie przyszła koléj wzruszyć ramionami. Wiedziałem o tém, że Zynio bywa często trywialnym, lecz dopiéro teraz przekonałem się, że jest marnym psychologiem. Nie dostrzegł zaszłéj we mnie ewolucyi! Nie domyślał się całéj tragedyi, jaka wstrząsała mym umysłem!... Tak! Chodziłem niegdyś na koturnach, ale zwaliło mnie z nich życie! Dawniéj wierzyłem w człowieka, wierzyłem, że, pominąwszy nieliczne zwyrodniałe wyjątki, każdy z nas posiada w sobie kryteryum moralne, dozwalające odróżniać dobro od zła, rozum od głupstwa, wzniosłość od podłości i piękno od szpetoty. I w to wierzyłem, że dobro nigdy nie ginie, lecz raczéj wzmaga się wciąż i udoskonala tak w osobnikach, jak i w narodach całych! Więc zdawało mi się, że idziemy naprzód, idziemy w bojowym ordynku, karni rozumem i silną wolą. Tam — w świątyni wszechideału! tam nasze miejsce!.. Było to tylko złudzenie — teraz wiem o tém, bo mnie Stach na tę myśl naprowadził. Kiedym go stracił — otworzyły mi się oczy. Pragnąc silniéj ugruntować swe ideały, oprzéć je na prawdziwéj znajomości człowieka, począłem zaglądać do dusz ludzkich, szperać w nich, rozkładając na pierwiastki znajdywane tam uczucia i myśli. Lecz im daléj zapuszczałem się w te dociekania, tém smutniejsze nasuwały mi się wnioski. Widziałem teraz i rozumiałem, jak nędzną kreaturą jest człowiek, jak gnuśną jego myśl, jak słabą wola. I to, że ludzie nie półbogami są, lecz nędznym prochem, że umysł, żądny prawdy, błąka się zawsze po manowcach nierozwikłanych zagadek, żeśmy jeszcze nie w drodze do ideału, lecz zaledwie zaczynamy się do niéj przygotowywać,—wszystko to rozumiałem teraz dokładnie. Było mi smutno, bezdennie smutno! Odczuwałem wewnętrzną mękę i rozpacz tych, co w cynizmie szukają ulgi i tych, co, nie mogąc zgodzić się na taki koniec, życie sobie odbiérają. Sam byłem bliski targających nimi uczuć, bliski zwątpienia. Nie wiem, co mnie od niego wstrzymało. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mi chwilami, żeby jeszcze nie opuszczać rąk, lecz czekać, czekać... Więc czekałem, ale w ludziach widziałem już

teraz tylko bardzo a bardzo poziome istoty... Poziome, lub nieszczęśliwe...

— Niesłusznie mnie o to posądasz — rzekłem głośno — gdyż na koturnach stąpa tylko niedoświadczona młodzież lub też ludzie o ciasnych umysłach. Ja się już teraz do żadnéj z tych dwóch kategoryi nie zaliczam. Lecz gdy ty bierzesz wszystko z lekkiéj strony, ja staram się zawsze sięgać do rdzenia rzeczy. Kwestya wyłącznie usposobienia...

— To tak — podchwycił Zynio — jak, nieprzymierzając, bywa i z psami: jeden rodzi się na świat wesoły, więc życie całe jeno merda ogonem, a drugi woli flirtować z nimfą-melancholią i po nocach wyje żałośnie.

Rzuciłem krótkie — tak! nie czując się w odpowiednim humorze do przedłużania téj dziwnéj rozmowy.

Na chodnikach tłumy spacerowiczów powiększały się bezustannie. Powietrze, przesycone kurzem, stawało się coraz cięższe i gorętsze. Była to już przechadzka nietyle przyjemna, ile nużąca.

W têm Zynio trącił mnie zlekka łokciem.

— Idą! — szepnął.

Zdziwiony, odpowiedziałem pytaniem:

— Kto? gdzie?

— Stach z narzeczoną—odmruknął zcicha i niby obojętnie.

Jakoż o kilka kroków przed nami dostrzegłem znaną mi dobrze twarz Stacha. Odrazu uderzył mnie w niéj brak jakiś. Zrobiła na mnie wrażenie pośmiertnéj maski, oddającéj dokładnie rysy, a nawet wyraz twarzy, lecz—bez ducha.

Podaliśmy sobie ręce.

Zynio tymczasem witał się śpiesznie z paniami. Zaraz téż, nie proszony, przedstawił mnie:

— Feliks Sielecki.

Skłoniłem się uprzejmie i po wymianie kilku zdań, ruszyliśmy daléj całém towarzystwem. Zynio szedł przy paniach. Było ich dwie: widocznie matka z córką. My ze Stachem zostaliśmy nieco w tyle. Usiłowałem przypomnieć sobie, gdziem to ja już widział narzeczoną Stacha. Miała ona sympatyczny buziak młodéj, wesołéj dziewczyny.

— Powiédz mi — zapytałem wreszcie Stacha — gdziem ja mógł widzieć tę pannę.

— Zapewne spotkałeś ją kiedy, wychodząc z mieszkania lub wracając do niego, bo czas jakiś mieszkała w tym samym, co i my, domu.

Ah, prawda! Teraz już wiem. Wpadła mi w oko wtenczas, kie-

dy to flirtowała ze Stachem w bramie domu — w początkowym okresie jego kłopotów pieniężnych.

— Żenisz się?—rzuciłem znowu pytanie.

— I tobie radzę to samo zrobić — odparł Stach, uśmiéchając się rozkosznie.

— Projekt niezły, — ale, ażeby zabrać się do jego uskutecznienia, trzeba, według mego zdania, dojść wpierw do pewnéj równowagi umysłowéj, wyrobić w sobie ostatecznie, ściśle określone, ideały życiowe...

— Et, głupstwo! — przerwał Stach, lekceważąco machnąwszy ręką.

Uczułem chłód w kościach.

— Jakto, głupstwo? Przecież nie zechcesz chyba przypuszczać, ażeby mi wystarczało samo życie fizyczne t. j. zwierzęce... Każdy z nas, kto tylko zalicza się do inteligencyi, zakłada sobie w życiu jakieś podnioślejsze cele: coś czci, kocha, do czegoś dąży.

— Wiem ja o tém, wiem, bom i sam tak kiedyś myślał. Ale są to tylko piękne słówka, jak się dla mnie stało jasném, kiedym poddał je ściśle krytycznemu rozbiorowi. Zresztą, nie myślę bynajmniéj zaprzeczać im prawa bytu. Przepędzanie czasu, jak i każde inne. Ale życie, mojém zdaniem, jest tylko życiem i niczém więcéj. Wszelcy filozofowie i myśliciele w piętkę gonią, nadaremnie usiłując rozwikłać to, co z saméj natury rzeczy rozjaśnione być nie może. Nie po to żyjemy, aby, naśladując Prometeusza, w coraz bledszych odbitkach przedstawiać tę wspaniałą niedorzeczność, — o, nie! Poprzestańmy lepiéj na tém tylko, co nam danem zostało, gdyż więcéj, jak mi się zdaje, nigdy nie zdobędziemy. Lecz jeśli potrafimy umiejętnie wyzyskać to wszystko, co jest w naszéj mocy, to w rezultacie otrzymamy sumę szczęścia niemniejszą od téj, niepewnéj, którą mamy nadzieję inną drogą uzyskać dopiéro w dalekiéj przyszłości. Co lepsze? — nie potrzebuję chyba długo się rozwodzić. Powiész może, iż poglądy moje są poziome, ale ja uważam to właśnie za ich największą zaletę: wolałbym nawet łazić na czworakach, aniżeli, bujając umysłem w podniebnych sferach, rozbijać sobie codzień nos o najgłupsze drobiazgi rzeczywistości.

Taki bezdenny egoizm zadowolonego z siebie samca wiał z tych słów, żem nie próbował nawet słówkiem zaprzeczyć mu, ani témbardziéj wdawać się w dowodzenia. Szedłem obok niego spokojnie, niczém nie okazując swego bólu i oburzenia, i tylko coraz silniéj i coraz głębiéj przenikała mnie świadomość słuszności tych smutnych wnio-

sków, na które nie tak dawno naprowadziło mnie bliższe rozpatrzenie się w objawach życia.

Lecz Stach, z uśmiechem raz wraz spoglądając na wiotką, pełną wdzięku, pięknie zarysowaną figurkę swéj narzeczonéj, począł teraz z głębi przepełnionego szczęściem serca kréślić dosadnemi słowy obrazy swego obecnego nastroju, swych myśli, uczuć i pożądań. Jest szczęśliwy — przekonanie to przenika go teraz nawskroś, lecz ileż to chwil ciężkich, ile burz wewnętrznych, ile smutków rozpacznych przejść musiał, zanim doszedł do jakiéj takiéj równowagi umysłu! W chwili, kiedy to mówi, wié już, że wewnętrzny spokój jest niezbędną podstawą szczęścia. Ów złoty środek, na który niegdyś powstawał za każdym razem z nowym impetem wściekłości, wydaje mu się teraz ideałem życia ludzkiego. Nie żądać rzeczy niemożliwych!—oto hasło, które złotemi głoskami powinno być zapisane we wszystkich umysłach. Dumny jest szczególnie z tego, że całe swoje szczęście obecne sobie wyłącznie zawdzięcza.

— To jest... nietylko sobie. I jéj także — dorzucił z zadumą w głosie, lekkim ruchem głowy wskazując swą narzeczonę.

Spojrzałem na niego z mimowolném zaciekawieniem. Ton jego głosu dawał do myślenia.

Stach tymczasem ciągnął daléj:

— Pamiętasz zapewne ostatnie chwile naszego wspólnego pożycia? Rozdrażnienie, w jakie wpadłem po przeczytaniu listu Klimeckiego? Rzeczywiście, miałem wówczas uczucie, jakby świat się walił, albo przynajmniéj dla l u d z i miejsca już na nim brakowało. Wybiegłem na miasto, bez wyraźnego celu, lecz z uczuciem niemożliwości dłuższego istnienia na powierzchni ziemi dwóch takich ostateczności, jakiemi byliśmy: ja — z jednéj strony, a z drugiéj — tłum. Ponieważ jednak rozumiałem dobrze, że tłumu, tego ohydnego tłumu, tak łatwo jednym ruchem ręki w proch nie zetrę, przeto... Konkluzya była widoczna. Byłem zdecydowany na wszystko. Jakem to sobie późniéj dopiéro uświadomił, sam tylko instynkt, bo nie rozumowanie, pchał mnie na dworzec kolei, gdyż zdawało mi się, że tam najłatwiéj połączę się z śmiercią. Lecz nagle poczułem na sobie czyjś wzrok, tak palący, żem musiał odpowiedziéć spojrzeniem. Ah!... była to ona!... Szła z matką, więc téż nie śmiała zaczepić mnie słowami, i tylko jéj oczy, dwie wielkie, promienne gwiazdy, patrzały na mnie z taką mocą, a jednocześnie z taką miłością i serdeczném współczuciem, żem w jednéj chwili uczuł przenikający mnie jakby potężny prąd elektryczny, raptownie galwanizujący mój instynkt samozachowawczy, zdający się zamiérać już we mnie. Naraz ogarnęła mnie szalona żądza życia.

Jakto? ja mam ginąć? Dlaczego właśnie ja, a nie inni? Kiedy ja lepszy jestem i więcéj wart od innych... Niech wzdychają do grobu ludzie stérani, zużyci, niczego już od życia spodziéwać się nie mogący. Lecz przedemną niebo dopiéro się otwiérało: kochałem, byłem kochany... O! chciałem teraz żyć, żyć za jakąbądź cenę! Gotów byłem cały świat raczéj zgubić: nie cofnąłbym się przed niczém! Nagle przypomniałem sobie list Klimeckiego, który przed wyjściem włożyłem w roztargnieniu do kieszeni. Tak! to była gwiazda przewodnia, punkt wyjścia na te drogi, na których człowiek staje się możnym tego świata. Powziąłem teraz odpowiednią decyzyę, nie namyślając się ani chwilki. Potrzebowałem tylko odpocząć po gwałtownych wzruszeniach, gdyż energia moja bliską była wyczerpania. Zaszedłem więc do cukierni, aby jednocześnie wystylizować do ciebie list pożegnalny... Daléj już wiész wszystko...

Tak jest. Wiedziałem nietylko to, co potém zaszło, ale i tego, co mi teraz opowiedział, domyślałem się już oddawna. Tylko niewyrozumowany egoizm zwierzęcy mógł go zaprowadzić na tę drogę, po któréj teraz kroczył z taką powagą. . . . . .

Skorzystałem z pierwszego lepszego pretekstu, aby opuścić towarzystwo, i śpiesznie wracałem ku miastu. Lecz gorączkowość ruchu nie przyniosła mi nawet chwilowéj ulgi zapomnienia. Niedaleko placu Trzech Krzyży usiadłem na ławce, sam nie wiedząc dobrze, dlaczego to robię. Siedziałem czas jakiś, usiłując zdać sobie sprawę ze swych myśli. Że Stach wyzbył się ostatecznie wszelkich podnioślejszych dążeń — było to już pewném. Dlaczego jednak to zrobił? Powiada, że odkąd krytycznie zaczął na świat spoglądać, zoryentował się wreszcie, że życie jest tylko życiem, czyli, jak on sobie to pewno tłómaczył — jest pewną sumą zwierzęcych uciech, z których należy korzystać, póki jeszcze siły i zdrowie służą. Lecz mniejsza o jego interpretacyę tego określenia. Dlaczego zasada ta jest na wszystkich ustach i ogół nią się kieruje? Dlaczego jedynie młodzież i szczupła garstka wiecznych entuzyastów dbają o idealne cele i wzlatują nad poziomy, bliżéj królestwa miłości i prawdy, gdzie pierś wolniéj oddycha, nieskrępowana ohydą naszych stosunków, i gdzie duch nasz doskonali się na szerszém podścielisku etyczném?...

Czas płynął. Zwolna ogarniało mnie teraz uczucie trwogi, przenikające coraz silniéj mój systemat nerwowy. Wydało mi się, że grunt chwieje się pod memi stopami i roztwiéra się otchłań bezdenna, w którą zapada się to wszystko, czém żyłem dotychczas, wszelkie... jak on to nazwał?... złudzenia! Więc się pytałem sam siebie z niepokojem, kto z nas dwóch bliższy jest prawdy, kto lepiéj przeniknął treść

życia? Czy możliwém jest, aby po całéj młodości, obfitującéj we wzniosłe i szlachetne porywy, spędzonéj na wyrabianiu coraz wyższych i coraz doskonalszych poglądów—pozostała tylko szczera pustka?

Tak, pustka...

. . . .
. . . .
. . . .

Nagle usłyszałem obok siebie przyciszony głos:

— Wiész co, Felek, zawarłem niedawno pyszną znajomość. Chcesz, to cię zaprezentuję...

— Co mówisz?

— Mówię, że cię zaprezentuję. Ale wpierw zjemy obiadek.

Wahałem się dobrą chwilę, lecz naraz tak śmieszną wydała mi się tyle już lat prowadzona przezemnie walka z wiatrakami, żem szybko podniósł się, klepiąc projektodawcę po ramieniu.

— Niezrównany z ciebie chłopiec, mój Zyniu! Chodźmy!

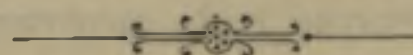
. . . .

Śmiałem się dużo tego wieczoru...

Edward Maliszewski.



Ziemski rodowód ideałów.



K. Taine. „Filozofia sztuki“, przełożył, przypiskami i skorowidzem opatrzył Antoni Sygietyński. Warszawa, nakład i druk S. Lewentala, 1896, str. 363 (i krytycznego wstępu d-ra Piotra Chmielowskiego str. XXXII),

Napozór zachodzi sprzeczność pomiędzy tytułem tego sprawozdania, a książką Taine'a, z któréj ono powstało, gdyż doktryna filozofa-estetyka francuskiego, w najogólniejszym swoim wyrazie, jest negacyą ideałów, pojętych jako świat od zmysłowego odrębny, wyosobniony, czy to po platońsku, po leibnitzowsku czy po heglowsku. Piękno, we wszystkich swych postaciach i objawach ma — zdaniem Taine'a—toświatowy i żywiołowy początek, mierzyć się daje, przy poznaniu i ocenie zwyczajnemi, konkretnemi sposobami wiedzy, podlega w swym rozwoju i upadku prawom takiéj-że saméj przyczynowości, jaką uznajemy i odkrywamy w „botanice” lub w „meteorologii” — że użyjemy jego własnych terminów porównawczych (przedmowa do 5-go wydania *Philosophie de l'art*, z r. 1890, pominięta w przekładzie polskim). Taine używa wprawdzie wyrazu idea (oraz pochodnych: ideał, ideowy, idealny i t. p.), lecz tylko w znaczeniu pewnego rysu, pewnéj cechy lub właściwości w przedmiocie, czy téż w przedmiotach, które sztukmistrz bierze z natury (otoczenia, życia) w tym celu, ażeby ów rys, ową właściwość podnieść, uwydatnić, zcharakteryzować. Gdyby jednakże dało się dowodnie okazać,—o czém żaden

współczesny psycholog nie wątpi, że to co nazywamy cechą, przymiotem, oznaką, znamieniem jakiegoś przedmiotu (znamieniem bądź podrzędném, bądź w danéj chwili górującém), tkwi właściwie nie w przedmiocie, choć przez przedmiot jest powodowaném, lecz w nas, w umysłowości naszéj, w i d e i naszéj o tym przedmiocie,—wówczas i sprzeczność, zaznaczona powyżéj, złagodniałaby niezmiernie na rzecz użytego przez nas tytułu, a bez większéj ujmy dla podstaw znakomitéj pracy, o któréj mamy coś do powiedzenia z powodu nowego jéj przekładu.

Pierwowzór „Filozofii sztuki", wykrojony przez Taine'a z jego prelekcyi w paryskiéj *Ecole des beaux-arts*, ukazał się po raz pierwszy w r. 1865 i obejmował tylko cząstkę dzisiejszego dwutomowego dzieła (skondensowanego w druku polskim do jednego tomu); cząstkę tę autor uzupełniał następnie rozprawami tegoż samego autoramentu, wydawanemi początkowo w oddzielnych książeczkach, pod osobnemi napisami: „Filozofia sztuki w Grecyi", „Filozofia sztuki we Włoszech" i t. d. Niektóre z pomienionych traktatów, wchodzących do obecnéj całości pod mianem działów, tłumaczone były poprzednio na język polski, jak np. część pierwsza przez J. z K. S. w r. 1868, część piąta przez F. Mierzejewskiego w r. 1873. Obecne tłómaczenie kompletu, dokonane przez Antoniego Sygietyńskiego dla „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj" i odbite następnie w oddzielnéj książce, nie może iść w porównanie nawet z poprzedniemi usiłowaniami tegoż tłómacza, który piśmiennictwu naszemu przyswoił słynną dwutomową Taine'a historyę malarstwa we Włoszech p. t. *Voyage en Italie* (ed. polska w Warszawie, 1885). Język czysty, czerstwy, wysłowienie jasne, dokładne, terminologia wyborowa, poniekąd wyszukana (w tym sensie, że nasze słownictwo estetyczne, podziśdzień nie skodyfikowane, nie każdemu nasuwa się pod rękę), wreszcie gorliwa, od początku do końca utrzymana dbałość o ścisłe odtworzenie nie tylko myśli ale i stylowych zwrotów autora—to są zalety „Filozofii sztuki" w szacie polskiéj. Kilkanaście usterek drobnych nie zasługujących na wytknięcie w pracy starannéj, prowadzonéj z zamiłowaniem, ze znajomością przedmiotu, a czujnéj na każdą, wielką czy małą onego trudność, stwierdzają tylko przypowieść, którą Sygietyński obrał zdaje się sobie tym razem za godło: zrobić dobrze — to dobrze, ale zrobić lepiéj niż dobrze — to już źle. Dodajmy, jeszcze, że dr. Piotr Chmielowski opatrzył „Filozofię sztuki" obszerniéjszym wstępem. Z prawdziwą przyjemnością odczytają go ci nawet, co nie mogliby bez zastrzeżeń zgodzić się na wszystkie téj rozprawy postulaty i wnioski. Ale, na to ostatnie nie ma żadnéj rady: wstęp mocno trzyma się gruntu, na którym oddawna ustaliła się literacka i naukowa fizyognomia autora „Zarysu najnowszéj lite-

ratury" i jego wśród nas powaga, jako krytyka. Nie skrępuje to wszakże bynajmniéj odmiennego niekiedy naszego zdania—o ilebyśmy je, w rozbiorze celniejszych wywodów Taine'a, oprzéć zdołali na faktach oczywistych; zastrzegamy się atoli zarazem, że nie czczych punktów spornych i polemicznych lecz światła i wiedzy szukamy u takiego mistrza jak Taine, który zaraz na początku swojego wykładu szczerą, szeroko rozwartą dłoń podał wszelkim szkołom i kierunkom, wszelkim przekonaniom i zamiłowaniom pięknoznawczym, powiadając: „Używana przezemnie metoda nowoczesna, wkraczająca dziś powoli w dziedzinę wszystkich nauk moralnych, zasadza się na rozważaniu dzieł ludzkich, a w szczególności dzieł sztuki, jako faktów i wytworów, których charakter oznaczyć i przyczyn szukać należy — nic więcéj. Nie jest zadaniem nauki tak pojętéj, potępiać lub przebaczać; ona stwierdza i wyjaśnia. Nie powiada do was: pogardzajcie sztuką holenderską, gdyż jest zbyt grubiańską, smakujcie zaś tylko w sztuce włoskiéj. Nie mówi również: omijajcie sztukę gotycką, jako chorowitą, ubiegajcie się wyłącznie o sztukę grecką. Pozostawia ona każdemu swobodę postępowania w kierunku upodobań własnych, pozwala nam oddawać pierwszeństwo temu co bardziéj odpowiada naszemu temperamentowi i badać gorliwiéj a pilniéj to, ku czemu dusza nasza lgnie najchętniéj."

W literaturze polskiéj, Taine powinienby był bardzo wcześnie i bez dłuższych zaleceń zająć stanowisko poczesne, nawet wytyczne, bowiem między nim a umysłowością naszą zachodzi bardzo bliskie, — jedno z najbliźszych powinowactw formalnych. Jakkolwiek myśl autora „Inteligencyi" bardzo nieraz głęboko nurza się w treści jego wykładu, to wszakże sam wykład stale wylewa się na zewnątrz strugami krasomówstwa, które u nas wysoko popłacało i popłaca. Słowo jego podobne jest do fali, co zamiast szturmować, podmywa. Trzydzieści, czterdzieści małych, powtórzonych dotknięć alboż to nie tyle, co jedno 40-ści razy silniejsze uderzenie? Rzuty drobne można zresztą tak ustopniować pod względem rytmu i natężenia, że rachunek wyda się prawie malowidłem. Człowieka nauki owa napaść mrówczéj szeroko rozciągniętéj argumentacyi, nęka nieraz i drażni, ale bardzo skutecznie oddziaływa na zdrowy rozsądek pospolitego słuchacza, dla którego ośmnastu świadków opisujących każdy jedną ośmnastą cząsteczkę zdarzenia, bez porównania więcéj znaczy, niż zeznanie sześciu świadków, z których każdy trzy takie cząstki z sobą przynosi. W piśmiennictwie naszém bieżącém, po dziennikarsku rozbitém, po romansopisarsku zcedzoném i rozcieńczoném, sprawia to zazwyczaj efekt niewymownie rozwlekłéj i mdłéj monotonii. Ale w ręku biegłego dyalekty-

ka, jakim Taine do końca pisarskiego swego zawodu być nie przestał, a to wskutek potężnego wpływu heglizmu za młodu i długiéj karyery nauczycielskiéj w dojrzałym wieku, działanie masami sypkiemi staje się niemal tak obrotném i sprawném, jak operacya z szeregami żołnierzy na placu broni. Zwijasz, rozwijasz, ściągasz, rozciągasz szyki bojowe w kolumny, czworoboki, ordynki, komuniki, łańcuchy tyralierskie, znosisz, przenosisz je w jednéj sekundzie z miejsca na miejsce, w jedną i drugą stronę, to prawem to lewem ramieniem w tył i na przód, że nie ma chyba pozycyi na świecie, któréjbyś tą zabiegliwością nie zdobył. Świetne to niezaprzeczenie, ale też i niebezpieczne. Często do zdobycia nic już nie ma, lub jest tylko obiekt urojony, stawka fantazyjna, a musztra tymczasem idzie i idzie, podobna tym razem do starodawnych naszych oracyi sejmikowych, przeplatanych co chwila—jak to niedawno pr. Brückner okazał w „Ateneum" na kilku ciekawych próbkach—przysłowiami, gadkami, przypowieściami,—owemi grudkami praktycznéj mądrości życiowéj, ulepionemi przez wieki z miałkiego kurzu nikłych powszednich doswiadczeń. To i całą tę naukę Taine'a, wysnutą drogami metodologii historyozoficznéj z postulatu, uogólnienia czy też z powszechnego prawa, że w rasie, otoczeniu i dobie dziejowéj spoczywają wszystkie rzeczywiste i możliwe przyczyny umysłowéj, moralnéj i twórczéj (artystycznéj) działalności człowieczeństwa, — alboż nie można ująć w kilka dobranych aforyzmów gminnych, w rodzaju: z kim przestajesz takim się stajesz, nie daleko jabłko pada od jabłoni, jak sobie pościelesz tak się i wyśpisz, wlazłszy między wrony krakaj jak i ony i t. p. W obfitości i różnorodności udostępnionego, spopularyzowanego w ten sposób materyału dowodowego, łatwo się zasłuchać do stopnia, że w końcu staje się dla nas obojętną, a przynajmniéj podrzędną sama ta rzecz, któréj ów materyał miał dowodzić.

Weźmy pierwszą stronicę „Filozofii sztuki." Mamy przed sobą arcydzieło Alberta Cuypa—prześliczny pejzaż pobrzeża Mozy o wschodzie słońca. Potrzebujemy zdać sobie sprawę z jego wartości estetycznéj. Udajemy się w tym celu do Taine'a, który nam powiada: Dzieło sztuki nie jest odosobnionem, odszukać więc przedewszystkiém wypada całość, od któréj ono zależy i która je tłumaczy. Widoczną jest rzeczą, że obraz np. (posąg, romans, rapsod poetycki i t. d.), nie powstał sam przez się, nie jest okazem odosobnionym, unikatem. Tak czy inaczéj, ktoś go stworzył; jest to zatém tylko jeden szczegół całkowitéj działalności autora, o którego utwór w danym razie chodzi... Sprawa to zasadnicza—dodaje Taine. Każdy wié, że rozmaite dzieła pewnego artysty są sobie pokrewne, jak dzieci jednego ojca, to jest,

że w badaniu występnją pomiędzy niemi podobieństwa wyraźne („niedaleko pada jabłko od jabłoni"). Wiadomo, iż każdy artysta ma swój styl, a styl ten odnaléść można we wszystkich jego utworach. Jeżeli to malarz, to ma swój koloryt barwny lub blady, swoje typy ulubione, szlachetne lub pospolite, swoje pozy, swój sposób komponowania, nawet swoje środki wykonania, swoje nakładanie farb, swoje modelowanie, swoją robotę... A jest to tak dalece prawdziwém, iż znawca (znawca czego mianowicie?), jeżeli mu przedstawicie dzieło mistrza choć trochę wydatnego (w czém, przez co, w jakich okolicznościach wydatnego?), będzie mógł poznać, jaki artysta jest jego twórcą, a nawet jeśli ma dość dużo doświadczenia (skąd i na czém urobionego?) i dość delikatne poczucie (poczucie czego?), to może powiedziéć do jakiéj epoki życia artysty, do jakiego okresu jego rozwoju należy dzieło sztuki, któreście mu przedstawili.. I to jest (wnioskuje Taine) pierwsza całość, do któréj odniéść trzeba dzieło sztuki..., czyli w obecnym wypadku malowidło Alberta Cuypa.

Usłuchaliśmy rady, — a usłuchaliśmy tém chętniéj i skwapliwiéj, że, nie posiadając ani „dużego" doświadczenia, ani delikatnego poczucia, ani nawet znajomości, na czém polega „wydatność" Cuypa, pragniemy dopiéro zdobyć i wyrobić w sobie wszystkie te zalety. Zbiéramy tedy całą istniejącą spuściznę twórczości cuypowskiéj, ustawiamy ją, układamy, rozpatrujemy się w niéj, porównywamy pojedyńcze jéj egzemplarze między sobą, notujemy podobieństwa, różnice... i w końcu odtwarzamy w sobie całość, to jest wyciągamy z ogromnéj ilości znaczków ujemnych i dodatnich jakąś środkową, przeciętną linię uogólnienia,—chybną, zawiłą, mglistą, wobec któréj jasny, przezroczysty, świeżością swą napawający na razie krajobraz Mozy, okrywa się ciężką, grubą, matową oponą wątpliwości, a z niéj zewsząd osaczają nas coraz to nowe zapytania. Tam była lekkość, wdzięk, bezmiar czystego powietrza; obecnie ostało się z tego cośkolwiek w jednym punkcie „całości",—ale tuż obok ściga nas zmora twardéj, skorupaistéj, jak łopatą nakładanéj naśladowczości tych samych motywów gry słońca i zieleni, które przedtém, w okazie pojedyńczym tak uroczystym uśmiechem i swobodą przemawiały ku nam. Zamiast wyjaśnienia — operacya zestawna pogrążyła nas w mroku. Skąd że to? — A stąd, że otrzymaliśmy dopiéro całość pierwszą... Za nią czeka na nas druga i trzecia.

Najpiérw, sam ten artysta (Albert Cuyp), rozważany z całkowitém swém dziełem, także nie jest odosobnionym. Istnieje i dla niego obszar, w którym się on mieści, obszar większy od niego, stanowiący szkołę lub rodzinę artystów tego samego kraju i tego samego czasu —

rodzinę, do któréj on należy. Gdy zbadamy należycie, czém i jaką była ta rodzina, z któréj wyłoniło się imię Cuypa — wtedy dopiéro zrobimy krok drugi, a pozostanie nam tylko do zrobienia krok trzeci. Bo i sama ta znowu rodzina artystów mieści się w całości obszerniejszéj, a tą jest świat, który ją otacza. Wykształcenie, pojęcie, smak tego świata łączy się, zléwa ze smakiem rodziny artystów... I to jest zupełnie naturalne, skoro się dowiemy, że stan obyczajów i ducha pewnego społeczeństwa w pewnéj epoce nie jest wcale innym dla publiczności, niż dla grupy artystów — nie są oni również ludźmi odosobnionymi. W chwili np. kiedy spoglądam na cichy poranek Cuypa nad Mozą, słyszę wprawdzie, poprzez oddalenie wieków, jedynie głos drużyny, z którą Cuyp obcował, w któréj otoczeniu żył i tworzył („z kim przestajesz, takim się stajesz"); ale pod tym głosem donośnym, co drgając, aż do nas dochodzi, rozlega się téż i inny pomruk,—jak gdyby długie, szeroko roztoczone huczenie głuche: „to wielki, bezgraniczny głos różnorodnego ludu, który dokoła Cuypa i najbliższego jego otoczenia śpiewał współdźwięcznie..." I nie czekamy dłużéj. Czémprędzéj podążamy w strony i czasy, pomiędzy ludzi i wypadki, na których tle, pod których wpływem i pod rytm téj pieśni współdźwięcznéj powitał „Wschód słońca nad Mozą"... Prześliczny kraj, pozazdroszczenia godne czasy, niesłychanie ciekawi ludzie, niezwykle zajmujące wypadki! Nie było, nie ma szkoły, w któréjby talenty oryginalne wykwitały liczniéj. „Gdzie—jak tu właśnie, w tym zakątku niderlandzkim — dziedziną sztuki jest, nie wierzchołek organiczny, lecz cały rozległy obszar życia, dla każdego umysłu otwiéra się pole odrębne. Ideał — gdzieindziéj — jest ciasny i mieszkać w nim mogą tylko dwaj lub trzej geniusze; tu, na tych przestworzach rzeczywistości, realizm jest olbrzymi, dostarcza miejsca pięćdziesięciu talentom takim, jak: Terburg, Metzu, Gerard Dow, van der Meer z Delftu, Adryan Brouver, Schalcken, Franz Mieris, Jan Steen, Wouwerman, obadwaj van Ostade, Wynants, van der Neer, Ruysdael, Hobbema, Paweł Potter, Filip Koenig, Backhuysen, Cuyp, obadwaj van der Welde, van der Heyde... bez liku. Spokojna i szczęśliwa harmonia wyłania się z wszystkich ich dzieł; patrząc na nie, wypoczywa się; dusza artysty, jak dusze jego postaci — w równowadze; dobrze i wygodnie byłoby nam w tym obrazie. Widać, iż artysta nie wyobraża sobie nic po zatém, zdaje się, że równie jest on zadowolony z życia, jak i jego osobistości; natura wydaje się mu dobrą; jeżeli myśli coś do niéj dorzucić, to zaledwie układ; ton do tonu, jakiś efekt światła, dobór w postawach. W obliczu przyrody jest on—jak każdy w ogólności Holender szczęśliwy i żonaty — wobec swojéj żony; nie pragnie, aby była inną; kocha ją z przyzwyczajenia

serca i przez zgodność prawdziwą; co najwyżéj, poprosi ją w jakiś dzień świąteczny, aby zamiast sukni niebieskiéj włożyła czerwoną. Nie jest podobny do naszych malarzy, obserwatorów wymyślnych, napełnionych z książek i dzienników filozofią i estetyką, malujących chłopa i robotnika, jak Turka i Araba, to jest — jako zwierzę ciekawe i okaz zajmujący, a wnoszących do swoich krajobrazów wytworność, wymyślność i wzruszenia ludzi miejskich i poetów, aby wydostać z nich życie stłumione i marzenie zatajone. Jest on o wiele naiwniejszy. Nadmiar życia umysłowego nie przedraźnił go wcale, ani nazbyt nie podniecił. W porównaniu do nas jest on rzemieślnikiem: zabiérając się do malarstwa ma tylko intencye malownicze, mniéj go obchodzi szczegół niespodziéwany i uderzający, niż wielkie rysy ogólne i proste. Z tego powodu jego dzieło zdrowsze i mniéj przéjmujące, przemawia do dusz mniéj ogładzonych i sprawia przyjemność większéj liczbie ludzi..." Wié on zresztą dobrze (on, artysta ten zbiorowy), czego ta większa liczba ludzi od niego żąda, na co oczekuje, do czego go zachęca. Własnym instynktem odgaduje instynkt mas, instynkt narodowy, który od niego wymaga, który mu nakazuje, „aby przedstawił człowieka rzeczywistego i życie rzeczywiste — jak one są, jak je oczy widzą: tych oto mieszczan, tych wieśniaków, to bydło, te kramy, te domy zajezdne, te mieszkania, te ulice, te bóżnice, te podwórka, te lasy, te równiny podmokłe... Nie ma on potrzeby przekształcać tych pierwowzorów dla dodania im szlachetności; dość, że są, aby były godne interesu. Natura sama przez się, jakąkolwiek jest, ludzka, zwierzęca, roślinna, nieożywiona, wraz ze swojemi nieprawidłowościami, grubiaństwami, brakami, ma racyę bytu — tak jak jest; z chwilą, kiedy się ją z r o z u m i a ł o... *dès qu'on la comprend*, można ją kochać i napawać się jéj widokiem. Celem sztuki: nie przeinaczać naturę, lecz ją tłómaczyć; wskutek sympatyi artyzm czyni ją piękną. Malarstwo, tak pojęte, może przedstawiać gospodynię przy kądzieli w izbie, stolarza heblującego przy warsztacie, chirurga opatrującego rękę chłopu, kucharkę wsadzającą drób na rożen, bogatą damę zabierającą się do mycia w podawanéj sobie wodzie, — wszystkie mieszkania od ciupy do salonu, wszystkie typy od pyzy czerwonéj grubego pijaka do spokojnego uśmiechu dobrze wychowanéj panny, wszystkie sceny życia wytwornego lub wieśniaczego, grę w karty w sali z obiciami w złote kwiatki, pohulankę chłopów w zajeździe nagim, łyżwiarzy na kanale zamarzniętym, krowy u sadzawki, łodzie na morzu i całą nieskończoną rozmaitość przyrody: — niebo, ziemię, wodę, wieczór, noc i dzień... (II, 86, 87 oryginału).

A poranek o wschodzie słońca nad Mozą? — Ma się rozumiéć, wolno malarstwu przedstawiać także i poranek. Świadkiem—Cuyp... Lecz, gdzież się on podział? i co się z tym jego jasnym porankiem stało?... — Wracamy z długiéj wędrówki po przez lądy, morza, doliny, tłumy ludzi, wypadków, — olśnieni, oczarowani nieprzebraną mnogością oglądanych dziwów, — i oto wcale już Cuypa nie poznajemy, spostrzedz go nawet nie umiemy, wyróżnić nie jesteśmy w stanie na szarém tle tylu zléwających się z sobą i za siebie zachodzących widnokręgów topograficznych, etnograficznych, dziejowych, obyczajowych. Cieniutkie pasemko przeciętności, przyświecające nam jeszcze jako tako podczas porównawczych poszukiwań i studyów do „pierwszéj całości”, rozprzęgło się obecnie na setne włókienka i nitki względów postronnych, rozsypało się błędnemi ognikami na tysiączne sytuacye i zestosunkowania mniéj więcéj przygodne, mniéj więcéj niezbędne. Subtelna spójnia pomiędzy istotą początkowego zagadnienia (estetyczne przymioty „Poranku” Cuypa), a do granic niemal dowolności posuniętemi wskazaniami „całości” drugiéj i trzeciéj, nie przestała wprawdzie istniéć *in potentia*, ale *in actu* nie upoważnia nas do najlżejszego choćby domysłu, czémby nam ona służyć mogła przy formułowaniu odpowiedzi na postawione pytanie. Skupiając z wysiłkiem i natężeniem wszystkie władze i zasoby syntetycznego wnioskowania i sądzenia, gotowiśmy wyznać, że Cuyp, istotnie, „wlazłszy między wrony”... wlazłszy między te krowy u sadzawki, te uśmiechy dobrze wychowanéj panny, te obicia w złote kwiatki, te pohulanki chłopskie w nagim zajeździe — wziął od nich coś niecoś — i coś niecoś na pamiątkę im zostawił. Są to wszelakoż szczypty tak minimalne, nienamacalne prawie, że jeżeli dla nich odbyliśmy tę karkołomną podróż po przez jary i moczary, wały i kanały niderlandzkie, to już stokroć taniéj i odpowiedniéj było udać się wprost nad Mozę, ku jéj miłym, powabnym, a okolice nadbużańskie naśladującym pobrzeżom — i tam dopilnować pierwszego pogodniejszego wiosennego wschodu słońca. Opłaciłoby się to tém pewniéj, że przed laty kilkudziesięciu tę samą ścieżkę ku rzece, co i na „Poranku” Cuypa, wydeptał jeden z najsympatyczniejszych przewodników, francuski gawędziarz-estetyk, Karol Blanc, który w króciutkiéj felietonowéj wzmiance biograficznéj o Cuypie, zamknął też i sekret podwójnéj — głównie nas właśnie obchodzącéj jego faktury: jednéj — szorstkiéj i nieociosanéj jak drewno— to dla innych; drugiéj — wiotkiéj i powiewnéj jak marzenie — to dla siebie samego. Stało się to bez najmniejszego udziału z Gerardem Dowem lub Ruysdaelem, Pawłem Potterem lub Wouwermanem, van der Meerem lub van der Neerem—bez żadnego wspólnictwa z łodziami rybaków na mo-

rzu lub z warsztatami stolarzy w ciupie, aczkolwiek trudno dociec, czy nie bardziéj z powodu „kucharki wsadzającéj drób' na rożen", niźli z racyi „bogatéj damy, któréj podają wodę do mycia". Tak mianowicie było. Przyjaciele i znajomi Cuypa, równie jak i żydzi handlarze ówcześni nader natrętnie nalegali zawsze na artystę, aby pracował jak najwięcéj, a jeszcze więcéj im dostarczał. Cuyp od roboty nie stronił, robił dużo, bez wstrętu, ale i bez zamiłowania, najzwykléj bez żywego wzoru, z pamięci, z przypomnienia. Ilekroć zaś potrzebował ulżyć swojemu sercu, dać folgę napastującéj go tęsknocie, wylać się z wezbraném w piersi uczuciem, odświeżyć w sobie źródło natchnienia, wtedy ukradkiem, o świcie, kiedy zaledwie jeszcze pod strzechami budziło się ptastwo, zbiegał ku uszczęśliwionym pobrzeżom Mozy, które też nigdy go o innéj porze nie oglądały i nie oczekiwały — tylko o 4-éj godzinie zrana...

Kruche, anegdotyczne świadectwo? — nieprawdaż? istne cacko z porcelany sewrskiéj, a przecież w danéj sprawie zaznacza, wyjaśnia ono więcéj, niźli ciężkie, masywne, niby ze średniowiecznego srebra lane i kute systematy Taine'a. Swoją drogą, drogocenny foliał nie traci na wartości przez to, że na jego marginesie zarysowano winietkę filigranową — tuż przy najbardziéj zagadkowym ustępie tekstu... Nie ulega przytém najmniejszéj wątpliwości, że zasadniczo i na rozmiary wszechdziejowe Taine ma słuszność: dzieło sztuki zawsze i wszędzie jest takiém, jakiém wyszło z rąk swojego autora-artysty, autor zaś artysta tém jest, czém go Bóg stworzył i wychował kolejami jego żywota: w warunkach otoczenia domowego, doli ojczystéj i wszechogarniających prądów wieku. Nie trzeba tylko tych kolei wykréślnych, tych warunków pedagogicznych — bądź zgóry danych i poniekąd narzuconych, bądź obranych późniéj pod naciskiem motywów mniéj lub więcéj swobodnie się determinujących, rozciągać, naciągać i wykolejać po za zakres ściśle omówionego na każdy konkretny wypadek uwarunkowania. Bezspornie, ziemia artystę karmi, poi, odziewa, nosi, chowa; ale stąd jeszcze nie wypada, aby mu do jego utworów artystycznych, literackich, naukowych, wymarzonych np. nad Wartą, wypielęgnowanych pod Tatrami, wtykano brzoskwinie ejragolskie, których w życiu nie jadał, pstrągi ukraińskie, których na oczy nie widział, młyny z nad Berezyny, z których mąki nigdy chleba nie piekł, i nie trzeba, żeby mu oczy zasypywano żwirem pruskim, którego nienawidzi. Nie przeczę co do siebie np. żem się urodził w wieku XIX-ym, że oddycham powietrzem oświaty europejskiéj, a wielce poważam zaatlantyckie instytucye Stanów Zjednoczonych; ale to jeszcze nie dowód, iżbym w sobie, obok zboczeń kończącego się stulecia, nie odczuwał potrzeby wcześ-

niejszego także nieco przystosowania się do wymagań wieku XX-go i nawet XXI-go, albo téż żebym kiedykolwiek niezbędnie uprawiać miał flirt amerykański. Zgadzam się również, a najchętniéj, że Taine należy do najpotężniejszych myślicieli i najtrzeźwiejszych, najlogiczniejszych pisarzy Francyi nowoczesnéj, ale to nikomu nie przeszkadza mieć oczu czujnie otwartych na pewne rażące niekonsekwencye rozpraw, w których, obok tematów i języka Monteskiuszów i Herderów o wpływie obiektu na subiekt, przyrody martwéj na żywego ducha, spotykamy jednocześnie, w tymże traktacie, w toku wywodów na tenże temat użyte i bynajmniéj uprzednio nie wykwalifikowane wyrażenia: natura zrozumiana, dusza artysty, instynkta narodowe, tęsknoty wieszcze, natchnienia nieśmiertelne, ideały ludzkie... Bo, jakkolwiek mocną byłaby w takich razach czyja wiara w nieuniknioną wzajemną zależność i w niezbędne wzajemne na siebie oddziaływanie ośrodka i środowiska, każdy z nas poczuje się zniewolonym, albo do wynajdywania sobie specyalnych jakichś środowisk dla pomienionych natur wyrozumowanych, instynktów zbiorowych, natchnień, ideałów, genialności i t. p.; albo téż do przetrząśnięcia na nowo całego owego gmachu taine'owskiego, w którym tyle różnorodnych materyi i duchów zasiadło.

To drugie zadanie — bez porównania łatwiejsze i wdzięczniejsze — z powodu, że przed trzydziestu jeszcze laty paryscy krytycy i historycy sztuki (wspomniany Blanc, Houssaye, Menard, Cherbuliez i t. d.) uzbiérali na naukowym poletku Taine'a tyle kamieni zaniedbanych lub powytrącanych z jego budowy, że z nich wznieśćby się dało gatunek „Anty-filozofii sztuki". Nie chodzi tym razem o jakieś drobiazgi, niedokładności luźne, dotyczące szczegółów indywidualnych (jak np. potrącone z powodu Cuypa), lecz o twierdzenia najzupełniéj uogólnione, o podstawy i wiązadła architektonicznych pomysłów Taine'a. Choćby dr. Piotr Chmielowski we wstępie do przekładu polskiego zwycięsko odparł zarzuty estetyków późniejszych (Hennequin'a, Brunetiere'a, Faguet'a etc.) — poprzedni wołają o uwzględnienie i ich także wątpliwości lub spostrzeżeń faktycznych, faktami popartych. Nie mając zamiaru pisania drugiéj książki tak grubéj, jak Taine'a, sumarycznie przebieżymy niektóre z tych głosów prostujących.

Najdobitniéj, rzecby można, najjaskrawiéj zaznaczył autor „Filozofii sztuki" swą teoryę „doskonałéj zawisłości artysty od publiczności" — to jest twórcy i przewodnika smaku od smakoszów, w ocenie hiszpańskiéj szkoły malarstwa. W złotym wieku sztuki i literatury hiszpańskiéj—powiada—ciągnącéj się od XVI do połowy XVII-go stu-

lecia, Hiszpania była całkowicie monarchiczną i katolicką, ścigała hugonotów we Francyi, walczyła z protestantami w Niemczech, napastowała ich w Anglii, nawracała i podbijała bałwochwalców nowego świata, wypędzała ze swych dzierżaw żydów i maurów, oczyszczała własną swą wiarę z pomocą całopaleń i prześladowań, a z takim uporem, z taką zaciekłością łożyła swą marynarkę, wojsko, złoto i srebro swéj Ameryki, krew swych synów — żywotną krew własnego serca na krucyaty nadmierne i wciąż pomnażane, że aż padła od wyczerpania u stóp Europy po upływie półtora wieku, ale wśród takich uniesień, takich blasków sławy, takiego powszechnego zapału, że jéj obywatele, rozmiłowani w monarchii ześrodkowującéj ich siły i w sprawie pochłaniającéj ich żywot ofiarny, wyłącznie odtąd pielęgnowali w sobie jedno tylko pragnienie: wywyższyć podniebnie monarchię i religię przez swą uległość bezwzględną, otoczyć tron i ołtarz chórem bojowników, czcicieli i wyznawców wiernych... I cóż widzimy? „W owéj monarchii inkwizytorów i krzyżowców, przechowujących w sobie uczucia rycerskie, namiętności posępne, okrucieństwo, wyłączność, mistycyzm wieków średnich — najwięksi artyści są ludźmi posiadającymi w najwyższym stopniu usposobienia, żądze i zdolności otaczającego ich tłumu” (I, 6,7 oryg.) [1]. Na poparcie świetnéj téj, jak zawsze, ekspozycyi historyozoficznéj, Taine wymienia sześciu głośniejszych malarzy, z których czteréj drugorzędni, Zurbaran Herrera, Cano i Morales, istotnie nietylko dokładnie w sobie odzwierciedlają „moralność”, umysłowość i społeczne popędy swojego narodu i czasu, lecz poniekąd prześcigają je ponuremi, dymnie pożogowemi, krwiożerczo rozpasanemi plamami swojego kolorytu. Zysk stąd jednak nie wielki. W punkcie tym estetyk francuski zdobył się tylko na gatunek genialnéj kółkowrotności (tautologii) w stosowaniu swéj teoryi środowisk estetycznych. Miernota, biédactwo, cherlactwo, cóżby innego miało do czynienia na tym świecie, gdyby swych talentów nie wyprzedawało na bułki dla dzieci, na buciki dla żony, na listy zastawne dla swéj starości, — gdyby czapką, pędzlem, piórem, dłutem, nogami, rękami nie schlebiało zachciankom publicznym, nie dmuchało w kierunku panującego wiatru, nie chuchało pod makaty górnolotnych dążności, możnowładczych, nie nabawiało siebie chrypki od gorliwego pełnienia przykazania litewsko-ruskiego: śpiewaj wraże, jak pan każe. Nie nowina to ani w Zurbaranach, ani w Moralesach...

---

[1] Kilka przytoczeń nosi na sobie zaznaczenie oryginalne, że chwilowo, podczas notowań recenzyjnych, nie miałem egzemplarza polskiego pod ręką, trud zaś późniejszego przerabiania cytat byłby zbyteczny.

Natomiast, dziw nad dziwy z uwagi na pisarza tak przenikliwego jak Taine, że pod tę wspólną miarkę hiszpańską, podciągnął on dwóch istotnie „największych”, w pełném i na całą kulę ziemską promieniejącém znaczeniu „genialnych” artystów: Velasqueza i Murilla. Kto choć przelotnie zwiedzał galerye zachodnie, komu bodaj raz w życiu wypadło przejść się po Luwrze, ten wié, że obaj ci malarze najkategoryczniéj, najpłomienniéj wydobywają się z pod zarzuconéj na nich płachty uogólnienia. Velasquez nie ma w sobie nic zgoła inkwizytorskiego, zakapturzonego, zasmolonego; jest to przytém jeden z najmniéj religijnych, a nawet „najniereligijniejszych” z malarzy południa europejskiego. Murillo znowu, aczkolwiek słabo zazwyczaj, broni się od „zaziemskich” mar religijności, to przecież łagodna, jutrzenna, platoniczna powiewność i rzewność jego wiary, co najmniéj równoważy surową i dumną stronę najwidoczniéj szczeréj jego pobożności; w każdym razie uważać należy za proste, fizyczne niepodobieństwo zaliczenia Murilla do przedstawicieli w sztuce „namiętności posępnych, osowiałego zdziczenia, osowiałéj nietolerancyi, mistycyzmu średniowiecznego.” Bezwątpienia, dowód przeciwko Taine'owi stałby się jeszcze mocniejszym, gdyby w artystycznéj twórczości mistrzów hiszpańskich odnaléść się dała wyraźna, rzeczowa protestacya przeciwko górującym w ojczyźnie narowom i spaczeniom. Atoli, po pierwsze, artyzm nie ma na swoje zawołanie ani togi rzecznika, ani rusznicy rokoszanina, ani czapki „niewidymki”, którąby się nakrył na wypadek niebezpieczeństwa; zasoby jego pod tym względem są nader ograniczone, jak to zgodnie wykazali u nas zarówno prof. Henryk Struve („Sztuka i piękno”, 1892, str. 98, 270, 278, 346 i t. d.), jak i p. Stanisław Witkiewicz („Sztuka i krytyka”, 1891, str. 22, 31, 458 i nast.). A następnie, kto tam dziś pod popiołami wyszpéra, co się to w wiekach XVI–XVII działo naprawdę w Hiszpanii z rozmaitemi negacyami i opozycyami mistrzów słowa, pędzla, smyczka lub rylca! Łacno to dziś polecić innym: nie dopuszczajcie u siebie do rugowania maurów! brońcie klechom niszczyć nieocenione objawy swobodnéj myśli, uczciwego przekonania! za kark chwytajcie oprawców godności i dostojeństwa ludzkiego! Ale niechnoby sam kto spróbował pójść za tą radą, gdy mu język urżnięto, rękę odłamano, a resztę zakuto nad oceanem do taczek i godzinki wyśpiewywać kazano, kując w minach srebro młotem.

„Nieprzerwana i ścisła odpowiedniość”, snująca się pomiędzy pięknotwórstwem a okolicznościami zewnętrznemi, powodującemi onego powstanie, wzrost, upadek — odpowiedniość do tyla nieubłagana i konieczna, że „otoczenie wnosi z sobą lub za sobą pociąga sztukę w ten sam zupełnie sposób, w jaki mniéjsze lub większe oziębienie po-

wietrza spuszcza lub zbiéra rosę, w jaki mniejsze lub większe światło odżywia lub niszczy zieloność w roślinach" (I, 253), — fatalistyczna ta odpowiedniość okazała się nie zupełnie ścisłą i nie zupełnie konieczną w „zakopconéj" Hiszpanii. Za to, we Włoszech, powinna nam ona ukazać się w kardynalskiéj purpurze swojego słońca, w majestacie swych niebios przeczystych. Klasyczna to ziemia „umnictwa pięknego", jak się wyrażał Liebelt. Nawet Klaczko...—nawet ostatni po kądzieli z Horeszków wiedział o tém, gdy Tadeuszowi z niezmąconą precyzyą wielkopańską dawał znane dziś nam nauki. „Przyjacielu! piękne przyrodzenie jest tłem... Nie wszystko, co jest piękne, wymalować da się — dowiész się o tém z książek w swoim czasie... Stąd w kunszcie pejzażów Włochy były, są, będą ojczyzną malarzów"... Należy wszakże przypuścić, że Taine znał i rzeźką odpowiedź Tadeusza, skoro o wpływie włoskiego nieba na twórczość zaledwie napomyka tu i owdzie, jakby o czémś podrzędném. Bo téż, co prawda, niebo wogóle, jako pierwszorzędna dźwignia twórczości, staje u niego na pierwszym planie—dopiéro w Grecyi. Tu, pod Apeninami, mamy do czynienia przeważnie, wyłącznie niemal, z niesłychaną tylko jeszcze barwnością środowiska społecznego i politycznego — w pamiętnym wieku Odrodzenia („ostatnia ćwierć XV i pierwsze trzydzieści lub czterdzieści lat XVI-go stulecia") — w wieku Leonarda da Vinci, Rafaela, Michała Anioła, Andrea del Sarto, Fra Bartolomea, Giorgiona, Tycyana, Sebastyana del Piombo, Corregia. Wielkie to są imiona, wielka téż chwała bije od nich i na potomność spływa. To i przeciwieństwo z zakutą w zbroję, chmurnie w sobie skupioną i fanatycznie rozżartą Hiszpanią — również biegunowe, jako światła z ciemnością. Przeto, znając olbrzymi opisowy talent Taine'a, spodziéwamy się od niego dwu, trzech, czterech rozdziałów poświęconych starannéj analizie saméj sztuki włoskiéj w przesławnym owym okresie: szczegółowemu rozbiorowi jéj szkół głównych i jéj różnic lokalno-stylowych, syntetycznemu zobrazowaniu wzajemnego na siebie oddziaływania tych szkół i tych stylów, wreszcie psychologicznéj charakterystyce indywidualności celniejszych mistrzów—w następczém przejściu tajemnic ich znawstwa na synów i w spółrzędnym odblasku ich genialności — na współzawodnikach i towarzyszach [1]). Tymczasem, po pobieżném—żeby się nie wyrazić dobitniéj — potrąceniu ważnych tych kwestyi na kilku stroniczkach (I, 127 — 132 oryg., 70 — 72 tłómaczenia), autor czémrychléj

---

[1]) Słuszność przypomnieć każe, że nieco z tych nadziei autor ziścił w osobném dziele; w poprzednio przytoczonéj „Podróży po Włoszech".

dosiada ulubionego rumaka i temi słowy do nas się odzywa: „Takiém jest dzieło. Pozostaje nam teraz, według naszéj metody, poznać otoczenie...” Otoczenie i otoczenie! A więc: „Umysłowość rodzajno-malownicza, co znaczy: środkująca pomiędzy czystemi pojęciami a czystemi obrazami, popędy energiczne i obyczaje gwałtowne—to są okoliczności czasowe, które w połączeniu z wrodzonemi zdolnościami rasy, wytworzyły wielkie i doskonałe malarstwo ciała ludzkiego we Włoszech. Obecnie (ażeby utrzymać uzupełniający wyznacznik zewnętrzny, to jest dobę, czyli „moment dziejowy”, — dopisek recenzenta) dość będzie, gdy wyjdziemy na ulicę lub wstąpimy do pracowni: ujrzymy, jak się to malarstwo z samo z siebie, samo przez się rodzi” (I, 232)... Zaiste, styka się to z cudownością, jakkolwiek, z drugiéj strony, żalić i narzekać na to nie mamy najmniejszego powodu: pracownia jest rzeczywiście przestronna i wesoła, ulica zaś—do zawrotu głowy rojna, huczna, roześmiana i krewka. Pomimo to, nie widać i tu jeszcze—tak samo jak i w Hiszpanii—dlaczegoby owa swoboda, owa wesołość i przestronność mniéj dotkliwie nękały całe pokolenie, całą gromadę duchów (Vinci, Rafael, Tycyan, Michał-Anioł etc.) od ciasnoty, niewoli i posępności, które—jak to zaznaczyliśmy w swojém miejscu—przygniatały wysforowane ponad poziom głowy takich jednostek, jak Velasquez i Murillo.

Nasamprzód, skąd się tu wzięło, co porabia na ulicy włoskiéj i w pracowni włoskiéj to „ciało ludzkie”, podkréślone przez nas o parę wierszy wyżéj, z którego czy téż dla którego samo z siebie i przez siebie narodziło się malarstwo epoki Odrodzenia? Nie jesteśmy wszak w Grecyi; morze lat oddziela nas od plastyki helleńskiéj, od trybów jéj wytwórczych. Tryby zaś te Taine zbyt jednostronnie i wyłącznie — chyżo przerzuca na grunt chrześciańskiego... — średniowiecznego, i bądź co bądź, choć trochę dantejskiego jeszcze być może obiegu krwi w żyłach i pojęć w głowach włoskich, gdy na podstawie kilku snycerskich zdań Celliniego tak się wyraża o malarzach włoskich: „jeżeli chcieli przedstawić co oczom—to najprzód, ciało naturalne— ciało zdrowe, czynne, energiczne, obdarzone wszystkiemi zdolnościami atletycznemi i zwierzęcemi, następnie zaś—ciało człowieka idealne, zbliżone do typu greckiego, tak dobrze ustosunkowane i zrównoważone we wszystkich częściach, wybrane i osadzone w postawie tak szczęśliwéj, udrapowane i otoczone innemi ciałami tak dobrze zgrupowanemi, że całość tworzy harmonię, że dzieło daje wyobrażenie świata cielesnego, podobnego do starożytnego Olimpu, to jest bohatérskiego czy boskiego, w każdym razie wyższego i doskonałego...” Ani wręcz, ani na odlew nie sposób zrozumieć tego ustępu—jedynego zresztą, dotyczące-

go saméj wytwórczości malarskiéj, niezależnie od postronnych zahaczeń deterministycznych. Już dla Leonarda da Vinci zrobił autor wyjątek od reguły więcéj niż śmiałéj, wyjątek przytém taki, że byłby on mocen, w umyśle mniéj doktrynerskim, jedną choćby tylko ścianę wywalić w taine'owskiéj teoryi „samorodztwa okolicznościowego" i choć połowę dachu zedrzéć z metody „ciśnień środowiskowych." „Leonard da Vinci—pisze—geniusz wszechstronny i wytworny, badacz samotny i nienasycony, zapuszcza wieszczy wzrok po za swój wiek, sięgając nawet niekiedy naszego" (72 tłóm.). I tyle? — A inni?—Inni z pewnością nie pozostali zbyt daleko w tyle za Vincim. Niech sobie Olimp bierze, jeśli wziąć zdoła, Tycyana i Tintoreta, których karnacyom Taine przyznaje „pyszną lubieżność zwierzęcą, a rzutkość gwałtowną, siłę i wesołość atletyczną" (120 tłóm.). Natomiast, dokazałby sztuczki nie lada, ktoby w grecką bieliznę ubrać potrafił nie tylko Rafaela, u którego forma jest nieodłączną towarzyszką wyrazowości (ekspresyi) nieskończenie nieraz złożonéj, w mistyczność zapadającéj (Taine wszelakoż nazywa ją w jednéme miejscu „prostą"), ale i Michała-Anioła, który także dość częste miewał pragnienia powiedzenia nam czegośkolwiek świeższego, tegoczesnego — a powiedziéć umiał. Niestety, otoczenie!... Ach, to otoczenie... W pracowniach włoskich tak wyśmienicie baraszkowano w dniach Odrodzenia, na ulicach tak rączo dosiadano konia, tak siarczyście kordami się smagano, tak ogniście nad rankiem i pod wieczór całowano się z dziewczętami, że najprostszą stąd drogą—olimpijską—ucieleśniły się i „bezdusznie" święte Madonny Rafaelów i zakamieniale milczący Mojżesze Michałów-Aniołów...

Powtóre, czy obniżając i odsuwając nieco wstecz (w zrozumiałym zresztą celu niejakiego wyrównania dwu rzeczy różnych): autonomiczno-duchowe pierwiastki twórczości Odrodzenia włoskiego, autor „Filozofii sztuki" nie podniósł zarazem i nie zmodernizował trochę — w ugrupowaniu—czynników żywiołowych i automatycznych, mających według niego, powodować ideały téj „nadzmysłowéj" z naszego punktu widzenia spuścizny Renesansu?... Zaiste, za powabną jest ta jego żywiołowość, za ponętny ten jego automatyzm, za ożywione i za gustowne są te wystawy i zastawy; traci się poniekąd apetyt fizyczny na widok czerstwości, jędrności i soczystości téj szalonéj stylistyki literackiéj... Za drugiego cesarstwa we Francyi, zwłaszcza w dniach wychodzenia na świat pojedyńczych części „Filozofii sztuki", pewna przesłodzona, przesolona i przepieprzona predylekcya do urządzeń, ustaw, obyczajów staroświecczyzny i średniowiecczyzny, tak republikańskiéj, jak feudalno-decentralizacyjnéj, leżała w dobrze zrozumianym intere-

sie wydawców i w noszoném z godnością poczuciu niezawisłości autorów; temu chorobliwie niekiedy zniecierpliwionemu dążeniu do czém rychlejszego strząśnięcia z siebie jednoczących i prostolinijnych model w makadamowaniu chodników i w plebiscytowaniu zamachów stanu, nie oparł się nawet pochylony wiekiem i pracą naukową, zmarszczkami okryty Littré, który także w końcu wydobył z zanadrza i puścił jakiś pamflet wynoszący po nad Tuillerye komunalne, municypalne, korporacyjne, federacyjne, rycersko-dzwonniczne, klasztorno-patryotyczne liberye, kostiumy, jurysdykcye, wyznania wiary Filipów Pięknych, Ludwików Świętych, Karolów Szczodrych—czy nawet Łysych. Przeto i Taine'a nie należy zbyt pochopnie chwytać na gorącym uczynku roziskrzonego, krzykliwego ilustrowania: okien, oddrzwi, krużganków, kominków pałacowych, dźwięku i brzęku najemnego żołdactwa, stuku i puku targowisk miejskich, doraźnego wymierzania sobie sprawiedliwości kijami i oszczepami, publicznego wywoływania uczonych sztukmistrzów ze skromnego kółka ich zajęć prywatnych na stanowiska urzędowe—i tym podobnych bakalii renesansowo-włoskich, w jakie z końca w koniec opływały wszystkie dwumilowe republiki-monarchiczne i wszystkie cztero- lub pięciomiesięczne monarchie republikańskie Italii ówczesnéj. Atoli, naodwrót, nie godziłoby się już może tych radości i uciech Odrodzenia stawiać w zbyt ostréj antytezie do obrobionych na szaro stanów, położeń i nastrojów życiowych w innych krajach i w innych—„o wiele późniejszych" czasach: 1) w Anglii zaludnionéj do r. 1550 wyłącznie przez drapieżnych kłusowników, grubiańskich dzierżawców i rozpijaczonych żołdaków, a od r. 1550 — przez samych handlarzy, mytników i przemysłowców, pośród których „poczucie pięknych form i kolorów" było tylko „pomarańczą egzotyczną," często niedojrzałą i cierpką, zaszczepioną na karłowatéj i rosochatéj wierzbie cywilizacyi rodziméj; 2) we Francyi sielankowo rozskakanéj na wersalską nutę wypudrowanych Ludwików XIV przed rewolucyą, a kankanowo rozbrykanéj po rewolucyi pod gubernatorską i prefektoralną batutą wszechwładztwa narodowego; 3) w Niemczech wreszcie, zafrasowanych od świtu do północy swéj teraźniejszości i od północy do świtu swéj przeszłości, poszukiwaniem i określeniem własnéj istoty geograficznéj, plemiennéj i umysłowéj w bójkach religijno-rzeźniczych za Lutra, w swarach metafizyczno-państwowych za Hegla, w szachermacherkach artyleryjsko - dyplomatycznych za Bismarka, Fryderyka II, Kruppa. W zakresie sztuki renesansowéj we Włoszech nader małe bądź, co bądź, pożytki okroiły się z tych porównań i zestawień na rzecz i ku chwale ośrodowiskowych jéj zaczynów w Padwie, Pizie, Wenecyi, Messynie, Rzymie, Neapolu, Medyolanie, Genui,

Florencyi, Turynie... O wiele doniośléj, bo wiarogodniéj od „dalekich zbliżeń”, a prosto mierząc do właściwéj tarczy, przemówiłyby kroniki domowe Italii, gdyby Taine'owi przysłużyła się była sposobność przewertowania ich choć w tym stopniu „pobieżnéj pilności”, jakiéj dowody—według zapewnienia St. Beuve'a—złożył Stendhal w swoich romansach włoskich. Z Vasarim pod ręką, wątpię, czyby się dał dyletancko nawet wyświetlić wpływ współczesnych pojęć filozoficznych na taką Szkołę ateńską lub Parnas Rafaela; szeroko zaś rozwiedzione swawole, biesiady, igraszki, żarty w rodzaju np. „że pewnego wieczoru Gian Francesco na miejsce stołu wstawia olbrzymią kadź i każe wejść do niéj biesiadnikom” (127 tłóm.), cóż one wspólnego miéć mogą np. z arystokratyczną epikurejską egzystencyą Tycyana lub ze spokojnym, nie udzielającym się trybem życia Corregia? Rozumiem mordy Borgiów, symonie zwierzchników kościoła, walki mieszczan o hegemonię lub udzielność ojczyzn ratuszowych; tu już i klasyczny Sismondi możeby wystarczył do wniknięcia w duszę takiego Michała Anioła, „króla całéj téj epoki”, którego namiętnie, do głębi przejmowały wszystkie potężne owoczesne wstrząśnienia i prądy polityczne... Ale właśnie: potężne... A więc co tu może robić i o czém świadczyć taki Benvenuto Cellini, „artysta-dziwak”, na pół rzeźbiarz, na pół bandyta, kawałek spóźnionego epigona arcymistrzów Odrodzenia, reprezentant oddalonéj już od nich, ku zmierzchowi i zamknięciu zmierzającéj doby? Tymczasem właśnie z Celliniego, z jego charakterystyki indywidualnéj Taine ulepił jakąś miarkę typową i rozciągnął ją na wszystkich bez różnicy (*indifféremment*) potentatów renesansu (René Ménard w *L'année philosophique*, 1867, str. 390). Zarzut Menarda, jednego z najuczeńszych historyków sztuk wyzwolonych w Europie, pokilkakroć uwieńczonego przez rozmaite akademie (w ich rzędzie przez *L'académie des Beaux-arts*) jest także może nieco za rozciągły, a bez wyróżnień; byłoby wszakże pobłażliwością i niepotrzebną i z wielu względów ubliżającą talentowi i pamięci znakomitego autora „Filozofii sztuki”, gdyby się zamilczało, że w wielu miejscach rażącą jest transpozycya kłótliwych, zawistnych, podstępnością zatrutych, zbójeckich, nawet wprost „nikczemnych” środowisk dalszych (Salvatora Rosy, Ribery, Bandinellego etc.) — na poprzednie otoczenia Corregiów, Tycyanów, del Sartów, Rafaelów...

Mniejsza o to. Zastanówmy się tylko nad alternatywą zasadniczą—nieodbicie nastręczającą się w téj mieszaninie ludzi, ludów, okresów. Jeżeli niezwykły gatunek chronologicznych podniet zewnętrznych przygotował i uprawił renesansową tę „odpowiedniość”

na specyalnie uprzywilejowanéj w tym kierunku glebie włoskiéj, w takim razie czém sobie wytłumaczyć zjawisko roztrzęsionéj, pokawałkowanéj, gdzieniegdzie tylko stalszemi oazami lub sporadycznemi bukietami zakwitającéj roślinności pięknotwórczéj? Dla czego „odpowiedniość" gorliwiéj sprzyjała Parmie niż Neapolowi, sowiciéj nagradzała Toskanię niż Kalabrię, bez względu, że w téj drugiéj awanturnictwo, galanterya i tym podobne sprawcze przyczyny zasiewności twórczéj swobodniéj jeszcze grasowały niźli w innych zakątkach półwyspu? Florencya posiadała Paców i Medyceuszów; oni to ostrzem swych szpad wykrzesali trzy blisko wieki trwający cykl rozwoju sztuki... Bardzo dobrze. Lecz czyliż Rzym nie miał swoich Kolumnów i swoich Orsinich, coby to samo uczynić byli zdolni dla wiecznego miasta? Skądże poszło, że Rzym, pomimo wędrownego z zewnątrz natłoku w swych murach artystów i arcydzieł, nie zdobył się ani na szkołę własną, ani nawet na odrębniejszą lub tylko dłuższą tradycyę estetyczną? Laguny chyba, malarye sąsiednie wygnały je stamtąd... Ależ nie zbywało i Wenecyi na malaryach i na lagunach, a przecież nie powstrzymały one królowéj mórz od rozbłyśnięcia nad światem strumieniami najwspanialszych promieni kolorytowych, jakie kiedykolwiek zdumiewały i zachwycały źrenicę ludzką... I dla czego dyadem ten trysnął barwami raczéj, nie zaś, jak we Florencyi, niepokalaną linią rysunku?... Kwestye i kwestye... Nawzajem, jeżeli nie żaden nadludzki zbieg wyjątkowo przyjaznych trafów naturalnych, tak uroczyście i uroczo umaił Włochy wieku XV i XVI-go, — jeżeli w umajeniu tém upatrywać należy jedną tylko z faz owego ogólnopostępowego uwarstwiania się zdobyczy cywilizacyjnych, które nieznany nam do niedawna autor „Podstaw socyologii" nadspodziewanie trafnie, nazwał „obiektywizacyą myślącéj istoty człowieka" („Ateneum", 1896, t. IV, str. 287), w takim znów poglądzie mniejszą jeszcze niż w przypuszczeniu pierwszém znajdujemy pewność dla naczelnéj tezy Taine'a, że w owéj powszechnéj obiektywizacyi naszego ducha, twórczość artystyczna odgrywa jedynie rolę cieczy w rurce termometrycznéj lub barometrycznéj. Że zaś uwarstwień zbliżonych do włoskiego, nie brakowało dotąd ludzkości i prawdopodobnie nie zabraknie nadal, przeto i pole ich obserwacyi dla nas nie jest dziś zbyt ciasne... W widoku skrócenia kontrowersyi, pominiemy dotknięte przed chwilą geologiczno-psychologiczne pokłady angielskie, niemieckie, nawet amerykańskie. Oddając je na pastwę humorystyce nieszkodliwéj, chętnie przypuszczamy, że od nich, jako wyłącznie dziś pochłoniętych bimetalizmem, cłami, przesileniem zbożowém, wyprawą do Sudanu,

rewelacyami „Hamb. Nachrichten”, żadnego nowego światła dla zagadnień naszych nie pozyskamy—a nawet gotowiśmy solennie stwierdzić, że estetycznych instynktów tych społeczeństw nie ocali od zagłady już i rasa, rasowość,—największy z kluczów filozofii Taine'a, — ta sama rasowość, która u Flamandów i Holendrów (obok prześlicznych obrusów i wyśmienitego séra) wyprodukowała tuziny i kopy van Eycków, Messysów, Brenghelów, Crayerów, van Dycków, Teniersów, Rembrandtów... Ograniczymy się do jednéj Francyi. Naród to niezaprzeczenie „skoczny”, aczkolwiek nie zupełnie w znaczeniu przysłowiowo-historycznéj skoczności Słowianina—*sclavus saltans*. W ciągu krótszéj jeszcze od renesansowo - włoskiéj doby swych zwyrodnień i odrodzin przebiegł on wszystkie możliwe, krańcowe i środkowe, ultramontańskie i rewolucyjne, konstytucyjne i anarchiczne, ogniowe i lodnikowe szczeble środowisk i otoczeń, — i gdyby jego wylewność artystyczna, posłuszna prawom środowiskowych ciśnień Taine'a, powtarzać miała saméj tylko krwi jego odblaski, jedno tylko malarstwo francuskie, jużby wyglądało jak kalejdoskopowy odwzór miliarda ruchów i figur, błyskawicznie a chromolitograficznie zdjętych z bitew napoleońskich. A jednakże nic z tego—przynajmniéj zaś nie tak wiele. Na nieśmiertelnéj łodzi przeznaczeń swych boskich, w zaświat sięgających, twórczość narodowa płynęła sobie własném łożyskiem natchnień dość cicho, spokojnie, a wciąż daléj i daléj, uprzedmiotawiając ducha ludzkiego w jedném miejscu, subiektywizując przyrodę w drugiém, wyprzedzając tam potoki życia, wstecz ówdzie zawracając od nich, to znów równając się z niemi kędyś na przystankach w sposób mniéj więcéj zgodny, świadomy, lub przez opieszałość... Przed orką lat 1789—92 Lebrun, Girardon, Coypel niezaprzeczenie przedrzeźniają etykietę, perukę i menuetowe gesta kochanka panny Lavallière; Boucher, w imieniu muz i gracyi, rzetelnie pali kadzidełka na cześć pani Pompadour; Watteau, niewątpliwie tak się zrasta ze stylem krzeseł, kotar i kozetek *à la Régence*, że go z pod nich wyciągnąć niepodobna. Ale Poussin, który przed gustami i łaskami dworu szuka ratunku w Biblii i wiejskich okolicach Romy, „gdzie mu serce rośnie na wolném powietrzu”; ale Claude Lorrain, którego jasny i błogi spokój zdaje się być „rajską zorzą przeniesioną w chłód i pustkę tułaczych na obczyźnie tęsknot...” Puget, który „od jednéj bytności w Wersalu dostaje nieprzyjemnéj czkawki na całe życie...” Lesueur, którego nawet Taine nie chce nakłonić do współczesnego szablonu, powiadając, że był „surowym, wyniosłym i powściągliwym”, — jakże tu teraz z nimi się obrócić, co z istotném ich otoczeniem począć?... I co począć z takim jeszcze roko-

szem imion: Guéricault i jego Statek w rozbiciu, Regnault i jego Śmierć lub wolność, Vien co w 70 roku życia ofiaruje narodowi swój Tryumf republiki, Gérard co nieprzestając być „członkiem obywatelem trybunału rewolucyjnego", ma jeszcze dość sił i czasu by zostać „nadwornym malarzem Napoleona I, Ludwika XVIII, Karola X, Ludwika-Filipa..." A Fragonard, a Gros, a Vanloo, a Chaudet, a Girodet, a Granet, a Drolling, a Leopold Robert, a Horacy Vernet... których nie tylko nie wiesz gdzie, na jakim stołku widomego świata posadzić, lecz nie umiałbyś nawet znaléźć dla nich—z wyjątkiem może naturalisty Chardina — chwilowéj gościny w któréjkolwiek z powietrznych oberż idealizmu, realizmu, klasycyzmu, romantyzmu. Niech, kto chce i może, tłumaczy swym uczniom wyniosłe, obnażone, greckie posąźnictwo na obrazach Davida, niech komentuje bezwzględnie anielskie twarzyczki Greuze'a pośród piekielnego wrzasku wiedźm reakcyi i kłębiących się pod stopami Maratów śmieci uliczno-rewolucyjnych. Co do mnie, na pożarcie cerberom środowiskowego wstecznictwa oddałbym chyba zzieleniałe już dziś podobno ciała madonn Ingres'a i literackim atramentem (według Taine'a) malowane powieści historyczne Delaroche'a. Ale, oto Proudhon, nie mniéj czysty, nie mniéj niezrażony w swych harcach z napastującém go „robactwem nędzy i ubóstwa", jak godnym i zwycięskim pozostał jego sobowtór w poezyi, Andrzéj Chenier, kiedy walczył z napastującą go ćmą odwetu „zemsty sprawiedliwéj." Oto Delacroix, najzupełniéj w tenże sam sposób należący do swoich czasów, w jaki Byron oklaskiwał święte przymierze lub Hugo popierał kandydaturę 2 grudnia. Oto Meissonier, wśród klęsk i niedoli krajowéj zbiérając na polu bitew do swoich poematów zwycięzkich, odwrócone kopyta końskie i rozpłatane czerepy kirasyerów. Oto Courbet, podpisujący w jednym dniu i papiér, który kolumnę Vendôme obalił i płótno, które upamiętnićby powinno jedną z najczulszych po dramatach Roberta Fleurego sielanek naszego stulecia... O! tych, to jużbyś chyba ani rękojeścią ani kolbą nie zapędził do innego otoczenia nad to, jakie z temperamentu własnego ich serca i z logiki własnego ich ducha się wysnuło...

Tak jest, bezwarunkowo: w niezłomne nierozerwalne ogniwa praw wiekuistych kojarzy się twórczość ludzka, dawna i nowa, z płaskim, prozaicznym, trywialnym, troskami powszedniemi zewsząd oplecionym biegiem naszego żywota,—z fabrycznemi, kolejowemi, bankierskiemi, wyścigowemi, teatralnemi, targowiskowemi, redakcyjnemi, technicznemi położeniami i ustusunkowaniami naszéj rzeczywistości. Żałować tylko trzeba, że nie są te ogniwa tak geometrycznie proste

i tak psychologicznie jednorodne, jak to przewidywał autor „Filozofii sztuki” na lat kilka przed napisaniem swojéj „Umysłowości” (*De l'Intelligence*, Paryż, 1870), — kartaczującéj w sposób prawdziwie nielitościwy rzetelność, odpowiedzialność i wiarogodność wszelkich bez wyjątku wpływów przedmiotu na podmiot, grubego warsztatu materyi na wątłą, powiewną przędzę idei i ideału.

Józef Tokarzewicz.



FINANSE MIASTA WARSZAWY

za okres dwunastoletni (1883 — 1894).



Warszawa nabiéra coraz bardziéj charakteru wielkiego miasta. Znaczne zwiększenie jéj ludności prowadzi za sobą odpowiednie powiększenie potrzeb i wydatków miejskich. Mianowicie kanalizacya i rozszerzanie sieci wodociągów wpłynęły na zwiększenie wydatków, tak jednorazowych dla dokonania niezbędnych robót, jak i stałych dla utrzymania w działalności dokonanych urządzeń.

W świeżo wydanéj pracy zestawiliśmy dochody i wydatki miasta Warszawy za okres 12-letni (1883 — 1894), na podstawie zamkniętych rachunków [1]). Z głównemi rezultatami powyższéj pracy chcemy zapoznać czytelników.

Ludność m. Warszawy w ciągu okresu 12-letniego powiększyła się o 32%, dochody kasy miejskiéj, wyłączając dochody zwrotne, które nie mają żadnego znaczenia dla finansów miasta, zwiększyły się w tym samym czasie o 108%, t. j. więcéj niż podwoiły się; wydatki zaś zwiększyły się o 95%. Wprawdzie to zwiększenie dochodów i wydatków sprowadziły wpływy nadzwyczajne, pochodzące z pożyczek zaciągniętych w celu dokonania kanalizacyi miasta.

Jeżeli obliczymy stosunek dochodów i wydatków do ludności

---

[1]) „Statystyka finansów miasta Warszawy za okres 12-letni (1883—1894).“ Warszawa, 1896 r.

miasta, to w r. 1883 dochody ogólne wynosiły 6.49 rubli na jednego mieszkańca, w 12 lat potém dosięgły 10.24 rubli. Podobnież było i z wydatkami, wynosiły one na jednego mieszkańca w r. 1883 — 6.12 rs., w r. 1894 — rs. 9.07.

Dochody m. Warszawy przedstawiliśmy w dziesięciu grupach. Najważniejszą grupę tworzą podatki bezpośrednie i pośrednie, które w r. 1883 dały 65% sumy ogólnéj dochodów, t. j. prawie ²/₃ sumy ogólnéj, — w r. 1894 wynosiły one tylko 46%, t. j. mniéj niż połowę dochodu ogólnego, a to z powodu, że w tym roku dochód z pożyczek dał 26% sumy ogólnéj, kiedy w r. 1883 tego dochodu nie było jeszcze zupełnie. Dochód ogólny *(brutto)* z przedsiębiorstw miejskich wynosił w r. 1894-ym 19% sumy ogólnéj, ale ten dochód był po większéj części pochłonięty przez wydatki spowodowane temi przedsiębiorstwami.

Wśród podatków bezpośrednich pierwsze miejsce zajmuje podatek szacunkowy, który przyniósł w 1891 r. 61% sumy ogólnéj wpływów z podatków bezpośrednich; powiększył się on w ciągu okresu 12-letniego o 49%, t. j. prawie półtora raza. Drugie miejsce zajmują 33¹/₃% do podymnego (podatku skarbowego), które przyniosły kasie miejskiéj 14% sumy ogólnéj i zwiększyły się od r. 1883-go o 48%. Trzecie miejsce przypada dodatkowi 50% do opłaty akcyzy od trunków. Przyniósł on 10% sumy ogólnéj wpływów z podatków bezpośrednich i powiększył się w r. 1883 o 39%. Opłata dodatkowa do patentów i świadectw handlowych 9% sumy ogólnéj i zwiększyła się o 81% w ciągu 12-tu lat. Podatek od przemysłu przewozowego dał 3% sumy ogólnéj, a zwiększył się o 380%, t. j. prawie pięciokrotnie. Wszystkie razem podatki bezpośrednie zwiększyły się w ciągu tego okresu o 55%, t. j. więcéj niż półtora raza.

Podatków pośrednich mamy 17 kategoryi. Najwięcéj przyniosło rogatkowe od koni i bydła, mianowicie 27% sumy ogólnéj podatków pośrednich. Zwiększyła się ta opłata o 20% w ciągu lat 12-tu. Rogatkowe na drogach żelaznych przyniosło w 1894 roku 18% sumy ogólnéj podatków pośrednich, a wzrosła od roku 1883 tylko o 8%. Opłata od kart pobytu w mieście przyniosła 15% sumy ogólnéj i zwiększyła się w ciągu 12 lat o 97%. Opłata od aktów notaryalnych i od protestu weksli dała 10% sumy ogólnéj, ale zmniejszyła się o 27% od r. 1883. Opłata od paszportów zagranicznych i krajowych dała 9% sumy ogólnéj w roku 1894 i powiększyła się o 60% od r. 1883. Opłaty od spraw wy-

taczanych przed sądami pokoju przyniosły 8% sumy ogólnéj dochodu z podatków pośrednich i zwiększyły się od roku 1883 o 28%. Opłata od koni osób prywatnych dała 3% dochodu ogólnego i zwiększyła się od r. 1886 o 102%, t. j. więcéj niż podwoiła się. Wszystkie podatki pośrednie, razem wzięte, zwiększyły się w ciągu okresu 12-letniego o 30%.

Głównem źródłem dochodu wielkich miast obok podatków są przedsiębiorstwa specyalne, do których zaliczyć należy: urządzenia dla oświetlenia gazowego lub elektrycznego, wodociągi, koleje konne lub elektryczne miejskie, targi centralne na bydło, halle targowe, rzeźnie miejskie i t. p. W Warszawie przedsiębiorstwa specyalne przynoszą dotąd bardzo mały dochód. Dla wodociągów i kanałów, najważniejszego przedsiębiorstwa miejskiego, rachunek przedstawia się jak następuje:

W r. 1894 otrzymano za wodę	654,465 rs.
„ „ za kanały	127,038 „
Razem	781,503 rs.

Wydatki zaś wynosiły, nie licząc kosztów nowych robót kanalizacyjnych i wodociągowych:

wodociąg praski i na ulicy Dobréj	11,045 rs.
koszta utrzymania nowych wodociągów i kanałów .	214,504 „
różne roboty przy wodociągach	30,664 „
przygotowanie planów dla kanalizacyi domów . .	3,220 „
Razem	259,433 rs.
dodając opłatę procentów i amortyzacyą długu kanaliz.	648,655 „
otrzymamy jako wydatek ogólny	908,088 rs.
a ponieważ otrzymano całego dochodu . . .	781,503 „
Deficyt za r. 1894 wynosi zatém	126,585 rs.

Dla r. 1895 deficyt jeszcze większy, wynosi bowiem 197,259 rs.

Wprawdzie inne przedsiębiorstwa dały pewien dochód w r. 1894. Mianowicie:

otrzymano z rzeźni miejskich . . .	153,962 rs.
„ ze stajen na targu bydlęcym .	20,215 „
Razem	174,177 rs.
wydatki z rzeźni wynosiły . . .	37.510 „
Przewyżka zatém dochodów wynosi	136,667 rs.
a w r. 1895 wynosi	151,849 „

Dalėj otrzymano od „Gazety Policyjnėj":

za prenumeratę . . .	48,960	rs.
od ogłoszeń . . .	8,833	„
od prac prywatnych . .	3,147	„
Razem	60,940	rs.
wydatki wynosiły . .	38,777	„
Pozostało zatėm dochodu	22,163	rs.
w r. 1895	17,481	rs.

Inaczėj przedstawiają się stosunki w innych wielkich miastach. Naprzykład w Petersburgu w r. 1892-im:

dochód z przedsiębiorstw miejskich wynosił . .	1,900,524	rs.
wydatki	624,496	„
Przewyżka dochodów nad wydatkami wyniosła	1,276,028	rs.

W Berlinie w roku rachunkowym 1893/4 otrzymano dochodu czystego, po potrąceniu kosztów produkcyi:

od urządzeń gazowych	4,063,232	marek
„ „ wodociągowych	2,272,014	„
z targu centralnego na bydło	518,234	„
od urządzeń kanalizacyjnych	10,916	„
procent od przewyżki dochodów nad wydatkami od urządzeń gazowych	465.450	„
Razem	7,329,846	marek
potrącając wydatki na kanalizacyę . . .	3,079,954	„
Pozostaje czystego dochodu dla miasta	4,249,892	marek

W Paryżu w r. 1892 otrzymano dochodu:

Towarzystwo paryskie oświetlania i ogrzėwania gazem zapłaciło miastu:

połowę czystego zysku	11,600,000	franków
po 2 centy od metra sześcien. gazu spalonego w Paryżu	5,376,209.24	„
za zajęte grunta miejskie	200,000.	„
Razem	17,176,209.24	fr.
prócz tego otrzymało miasto za wodę i dochód z kanałów	14,497,423.47	„
za użycie kanałów miejskich do wydalenia nieczystości	2,253,600.79	„
wagi miejskie, targi i halle targowe, jarmark na szynki	328,534.25	„
dochód z rzeźni miejskich na bydło . . .	3,097,381.27	„
„ „ „ na nierogaciznę .	459,888.60	„
Suma ogólna	37,813,037.62	fr.

Wydatki wyniosły.

wodociągi, kanały, oczyszczanie i in.	.	8,600,811.85 fr.
oświetlenie miasta	. . . . . .	9,300,527.96 „
wydatki rzeźni i targu bydlęcego	. .	266,433.33 „
	Razem	18,167,773.14 fr.
a ponieważ dochody wynosiły	. .	37,813,037.62 „
	Pozostało dochodu czystego	19,645,264.48 fr.

Przechodzimy do wydatków m. Warszawy. Zebrane one zostały do 18 kategoryi. Najznaczniejszą pozycyą jest utrzymanie policyi miejskiéj, które spowodowało 15% sumy ogólnéj wydatków. Koszta utrzymania policyi zwiększyły się od r. 1883 o 70½%. Drugie miejsce zajmuje opłata procentów i amortyzacya długów miejskich, które pochłonęły 14% sumy ogólnéj wydatków i pozycya ta wydatków w roku 1883-im powiększyła się sześciokrotnie (o 508%).

Same zaś długi miasta wynosiły w 1883-im roku 556,346 rs., w 1894 roku 9,902,600 rs., czyli 18 razy więcéj (o 1680%).

Wydatki na przedsiębiorstwa specyalne, do których zaliczono koszta nowych wodociągów, wyniosły w r. 1894-ym 13% sumy ogólnéj, zwiększyły się więc od r. 1883 prawie pięciokrotnie (o 377%). Kanalizacya miasta pochłonęła w 1894 roku 7½% sumy ogólnéj wydatków. Wydatki na kanalizacyę były różnéj wielkości w latach poszczególnych, stosownie do rozmiarów dokonanych nowych robót. Nowe środki komunikacyjne: mosty, bruki, trotuary, baryery i t. p. kosztowały w r. 1894-ym 5% sumy ogólnéj, ale wydatek na nie zmniejszył się o 11% w stosunku do sum wydanych w r. 1883-im. Utrzymanie tych środków komunikacyjnych wyniosło w r. 1894-ym 3% sumy ogólnéj i zwiększyło się o 17% w stosunku do wysokości wydatków r. 1883. Koszta oświetlania miasta wynosiły w r. 1894-ym 4% sumy ogólnéj i zwiększyły się prawie czterokrotnie w r. 1883 (o 277%). Koszta utrzymania straży ogniowéj wynosiły prawie 4% sumy ogólnéj wydatków r. 1894-go i zwiększyły się w ciągu lat 12 o 10%. Zarząd miejski kosztował prawie 5% sumy ogólnéj i koszta jego utrzymania zwiększyły się w tymże czasie o 45%. Zasiłki wypłacone zakładom naukowym, szpitalom i instytucyom filantropijnym wynosiły w r. 1894 po 3% sumy ogólnéj wydatków. Od r. 1883 wydatki obu tych kategoryi więcéj niż podwoiły się.

Kanalizacya miasta i rozszerzenie sieci rur wodociągowych spowodowały miastu wydatek aż do 1 stycznia 1895 roku 9,469,390 rubli.

Dotąd jeszcze dochód otrzymany z opłaty za wodę i za korzystanie z nowych kanałów nie wystarcza na pokrycie kosztów utrzymania dokonanych robót i na opłatę procentów i amortyzacyą długu zaciągniętego na ten cel. Jednak wpływ kanalizacyi na zmniejszenie śmiertelności pomiędzy ludnością miejską i na dostarczenie jéj komfortu i wygody jest bardzo wielki.

Podczas okresu 10-letniego od r. 1873 do 1882, kiedy nie było jeszcze kanalizacyi miasta, wypadało w Warszawie rocznie na 1,000 mieszkańców 37.56 zgonów, w okresie 10-letnim od r. 1885 do 1894 śmiertelność zmniejszyła się do 25.92 zejścia, prawie 26 zejść na 1,000 ludności. Umiéra zatém obecnie o $11^1/_2$ osób na 1,000 mieszkańców mniéj niż przed r. 1882, czyli przy obecnéj ludności 554,000 osób, bez wojska, śmiertelność jest mniejsza o 6,371 zejść. Uchronienie od śmierci więcéj niż 6,000 osób w ciągu jednego roku jest zasługą niemałą.

Wydatki miejskie ciągle się zwiększają, obecnie 5-ta serya robót kanalizacyjnych pochłonie znaczne sumy, prócz tego inne przedsiębiorstwa, jak budowa rzeźni centralnéj, budowa centralnéj hali targowéj, przeniesienie szpitala Dzieciątka Jezus, urządzenie nowéj dzielnicy na brzegach Wisły — wymagać będą znacznych sum. Wszystkie te projekta obliczone są na miliony.

Pozostaje zatém konieczność wyszukania nowych źródeł dochodu, ponieważ nawet niektóre z dotąd istniejących opłat zagrożone są w swém istnieniu. Tak np. zaprowadzenie monopolu wódczanego na korzyść skarbu państwa pozbawi kasę miejską otrzymywanych dotąd dodatkowych 50% do opłaty akcyzy od trunków, z którego źródła wpłynęło w r. 1894 do kasy miejskiéj 173,532 ruble.

Znalezienie nowych źródeł dochodu połączone jest z wielkiemi trudnościami, ponieważ niektóre źródła podatkowe, jak np. opłata od mieszkań, pobiérana w Niemczech na korzyść miast, została wprowadzona na korzyść skarbu państwa.

Ponieważ wszelkie porządki miejskie, jak ulepszone bruki i trotuary, kanalizacya i wodociągi przynoszą największą korzyść nieruchomościom miejskim, o czém można łatwo się przekonać ze wzrastającéj corocznie wysokości szacunku domów i opłacanego komornego, przeto najodpowiedniejszém jest obarczenie nieruchomości miejskich większą częścią ciężarów podatkowych.

Wydatki wielkich miast dadzą się połączyć do grup następujących: opieka nad choremi i biédnemi, opieka nad wychowaniem publiczném, opieka nad środkami komunikacyjnemi i dostarczenie środków materyalnych dla policyi bezpie-

czeństwa. Z kategoryi powyższych najlepiéj uposażoną w Warszawie pod względem materyalnym jest policya, zabierająca z budżetu miejskiego stosunkowo dosyć znaczne sumy. Dla ulżenia miastu tego ciężaru, skarb państwa od dnia 1 stycznia 1895 r. wypłąca 150,000 rs. rocznego zasiłku kasie miejskiéj.

Bardzo ciekawe dane statystyczne o liczebności i kosztach policyi posiadamy z 49 miast europejskich.

Z powodu zamierzonéj reorganizacyi policyi w miastach Amsterdamie i Rotterdamie, zwróciło się biuro statystyczne Amsterdamu do wszystkich znaczniejszych miast europejskich z prośbą o dostarczenie danych odnoszących się do policyi miejskiéj. Mianowicie prosiło ono o oznaczenie: jaka jest wielkość terytoryum miejskiego? jaka jest przestrzeń ulic dozorowanych przez policyę? jaki jest liczebny skład policyi miejskich i wiele ona kosztuje kasę miejską. Z otrzymanych odpowiedzi z 49 miast ułożono tablicę, wykazującą ile na 10,000 mieszkańców przypada osób należących do składu policyi i ile na 10,000 mieszkańców wypada wydatku na utrzymanie policyi miejskiéj, obliczonego na floreny holenderskie.

	Ilość policyantów ogólna	na 10,000 mieszk.		Ilość policyantów ogólna	na 10,000 mieszk.
1. Berlin	5,484	33	22. Antwerpia	464	18
2. Dublin	1,145	33	23. Brema	279	18
3. Warszawa	1,574	28	24. Bern	95	18
4. Bruksella	511	27	25. Rzym	511	18
5. Genewa	133	25	26. Drezno	552	17
6. Bordeaux	596	24	27. Królewiec	307	17
7. Wiedeń	3,715	24	28. Amsterdam	712	16
8. Liverpool	1,460	23	— w r. 1899	1,143	22
9. Londyn	13,754	23	29. Lipsk	648	16
10. Praga	951	23	30. Lubeka	110	16
11. Christiania	394	23	31. Magdeburg	343	16
12. Gravenhage	404	22	32. Liège	254	16
13. Rotterdam	586	22	33. Altona	220	15
— w r. 1899	649	21	34. Chemnitz	237	15
14. Utrecht	196	21	35. Kolonia	468	15
15. Hamburg	1,299	21	36. Mannheim	134	15
16. Manchester	1,037	20	37. Ronen	176	15
17. Bazylea	159	20	38. Kopenhaga	487	15
18. Stokholm	509	20	39. Strassburg	185	14
19. Havre	233	19	40. Görlitz	98	14
20. Marsylia	767	19	41. Lille	310	14
21. Lyon	800	18	42. Zürich	164	13

	Ilość policyantów ogólna	na 10,000 mieszk.
43. Neapol	651	12
44. Leeds	451	11
45. Florencya	194	10
46. Turyn	240	8
47. Genua	164	7
48. Palermo	143	5
49. Bolonia	65	4

Koszta utrzymania policyi na 10,000 mieszk.	Florenów holendersk.
1. Berlin	56,501
2. Dublin	52,555
3. Hamburg	47,130
4. Londyn	33,246
5. Wiedeń	25,975
6. Bruksella	25,972
7. Liverpool	25,230
8. Brema	21,884
9. Manchester	21,175
10. Stokholm	21,119
11. Lubeka	20,976
12. Lipsk	20,821
13. Genewa	20,486
14. Bazylea	20,425
15. Praga	20,048
16. Amsterdam	15,075
— w r. 1899	19,933
17. Królewiec	19,706
18. Christiania	19,630
19. Marsylia	18,563
20. Warszawa	18.427
21. Antwerpia	17,924
22. Kopenhaga	17,854
23. Bordeaux	17,625
24. Magdeburg	17,586
25. Rotterdam	17,111
— w r. 1899	17,319
26. Gravenhage	16,835
27. Lyon	16,772
28. Hawr	16.504
29. Altona	16,174
30. Kolonia	15,757
31. Rouen	15,639
32. Strassburg	15,613
33. Bern	15,278
34. Florencya	14,138
35. Liège	13,470
36. Zürich	13,150
37. Utrecht	13,114
38. Leeds	13,068
39. Chemnitz	12,940
40. Görlitz	12,654
41. Lille	10,460
42. Mannheim	9,549
43. Drezno	7,588
44. Rzym	7,577
45. Neapol	5,987
46. Turyn	5,848
47. Genua	5.745
48. Bolonia	2,725
49. Palermo	2,424

Pod względem składu osobistego policyi, różnice pomiędzy pojedyńczemi miastami nie są bardzo znaczne. Krańcowe stosunki przedstawiają: Berlin posiadający 33 policyantów na 10,000 mieszkańców i Bolonia 4, t. j. 8 razy mniéj.

Daleko znaczniejsze są różnice pod względem wysokości wydatków na policyę. Kiedy w Berlinie na 10,000 mieszkańców wypada 56,501 florenów holenderskich wydatku, w Palermo tylko 2,424 fl., czyli 23 razy mniéj.

Przechodząc do szczegółów liczebności policyi znajdujemy na pierwszém miejscu, jak wspomnieliśmy wyżéj, Berlin, który liczy 5,484 osoby należące do składu policyi, przypada zatém 33 na 10,000 mieszkańców. Drugie miejsce zajmuje Dublin, w którym z 1,145 osób należących do składu policyi, przypada podobnie jak w Berlinie 33 na 10,000 mieszkańców. Trzecie miejsce zajmuje Warszawa z 1,574 osobami należącemi do składu policyi, z których 28 wypada na 10,000 mieszkańców. Czwarte miejsce zajmuje Bruksella z 511 policyantami a 27 na 10,000 mieszkańców. Bordeaux posiada 596 policyantów czyli 24 na 10,000 mieszkańców. Wiedeń liczy na 10,000 mieszkańców tyleż co Bordeaux policyantów, mianowicie 24 z liczby ogólnéj 3,715. Londyn posiada najliczniejszy skład osobisty policyi, mianowicie 13,754, z których 23 wypada na 10,000 mieszkańców. Tyleż co Londyn, na 10,000 mieszkańców, liczą miasta następujące: Liverpool z liczbą ogólną 1460, Praga z 951 wogóle policyantami, Christiania (z 394). Amsterdam od 1899 r. będzie liczył 1,143 osób, czyli 22 na 1,000 mieszkańców (obecnie 16 z liczby ogólnéj 712). Podobnież i Rotterdam będzie liczył w r. 1899 22 policyantów na 10,000 mieszkańców z liczby ogólnéj 649 (obecnie 21 z liczby ogólnéj 586).

Najmniéj policyi liczą miasta włoskie. I tak Bolonia ma 4 policyantów na 10,000 mieszkańców z liczby ogólnéj 65; Palermo 5 z liczby ogólnéj 143, Genua 7 z liczby ogólnéj 164; Turyn 8 z liczby ogólnéj 240; Florencya 10 z liczby ogólnéj 194. Rzym liczy trochę więcéj policyantów, mianowicie 18 na 10,000 mieszkańców, z liczby ogólnéj 511 policyantów.

Pod względem kosztów utrzymania policyi, pierwsze miejsce zajmuje Berlin, który wydaje 56,501 flor. holend. na 10,000 mieszkańców. Po Berlinie idzie Dublin z 52,555 flor. na 10,000 mieszkańców. Warszawa zajmuje ledwie 20-te miejsce, przypada tam bowiem 18,427 flor. na koszta utrzymania policyi i na 10,000 mieszkańców. Londyn wydaje 33,246 flor. na 10,000 mieszkańców. Wiedeń 25,975. Hamburg troszkę więcéj bo 47,130 flor.

Najmniéj wydają na utrzymanie policyi miasta włoskie. Palermo 2,424 flor. na 10,000 mieszkańców; Bolonia 2,725; Genua 5,747; Turyn 5,848; Neapol 5,987; Rzym 7,577. Po miastach włoskich następuje bezpośrednio Drezno, które wydaje 7,588 flor. na 10,000 mieszkańców i jest 43-ciém z rzędu miastem, kiedy podług stosunku ilościowego policyi do mieszkańców zajmuje 26-te miejsce.

Przechodzimy do opieki nad chorymi i biédnymi. Ma-

gistrat tutejszy nie ma żadnego czynnego udziału w téj opiece, która powierzona jest wyłącznie Radzie miejskiéj zakładów dobroczynnych. Kasa miejska daje tylko piéniądze na utrzymanie téj Rady i zasiłki szpitalom i zakładom filantropijnym. Gdyby na wzór miast Cesarstwa wprowadzoną została w Warszawie Rada miejska podług ustawy z r. 1892, zarząd szpitali i opieka nad ubogimi przeszłyby do zarządu miejskiego, przy którym utworzony byłby wydział specyalny, w miejsce saméj Rady, kosztującéj miasto 26,300 rubli rocznie. Należałoby natenczas, na wzór Berlina, utworzyć okręgowe komitety opiekuńcze nad biednymi, złożone z obywateli miasta i wyznaczyć lekarzy, którzyby udzielali bezpłatnie pomocy ubogim chorym w mieszkaniach i kwalifikowali do odpowiednich szpitali, do udzielenia bezpłatnie lekarstw i środków opatrunkowych. Taka opieka lekarska nad biédną ludnością urządzona jest w wielu miastach Cesarstwa, w których ustawy miejskie z lat 1870 i 1892 zostały wprowadzone, jak np. w Odesie. Obecnie po części opiekę nad ubóstwem pełni Towarzystwo Dobroczynności przez swych opiekunów cyrkułowych i Zarząd warszawskiéj gminy starozakonnych przy pomocy podobnych opiekunów.

Petersburg wydał w r. 1892 na środki lecznicze i opiekę nad ubogimi 1,937,990 rub., z których przypada na szpitale i ambulatorya — 1,563,855 rub. Berlin w roku finansowym 1893/94 wydał na biédnych 8 milionów marek, a na szpitale i opiekę nad zdrowiem $3^1/_2$ miliony marek. W Paryżu w r. 1892 wydano na pomoc publiczną (*Assistance publique*), na obłąkanych, na opiekę nad dziećmi opuszczonemi i na zakłady dobroczynne więcéj niż 24 miliony franków.

W podobnym stosunku, jak do szpitali i zakładów filantropijnych, znajduje się zarząd m. Warszawy wobec wychowania publicznego. Zakłady wychowawcze miejskie są pod nadzorem wyłącznym osobnego inspektora zakładów prywatnych miejskich, rządowe zaś zakłady pod władzą bezpośrednią kuratora okręgu naukowego. Zarząd miejski daje tylko zasiłki pieniężne na utrzymanie szkół elementarnych i niedzielno-rzemieślniczych, jak również udziela pewnych zapomóg niektórym wyższym zakładom naukowym, nie mając żadnego wpływu na ich urządzenie. Szkół elementarnych i rzemieślniczych jest obecnie za mało dla wzrastającéj ciągle ludności miejskiéj a te nawet, które istnieją, nie są należycie wyzyskane z powodu braku klas wstępnych, przygotowawczych, przyjmujących materyał zupełnie surowy, ponieważ uboga ludność miejska i warsztaty rzemieślnicze nie są w stanie przygotować dzieci do klasy pierwszéj, podług programu obo-

wiązującego, ze znajomości języka urzędowego. Brakuje też w Warszawie szkół uzupełniających dla rzemieślników, szkół zawodowych i innych zakładów wychowawczych w stosunku odpowiednim do liczby szukających nauki.

Petersburg w r. 1892 wydał na cele wychowania publicznego 661,437 rub. z których otrzymały szkoły elementarne 582,278 rubli. W Berlinie w r. 1893/94 wydano na zarząd wychowania 11,962,099 marek. W Paryżu w r. 1892 wychowanie elementarne, szkoły wyższe, zasiłki wyższym zakładom wychowawczym spowodowały wydatku prawie 26 mil. frank. (25,670,286.37 fr.)

Znacznego zwiększenia funduszu domagają się w Warszawie środki komunikacyjne. Bruki i trotuary miejskie, przy znaczném zwiększeniu ludności i powiększeniu ruchu ulicznego, wymagają więszéj niż dotąd opieki. Za przykład może służyć Berlin, gdzie wydano ze 20 mil. marek na poprawienie bruków miejskich i drugie 20 milionów na przeprowadzenie nowych i regulacyą dawnych ulic; pomimo to jednak, corocznie przeznaczane są znaczne sumy na ten sam cel, np. w r. 1893/94 prawie 13 milionów marek.

W Petersburgu w r. 1892 na porządki miejskie, obejmujące oświetlanie ulic, polewanie, oczyszczanie i utrzymanie mostów, ogrody, bulwary, parki i inne wydatki wydano razem 1,043,630 rubli. W Paryżu w r. 1892 środki komunikacyjne spowodowały 21 mil. franków wydatku.

Nakoniec koszta zarządu miejskiego w Warszawie muszą w blizkiéj przyszłości znacznie się zwiększyć. Zapewne pierwszą reformą będzie zaprowadzenie osobnych poborców podatkowych miejskich, na wzór Berlina, którzyby przychodzili po odbiór podatków do właścicieli domów i większych przemysłowców, by ich uwolnić od straty czasu prawie dnia całego, przy wnoszeniu podatków do kasy miejskiéj. Liczne święta obu stylów, miesięczne obliczenia i rewizye kas, przyjmowanie pieniędzy tylko do godziny 1-éj z południa są przyczyną wielkiego nagromadzenia interesantów przy kasach miejskich, czekających po parę godzin na swą kolej i zmuszonych następnie czekać jeszcze parę godzin na otrzymanie kwitu z opłaconego podatku. Tacy poborcy miejscy kosztowali w Berlinie w r. 1893/94 556,433 marki, na Warszawę przy ludności trzy razy mniejszéj, wypadałoby 185,474 m. czyli koło 90,000 rubli, jeżeliby stopa wynagrodzenia takich poborców była ta sama co w Berlinie. Zawiązkiem takich poborców może być 42 poborców przy komisarzach kasy miejskiéj w Warszawie z wydatkiem 18,000 rubli rocznie.

Daléj koszta utrzymania składu osobistego magistratu muszą uledz znacznemu podwyższeniu. Podług sławnego finansisty teorycznego i praktycznego v. Hock'a, należy miéć mało urzędników, dobrze płatnych i ściśle kontrolowanych. Przy zbyt niskiém wynagradzaniu otrzymuje się nakoniec urzędników, którzy niewarci są płaconego im lichego wynagrodzenia. Obecnie panującą jest jeszcze zasada przeciwna: wielu urzędników, licho płatnych i nie bardzo kontrolowanych. Pomimo że w Warszawie od lat 30 ceny wszelkich przedmiotów się zdwoiły a ceny lokali wzrosły w trójnasób, etaty magistratu pozostają ciągle te same, z powodu ich charakteru prowizorycznego. Piérwszy etat wynosi dotąd 120 rs. rocznie i wielka liczba urzędników otrzymuje tylko 300 rubli rocznie wynagrodzenia, t. j. mniéj niż woźni w instytucyach finansowych prywatnych, którzy prócz pensyi, otrzymują mieszkanie, opał, światło, umundurowanie i napiwki. Urzędnik magistratu po 40 latach służby dostaje przy sprzyjających okolicznościach od 600 do 900 rubli emerytury. Dla pozyskania i téj tak nieznacznéj emerytury starano się do czasów ostatnich jak najwcześniéj otrzymać etat w magistracie np. w 17-ym roku życia, żeby przed ukończeniem lat 60 miéć 40 lat służby, wymaganych dla otrzymania całéj emerytury. Wstępujący w tak wczesnym wieku do służby, mógł zaledwie ukończyć parę klas gimnazyum lub szkolę miejską 2-klasową, jego zatém praca nie może przynosić wielkiéj korzyści zarządowi miejskiemu.

W biurokracyi niemieckiéj, słynącéj ze swego wykształcenia i ducha korporacyjnego, służba państwowa rozpoczyna się zaledwie między 28 a 30-ym rokiem życia, ponieważ tam wymagane jest ukończenie studyum uniwersyteckiego i zdanie egzaminu państwowego. Z ukończeniem 70-ciu lat wieku kończy się tam służba, zaledwie natenczas może poszczycić się urzędnik 40-ma latami służby etatowéj; kiedy tego kresu może dojść urzędnik magistratu tutejszego w 57-ym roku życia.

Dla podniesienia gorliwości urzędnika w Niemczech, dla każdéj posady oznaczone jest *minimnm* i *maximum* pensyi, tak że nowomianowany urzędnik zaczyna od etatu najniższego i stopniowo przechodzi do wyższych rozmiarów wynagrodzenia, pozostając zawsze na téj saméj posadzie. W Austryi po każdych 5-ciu latach wysłużonych na jednym i tym samym etacie, dostaje się dodatek odpowiedni, który co 5 lat rośnie i wpływa na wysokość wysłużonéj następnie emerytury.

Podług przedstawionych w czasach ostatnich nowych etatów

dla magistratu, roczny wydatek na służbę osobistą ma wynosić o 71,806 rubli więcéj niż obecnie. Należy mieć nadzieję, że tak dawno oczekiwane i tak uzasadnione zwiększenie etatów dla służby osobistéj magistratu znajdzie uwzględnienie u wyższéj władzy i wpłynie na polepszenie położenia urzędników, którym powierzony jest zarząd najważniejszych interesów miasta.

Witold Załęski.



KRONIKA ARTYSTYCZNA.

Jedném z tych zdań, niewiadomo gdzie, kiedy i jak narodzonych, co krążąc w pewnych epokach, przechodząc z ust do ust, stają się popularnemi—jest twierdzenie, jakoby powstał w sztuce ostatnich czasów kierunek miano symbolizmu noszący.

Niewłaściwość tego poglądu ujawnia się odrazu każdemu, kto tylko chciał głębiéj wniknąć w samo określenie symbolizmu w sztuce.

Ucieleśnianie wielkich uczuć i namiętności ludzkich, alegoryzowanie pojęć abstrakcyjnych, mniéj lub więcéj trafne, stanowi przecież tło wszystkich produkcyi artystycznych od najodleglejszych epok rysunków na kościach reniferowych aż do wspaniałych kompozycyi czasów Michała Anioła, Rubensa lub Rembrandta. Sztuka prawdziwa musi być symboliczną; chcąc uplastycznić myśl jakąś, jakieś uczucie, jakiś kontrast życiowy, artysta musi posługiwać się przenośnią, stwarzając postaci lub sceny tłomaczące myśl jego. Jedynie brutalny naturalizm nie potrzebuje przenośni: zależy mu wyłącznie na fotograficznéj ścisłości — a do téj, prócz drobiazgowéj obserwacyi, polotu twórczego ani symbolizowania nie potrzeba.

Rzecz prosta że, przy dzisiejszym dekadentycznym kierunku sztuki w pewnych ogniskach umysłowych Europy, czysty symbolizm przetwarza się w karykaturalne kombinacye artystów, goniących za nadzwyczajnością, a stwarzających jedynie niezrozumiałe potworności,—nie mniéj jednak symbolizmu w sztuce nie można utożsamiać

z temi choremi produkcyami spaczonych umysłów i alegorya silna, przenośnia wytworzona przez wyobraźnię bogatą i płodną w kontrasty — pozostanie na zawsze tém czém była, t. j. jednym z najpotężniejszych środków kompozycyi malarskiéj.

Że symbolizacya w sztuce nie jest zwyczajną, banalną jéj formułką, dowodzi jeszcze i ten fakt, że z rzadka tylko spotykamy się z pracami o alegoryi fantastycznéj pełnéj siły i myśli, tak rzadko, że z tém większém uznaniem witać należy dwie prace w zakres téj kategoryi twórczości wchodzące, a które do niedawna jeszcze znajdowały się na wystawach naszych.

Jedna to „Figlarze" Antoniego Kamieńskiego, druga to „Z ciernistéj drogi życia" Zygmunta Andrychiewicza.

Rysownik wytworny, w stylu wielkich ilustratorów epoki dzisiejszéj, bogaty w pomysły, niezwykle dbały o formę, Antoni Kamieński jest jednym z tych artystów naszych, którzy w każdą pracę cząstkę swego jestestwa kładą.

W jego kompozycyach uderza też przedewszystkiém, niepowszedni u ogółu malarzy naszych, subtelny i bogaty podkład myślowy, o odrębnym, oryginalnym zakresie. Ze wszystkich prac Kamieńskiego dziwny wieje smutek, pesymizm gorzki, raz cichy i spokojny, to znowu zgryźliwy i ironiczny.

Kamieńskiego bohaterzy śmiać się nie umieją, a jeśli zaśmiać się im każe—to śmiéch ten od łkania gorszy, — to śmiéch cyniczny potępieńców—to śmiéch „Figlarzy..."

W posępnéj sceneryi cmentarnego zakątka nad otwartym grobem, około którego porzucona stoi taczka, klęczą dwie kobiéty... W głębi opiérając rękę o grobowe płyty, idzie ślepy starzec, daléj biegnie człowiek jakiś, w teatralnym nieco ruchu, uciekając od téj sceny łez i rozpaczy...

A z prawéj strony obrazu siedzi śmierć, do któréj uśmiechnięty przytulił się Amor i bawi się, ostrząc swe groty, miłość niosące, o żelazo kosy, co ludzkie istnienia przecina... I patrzą sobie w oczy ci straszni figlarze, ta wspólka tragiczna, co życie i śmierć niesie, — zda się okrutną robiąc sobie z życia ludzkiego zabawkę — życiem i miłością ich darząc na łup dla Nieubłaganéj.

Jest w tym obrazie groza tak wielka, że stoi się, mimowoli przykutym do miejsca, nie mogąc oderwać oczu od téj okrutnéj dwójki, co śmiejąc się, plącze nici istnień... Drugi to już obraz Kamieńskiego o tak głębokim podkładzie życiowym. Drugi to już raz autor „Nieskończonego dzieła" ujawnia się jako malarz - psycholog, jako myśli-

ciel - filozof, w przepyszne formy delikatnego, subtelnego rysunku swego zamykający niepowszednie myśli i tematy.

I wobec potęgi uczucia, wobec ogromu myśli, co z kartonu tego wieje, trudno stawić autorowi zarzut o zbyt czarne może myśli jego, o zbyt pesymistyczne przedstawienie rzeczy...

Należy tylko uchylić głowę przed ogromem talentu i czekać niecierpliwie, kiedy nakoniec autor „Figlarzy" zbierze wszystkie rozrzucone po świecie swe kartony i poda je w ogólnéj wystawie prac swoich, abyśmy mogli wtedy dłużéj zatrzymać się nad artystą, który opróżnione od śmierci Grotgera miejsce u nas zajął... Figlarzy też strasznych dziełem smutne życia koleje, które targały istnieniem bohaterki Andrychiewicza... A może nawet symbol szerszy — to ludzkość cała, co po błąkaniu się po wszystkich dogmatach i doktrynach nic nie znalazłszy, coby jéj ból serdeczny, ranę wieczną zasklepić mogło — do stóp krzyża przychodzi jak za dni dzieciństwa. Byłby zatém ten obraz w duchu dzisiejszych pseudo-mistycznych dążeń.

W każdym razie dobre choć smutne robi wrażenie ta kobiéta, co w kruchcie kościelnéj u stóp krzyża padła, złamana jakąś ciężką życiową rozterką.

Ale niemożna się powstrzymać od porównania tych dwóch obrazów, obu symbolicznych, a jednak tak różnych, tak dosadnie malujących psychologiczne różnice twórczości ich autorów.

Kamieński—to psycholog, fantasta przedewszystkiém, mający w duszy wrodzoną do abstrakcyi dążność. Jego twórczość musi być symboliczną, potrącać musi o tematy szerokie, olbrzymie, ale zawsze pesymistyczne, zawsze beznadziejnie smutne. On musi być malarzem tego, co w ludzkości najboleśniejsze i najtragiczniejsze, malarzem rozterek i walk bezowocnych. Kamieński jest symbolistą z urodzenia, Andrychiewicz jest nim z wypadku.

Doskonały portrecista, dobry pejzażysta, nie ma on w sobie jednak tego polotu fantazyi, co po niezmierzonych przestrzeniach abstrakcyi szybować może i w saméj swéj fantazyi jest jeszcze obserwatorem sumiennym szczegółów, jest bądź co bądź... portrecistą.

Brak mu tego czegoś, co by mu tak umysł myślą o tendencyi dzieła zajęło, co by formy uskrzydliło tchnieniem rozbujałéj fantazyi i, pomimo myśli doskonałéj, pomimo świetnego i nad wyraz sumiennego opracowania, tworzy rzecz realistyczną, ciężką nieco. O ile Kamieński trzyma wielkie swe symbolistyczne kartony w formach ogólnych, w rysach szerokich, z których bije przedewszystkiém myśl, treść kompozycyi, uczucie które promienieje z obrazu do widza, odsłaniając nam kawałek serca artysty, o ile u Kamieńskiego jest polot fantastyczny

poety i marzyciela, co sny swoje ujawnił w widome dla ogółu formy,— o tyle Andrychiewicz pozostaje zawsze niewolnikiem formy, niewolnikiem tonu i subtelności drobiazgowych rysunku i perspektywy. Wypływa to zresztą z jego specyalności; ale to, co jest pierwszorzędną zaletą dla portrecisty, staje się krępującém dla poety-symbolisty.

W każdym razie praca Andrychiewicza jest jednym z poważniejszych nabytków w dziedzinie twórczości tego malarza, który wyrabia się na pierwszorzędnego portrecistę, jak tego dowodzi współcześnie z powyższym jego obrazem wystawiony portret panny C.

W portrecie tym artysta znakomicie pokonał ogromne trudności malowania w pełném świetle osoby, będącéj w białéj sukni na jasném tle. Wydobycie wypukłości, odcięcie postaci od tła jest w tych warunkach nad wyraz trudne, to téż pociągnęło kiedyś jednego z luminarzy sztuki francuskiéj Carolusa Duran do próby, z któréj w porównaniu artysta nasz zwycięsko wyszedł.

Portret ten stanowi wdzięczny obrazek młodéj osoby, w doskonałym ruchu, spokojnym, pełnym prostoty.

O ile téż Andrychiewicz stara się o spokój, harmonię kompozycyi, łagodne oświetlenie przy szerokiém, szczerém malowaniu, o tyle p. Boznańska w kilku portretach swoich usiłuje dać poczucie siły przez malowanie nader nerwowe, nieco chaotyczne.

Z trzech wystawionych przez nią portretów, jeden uderza świetnością kolorytu, drugi wielką charakterystyką twarzy. Upozowanie w obu bezpretensyonalne, proste, a jednak portrety te nie robią na mnie wrażenia przyjemnego. Ton, treść, wszystko się tam rwie, pomimo siły niezwykłéj; pastel téjże autorki jest studyum dobrém choć równie jak i portrety nieco przeszarżowaném. Prace p. Boznańskiéj są owiane nowatorskim duchem pewnych malarzy monachijskich, duchem, który dla nas jest jednak, powiédzmy prawdę i niesympatycznym i niezrozumiałym.

Czuć w tych pracach pewną manierę, pewną modną szkołę, skrępowanie się dobrowolnie narzuconą chwilowo metodą, którą się jutro porzuci dla nowéj, modniéjszéj.

I tu jest zdaje się główny błąd pewnych artystów, którzy chcą nakształt kameleonów coraz to inne przybierać metody tworzenia. Artysta powinien być koniecznie indywidualnym, jeśli chce zająć istotnie wybitne stanowisko w dziejach sztuki, a nie nakształt wiotkiéj trzciny chwiać się w stronę... w którą wiatr mody wieje...

Nie chcę robić tego zarzutu w całéj rozciągłości p. Pankiewiczowi, a jednak wobec obrazów jego podobne myśli mimowoli do głowy przychodzą.

Widzieliśmy go barwnego, o ostrych, krzyczących tonach, dziś stał się znowu szarym, smutnym, malarzem zmierzchów i wieczorów.

I gdyby nie krańcowości, w jakie wpada i z których *jusqu'à nouvel ordre* wyjść niestety nie chce, byłby ten oryginalny i silny malarz jedną z ozdób sztuki naszéj.

Jego „Wieczór" jest doskonale malowany, z ogromném odczuciem tak trudnéj do oddania barwy wieczornéj, kiedy wszystkie kontury toną w szarych, mdłych cieniach. Jest w obrazie jego przestrzeń, jest doskonałe uplanowanie topograficzne, które tu się raczéj odczuwa, niż widzi po za szarym tumanem, a jednak znowu powiedzmy to samo... nie jest to obraz robiący wrażenie dodatnie.

Wygląda raczéj na jakiś karkołomny wybryk, na chęć pokonania bądź co bądź trudności. Stoi się przed tym utworem z uczuciem niesmaku i rodzi się, chcąc nie chcąc, pytanie: po co takie akrobatyczne popisy w sztuce?

Po co? Kiedy prostota, najmniéjszemi efektami, ale prawdziwém odczuciem przyrody można nierównie silniéj przemówić do widza.

Dowiódł tego S. Witkiewicz, którego „Wicher" grozą i żywiołową potęgą stare obrazy Salvatora Rosy na pamięć przywodzi.

Ale bo téż mało kto tak rozumié przyrodę górską, jak autor „Na przełęczy". Każdy z widoków jego to studyum, gdzie nietylko świetnie odtworzono przyrodę, ale w każdy odłam skały, w każdą trawkę nieledwie włożono odbicie nastroju, wrażenie, które na autorze szmat nieba lub granitu zrąb wywołał.

Przyroda Witkiewicza mówi do nas z obrazów jego, nastraja nas odpowiednio, z tą łatwością, z jaką człowiek poddaje się wielkim zjawiskom natury, tak potężną rolę grającéj w wyrobieniu się psychologii różnych grup etnicznych.

Witkiewicz panteistą musi być potroszę, musi kochać serdecznie matkę-przyrodę, bo rozumié ją i odtwarza po mistrzowsku, raz przejmując potęgą wiatru, co się wśród niebotycznych skał rozhukał i targa niemiłosiernie kilka samotnych drzewek, co się gną i słaniają do ziemi pod przepotężném jego tchnieniem, kiedy w górze, pod ginącemi w groźnéj mgle szczytami, kotłują się i przewalają lawiny chmur (Wiatr halny), to znowu rozmarzając piękną księżycową nocą, co mozajkę cieni przerysowuje na śniegu, filtrując delikatnie blade światło księżyca po przez gałęzie jodeł, — to znowu dając melancholijny obrazek mgieł i oparów rannych, co wznoszą się nad łąką, zakrywając świat

cały smutnym całunem, który dreszczem trwogi nieokreślonéj, mimowolnéj przenika...

I zawsze wszędzie w malowidle Witkiewicza jest coś po za samym pejzażem, jest myśl ukryta, jest wrażenie, które zmusiło autora do malowania téj a nie innéj sceny, wrażenie co z obrazu do widza idzie, w duszy jego rodząc te same uczucia, co w chwili tworzenia pędzlem mistrza kierowały.

Żałować tylko należy, że tak rzadko widzimy prace Witkiewicza na wystawach naszych, a przecież ten, któremu tak zawsze chodziło o dobro sztuki rodziméj, chociażby dla nauki młodszych swych kolegów, prace swe nadsyłać nam powinien.

Toż samo powiedziéć można o Al. Gierymskim, którego „Ulica w Ratenburgu" tyle ma wyrazu i uczucia. Ciemny w kolorycie, niepozbawiony jednak barwności i życia, mówi nam ten obraz o ciszy i spokoju tych starych miast o średniowiecznych budowlach, dziś zapomnianych w zgiełku życia nowoczesnego, a które jednak miały niegdyś swoje dni sławy i wielkości. I widzi się niemal damy w strojach średniowiecznych, rycerzy o zbrojach i duszach nieugiętych... Czuje się atmosferę nie dzisiejszą, życie epok dawnych, pełnych mistycyzmu i dziwnéj poezyi, dni, których już nic nie wróci...

W obrazie tym, bez jednéj istoty żywéj, jakby dla położenia nacisku na ten widok z dni niedzisiejszych, w widoku téj pustéj ulicy, tętni życie, tak go mistrzowskim pędzlem suggestyonuje autor.

Rzadkim téż gościem jest u nas hr. A. Mniszech, dający tym razem doskonały portret p. P. G. malowany szeroko, sumiennie, w stylu dawnych mistrzów.

Chcąc zakończyć z szeregiem prac dawniejszych, o których choć słówkiem wspomniéć muszę, zanotować należy parę miłych obrazków pp. Wasilewskiego, Jasińskiego, doskonałe studyum p. Jarockiego, oraz dobrą grupę dwóch osób p. Hirszenberga, bardzo efektownie oświetlonych, ale mniéj poprawnie rysowanych; kilka krajobrazów bardzo sumiennie i czysto malowanych ś. p. Świeszewskiego, kilka dobrych akwarel Millera, oraz parę portretów Butowskiego, odznaczających się prostotą pozy, miłym kolorytem, ale niedotrzymanych pod względem rysunkowym.

Z obrazów nowszych zwrócić należy uwagę na prace p. Gersona, które zawitały na wystawę Towarzystwa Zachęty sztuk pięknych. Jedno z tych płócien „Warszawa", spokojnie malowane, daje kilka ciekawych typów, zaznacza się téż wykończeniem rysunkowém. Druga praca tegoż artysty „Odpoczynek", jest doskonałém studyum ciała ko-

biécego, wymodelowaném arcystarannie, ale zarówno jak i praca pierwsza, chłodném, zbyt akademickiém. Oryginalniejszy w temacie jest p. Maszyński ze swemi trzema katami grającemi w kości „O cudzą szatę”. Twarze charakterystyczne, ale drugorzędne szczegóły niedostudyowane, dłoń kata w czerwonym kostyumie zupełnie pozbawione formy, cała kompozycya trąci wogóle anachronizmem.

W dziale rzeźby widzimy przewyborne studym K. Laszczki „Opuszczony”. Figura ta związana znakomicie, wykończona w najdrobniejszych szczegółach, dotrzymana aż do subtelności, odbija swą precyzyą i doskonałością od ogółu wystawianych u nas rzeźb. Biust Hoene-Wrońskiego tegoż artysty nader charakterystyczny, trzymany ogólnikowo, ma niezmiernie dużo życia i siły.

Przejdźmy obecnie do salonu Krywulta, gdzie urządzono niedawno specyalną wystawę „Konia w sztuce”.

Brak miejsca nie pozwala mi dać nawet najkrótszego zarysu historyi konia w sztuce w ogólności, zmuszając do przystąpienia odrazu do wystawy konia w dziełach współczesnych naszych malarzy.

Na wstępie jednak mała uwaga. Na ową wystawę nie ogłaszano specyalnego konkursu, artyści przysyłali obrazy, w których koń grał jakąbądź rolę—wiele też znalazło się takich, w których najmniéj... jest reprezentowany koń, a raczéj w których na niego malarz najmniéj zwracał uwagi, akcentując inne szczegóły malowidła. Tak się dzieje z pracami pp. Fałata, Axentowicza, Mucharskiego, Kostrzewskiego..

Chcąc się zoryentować wśród wielkiéj ilości nadesłanych płócien, można podzielić ją na kilka kategoryi według treści, ułatwiając tym sposobem przegląd.

Temat polowania opracowało wielu artystów, z pomiędzy których wyróżniają się prace pp. Brandta, Fałata; pierwszy z nich dał w doskonałym krajobrazie zimowym konia w bardzo dobrym ruchu, ciągnącego z wysiłkiem sanie, na których leży olbrzymi odyniec, oraz niezmiernie żywą scenę „Przy studni”. W jesiennym krajobrazie, doskonale rysują się mistrzowsko nakréślone figury kilku ludzi, z których jeden daje chléb chartom, do złudzenia prawdziwym. Z pomiędzy kilku koni w tym obrazie pomieszczonych, każą pamiętać o sobie dwa siwki doskonale sportretowane. Całość umiejętnie zgrupowana, w pysznem oświetleniu, konsekwentnie utrzymana, daje obraz na rzetelne uznanie zasługujący.

Fałata „Polowanie na łosia” daje odległe sylwetki koni, sam obraz jednak wynagradza zawód. Grotgera „Polowanie z sokołami”

nie należy do najświetniejszych prac tego znakomitego malarza; Wejcherta konie w ruchu są dosyć słabe, bardzo pobieżnie traktowane, o wiele lepszą jest grupa koni stojących w saniach. Perdzyński dał również scenę z polowania z kilkoma dobrze narysowanemi końmi.

Treści batalistycznéj najwięcéj zdaje się będzie obrazów. Jedno z pierwszych miejsc zajmuje tu Maks. Gierymski, którego konny posłaniec „Z depeszą" oraz dawniejsza „Szarża kawaleryi" przedewszystkiém zwracają na siebie uwagę. Prostota środków, sumienność w wystudyowaniu, a co najważniejsza prawdziwie artystyczne odczucie tematu—oto główne zalety tego wielkiego malarza. I widzimy to w pełnym życia obrazku „Szarża kawaleryi", gdzie konie w szalonym ruchu, niemal kładą się na ziemi na skręcie drogi, zarówno jak w tym gońcu co w cwał śpieszy z depeszą; doskonale wystudyowany krajobraz, prawda anatomiczna rysunku konia zaliczyć nakazują tę pracę do najlepszych z pomiędzy wystawionych tam dzieł sztuki.

Rosena „Stój" to dobry epizod wojenny, mający wiele ruchu, starannie anatomicznie studyowane konie, przy dobrym powietrznym pejzażu, oraz sumienności wielkiéj w oddaniu trzeciorzędnych nawet szczegółików. Matejki „Chmielnicki" z wszystkiemi znanemi zaletami i wadami mistrza malowany, ze świętym wiszącym ciężko w powietrzu bez przestrzeni, jest obrazem o świetnéj charakterystyce typów, znakomicie, po mistrzowsku iście malowanych; ale konie są tu raczéj wspaniałemi bryłami o przepysznym kolorycie, grzeszą natomiast niedociągnięciem do koniecznych prawd anatomicznych. Obraz imponuje całością—razi szczegółami.

Zmuszony do katalogowego wyliczania wybitniejszych płócien, notuję w dalszym ciągu prace J. Kossaka, w którego „Żmii" koń w dobrym ruchu, ma jednak wadę rysunkową lewéj przedniéj nogi zbyt długiéj od kolana do pęciny w stosunku do nogi prawéj. Wolskiego kilka dobrych płócien walczy o lepsze z ilustracyami Andriollego do „Maryi" Malczewskiego. Brodowskiego „Panie Kochanku" daje nam pięknego konia, dobrze narysowanego.

O Ryszkiewicza obrazie z bijącą w oczy ponsową parasolką markietanki, siedzącéj na wózku—wolę zamilczéć.

Tematy rodzajowe, jak jarmarki, popasy, dostarczyły również licznego kontyngensu obrazów, z pomiędzy których kilka natychmiast zwraca uwagę widza.

Widzimy więc pełną prostoty scenę A. Kowalskiego „Na pastwisku". Na łące w pochmurny dzień stoi klacz siwa, a obok niéj siwy mały źrebak-kasztanek. Spracowana, zbiédzona siwa klacz to nie wy-

pielęgnowany w pańskich stajniach hunter; znać po niéj długą i ciężką wędrówkę po ziemi, na mizernéj, brudnawéj sierci znać niemal ślady batów i uprzęży — stoi więc apatyczna, żując trawki szczyptami, szczęśliwa, że jéj nikt nie gna, że choć chwilę swobodna.

Pełen wdzięku smutnego, ale tak swojskiego, tak naszego, jest ten obrazek. Taką scenę mógł tylko nasz artysta wymalować, taką scenę czysto swojską tylko nasz artysta odczuć potrafi. Krajobraz przepyszny, prosty, skromny o mokrawych trawach i listkach, dopełnia i potęguje wrażenie, jakie płynie od téj pary koników na łące opuszczonych...

O ile tu jest spokój, dziwny, melancholijny, o tyle życie wre w dwóch wybornych na tenże sam temat malowanych obrazach Witkiewicza i Ajdukiewicza. Obaj wybrali sobie jarmarki, które ilustrują potężną swą indywidualnością.

Witkiewicz wprowadza nas w samo serce rynku na błotne, śniegiem topniejącym pokryte targowisko. I wszystko tam żyje, wszystko jest tak prawdziwe, tak przeniesione z natury w ramy płótna, że czekamy, zda się, aż błoto tryśnie za chwilę z pod podniesionego kopyta. I jest tam wielka ilość głów doskonałych, studyów charakterystycznych bardzo dobrych, całość zaś malowana spokojnie, bez szarży i gonienia za efektem, z tą sumiennością, pedantyczną niemal, a jednak pełną poezyi i odczucia przyrody.

Ajdukiewicz, dobry w kolorycie, daje nam wyjazd z jarmarku. Konie, ludzie, malowani poprawnie, dalsze zaś plany stanowią ciekawą charakterystykę i ilustracyę małomiasteczkowego jarmarku.

Masłowski dał czwórkę bułagulską bardzo dobrą oraz świetny swój obrazek „Przed pocztą" pełen słońca i barw, a jednak tak naturalny i wdzięczny. Do téjże grupy obrazów zaliczyć można prace pp.: Łosia, Siekier-Siekierza, Konopackiego, Bakki i innych, mniéj zwracające na siebie uwagę bądź dla treści nieco banalnéj, bądź dla niedostatków technicznéj natury.

Właściwe s t u d y a i p o r t r e t y koni przedstawili pp.: Gerson, Perdzyński, Pawliszak, W. Kossak, Matejko, Michałowski, Tański, Biernacki i inni...

Z pomiędzy tych studyów i obrazów zaraz na wstępie zwraca uwagę widza „Na pokaz" Pawliszaka. Wytrawny znawca Wschodu, ma ten jedyny może u nas specyalista w tym kierunku, koloryt jasny, słoneczny, barwy bijące w oczy, jaskrawe, które wyniósł z długich po Wschodzie wędrówek. I teraz przenosi nas w wązką uliczkę, gdzie kilku Arabów czy Turków pokazuje polskiemu panu przepyszne arab-

czyki, dla większéj fantazyi przejeżdżając się na jednym z nich z filiżanką kawy w dłoni.

Jeden z tych koni, kapitalnie, dodajmy, narysowanych, jest w pełném słońcu, drugi prześlicznéj budowy siwek, pozostaje w cieniu. I ten układ obrazu dał autorowi możność wydobycia przepysznych tonacyi i refleksów na ciele siwka, którego każdy muskał drga pod skórą.

Tak w tym obrazie, jak i dwóch obok zamieszczonych studyach końskich, dowodzi Pawliszak przewybornéj znajomości plastyki konia. oraz nieposledniéj techniki malarskiéj. Znajomością prawdziwie artystyczną konia może się również bezsprzecznie pochwalić C. Tański. Jego „Aschabad" jest doskonałym portretem końskim, dotrzymanym w najdrobniejszych szczegółach, szkoda tylko że o ile świetnym jest koń, o tyle słabym jest siedzący na nim dżokéj oraz otaczający grupę krajobraz...

Dwie przepyszne końskie głowy pędzla Matejki oraz parę studyów Gersona, dają nam wizerunki artystycznie i sumiennie wystudyowanych koni. Michałowskiego dwa obrazy, uszkodzone nieco przez czas, pokazują nam znowu starego i wytrawnego mistrza, malującego elementarnemi środkami, bez żadnych efektów, ale czującego i rozumiejącego naturę którą na płótnach swych oddawał.

Z pomiędzy zaś współczesnych malarzy konia, naczelne miejsce wraz z Pawliszakiem, Tańskim i Brandtem zajmuje Wojciech Kossak. Przepyszny jest jego „Fragment z panoramy Berezyny", najlepiéj o całości mówiący.

Trudno o wierniejsze oddanie ciała końskiego, jak w tym obrazku, gdzie nad trupem konia stado wron ucztę rozpoczęło. Jest w téj trupiéj sztywności doskonałe pojęcie form, zesztywniałych mięśni, przy znakomitym, prawdziwym kolorycie, zalety, nieopuszczające autora przy świetnym portrecie konnego „Pikiera cesarza Wilhelma." W tym obrazku tak koń, jak jeździec, jak i otaczająca go sfora psów są żywcem z pola w ramy przeniesionemi.

Wielogłowski dał kilka portretów końskich o dobrych sylwetkach, zbyt lśniących nieprawdopodobnemi barwami w kolorycie. Pejzaże stanowiące tło niektórych z tych portretów są niżéj wszelkiéj krytyki; nakoniec pani Wodzyńska dała poprawnie malowaną końską głowę.

Wogólności jednak nie robi silnego, dodatniego wrażenia obecna wystawa. Z małemi bardzo wyjątkami, najlepsze obrazy mają konia za temat drugorzędny, te zaś które go na pierwszy plan wysunęły, są po większéj części słabe.

Baczne jednak przyjrzenie się pracom Matejki, Brandta, Wierusz-Kowalskiego, W. Kossaka, Pawliszaka, Tańskiego, Witkiewicza, Masłowskiego, Gierymskiego lub Michałowskiego, sowicie pozostałe niedobory wynagradza, dając nam pełne życia, prawdy i artystycznego odczucia studya i wizerunki codziennego towarzysza i przyjaciela człowieka.

K. Daniłowicz - Strzelbicki.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Adolf Suligowski. „Produkcya rolna i taryfy kolejowe.“ Warszawa, 1895.

W pierwszych czasach powstawania i rozwoju sieci dróg żelaznych, uważane one były za bezwzględne dobrodziejstwo i nieomylne źródło wzbogacenia okolic, przez które przechodzą. Budowę nowéj drogi żelaznéj witano z taką radością, jak gdyby w okolicy odkryto nową kopalnię złota, a niechętnych znalazła chyba tylko w osobiście interesowanych furmanach, którym niebezpieczną wypowiadała konkurencyę. Z biegiem wszakże czasu obok niewątpliwie jasnych stron dróg żelaznych, ukazywać się zaczęły cienie, stały się one obosiecznem narzędziem ekonomicznem, ułatwiającem wprawdzie z jednéj strony zbyt produkcyi danéj miejscowości, ale i ułatwiającem z drugiéj strony napływ produktów z innych miejscowości i przyczyniającem się do zalewu rynków pewnych okolic produktem obcym, ze szkodą dla wytwórczości miejscowéj.

Ułatwione środki komunikacyjne, dzięki którym dziewicze łany Ameryki stanęły do konkurencyi z odwieczną kulturą rolniczą Europy, wywołały jedno z największych w historyi świata przesileń ekonomicznych i stały się klęską dla rolnictwa europejskiego. Niedawne to są czasy, kiedy rozpowszechniona była teorya, że przy ciągłym wzroście ludności i ograniczonym obszarze ziemi, renta gruntowa wciąż wzrastać musi, co wywołało wielkie zgorszenie w szkole socyalistycznéj, — a pod wpływem doktryny Malthusa, że ludność wzrasta w stosunku

geometrycznym, a środki wyżywienia tylko w stosunku arytmetycznym, widmo głodu ze wszystkiemi przerażającemi jego następstwami ukazywało się przestraszonéj ludzkości w niedalekim czasie. Minęło zaledwie kilka dziesiątków lat, a wszystkie te doktryny w niwecz obrócone zostały. Ameryka, Indye, a nawet w saméj Europie Rosya do tego stopnia, dzięki ułatwionym komunikacyom, zasypały rynki europejskie zbożem, że renta gruntowa nietylko nie wzrosła, ale przeciwnie, wartość dóbr w niezwykły sposób zdeprecyonowaną została, nietylko głodu nie ma, ale zboże spadło w cenie, niepokrywającéj często kosztów produkcyi, — doszło wreszcie do tego, że w niektórych okolicach rolnicy wolą grunta swe odłogiem zostawiać, aniżeli je uprawiać, przewidując, że po całoroczném pracy ceny, jakie osiągną za zboże, nie pokryją kosztów, jakie łożyli na uprawę ziemi.

Obok tego, drogi żelazne, które miały bratać ze sobą ludy, stały się narzędziem walki i odgrywają tę samą rolę, co komory celne, które mają wprost przeciwne zadanie, — za pomocą taryf kolejowych można tak samo, jak za pomocą taryf celnych protegować, lub gnębić, wytwarzać lub zabijać rolnictwo, przemysł i handel danych krajów lub okolic, i z takim téż celem taryfy kolejowe często są układane. Od czasu, jak drogi żelazne przeszły w znacznéj części na własność państwa, przestano je traktować jako przedsiębiorstwa handlowe, mające głównie zysk na celu, a stały się instytucyą, przeznaczoną do spełniania pewnych zadań państwowych.

W obec tego doniosłego znaczenia dróg komunikacyjnych, nie dziw, że taryfy kolejowe zajęły pierwszorzędne miejsce w rzędzie spraw ekonomicznych i w krótkim czasie wytworzyły bogatą literaturę, przedmiotowi temu poświęconą.

Czynny udział nietylko w literaturze téj, ale i w praktycznych pracach nad taryfami kolejowemi, wziął znany i na innych polach działalności prawnéj i ekonomicznéj Adolf Suligowski, który na zebraniach naukowych, tudzież na zjazdach rolników i przedstawicieli dróg żelaznych, występuje z wyczerpującemi referatami i wymowny głos zabiéra.

Książka pod tytułem „Produkcya rolna i taryfy kolejowe” stanowi odłam rozległych jego na tém polu studyów, i ma na celu obznajmienie czytelnika z historyą i obecnym stanem sprawy taryfowéj, a obok tego przedstawienie własnego w téj kwestyi stanowiska autora, tudzież proponowanych przez niego zmian w obowiązującym systemie.

W części historycznéj autor wykazuje rolę, jaką odgrywały drogi żelazne w przesileniu rolniczém i wyłaniającą się z tego konieczność interwencyi państwa w sprawy kolejowe, już to przez upaństwowienie dróg żelaznych, już téż przez pozbawianie prywatnych dróg żelaznych swobody ustanawiania dowolnych taryf.

Następnie rozbiéra rozmaite systemy taryfowe, a w szczególności zastanawia się nad górującą w rosyjskim systemie taryf zbożowych dążnością zapewnienia wszystkim okręgom państwa ułatwionego dowozu do portów, tudzież do lądowéj granicy zachodniéj, a to za pomocą stopniowego obniżania opłat przy przewozie na dalsze przestrzenie od transportów zbożowych, w tym idących kierunku.

Wedle obowiązującego obecnie zbioru taryf zbożowych z roku 1893-go, opłata przewozowa obniża się w kierunku wywozowym ku portom i suchéj granicy zachodniéj w sposób następujący:

od 1 do 180	wiorst	opłata wynosi po kop. 25 od wagonu i wiorsty,
„ 181 „ 980	„	dolicza się po 9 kop. od wagonu i wiorsty,
ponad 980	„	dolicza się już tylko po 5 kop. od wagonu i wiorsty.

W komunikacyi zaś wewnętrznéj:

od 1 do 320	wiorst	opłata wynosi po kop. 18 od wagonu i wiorsty,
„ 321 „ 980	„	dolicza się po kop. 9 od wagonu i wiorsty,
ponad 980	„	dolicza się tak samo jak przy komunikacyi wywozowéj po kop. 5 od wagonu i wiorsty.

System ten dyferencyjny, czyli różniczkowy, usprawiedliwia się tém, że ułatwia guberniom daléj położonym od portów i granicy eksport, który stałby się dla nich niemożliwym przy równéj opłacie taryfowéj od wagi i odległości, wówczas bowiem gubernie bliżéj położone granicy, mogąc nierównie taniéj eksportować swoją produkcyę rolniczą, znajdowałyby się w położeniu uprzywilejowaném, i albo nie dopuszczałyby wcale odleglejszych gubernii do udziału w eksporcie, albo otrzymałyby premię wywozową w formie niższych kosztów wywozu.

Z drugiéj wszakże strony różniczkowy ten system, ułatwiający przewóz na dalsze przestrzenie, pociąga za sobą sztuczny napływ zboża z okolic, znajdujących się w korzystnych warunkach klimatycznych do tych części państwa, które mniejszą urodzajność ziemi wynagradzać muszą większym nakładem kapitału i pracy, tudzież wyższą kulturą rolniczą, a w tém położeniu znajdują się gubernie nadbaltyckie i Kró-

lestwa Polskiego, a także niektóre gubernie centralne, dla których wschodnie gubernie stały się już niebezpieczną konkurencyą.

Przy pomocy skrupulatnie zebranych wiadomości statystycznych, Suligowski wykazuje, że koszty produkcyi puda żyta wynoszą w guberniach nadbaltyckich 57 kop., w Królestwie Polskiém 59 kop., w guberniach południowo-stepowych 37 kop., w środkowo-czarnoziemnych 29 kop., — jednego puda pszenicy w Królestwie Polskiém 66 kop., w środkowych wołżańskich 45 kop., w północnych 26 kop., — jednego puda owsa w guberniach nadbaltyckich 52 kop., w Królestwie Polskiém 49 kop., w guberniach wschodnich 32 kop., północno-czarnoziemnych 27 kop. i t. d.

Na nierównomierność kosztów produkcyi wpływa w znacznéj części nierówność opodatkowania różnych części państwa. Na mocy dość skomplikowanego obrachowania Suligowski doszedł, że obciążenie podatkowe jednéj dziesięciny ziemi wynosi w Królestwie Polskiém rs. 1 kop. 2, w guberniach południowo-stepowych 17 kop., w środkowo-wołżańskich 12 kop., w północnych 3 kop. i t. d.

Przy takich różnicach tak pod względem urodzajności ziemi, jak i ciężaru podatkowego, jeżeli przez niskie i dyferencyjne taryfy kolejowe zneutralizowaną zostaje odległość, dzieląca strefy rolnicze w tak odmiennych znajdujące się warunkach, to rolnictwu okolic drożéj produkujących i bardziéj opodatkowanych niechybna grozić musi ruina.

Dane statystyczne w tym przedmiocie przez Suligowskiego zebrane i wnioski z nich wyprowadzone, są o tyle cenne, iż posiłkowano się niemi na ostatnim zjeździe zbożowo-taryfowym, który się odbył w Petersburgu w miesiącu październiku r. b.

Na tymże zjeździe przytoczone powyżéj wywody starano się odeprzéć argumentami, że jeżeli Królestwo Polskie może bez przeszkód wysyłać do wewnętrznych gubernii Cesarstwa wyroby swego przemysłu, to i gubernie wewnętrzne winny miéć możność wysyłania swego zboża do Królestwa, że wreszcie dowóz zboża do Królestwa potrzebny jest i ze względu na konsystującą tam liczną armię.

Na to możnaby odpowiedziéć, że *la comparaison n'est pas la raison*; wielka zachodzi różnica pomiędzy opłatą frachtową od wyrobów przemysłowych, a produktów rolniczych, te ostatnie przy wielkiéj swojéj wadze posiadają stosunkowo małą wartość, opłata przeto przewozu znacznie wpływa na cenę towaru, natomiast dla wyrobów fabry-

cznych, które przy mniejszéj wadze mają wyższą wartość, opłata przewozowa nader podrzędną odgrywa rolę; daléj opłaty kolejowe od wyrobów przemysłowych nie mają tego charakteru wysoce protekcyjnego, jakiemi odznaczają się taryfy zbożowe, nakoniec jeżeliby nawet przemysł fabryczny odnosił jakie korzyści na zbycie swoich wyrobów, nie może to służyć za kompensatę dla rujnującego się rolnictwa.

Co się zaś tyczy dowozu zboża w dalszych guberniach dla konsystującego w Królestwie wojska, to potrzeba dowozu byłaby usprawiedliwiona w tym tylko wypadku, gdyby w gubernniach Królestwa był brak własnego zboża, ponieważ jednak nadmiar zboża ponad konsumcyę wynosi w Królestwie Polskiém około 36 milionów pudów rocznie, przeto dowóz zboża na ten cel okazuje się zupełnie zbytecznym.

Rozebrawszy krytycznie dotychczasowy system taryfowy, Suligowski przystępuje do projektowania nowych zasad taryfowych dla przewozu zboża. W zasadzie jest on przeciwny systemowi dyferencyjnemu, licząc się jednak ze względami praktycznemi i uważając, że system ten zbyt głębokie zapuścił korzenie, ażeby można było łatwo go wyrugować, godzi się na umiarkowany system różniczkowy bez gwałtownych skoków ze zniżeniem dotychczasowych stawek dla przestrzeni krótszych, a podwyższeniem dla przestrzeni dłuższych, — z zestawienia proponowanych przez Suligowskiego różnic wypada, że koszty przewozu transportów zbożowych w ogólności wzięte, zwiększyłyby się.

Przewodnia myśl Suligowskiego polega na tém, ażeby koszt transportów zbożowych, pozostających w granicy państwa podwyższyć, a natomiast koszt transportów, faktycznie za granicę wychodzących zniżyć, — ten ostatni cel zamierza on osiągnąć za pomocą zwracania wysyłającym zboże za granicę 50% z wniesionych opłat przewozowych, po przekroczeniu granicy przez ładunek zbożowy. Tym sposobem Suligowski spodziéwa się dojść do pożądanego dla rolnictwa zadania, ażeby ładunki zbożowe, korzystające z niskich stawek wywozowych, nie pozostawały w granicach państwa i nie przygniatały cen na rynkach wewnętrznych, a w szczególności w okręgach pogranicznych i portowych, a rzeczywiście wychodziły za granicę, w którym to celu niskie ceny wywozowe są ustanawiane.

Nadmienić bowiem wypada, że z tanich taryf wywozowych korzystają obecnie nietylko transporty zbożowe bezpośrednio za granicę wychodzące, ale i te, które zatrzymują się w punktach pogranicznych, jak w Mławie, Aleksandrowie, Sosnowcu, Kowalu, Myszkowie i t. p. w przewidywaniu, że one po pewnym czasie wytransportowane zostaną

za granicę, -- w rzeczywistości wszakże ładunki te w znacznéj części pozostają w granicach państwa i wywierają wielki nacisk na rynek zbożowy okręgów, w których są nagromadzone.

Suligowski przewiduje, że zboże korzystające z proponowanéj przezeń premii wywozowéj i obniżone skutkiem tego znacznie w cenie, może wrócić do granic państwa, w którém ceny zboża są wyższe i paraliżować w ten sposób zamierzony przez premię cel. Dla zapobieżenia temu projektuje, ażeby od zboża przybywającego z zagranicy żądane były świadectwa pochodzenia, a na wypadek, gdyby się okazało, że zboże pochodzi z Rosyi, importer wrócić winien wypłaconą premię wywozową.

Co się tyczy wpływu powiększonych kosztów przewozu zboża w wewnętrznéj komunikacyi, to Suligowski przewiduje, że premia wywozowa, dając okolicom bliżéj granic położonym możność eksportowania swojéj własnéj produkcyi, wytworzy tam lukę, którą zapełnić będzie musiało zboże z dalszych okolic przywiezione, że w ten sposób nikt szkody ponosić nie będzie, miejscowości bowiem daléj położone i taniéj produkujące będą mogły tak samo, jak dotychczas, wysyłać zboże swoje do okolic pogranicznych, tu wszakże przywiezione zboże nie stanie się, jak obecnie, klęską dla miejscowego rolnictwa, które, będąc w korzystném położeniu pod względem eksportu zagranicznego, wysyłać będzie swoją produkcyę za granice państwa i nie będzie się spotykać na miejscowym rynku ze zbożem z dalszych okolic pochodzącém.

Taryty zbożowe w powyższy sposób ułożone, będą miały, wedle Suligowskiego, ten skutek, że ceny zboża w całém państwie się podniosą i przyczynią się do wydźwignięcia rolnictwa z ciężkiego położenia, w jakie ono w ostatnich czasach popadło.

Nie może być zadaniem niniejszego rozbioru ocenienie trafności proponowanych przez Suligowskiego reform taryfowych, sprawa to zbyt skomplikowana i trudna, ściérają się tu najróżnorodniejsze interesy państwa, skarbu, dróg żelaznych, rolnictwa, przemysłu i handlu, odmiennych okręgów państwowych, wreszcie całéj wogóle ludności, jako konsumentki zboża,—słusznie téż na ostatnim zjeździe taryfowym powiedziano, że taki tylko system zadowolnić może, który wszystkie te interesy pogodzić potrafi, — a za taki system Suligowskiego uznany nie został; może się on jednak tém pocieszyć, że ten sam los dzielą wszyscy inni autorowie projektów taryfowych, i że nawet te systemy, które w praktyce zastosowanie znalazły, bynajmniéj wszystkim wymaganiom zadość nie czynią.

W sprawozdaniu niniejszém traktować musimy książkę Suligowskiego nie jako projekt taryfowy, ale jako utwór literacko-naukowy, i z tego wychodząc stanowiska, znajdujemy w niéj owoc poważnych studyów, bogactwo zebranych materyałów statystycznych, umiejętne z nich korzystanie, przekonywającą argumentacyę, sąd o rzeczy trafny i należycie wymotywowany, obok jasności wykładu i zalet stylu. *J. Kirszrot-Prawnicki.*

Stanisław Bełza. „Obrazy Korsyki“, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1896 (1897), str. 232.

Po Wenecyi—Finlandya, po Finlandyi—Korsyka. Jak widzimy autor doskonale wyzyskać umié psychologiczne prawo przeciwieństw, według którego, zmieniając przedmiot, odświeżamy wrażenie. Tym razem, kontrastową barwność krajobrazów nieba południowego, morza i skalistych pobrzeży, niezmiernie podnosi ta jeszcze okoliczność, że nad wyspą szeroko roztoczoną została perspektywa wspomnień i legend o Napoleonie I. Moc tu pamiątek po wielkim wojowniku, który zalawszy Europę potokami krwi i ognia, pozostawił wiekowi XIX-mu jedną z najbogatszych i najwspanialszych tradycyi historycznych w swych kodeksach, ustawach i traktatach, których cząstki podziśdzień gdzieniegdzie obowiązują. Zaraz na pierwszych kartkach „Obrazów” spotykają nas dwa głęboko wdrażające się w umysł opisy i podobizny: metryka urodzenia Napoleona w Ajaccio w d. 29 lipca 1771 i jego głowa z bronzu, odlana według maski pośmiertnéj. Obiedwie „relikwie” przechowują się w muzeum rodzinnego miasta bohatéra. W Ajaccio Napoleon spędził wszakże zaledwie pierwsze siedm lat życia. Oprócz owéj głowy spiżowéj, strasznéj, przerażającéj wiarogodnością leżącéj na niéj pieczęci skonu, Korsyka ma jeszcze na dalekim widnokręgu widok pewnéj „szaréj plamki morskiéj...” To wyspa Elba, miejsce pierwszego wygnania cesarza; wygnanie drugie i ostatnie, na wyspie św. Heleny, rysuje się tylko w podnieconéj wyobraźni widza, tak samo jak i kamienny grobowiec w paryskim kościele Inwalidów. Na ziemi rodzinnéj Napoleona spoczywają jedynie prochy jego matki, Letycyi Bonaparte. Autor poświęcił jéj parę stronic życiorysowych, żywo odczutych. Marya Letycya Ramolino przyszła na świat w Ajaccio w d. 24 sierpnia 1750; osierocona po ojcu Janie Hieronimie w piątym roku życia, wychowała się przy matce; od najwcześniejszéj młodości miała być niezmiernie piękną—*belle à miracle*; Karolowi Buo-

napartemu zaślubiono ją w r. 1764. Rządy wyspy sprawował wówczas „korsykański Waszyngton" czy jak go tam nazwać — pół-rycerz, pół-bandyta Paoli, zawzięcie broniący niezależności małéj téj ojczyzny, najpierw od genueńczyków, następnie od Francuzów. Karol Buonaparte stanął po stronie Paolego i wraz z nim bierze udział w zwycięskiéj nad najezdnikami bitwie pod Borgo (7 października 1768), oraz w innych potyczkach aż do stanowczéj klęski pod Ponte-Noro (w siedm miesięcy późniéj). Paoli opuszcza Korsykę, niedobitki kryją się przed zemstą Francuzów w niedostępnych miejscach Monte Rotondo, matka zaś przyszłego Cezara, nosząca go właśnie wtedy pod sercem, dzieli wszystkie trudy i niebezpieczeństwa swego małżonka: „żyje w ustawicznym strachu, przenosi się ciągle z jednéj kryjówki do drugiéj, nie mając często dachu nad głową." Dowódzca wojsk francuskich, hrabia de Vaux, ogłasza wreszcie amnestyę—i niebawem po powrocie młodego małżeństwa do Ajaccio, przychodzi na świat czwarte z rzędu w domu Buonapartych dziecię—Napoleonek... W dalszym ciągu było tego jeszcze ośmioro... W r. 1793 Korsykę zajmują Anglicy i matka Letycya, wraz z całém „stronnictwem francuskiém", wraz z młodszą dziatwą (Napoleon był już oficerem) udaje się na wygnanie, do Marsylii, gdzie czas jakiś utrzymywać się musi z nędznych subsydyów rządowych... A teraz, trybem używanym przez autora, przenieśmy się nagle na przeciwległy kraniec: do Paryża na dwór ukoronowanego, w blaskach najwyższéj chwały skąpanego cesarza Francuzów. Jest w książce portret „pani matki" z onych czasów: postać piękna, skromna, poważna, majestatyczna; w rysach jéj twarzy, dość wyraźnie odbijają się rysy wszechwładnego jéj syna—oczywiście w ustosunkowaniu ostrzejszém. Każdéj innéj kobiecie — powiada autor serdecznie w tém miejscu—ogrom i urok dostojeństwa matki „jednego cesarza i kilku królów" zawróciłyby w głowie, ale „nie znakomitéj téj korsykance". Przyjmuje ona to, czém ją syn obdarza, ale nie przestaje być tém czém się urodziła: kobietą pracy i surowego obowiązku. A gdy dziwiąc się jéj skromnym wymaganiom, lekkomyślni dworacy głośno natrząsają się z jéj oszczędności, odpowiada im słowami, które ją malują lepiéj niźli tomy listów i pamiętników: Kto tam wié jeszcze, czy nie będę zmuszona dawać jeść tym wszystkim królom... Nie wiele było trzeba, żeby się przepowiednia sprawdziła literalnie, a to wskutek niezmiernéj dumy i wyniosłości „pani matki", odpychającéj po upadku Napoleona te protekcyjne oferty jego zwycięzców, które sięgały po za ugodę międzynarodową. — Z innych po wielkim mocarzu śladów na Korsyce, mamy w „Obrazach" Bełzy ładnie skré-

ślone: grotę Napoleona I i jego „pokój" w domu stojącym na miejscu dawnego, to jest na miejscu tego, w którym się bohatér wieku urodził; w pokoju mieści się parę mebli i rzeczy z pierwszéj młodości Napoleona. W szeregu szczegółów rodowodowych, wiążących się z życiem zwycięzcy z pod Marengo, Jeny, i t. d. podróżnik nasz zaznacza, że matka Napoleona pochodziła ze szlachetnéj rodziny włoskiéj, a miała nie mało krewnych na wyspie, z których bliski przyjaciel jéj męża Wawrzyniec Giubega z Calvi, był jéj pomocnym na Korsyce w ciężkich chwilach poprzedzających napad angielski 1793. Zapiszmy tedy przy sposobności, że w r. 1797, kiedy Napoleon po powrocie z pierwszéj kampanii włoskiéj, odwiedził Talleyranda, ministra Dyrektoryatu, ozwał się doń, zaraz po powitaniu: „Jesteś pan kuzynem arcybiskupa z Reims, który pozostaje przy Ludwiku XVIII-ym"...—i dodał: „Ja również mam w u j a, który jest archidyakonem Korsyki; on mię wychował... A jak panu wiadomo, być archidyakonem na Korsyce, to tyle, co być biskupem we Francyi..." (P a m i ę t n i k i Talleyr., t. I, str. 260). Pomników napoleońskich na wyspie, wzniesionych głównie za drugiego cesarstwa we Francyi, założyciel dynastyi ma kilka: najpiękniejszy, na placu palm w Ajaccio; najdziwaczniejszy (w rzymskiéj todze osłaniającéj dolną połowę posągu,—obnażonego w połowie górnéj) — na placu św. Mikołaja w Bastii... Przypomnijmy z tego powodu *bon-mot* pewnego wysokiego dygnitarza zwiedzającego Korsykę około r. 1879. Na zapytanie córki, zdziwionéj tém obnażeniem, ojciec — niewiadomo żartem czy na seryo — odrzekł: *c'est pour recevoir de la bastonnade de l'histoire...* Co do historyi — dowcip nader wątpliwy. Ale... Anglicy np., gdyby się tak kiedy po raz drugi dobrali... — kto wié! — Kończy Bełza swą podróż, równie jak i parę poprzednich, na stylowo ozdobném summaryczném streszczeniu doznanych wrażeń. Przeciwstawiając, jak zwykle, piękno przyrody, niedoli bytu ludzkiego, która tu, na Korsyce, znalazła swój wyraz w „Zaniedbaniu ludu, w zawziętości i dzikości rozterek domowych, z których krew szerokiemi strumieniami podziśdzień płynie"—autor z westchnieniem stwierdza, że więcéj tu niż gdzieindziéj błagać trzeba niebios o przychylny chów i pieczę ziaren „dwóch boskich uczuć, uszlachetniających biédne to nasze życie: miłosierdzia i miłości..."

***

Ostatnie utwory Klemensa Junoszy.

Autor, który niedawno jeszcze poprzestawał na odmalowaniu najczęściéj wsi z jéj właściwościami, ludem, żydami, wytykając brak

sprytu u pierwszego, a przebiegłość drugich; od czasu napisania „Syzyfa” i „Pająków”, w których przedstawił targanie się człowieka, oplątanego siecią trudnych warunków lichwy i wyzysku, zaczął częściéj odtwarzać walkę o byt, podejmowaną przez ludzi dla zaspokojenia pierwszych potrzeb życiowych, walkę o chléb i dach nad głową.

W tłumie walczących nietrudno było p. Junoszy dojrzéć biédaka z rodziną, który po stracie drobnego mienia na dzierżawie, zjeżdża do Warszawy, by jąć się innéj pracy, kiedy mu się nie powiodło na roli. Tu następuje szereg wypadków, składających się na całość powieści p. t. „Na bruku” (Warszawa, 1897, nakład księgarni S. Sadowskiego).

Poznajemy bohatera od pierwszych chwil zjawienia się jego w Warszawie. Gorliwie szuka zajęcia dla siebie, gdyż okruchy uratowane nie na długo wystarczą. W tém poszukiwauiu zarobku poznaje były dzierżawca pewnego „spekulanta”, Hermana, który z początku pragnie wyłudzić trochę piéniędzy od Kwiatkowskiego, (nazwisko bohatera powieści), ale gdy to go zawodzi, stara się inaczéj coś zarobić, kiedy się dowiedział, że Kwiatkowski ma ładną córkę, siedmnastoletnią Manię. Poznawszy dziewczę, daje ojcu jéj miejsce u składnika wegla, którego poniekąd jest właścicielem; tymczasem proponuje córce przyjęcie obowiązku u pewnéj damy, za co sowicie nagrodzona będzie. Rodzice i panienka opiérają się temu. Wtedy Herman każe węglarzowi oddalić Kwiatkowskiego, szkodzi mu wszędzie, chcąc tym sposobem zmusić „Manię” do przyjęcia obowiązku. Tak się téż staje. Trwa to jednak krótko, gdyż węglarz, poróżniwszy się z Hermanem, ostrzega Kwiatkowskiego przed mogącém grozić córce niebezpieczeństwem. Ojciec tego samego dnia odbiéra córkę, któréj — jakgdyby w nagrodę za przykrości — oświadcza się ukochany i kochający p. Zygmunt. Ojciec zaś pracuje nadal w składzie węgla, uwolniwszy się od pająka—Hermana.

Taka jest treść ostatniéj powieści Junoszy.

Tło posępne; położenie ludzi tych „na bruku” w każdym obudzi współczucie. Oto jak mówi Mania o rodzicach swoich:

„...Żebyś ty widziała mego biédnego ojca, ile on się nacierpi, ile namartwi! Ten człowiek snu nie zna, po całych nocach wzdycha tylko i jęczy — a matka... co ta kobieta już łez wylała, opowiedziéć trudno.” (Str. 98)...

Chociaż w wykładzie treści pominąłem osoby i wypadki drugo-

rzędne, niemniéj nadmienić czuję się w obowiązku, że drobiazgi te z właściwą autorowi obserwacyą oddane zostały.

Sam Kwiatkowski wyszedł za blado; dobry to człowiek, ale niedaleko widzący. Bardzo dobrze naszkicowany Herman, węglarz, znajomi i znajome Mani, różni dygnitarze biurowi — choć są tylko figurami pobocznemi w powieści.

Zakończenie ze względu na formę mało zadawalniające.

Oryginalniejszą jest druga książka p. Junoszy, p. t. „Z papierów po nieboszczyku czwartym” (Warszawa, 1896). Obrazek to barwny, tło żywsze. Bohatér należy do rzędu tych w utworach Junoszy, o których nie zapominamy, choć są oni tylko małoznaczącemi jednostkami, a których cierpienia i smutki nie uderzają swym ogromem, często zastępowane wrażeniem śmiechu szczerego.

„Nieboszczyk czwarty”—jak go się podobało autorowi nazwać—niewiele miał dni wesołych w życiu, choć i skarżyć się na prześladowanie od losu nie może. Ludzie, z którymi ma do czynienia, są dobrzy; więc organista i organiścina, wychowujący małego sierotę, Melchiora (takie imię nosi bohatér), i koledzy i nauczyciele, że wyróżnię proboszcza, a potém dom sędziostwa i rubasznego rządzcę.

Może jest trochę winy i samego „Nieboszczyka czwartego”, że „w tłoku przepychać się nie umiał”, a zadawalał się pozycyą domowego nauczyciela, korepetytora, zastępcy, choć posiadał kwalifikacye wyższe.

Gdyby był mniéj skromny, nie spotkałoby go nieszczęście, o którém powiada, że „jedno jest tylko największe... — nie być niczém, zostać po długich latach pracy i uczciwego życia istotą na nic nikomu nieprzydatną i niepotrzebną”. O tém nieszczęściu dowiedział się „Nieboszczyk” dopiéro pod koniec życia, a powiedziała mu to istota, którą jedyną w życiu kobietę—może i kochał.

Czas opowiedzieć treść.

Sierota wychowany na wsi u organisty, dzięki dobroci proboszcza — posłany do miasta, gdzie kończy szkołę, potém młodzieńcem zapisuje się do uniwersytetu na wydział filologiczny, a po jego ukończeniu zostaje nauczycielem domowym i otrzymuje kondycyę na wsi. Tam bawi lat kilka w domu zacnych ludzi, ucząc ośmnastoletnią pannę łaciny. Na co jéj ta nauka? — to pytanie zadawał sobie p. Melchior. Tajemnicę odkryła mu uczennica dopiéro w dzień swego ślubu. Ojciec jéj, grywając codzień w preferansa z sąsiadem oraz proboszczem, skarżył się na brak czwartego partnera: pannie przychodzi myśl (bądź co bądź oryginalna) sprowadzenia na wieś nauczyciela, niby

do siebie, właściwie — „na czwartego" do kart. Odkrycie to było strasznym ciosem dla „Nieboszczyka". Wrócił rozżalony do Warszawy i po kilku latach cichego i samotnego życia — zmarł w szpitalu, a odniesiony do prosektoryum znowuż figurował jako — czwarty z brzega.

Jest w powyższym obrazku wiele smutku, ale gromów nie ma. Humor niemały w szkicowaniu sylwetki rządcy, Biernackiego, w rozmowie jego z „Nieboszczykiem" (str. 53 i do końca IV rozdz.). A „partyjka" u sąsiedztwa: sędzia, cierpiący na artretyzm, sąsiad p. Dakszner, wszystkim kamforę w leczeniu zalecający, proboszcz dowcipny, prawiący anegdotki, wreszcie—p. Melchior. Nie mogę pominąć i opisu panny Wandy stylem zastosowywanym w podręcznikach szkolnych (str. 85).

Właściwość to talentu Junoszy, że w utworach jego przeważa wesołość.

Do posępnych zupełnie zaliczyć wypada „Krokodyla" („Wnuczek i inne nowele i obrazki." Warszawa, 1896). Bo chociaż „Marzyciel" i „Amoroso" obudzają współczucie dla bohatérów — uśmiechnąć się przy czytaniu ich trzeba często i rozpogodzić czoło. Bardzo ładne w tym zbiorku są: „Cisza" i „Wnuczek".

Oto w upalne południe lipcowe, u podnóża zagrody, siedzi starzec z dzieckiem, wnuczkiem swoim („Wnuczek"). Wszyscy w polu na robocie, w domu zostali tylko niezdolni do pracy. Stary Jaworek, „gospodarz nie byle jaki, do dozoru kościelnego należy, w bractwie starszym jest, podczaś procesyi pierwszy ze świécą jarzącą kroczy, a śpiéwa tak głośno, że niech się organista schowa", daje nauki małemu Maciusiowi, nie odrywając się od kręcenia powróseł, a pilnując malca, by dobrze kartofle przebierał. Nie milkną ani na chwilę.

Przerywa im autor, pozdrawiając starego Jaworka. I dowiadujemy się, że ten starzec jest szczęśliwy: wyposażył dzieci, które „między sobą zgodę mają, nie napijają się, kłótni nie wiodą i rodzicom poszanowanie dają." Ideał stosunków rodzinnych u ludu!

Kiedy chłopczyna podrósł—dziadek opowiadał mu o religii i gospodarstwie.

W kilka lat autor spotyka Jaworka. Teraz on sam już: chłopiec w lecie bydło pasał, w zimie bywał w szkole. Starowina posmutniał, ale spokojny—gotuje się do odbycia drogi pośmiertnéj, wierząc szczerze i głęboko...

I znowu jesteśmy na wsi („Cisza"). Serdeczna Józia, ideał dzie-

wczęcia, prostotą Zosię Mickiewicza przypominająca—zaprasza starego wuja, by przyjechał i odpoczął po „warszawskim zgiełku".

Rozumié się, że pisanie listu dłuży się jéj strasznie: to pies zaszczeka, to turkot doleci—trzeba wyjrzéć: a nuż „on" jedzie. Ach, ten „on"... Tylko w sekrecie powié o „nim" wujaszkowi.

Wujaszek przyjechał, ale ciszy nie znalazł: ani w ocienionéj altance, ani na pustéj wysepce, ani wśród nocy—nigdzie.

Dziewczę ździwiło się.

„— Jéj nie ma nigdzie... Nie szukaj jéj nawet w piwnicach i podziemiach, bo i tam jest życie, a więc téż i ruch nieustanny. I tam walczą o byt, mordują się szczury, robaki, gady różne, i tam jedno na drugie czyha, i tam są smutki, wesela, radości, tryumfy i rozpacz, i tam padają trupy i powstają nowe jestestwa" (str. 48). Może być ona tylko duchowa. A są tacy, którzy i téj nie zaznają—biédni!...

„Krokodyl"—to historya źle pojętéj kary: dziecku za przewinienie kazano grać gamy przez kilka godzin. Rezultat był taki, że chłopiec rozchorował się, a w gorączce widział straszną paszczę, któréj szczęki stanowiły dwie klawiatury. Niemiłe wrażenie fortepianu zostało mu na zawsze.

„Marzyciel"—to obrazek z życia warszawskiego: Łazienki, Ogród Saski, spacery, rozrywki mieszczuchów, a panna Teofila—to dziewczę, jakich wiele — dobra, szczera, pragnąca kochać i wierzyć. Pokochała dalelekiego swego kuzynka, Ignasia. Przyszło do wyznania—w wieczór letni, księżycowy—na ulicy. I — zdaje się — nic nie zakłóci spokoju i starym rodzicom, i im dwojgu... To ciche szczęście przerwał jednak sam Ignaś, który „wymarzył" sobie bogatszą panią Barbarę, zostawiając w myślach pierwszéj narzeczonéj smutek i niedowierzanie.

I jeszcze historya miłosna („Amoroso").

„On"—dependent rejenta, zakochał się we wnuczce swego pracodawcy. W chwili, kiedy prawie gotów zrobić wyznanie ukochanéj, dowiaduje się, że panna ma narzeczonego. A on jéj pomagał wić girlandy z liści dębowych i robić chińskie latarki—a to wszystko pewnie na przyjęcie „Jasia"!... Po doznanym zawodzie wyjechał. „Ona jedna wiedziała, że to było amoroso."

Z tych pięciu obrazków wyróżniłbym „Wnuczka", „Ciszę" i „Krokodyla". Dwa pierwsze jako pogodne opisy szczęścia i miłości, trzeci—jako przestrogę dla wychowawców.

O dwu ostatnich tomikach można powiedziéć, że pod względem wartości literackiéj nie różnią się bardzo od poprzednich prac autora.

Wieś albo miasto, drobne smutki, cierpienia i radości ludzi, których imion historya przekazywać nie będzie, doskonała obserwacya, znajomość ludu i jego gwary, żydów z ich żargonem, chwytanie śmiesznostek ludzkich—oto główniejsze cechy tych obrazków. „Na bruku" zaś jest powieścią z życia szarego, jak ów dzień jesienny, w którym „deszcz mżył ciągle drobniutki, taki co przez dziewięć dni z rzędu padać może".

L. Rutkowski.



NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— Prof. *Adolf Pawiński.* **Michał Gröll**, obrazek na tle epoki Stanisławowskiéj z dodaniem spisu wydawnictw Grölla, ułożonego przez *Zygmunta Wolskiego.* Kraków - Warszawa. Gebethner i Wolff, 1896, str. 125.—Joachim Lelewel w dziele: „Bibliograficznych ksiąg dwoje (1823, t. I, str. 222) zwięzłym swym stylem skreślił pokrótce zasługi Grölla, mówiąc: „Tymczasem osiadł koło 1768 w Warszawie Michał Gröll księgarz, który w związku z Breitkopfem, w Dreznie i Warszawie drukować począł, sprowadził druki lipskie, jakiemi Breitkopf Niemcy przyozdobił. Papiér dobry; wielkie koło poprawności staranie. Zacne były jego przedsięwzięcia i ryzykowne. Zachęcani byli pisarze niezwłocznym wydziałem dopiéro spodziewanéj korzyści, poszukiwani tłómacze; młode talenta znajdowały środki popisywania się. Dzieła przez Grölla drukowane nie były ogromne, ale liczne.” Dobitniéj, szczegółowiéj, z powołaniem się na dowody charakterystykę tę przeprowadził ś. p. Pawiński, kładąc nacisk na to, że druki Gröllowskie są „jakby słupem granicznym, który dwie epoki przedziela — Augustów i okres Stanisławowski.” W pierwszéj dobie panoszyło się uśpienie i odrętwienie myśli, a płodom tego ospałego ducha odpowiadała postać samych książek nędzna i zaniedbana, „o takiéj ponuréj barwie jak powijaki strupieszałéj mumii egipskiéj.” W drugiéj zaś wraz z dążeniem do odrodzenia duchowego, wraz z wzrostem oświaty i nauk, wraz z obudzeniem się społeczeństwa do pracy na różnych polach łączy się powabna a nawet wytworna powierzchowność wydawanych wtedy książek, uśmiechając się niejako do czytelnika i zachęcając do zajrzenia wewnątrz. Zasługa inicyatywy w sprawie upiększenia szaty płodów duchowych słusznie należy się Gröllowi, chociaż nie

jemu wyłącznie, boć działalność Dufoura i innych nie może być pominiętą. Stąd może jest nieco przesady w zestawieniu Grölla z Naruszewiczem i Krasickim, lubo zresztą autor doskonale zastrzegł co do punktu porównania. Ś. p. Pawiński opowiada zajmująco szczegóły życia i działalności tego saskiego Niemca, który już około r. 1750 miał swoją księgarnię i drukarnię w Dreźnie, a do Warszawy przeniósł się w r. 1759, gdzie obok księgarni na „Marywilu" założył biuro informacyjne i salę licytacyjną: W saméj zresztą księgarni nie tylko książki sprzedawał Gröll, ale także lekarstwa specyalne, kosmetyki i t. p., a daléj „farfury saskie, zegary stołowe wiedeńskie, wielkie i małe zwierciadła w ramach szklanych, różne gatunki pergaminu do pisania, różny papiér pozłacany i farbowany. Przyjmował téż zamówienia na bilety wizytowe, które „wskutek rozwijających się w Warszawie stosunków towarzyskich wchodziły w użycie." Co do daty założenia przez Grölla drukarni w Warszawie, autor opiéra się na przywileju królewskim z 21 sierpnia 1775 roku, dozwalającym otworzyć drukarnię pod znakiem poetów narodowych (Sarbiewskiego i Naruszewicza) i połączyć ją pod tém samém godłem z księgarnią. Gröll dał obietnicę, że „na przyszłość wszystkie swoje nakładowe dzieła na pięknym papierze drukować będzie." Istotnie obok wodnego, klejowego, wprowadził Gröll papiér jasny z żółtawym odcieniem, z lepszéj zrobiony masy. Nosił on nazwę holenderskiego lub królewskiego. Dzieła odbijano często na papierze trojakiego gatunku, według którego ustanawiano téż ceny książek. Obok papiéru sprowadzanego z zagranicy, najczęściéj z Holandyi (firma Honig und Zoone), wchodził powoli w użycie papiér krajowy z Jeziorny, walcząc długo z uprzedzeniem przeciwko sobie. Co do czcionek drukarskich ukazała się ich rozmaitość i wytworność; obok dawnéj antykwy subtelniejszy garmont i kursywa. Różnorodne ozdoby drukarskie przyczyniały się do upiększenia zewnętrznéj strony książek. Powstała w Warszawie r. 1783 gisernia czcionek i ozdób Piotra Zawadzkiego. Gröll téż wydawał książki ilustrowane starannie, a za najprzedniejszą w tym względzie uważane są „Sielanki polskie z różnych utworów zebrane... i koperstychami ozdobione" (Warszawa 1778). Miedzioryty rysował Eisen, a rytował de Lougueil. Osoby na nich przedstawione mają stroje krajowe, ale cech indywidualnych nie posiadają: wszystkie zbliżone są do jednego pseudo-klasycznego typu. Dzieła Krasickiego, Naruszewicza, Karpińskiego, przekład pieśni Horacyusza wychodziły w pięknych wydaniach nakładem Grölla. Naturalnie musiał też wydawca odbijać straty poniesione na książkach poważniejszych ogłaszaniem takich, które się szeko rozchodziły, a więc: szkolnych i powieściowych („Zbiór najlepszych

romansów angielskich w XVII tomach"). Wydawał także, lubo krótko, dziennik polityczny r. 1794 w języku niemieckim p. t. „Warschauer Zeitung für freie Bürger." Majątku na swoich licznych przedsiębiorstwach Gröll nie zrobił; a zdaje się że i suma, która mu się dostała po żonie w kwocie złp. 25,000, poszła na wydawnictwa. Panowanie pruskie w Warszawie wielce ścieśniło działalność księgarzy i drukarzy; to téż i Gröll musiał się wycofać z interesów. Drukarnię odstąpił zięciowi, Rakoczemu; księgarnię pod własném nazwiskiem daléj prowadził, ale niedługo; zmarł 2 września 1798 r. Piękną pracę ś. p. Pawińskiego dopełnia „Spis wydawnictw Michała Grela (Groella)", ułożony przez skromnego a wielce w swym zawodzie rozmiłowanego bibliografa, p. Zygmunta Wolskiego. Spis ten rozpoczyna się rokiem 1753, kiedy wyszła (w Dreźnie) książeczka p. t. „Vertheidigung des weiblichen Geschlechts" napisana podobno przez samego Grölla, a kończy się rokiem śmierci nakładcy, który w r. 1798 ogłosił drugie wydanie przekładu powieści Floriana „Numa Pompiliusz", „Kalendarz Warszawski" i „Kalendarz Gospodarski", oraz „Bardzo łatwe rozmowy dla chcących się uczyć." W tych granicach chronologicznych zamyka się działalność Grölla na polu nakładów i druków i wykazuje istotnie bardzo poważną pod względem liczebnym, a nieraz bardzo świetną pod względem literackim ilość książek. Przy końcu „Spisu" pomieścił p. Wolski wydania bez wyrażenia roku ogłoszone. Szkoda, że tę ładnie wydaną książkę szpecą trochę błędy, zwłaszcza w nazwiskach, jak np. Wiktor (str. 6) zamiast Wietor, Bernonilli (str. 29) zam. Bernouilli, Aselepias (str. 31) zam. Asclepias i t. p.

= *Adolf Dygasiński.* **As**, powieść. Warszawa, G. Centnerszwer, 1896, str. 212. — Nowele z życia zwierzęcego głównie dały rozgłos w piśmiennictwie nazwisku p. Dygasińskiego, ponieważ stanowiły nowy rodzaj w naszéj beletrystyce i pisane były z niepospolitym talentem obserwacyjnym i myślowym. Jakkolwiek autor w dalszym rozwoju twórczości swojéj dotykał bardzo różnorodnych stron życia ludzkiego, chętnie jednak wracał zawsze do obrazów ze świata zwierzęcego, dodając do dawniejszych spostrzeżeń coraz to nowe odcienie. Dla niektórych czytelników odcienie te, gdy dotyczą zwłaszcza stosunków trywialnych, nie przedstawiają zadowolenia estetycznego, owszém budzą pewien niesmak; lecz zważyć potrzeba, iż i życie samo niejednokrotnie daje nam widok scen wywołujących wstręt nawet, więc zacieśnilibyśmy bardzo widnokrąg artystyczny, gdybyśmy żądali od powieściopsarzy i nowelistów malowania samych tylko jasnych, podnio-

słych, wzruszających obrazów. Zapewne, gdy scen takich jest zawiele, to z samego estetycznego punktu widzenia nie podobna pochwalić jednostajnego kolorytu; u p. Dygasińskiego zbyt wielkiego nagromadzenia trywialności bynajmniéj nie ma; subtelne poczucie ostrzega go przed nadmiarem barw jaskrawych i sytuacyi drastycznych. „As" np. to z pozoru tylko powiastka o psich przygodach; przygody te kryją w sobie myśl niepowszednią i wielce nauczającą. Wskazują one bowiem bardzo dobitnie, jak nieumiejętne wychowanie, nieuwzględnienie przyrodzonych właściwości temperamentu wychowańca, bez wielkiéj baczności na rodzące się w nim upodobania, prowadzi do najsmutniejszych wyników. Rozpieszczonego przez próżniacze panny pieska bierze warszawski elegant i chce go wytresować do polowania. Szuka w tym celu rad i wskazówek u ludzi i w książkach, ale te na nic się nie przydają; powierza tedy Asa głośnemu niby w sprawie tresowania psów człowiekowi, który ze swéj strony zdaje nad nim pieczę chłopcu okrutnemu i zaciętemu. Biciem wywołuje ten chłopiec bierne posłuszeństwo a potém zaprawia Asa do łapania kur, gęsi i wszelkiego drobiu. Gdy sprawki Asa w tym względzie się wykryły, dostaje on takie basy, że ucieka gdzie go oczy poniosły i z konieczności puszcza się na włóczęgę. Zgon wśród stert palących się kładzie kres żywotowi, toczącemu się wśród takich przygód, że musiały one działać na zwierzę rozkładowo. Te dzieje „Asa" to dzieje niejednego chłopca źle prowadzonego; ale autor strzeże się alegoryi, i zaledwie domyślać się pozwala czytelnikowi, że w jego opowiadaniu nie o samego tylko psa chodzi. P. Dygasiński żywo a nieraz bardzo plastycznie lub z humorem kreśli sytuacye dobrze zaobserwowane nie dla morału, lecz dla odtworzenia objawów życia w jego całkowitéj pełni. Miesza sceny zabawne, komiczne z poważniejszemi i daje czytelnikowi urozmaicony obraz stosunków w Warszawie i na prowincyi na tle historyi życia bohatera tytułowego.

— **Wędrówki Childe-Harolda**, poemat lorda Byrona, tłómaczony z angielskiego przez *A. A. K.* (Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1896 str. V, 200). Najnowszy ten przekład poematu, który ze wszystkich Byronowskich najwięcéj u nas znajdował tłomaczów już to w części, już to w całości, dokonany został przez pisarza, znanego od lat 40 ze swych rozpraw oryginalnych i z przyswojenia literaturze naszéj „Fausta", wybranych pieśni Horacyusza i Schillera. Łączy on w umyśle swoim trzeźwy sąd krytyczny i uwielbienie dla dzieł wielkiego natchnienia i niepospolitego artyzmu. Przekłady jego wogóle, a prze-

kład „Wędrówek Childe-Harolda" w szczególności odznaczają się przedewszystkiém wiernością w oddaniu myśli i sposobu obrazowania autora, powtóre zaś—nadzwyczaj jasném, przejrzystém niemal wysłowieniem, gdyż tłómacz nie lubi żadnych zawiłości i żadnych łamigłówek, pragnąc, ażeby czytelnik odrazu i bez wielkiego trudu treść każdego zdania, każdéj przenośni pochwycił. Czy taki styl w zupełności się nadaje do odtworzenia stylu Byrona? Zdaje mi się, że nie. Byron był pierwszym podobno wielkim poetą, któregoby można nazwać, używając terminologii modnéj, suggestyjnym; wiele rzeczy napomyka on tylko, pozostawiając szczegółowe rozprowadzenie obrazu domyślności czytelnika; on mu chce tylko poddać jakiś pomysł, ażeby wyobraźnia dopełniająca daléj nad nim pracowała. Taki np. wspaniały wiersz XXXVIII zwrotki w pieśni IV o Alfonsie: „Thou, form'd to eat, *and be despised, and die*" (Ty, stworzony na to, by jeść, być wzgardzonym i umrzéć) o ileż więcéj dostarcza karmi dla wyobraźni i myśli naszéj, aniżeli odpowiedni wiersz przekładu, rozwijający jedno tylko z pojęć zawartych w oryginale: „Ty żyłeś po to, by jeść w każdéj dobie." Przytém i ton spokojny, w jakim przełożono całą tę strofkę, słabo oddaje nastrój namiętny, w jakim ją napisał Byron. W téj mierze przekład Jana Kasprowicza jest niewątpliwie silniejszym („Ty byłeś na to, by żréć, być wzgardzonym i paść jak bydlę"), lubo nie odznacza się taką potoczystością i jasnością jak tłomaczenie p. A. A. K. Dodać winienem, że najnowszy tłomacz ułatwił sobie pracę o tyle, że nie zachowywał trudnéj 9-wierszowéj strofki oryginału, ale zupełnie swobodnie, jak mu przy rozwinięciu myśli poety wypadło, tworzył zwrotki różnorodne zarówno pod względem ilości wierszy jako téż pod względem następstwa rymów. Zapewne, lepiéj jest zachować wierność co do pomysłów, nie nadwerężać ani logiki, ani estetyki, ani gramatyki, aniżeli borykając się z trudnościami formalistycznemi, popełniać wykroczenia względem dopiéro co wymienionych potęg; ale bądź co bądź ideałem przekładu poezyi będzie złączenie najściślejsze treści z formą, bo wielcy poeci zawsze umieją wybrać formę najodpowiedniejszą do wypowiedzenia swoich pomysłów i swego nastroju. Dla zapoznania się z treścią pomysłów Byrona przekład p. A. A. K. najzupełniéj wystarcza, lecz dla subtelniejszego zaznajomienia się z artyzmem wykonania owych pomysłów nie przedstawia się on całkiem zadawalniająco. Dla ogółu czytelników dostępniejszym on wszakże będzie od tłomaczenia Jana Kasprowicza.

= *Aleksander Świętochowski.* **Pisma.** I. „Obrazki powieściowe.” Kraków-Warszawa. Spółka nakładowa (1896, str. 220). — Pierwszy ten tom zbiorowego wydania „Pism” świetnego i oryginalnego stylisty, zawiéra najprzód trzy powiastki („Damian Capenko”, „Chawa Rubin”, „Karl Krug”), które były już oceniane w „Ateneum” w r. 1880, kiedy wyszły pod napisem: „O życie”; daléj obrazek biédy i klęski głodowéj na Szląsku pruskim p. t. „Klemens Boruta”, również r. 1880 w oddzielnéj książce wydany. Trzy inne, krótsze obrazki, wzięte z felietonów „Prawdy”, pojawiają się po raz pierwszy w formie książkowéj. Z tych trzech najważniejszym pod względem myśli przewodniéj i najładniejszym pod względem estetycznym są „Oddechy” — dzieje Wawrzusia Tryńczy, przemianowanego w W. Ks. Poznańskiém na Lorenza Trinkbiera, który, pomimo całéj swéj uległości dla rządu pruskiego, pomimo zaparcia się nazwiska właściwego i swego wyznania, został jako przychodzień z Królestwa wydalony z Prus, gdy głośne „rugi” nastały. Rzecz jest traktowana z pozorną lekkością i satyryczną swobodą, ale poczynając od naczelnego zdania: „Lorenz Trinkbier bał się”, aż do ostatniéj sceny, kiedy na wiadomość o wygnaniu cała rodzina popadła w osłupienie, dysząc na rozmaite tempa i tony, wywiéra wrażenie głębokie. „Na pogrzebie” — to charakterystyczne odtworzenie rodzaju niedoli: chłopskiéj i szlacheckiéj. „Woły” wreszcie — to obrazek ochrony lub lekceważenia istot stosownie do tego, z jakiéj strony przedstawiają się one tłumowi: czy mają warunki świetnego bytu, czy też skazane są na zagładę. Wydanie odznacza się czystością druku i skromnym wdziękiem, jest *elegans munditiis,* jak mawiali Rzymianie.

= **Młodość Goethego** i nieprzełożone dotąd poezye jego ulotne. Zebrał *Ludwik Jenike.* Wydanie ozdobne, z sześciu rycinami (Warszawa. Gebethner i Wolff, 1897, str. 239). — Dokonawszy przekładu głośnéj autobiografii Goethego p. t. „Z mojego życia: prawda i fantazya” (1895), p. Ludwik Jenike, tłómacz tylu utworów wielkiego poety niemieckiego, spopularyzował opowiadanie to w książce pod powyżéj przytoczonym tytułem. Nie poprzestał wszakże na samém streszczeniu dzieła Goethego, lecz je dopełnił niejednym szczegółem skądinąd wziętym, jak niemniéj uwagami, jakie mu się z powodu biegu życia wieszcza nastręczały. Uczynił tym sposobem rzecz w wysokim stopniu zajmującą i ponętną dla każdego, co się pragnie zaznajomić dokładniéj z młodzieńczemi latami jednego z największych mocarzy słowa. Na 114-tu stronach doprowadza Jenike opowiadanie o życiu Goethego do 26-go roku jego życia, to jest do czasu, kiedy wszystkie zasadnicze

pierwiastki duchowéj natury poety już się całkowicie skrystalizowały i kiedy zaczął się już stawać sławnym autorem. Tak mało posiadamy dzieł, z którychby można było zaczerpnąć wiadomości o życiu literackiém w Niemczech z drugiéj połowy XVIII wieku, iż każdy w téj mierze przyczynek, a témbardziéj, tak umiejętnie i ładnie wykonany, jak praca p. Jenikego, wysoko cenionym być winien. — Drugą połowę książki wypełniają tłómaczenia pomniejszych utworów Goethego lirycznych i gnomicznych, oraz fragmentu dramatycznego p. t. „Prometeusz”. Przez długie lata duchowego obcowania z poetą niemieckim tłómacz zżył się wybornie z jego pomysłami i z ich stroną formalną; chociaż więc nawet tu i owdzie odstępuje od oryginału (co zresztą zawsze sam sumiennie zaznacza), twierdzić można, że ducha poezyi Goethego oddaje wiernie. Ponieważ już dawniéj przełożył wiele utworów lirycznych twórcy „Fausta” i ogłosił drukiem w zbiorowém wydaniu r. 1889, nie miał więc p. Jenike obecnie zbyt wielkiego wyboru, prócz „Przypisania” *(Zueignung)*, jednego sonetu, kilku epigramatów i jednéj ody („Śpiew duchów ponad wodąmi”), nie ma w tym nowym cyklu tłómaczeń arcydzieł lirycznych lub liryczno-gnomicznych, lubo naturalnie są rzeczy bardzo piękne. Co do wartości przekładu, to przyznając mu wogóle wielkie zalety, w drobiazgach ledwie możnaby odnaléść pomniejsze uchybienia. I tak: w pierwszym wierszu „Przypisania” mniéj stosowną wydaje się przenośnia, że „skrzydlaty krok” poranku spłoszył „sny” z powiek poety. W oryginale znajdują się wprawdzie „Tritte”, ale są one tam w związku z wyrażeniem: „Der Morgen *kam*”; przenośnia więc już w samym początku zaznaczona, czego tłómacz nie zrobił, powiadając: „poranek świtał”. Również liczba mnoga „sny” nie bardzo jest odpowiednia, gdyż w naszym języku oznacza zwykle senne marzenia, gdy Goethe mówi jeno o lekkim śnie fizycznym *(Scheuchten den leisen Schlaf, der mich gelind umfieng)*. Należy też zaznaczyć, że wyraz chryzmat używa się u nas zazwyczaj w téj formie greckiéj, albo w spolszczonéj: krzyżmo; pośrednią zaś między niemi: chrzyzmo (str. 129) posłużył się chyba pierwszy p. Jenike. Wolelibyśmy, ażeby zamiast *libeli* (str. 188, 189) jako nazwy owadu, użyta była ważka, témbardziéj, że libellą nazywa się u nas waga wodna. Wyrażenia *nad* schwał nie znamy; powszechnie w dawniejszym języku mówiono *na* schwał; może to zresztą omyłka druku. Trudno się zgodzić, by prawidlowém było wyrażenie: „dowiemy się coś ty *za zacz*” (str. 203); „zacz” bowiem jest to skrócenie dwu wyrazów: *za co*; dodawać więc jeszcze jedno *za* to już zbytek.—Drobne to, jak widzimy, i nieliczne usterki; życzymy tłómaczowi, ażeby mógł je rychło usunąć w drugiém wydaniu swéj książki. O przekładzie

„Prometeusza” nie piszemy tu szczegółowo; podało go najpierw „Ateneum” wraz z przedmową zasłużonego tłómacza.

= **Mozajka wilcza**, ułożona z młodzieńczych wspomnień myśliwskich przyjaciela przez *Konrada Machczyńskiego*. Z rysunkami G. Ryszkiewicza i portretem autora. Kraków-Warszawa. T. Paprocki i S-ka, 1896, str. 223. — P. Konrad Machczyński znany był dotychczas w piśmiennictwie jako autor rozprawy „O listach żelaznych czyli glejtowych” (1861), oraz „Poglądu historycznego na sądownictwo ludowe jako źródło instytucyi przysięgłych” (1869) i in. Obecnie, korzystając, jak powiada, z notatek swego przyjaciela, zapalonego myśliwca, ułożył w 10-ciu rozdziałach „Mozajkę wilczą”, t. j. zbiór przygód w walce z wilkami, przeplatanych opisem wypróbowanych środków tępienia szkodników. Są to rzeczy skreślone zajmująco na wzór gawęd K. Wł. Wójcickiego, bez pretensyi i bez ubiegania się o piękno stylowe. Znając dużo myśliwych, czy to prawdziwych wilczarzy, czy téż takich, co pragnęli za wilczarzy uchodzić, posiadając obfity zapas anegdot łowieckich i niemało staroszlacheckiéj jowialności, autor swobodnie rozwija swoje opowiadanie, kréśli sylwetki ludzi, przytacza ich rozmowy, maluje ich usposobienie w czasie pokojowym i w chwili niebezpieczeństwa, zachowuje przeważnie nastrój pogodny, nieraz żartobliwy, czasem tylko przedstawiając obrazki smutne i grozy pełne. Największą zaletą książki jest jéj szczerość i prostota, kiedyniekiedy tylko zmącona jakimś „autorskim” zakusem, zwykle zwróconym do innych piszących lub do czasów dzisiejszych w przeciwstawieniu do dawnych, do których sam p. M. się zalicza.

= **Kosztowni dobrodzieje**. Sylwetki z bruku przez *Kazimierza Laskowskiego*. Warszawa. Dubowski i Gajewski, 1897, str. 79.—Są to obrazki żywo, lecz bez szczególnego talentu kréślone, a przedstawiające trzy rodzaje lichwy w naszém mieście. Jeden rodzaj, to sprzedawanie mebli na raty, mebli powracających bardzo często do lichwiarza z powodu uchybienia terminu wypłaty. Przedstawicielem jego jest usłużny w początkach, drapieżny pod koniec J. Kalchasgrün. Drugi rodzaj tworzy lichwiarz teatralny, Herman Rebocher, lubiący szczególniéj wspiérać artystki, gdyż umieszczone u nich pieniądze tym lub innym sposobem wracają do niego z olbrzymim procentem. Jest on przemyślny i pomysłowy; nie waha się robić wydatków na „klakę” i wieńce (niby od wielbicieli), gdyż wié, że je powetuje sobie sowicie. Lubi téż wchodzić w przedsiębiorstwa teatrów ogródkowych i on głównie na nich zarabia. Trzeci rodzaj to lombard prywatny, prowadzony przez

takich ludzi, jak Chil Eselpferd. Dobrze są przedstawione „operacye” w lombardzie tym dokonywane, nigdy nie narażające na straty p. Chila: najznamienniejsza zaś tu jest historya „latającego tużurka”, zastawianego przez czeladnika w poniedziałek, a wykupywanego w niedzielę rano. Autor kreślący te obrazki nie tyle ma uzdolnienia plastycznego, ile skłonności do retoryki.

= Wydawnictwa **Biblioteki Powszechnéj**, wychodzącéj nakładem W. Zukerkandla w Złoczowie, dosięgło obecnie numeru 180. — Ze wszystkich tanich przedsięwzięć tego rodzaju, najwytrwaléj to właśnie jest prowadzone i z tego względu na poparcie zasługuje. Niejednokrotnie już pisaliśmy o niém i przy sposobności dawaliśmy radę, żeby redakcya zwracała większą baczność na wybór przedruków. I obecnie podobną uwagę zrobić musimy. „Biblioteka” pomieściła w zeszytach 170 — 175 pierwszą w swym zbiorze powieść J. I. Kraszewskiego i wybrała na ten cel „Powrót do gniazda”, rzecz osnuta, jak autor zaznaczył, na podaniach XVI-go wieku. Dlaczego ten utwór wysunięto na plan pierwszy, kiedy on należy do słabszych powieści autora „Poety i świata”? Nie znając zbliska stosunków redakcyjnych i wydawniczych, niepodobna odpowiedzieć na to pytanie; ale zauważyć wolno, że zjawiskowo obfita twórczość Kraszewskiego dawała obszerne pole do zrobienia trafniejszego wyboru. Z innych przedruków znajdujemy w „Bibliotece” dalszy ciąg komedyi Fredry ojca, a mianowicie wyborną „Zrzędność i przekorę”. Z literatury najnowszéj mamy tu drobniutkie szkice, nowele i opowiadania Teresy Klemensiewicz p. t. „Z męczeńskiego żywota”, bez których „Biblioteka”, co prawda, obejśćby się mogła. Z przekładów pomieszczono utwór jednego z najlepszych poetów spółczesnych czeskich, Świętopełka Czecha p. n. „Klucze Piotrowe”, w tłómaczeniu Konrada Zaleskiego. Co do strony zewnętrznéj, to papiér jest niezły, druk wyraźny; należałoby jeno postarać się o staranniejszą korektę i co do wyrazów i co do przestankowania.

= *Leon Szepielewicz.* **Kudruna**, studyum historyczno-literackie (po rosyjsku). Charków, część I, 1894 r. (str. 142); część II, 1895 r. (str. 127). — P. Szepielewicz zajmuje się specyalnie literaturą wieków średnich; przed kilku laty wydał bardzo pracowite studya nad Dantem; obecnie ogłasza rozprawę o epopei niemieckiéj, zwanéj „Gudrun” albo „Kudrun”, a tak mało u nas znanéj, że pierwszy tłómaczony na język nasz ustęp w niéj zawdzięczamy dopiéro p. Janowi Kasprowiczowi w „Obrazie literatury powszechnéj”. P. Sz. zastanawia się prze-

dewszystkiém nad rękopismem, wydaniami i treścią „Kudruny”, potém szczegółowo i krytycznie rozprawia o kraju, w którym poemat mógł powstać, zaznaczając jako pewnik, że jest on dziełem poety górno-niemieckiego; daléj—o skandynawskich podaniach, dotyczączych Hildy-Kudruny jako pierwotném źródle utworu, o historycznych i mitologicznych pierwiastkach poematu, o jego układzie i artystycznym, jak niemniéj dziejowo cywilizacyjném jego znaczeniu. W drugiéj części studyum swego podaje autor tłómaczenie prozą najważniejszéj, t. j. drugiéj części poematu, mówiącéj o Hildzie, a następnie rozprawia o stosunku do siebie cząstek składowych „Kudruny”, analizuje ten utwór z własnego punktu widzenia i wreszcie podaje uwagi o niektórych podaniowych i epicznych motywach, zawartych w tém dziele. Nie mogąc wchodzić w rozbiór poglądów badacza, trzeba tylko zaznaczyć, że jak poprzednie jego prace, tak i tę znamionuje wielka sumienność i oględność.

= *Kazimierz Gliński.* **Klęska**, powieść, 1896. — Są pisarze, co na niwę powieściopisarską występują, odrazu uzbrojeni we wszelkie środki techniczne, któremi dziś się beletrystyka posługuje, są znów inni, co pierwszemi pracami swemi dawszy znać o sobie, muszą jeszcze przechodzić powolnie długą drogę stopniowego udoskonalania się nim nareszcie staną na wyżynach takich, jakie dziś krytyka zakréśliła dla powieści. Do tych drugich należy rozgłośny poeta Kazimierz Gliński, którego działalność powieściopisarska rozpoczęła się wprawdzie jeszcze przed laty trzynastu, atoli dotychczas powieściowe jego utwory nie zdołały zająć takiego miejsca w literaturze, jak np. poetyczne, które są niewątpliwie przedniejszym nabytkiem w dzisiejszéj poezyi naszéj. Wszakże jeśli rozpatrzymy dawniejsze powieści tego pisarza i zechcemy porównać je z najnowszemi, zauważymy niemałe postępy w technice powieściowéj, co oczywiście może być chlubném świadectwem na korzyść autora. Gdy np. taka „Czarodziejka”, pierwsza powieść Glińskiego, drukowana w r. 1883-im, pod względem swéj treści i architektoniki pozostawia wiele do życzenia, czyniąc na czytelniku wrażenie swobodnego, okraszonego tu i owdzie humorem opowiadania gwoli ubawieniu słuchaczów, zebranych na gawędkę poobiednią— to „Klęska”, najnowszy utwór jego, świéżo wyszły z pod prasy, jest już powieścią, która pomimo pewnych braków zasługuje na baczniejszą uwagę krytyki zarówno ze względu na samo wykonanie, jak i na treść swoją. — Malwina, rozpieszczona i samowolna córka bogatego właściciela Jarnéj, Baczyńskiego, poznawszy przypadkiem

ubogiego szlachcica zaściankowego Andrzeja Maleckiego, który otwiéra jéj oczy na istotne, podniosłe zadanie człowieka, żyjącego wśród niższych, nieukształconych warstw społecznych i tém samém budzi drzémiące dotąd w jéj duszy zacniejsze pierwiastki, daje stanowczą odprawę starającemu się o jéj rękę przeżytemu hrabiemu Izydorowi i wbrew woli rozgniéwanego śmiertelnie ojca wychodzi za mąż za ukochanego człowieka, zapewniając tém sobie istotne szczęście, wobec którego i ojciec, długo nie dający się przebłagać, ostatecznie godzi się z losem, przyznając w końcu córce wybór rozsądny. — Taką jest w ogólnych zarysach treść powieściowa najzupełniéj prosta, rozwijająca się swobodnie drogą naturalną, bez żadnych akcesoryów sztucznych, któreby jeno balastem dla całości być mogły, a akcentująca wyraźnie dwie idee, podnoszące wartość utworu: łączenie się z sobą związkami małżeńskiemi szlachty bogatszéj i wykształconéj z uboższą, zaściankową i pracę na „dwóch polach”, któréj potrzebę uznają obaj Maleccy, ojciec i syn. Téż same myśli, dodajmy tu nawiasowo, uwydatniła już dawniéj Orzeszkowa w rozgłosnéj powieści swéj „Nad Niemnem”, atoli rozwijając je na tle o wiele szerszém i wiążąc misternie z całym szeregiem szczegółów niemałéj wagi w powieści, dzięki czemu nietylko sama fabuła, ale i charaktery związanych z nią osób występują tam z wielką wypukłością i plastyką; a właśnie brak téj wyrazistości dotkliwie daje się uczuć w utworze Glińskiego. Gdyby autor opowiadanie swe na obszerniejsze naciągnął był ramy i staranniéj wyrzeźbił przynajmniéj główne występujące w niém osoby, wówczas powieść zyskałaby na tém wiele pod względem artystycznym i tém samém przy żywotnéj treści swojéj wyróżniałaby się stanowczo z całego szeregu najnowszych wydawnictw powieściowych. Lekkie wogóle zarysowanie postaci podrzędnych w utworze, jak np. Czawicz, Pomiszewski i t. d., jeszcze nie razi bardzo czytelnika, bo są to figury dodatkowe, jeno do urozmaicania całości potrzebne, ale brak pogłębienia charakteru, a tém samém i plastyki osób, stojących na pierwszym planie obrazu, jest już niewątpliwie winą autora, od którego krytyka dzisiejsza wymaga nietylko trafnego nwydatnienia idei i naszkicowania planu, ale również i ugrupowania postaci, a nadewszystko starannego wycieniowania szczegółów. Obecnie powieściopisarz nie może zlekka jeno potrącić o struny ducha swoich bohatérów, dopełniając reszty własnym bezpośrednio od siebie wypowiedzianym sądem o ich charakterze, lecz musi zstąpić do ich głębin duchowych i ukazać wszystkie przynajmniéj główniejsze postaci w czynach, w ruchu, któryby ich właściwą charakterystykę stanowił. Tymczasem w rozmowach, prowadzonych przez bohatérów „Klęski”, darmobyśmy szukali

charakterystyki osób, natomiast skądinąd rozmowy te mają jedną ważną zaletę, którą nie każda obecnie powieść poszczycić się może. a mianowicie posuwają one naprzód akcyę, dzięki czemu zainteresowanie czytelnika nie słabnie ani na chwilę. Charakterystycznêm zjawiskiem we wszystkich zresztą powieściach Glińskiego, a więc i w „Klęsce" również, jest zbyt szybki przebieg akcyi (może należałoby to przypisać zbytniéj żywości temperamentu autora), a brak natomiast powolnego rozwijania się wypadków, które dałoby możność z jednéj strony pogłębienia i wycieniowania charakterów, a z drugiéj należytego umotywowania i oświetlenia faktów. Prawdopodobnie dzięki właśnie téj wadzie pomawiano czasem autora o nieprawdopodobieństwo w kréślonych sytuacyach, zarzucając mu zbytnią dowolność w kréśleniu osób i faktów i nieliczenie się z rzeczywistością. Zarzut to mojém zdaniem całkiem niesłuszny, bowiem w istocie przesady owéj i niezgodności z prawdą w powieściach Glińskiego nie ma, a tylko brak motywów, usprawiedliwiających i wyjaśniających fakty, wytwarzać tu może pozory nieprawdopodobieństwa. Wszakże poza temi brakami niepodobna nie przyznać „Klęsce" i zalet większych, do których należy najpierw wielka żywość opowiadania wkraczającego czasem w sferę prawdziwéj poezyi, jak np. w scenie odprowadzenia Malwiny do domu przez Maleckiego wśród nocy piorunowéj, lub w prowadzonéj przedtém rozmowie Andrzeja z Chostyną w jarze, a podsłuchanéj przez Malwinę; następnie schwycony udatnie rys charakteru starego Maleckiego, człowieka prawego i umiejącego cenić godność własną; wreszcie zasadnicze idee utworu, złotą nicią przewijające się niezuacznie przez cały tok opowiadania. *I. N.*

= *Franciszek Wodecki.* **Księga wszechświata i sposób jéj czytania**. Kraków, nakładem autora, 1896.—Do patologii literatury naszéj jeszcze jeden przybył przyczynek. Jest nim „dzieło" powyższy tytuł noszące.—Są kwestye, które od wieków specyalnie zwracają na siebie uwagę grafomanów wszelkich narodowości, a z pomiędzy tych zagadnień największe ma powodzenie kosmogonia. Trudno zaiste jest zliczyć ilość tych poronionych prac, zastanawiających się nad początkiem wszechświata, rozpraw tłomaczących najniedorzeczniejsze poglądy. Do takich właśnie „rozpraw" należy „Księga wszechświata." Trudno jest zaiste zrozumiéć, co podyktowało autorowi te sto dwadzieścia kartek, czyby chęć zadrwienia sobie z całéj nauki współczesnéj i z publiczności, coby „pracę" jego czytać chciała?—Sąd o pracy p. Wodeckiego wydać trudno. Streszczenie poglądów jego jest niemal niemo-

żliwe. Postaram się jednakże paru cytatami uwydatnić metodę, którą się posługiwał, oraz styl w jakim książkę swą napisał. Na str. 7, znajdujemy taki ustęp: „Wiem i z góry przygotowany na to jestem, iż niniejsza praca nie prędko uzyska wśród uczonych prawo obywatelstwa. Gdyby była podaną w języku francuskim, niemieckim, lub angielskim, zaopatrzona takimże nuzwiskiem, zwróciłaby uwagę wszystkich na siebie. Każdy ubiegałby się o przeczytanie i zapoznanie się z jéj treścią. A że jest w języku polskim, musi czekać, aż ją nowe pokolenie przetrawi. W każdym razie, czy wcześniéj czy póżniéj, będzie przyznane przynależne uznanie téj pracy.” Tyle tylko w ustępie! Daléj przystępuje autor do dyalogu ze swoim dawnym profesorem, któremu „dowodzi”, że na początku była bezgraniczna próżnia, z któréj powstało „coś” czyli „materya eteryczna”. Z téj materyi eterycznéj powstały „ciała abstrakcyjne” i t. d. Jak widzimy terminologia filozoficzna zaiste nadzwyczajna. — Zdumiewająca jest również teorya, która opiewa powstanie życia na ziemi. Każde „ciało abstrakcyjne” czyli ciało niebieskie jest istotą żyjącą. Słońce jest rodzaju męskiego, ziemia żeńskiego—połączenie tych dwóch sił daje życie, które pozostaje w „łonie ziemi” t. j. wewnątrz, pod skorupą ziemską tak że pierwsze istoty „człowiek dajmy na to” znajdował się „w zaczątku” w pewnego rodzaju „kulistéj bani podobnéj do bani leżącéj na grzędzie inspektowéj” (str. 65). Ta „bania” była połączona „korzonkami” z ziemią, tak że dana istota poczęta w z i e m i, wyłania się ze swą banią po przez szczelinę w ziemi zrobioną, dojrzewała na słońcu, a potém wyskakiwała z bani, gotowa do życia. — Takie to są teorye p. Wodeckiego. Czy nie jest jednak ta książeczka ciekawym przyczynkiem do współczesnych egotycznych prądów, stawiających osobiste zdanie na wysokości doktryny. W każdym razie szkoda było tyla papieru i druku na wydanie pracy, ośmieszającéj bezpowrotnie autora. *W. D. Strz.*



POD KONIEC ROKU.

Rok znikający i jego dzieje.—Na widowni bliższéj.—Pogłoski, wskazania. — Kilka nowozałożonych szkół specyalnych.—Przytułek weteranów pracy.—Rachunek d-ra Polaka z likwidacyi. — Świeże i dawne statuty stowarzyszeń wkładowo-zaliczkowych, w Wiskitkach, w Grójcu.—Herbaciarnie czy mleczarnie i piwiarnie? — Koncerty, odczyty.—Czasopismo znikające, czasopismo powstające.—Na gwiazdkę.

Ze względu, że rok 1896-ty przeniesie się niezadługo do krainy cieniów, gdzie króluje historya, słusznie należy się mu w zakresie po-ityki międzynarodowéj ocena historyczna, to jest krótka, pomnikowo zwięzła. „Wiele ruchu, mało tarcia; wiele słów, mało czynów" — oto ego charakterystyka. Jedno przymierze franko-rosyjskie stanowi wyjątek, aczkolwiek i ono, w określeniu ściślejszém, jest tylko uroczystém stwierdzeniem przesłanek i zobowiązań powziętych za panowania cesarza Aleksandra III-go. A i skutki jego pozytywne rozwiną się nie zaraz. W chwili obecnéj (koniec listopada) dwa sprzymierzone państwa, przy współudziale innych mocarstw podpisanych na traktacie 1879 r., rozpoczęły dopiéro rokowania w Petersburgu, dotyczące prawdopodobnie losu zrujnowanéj i podminowanéj Turcyi, o ile-że, jak się przekonano, Anglia, choćby nawet do współki z powstaniem macedońskiém, nie zdołałyby ani poskromić sułtana, ani ocalić jego seraju. Wobec takiego obrotu sprawy pierwszorzędnego obecnie znaczenia, wielce oryginalną i ciekawą postawę przybrali mężowie stanu Wielkiéj

Brytanii. Od dwóch blisko miesięcy starają się w siebie wmówić, że nie mogli i nie powinni byli postąpić inaczéj, jeno tak, jak postąpili. Sam Salisbury na dorocznéj uczcie nowego lorda-majora, późniéj Balfour przed robotnikami w Rochdal, rozwodzili się bez końca nad perspektywą niebezpieczeństw, na jakie wystawiliby świat i siebie, gdyby się zadaleko byli posunęli w obronie wymordowanych swych klientów, Ormian; nie szczędzili téż powinszowań sobie z okoliczności szczęśliwego zastosowania procederu, ujętego niegdyś przez Francuzów — nie dla siebie wyłącznie — w karby znanéj przypowieści: *jeter sa langue aux chiens.* A co teraz będzie, jeżeli niegłupie zwierzęta nie zechcą dotknąć takiego języka? — przyjdzie zabrać go sobie napowrót.

Przytomniéj w stanowczéj chwili znalazł się stary majster z Friedrichsruhe, książę na Lauenburgu. Wyszedłszy z postulatu, że nie ma uczciwości nad uczciwość dyplomacyi niemieckiéj z lat 1862 — 1890, pozwolił on ogłosić w „*Hamb. Nachrichten*" następujący sylogizm. Do roku 1890-go Niemcy, tak samo zresztą jak dzisiaj, zostawały w sojuszu z Austryą i Włochami, a przecież z państwem postronném, nie wchodzącém do związku, zawarły ugodę osobną, na własną rękę, która, jeżeli w r. 1890 nie została „zaasekurowaną" na czas dalszy, to wyłącznie z winy „nowego kursu" i hr. Capriviego, następcy ks. Bismarka... Więc cóż stąd za wniosek? — Wniosek ten, że ponieważ największa na świecie prawość — prawość dyplomacyi niemieckiéj z lat 1862 do 1890 — pozwoliła sobie na niejaki wyjątek od reguły, przeto tém bardziéj pozwoli sobie na to każda prawość mniejsza, mniéj skrupulatna... Opinia publiczna w Niemczech, odzwyczajona nieco od parabol dawnéj swéj wyroczni, nie dobrze na razie zrozumiała o co chodzi; ale długa, dwudniowa blisko dyskusya w parlamencie berlińskim dowiodła jéj, że tak jest w istocie, że ks. Bismark ma poniekąd słuszność. Trójprzymierze stoi niewzruszenie, jest pożądane, jest nawet niezbędne, ale swoją drogą, najpilniéj strzedz trzeba przyjaźni z téj strony, skąd największe niebezpieczeństwo grozić może... „*Neue Fr. Presse*" najpierwsza, w imieniu Przedlitawii, pośpieszyła oświadczyć, że z deklaracyi ks. Hohenlohego i bar. Marschalla jest w zupełności zadowolona.

I ustaliło się w końcu przeświadczenie powszechne, że wobec tak pilnéj a wielostronnéj czujności, zbyteczna byłaby na razie obawa wojny, któréj trójprzymierze samo jedno nie w stanie zapobiedz. Niebawem każdy podążył do swoich zajęć domowych: Francya do pytania, jak długo jeszcze ostoi się reakcyjny gabinet Méline'a, Włochy do

likwidacyi kosztów wyproszonego u Menelika pojednania, Austrya do obliczenia kul straconych i gałek pozyskanych podczas wyborów na Węgrzech—sztuk, tu i tam, po trzydzieści.

I to już cała tegoroczna krescencya polityczna. Bo co się tyczy nowo obranego prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, znajdzie się dla niego miejsce w Białym domku waszyngtońskim i być może w naszéj kronice dopiéro w marcu, gdy na Kapitolu złoży przepisaną przez konstytucyę przysięgę i wyda programową odezwę do narodu.

Dla nas, dogorywający rok 1896-ty już obecnie rzucił po za siebie jakby parę promyków obietnicy warunkowéj. Głód w Indyach, mniéj niż umiarkowany urodzaj w Argentynie, pogłoski o dodatkowych rokowaniach celnych z Niemcami, usiłującemi po staremu pochwycić politycznego wołu za rogi z pomocą „gęsich" i „świńskich" szykan na granicy, wreszcie zamiar niektórych kolei wznoszenia zapasowych składów na ziarno, podniosły blisko o denar nasze nadzieje na polepszony zagraniczny eksport rolniczy. Z drugiéj strony, zjazd zbożowy w Petersburgu zapowiedział niejaką ulgę dla gospodarzy rolnych. Ponieważ rdzenna ludność naszego kraju nie przestała kochać gleby-karmicielki i w niéj ufnie upatrywać głównych zasobów swego utrzymania, jest to już coś. Przytém, oczekiwaniom na godziwą możność podźwignięcia fortuny publicznéj z ruiny ekonomicznéj, nadbiegły z pewną zachętą i głosy wyrozumienia w sprawach bliżéj obchodzących dobrobyt moralny. Ż okoliczności podniesionego raz jeszcze pytania, czy nie czasby uposażyć zachodnią połowę państwa w instytucye samorządu ziemskiego, dzienniki zajmujące dotąd opozycyjne w téj kwestyi stanowisko, albo przycichły, albo się oświadczyły za odpowiedzialnością środka i chwili. Tym razem wyraźnie nawet wymieniono gubernie Królestwa Polskiego, jako wchodzące w obręb zamierzonego rozciągnięcia samorządu ziemskiego. „Kraj", wychodzący nad Newą i z tego względu mający możność baczniejszego śledzenia umysłowych na téj drodze postępów, nie zawahał się świéżo zaznaczyć w dziale sprawozdań redakcyjnych (Nr. 44), że „w obecnéj chwili w opinii społeczeństwa rosyjskiego zaczął się zwrot na naszą korzyść i namiętności milkną zwolna".

Jest również parę pozycyi do zaciągnięcia z końcem roku na *habet* rachunków publicznych. Zaliczyć do nich najprzód należy nowopowstałe szkoły fachowe, techniczne, których w Warszawie,

jak sądzi, „Prawda” (Nr. 46) przybyło do dziesięciu. Sz. organ naszych postępowców omawia przy téj sposobności praktyczne urządzenie elementarnego zakładu p. Świecimskiego o trzech wydziałach, mechanicznym, chemicznym i budowlanym, idącym równolegle do warsztatów, które obstalunki robót przyjmują. Niezmierna „drożyzna wychowania”, nad którą pismo zastanawia się w innêm miejscu (Nr. 42), istotnie zdaje się dziś coraz bardziéj przedsiębiorczość zniewalać indywidualną i zbiorową do wyszukiwania takich typów i modeł pedagogicznych, któreby łącząc naukę z zarobkiem, wspiérały nieco rodziców uboższych, mających nieraz kilkoro dziatwy do wychowania, a wziętych wielostronnie w kleszcze: 1) wygórowanego wpisowego, 2) częstéj zmiany i wysokiéj ceny podręczników, 3) stałego podnoszenia się kosztów utrzymania miejskiego i 4) organizacyi szkolnéj zmuszającéj do poszukiwania domowéj pomocy nauczycielskiéj. Kilka fundacyi prywatnych uwolniło w części, na razie, od zmory piątéj, od przepełnienia szkół i zbyt małéj ich liczby w stosunku do potrzeb.

Atoli, każdy wié, co z podrostkami czynić należy; gorzéj ze starcami, z którymi niewiadomo niekiedy, jak i gdzie się obrócić. W drugim przeto rzędzie tegoczesnych naszych nabytków realnych umieścić należy otwarcie domu weteranów pracy,—weteranów wyrobnictwa rzemieślniczego, za rogatką Wolską przy ul. Młynarskiéj. Początek, podobno skromny, maluczki, ale raz jeszcze ujawniła się w nim owa wielka cnota ludów zdrowych i czerstwych, co się nazywa poszukiwaniem własnego szczęścia w niesieniu pomocy niedoli bliźniego. Wśród nas, boski ten płomyk duszy człowieczéj ulegać zwykł i dziwnym, dziwacznym niemal alternatywom: zanika, zanika i zdaje się, że już zgaśnie—aż nagle, znowu tryska z siłą—rzekłbyś—nad siły. Skoro inaczéj być nie może, niechże choć w kronice 1896 pozostanie fakt pozbawiony tymczasowo dalszych swych następstw, — ten fakt mianowicie, że na przytułek starców (jak to jednomyślnie zaznaczyła prasa) dość chętnie otwierały się jaśniejsze sakiewki. Przyjdzie pora — otworzą się raz jeszcze, a tymczasem, może tam jeden, drugi starowina, dla którego w zakładzie zabrakło łóżka i strawy, dociągnie jeszcze do wiosny... do jesieni...

List d-ra Polaka w „Kuryerze Warszawskim”, wykazujący na podstawie cyfr i ścisłego rozumowania, że ostatnia wystawa hygieniczna w Warszawie z wielu względów opłaciła podjęte koło niéj zachody i poczynione nakłady, jest zjawiskiem pocieszającém

przedewszystkiém z tego względu, że nie osłabia energii tych wszystkich, co dzieł dobra powszechnego nie mierzą jeszcze ani natychmiastową, dotykalną korzyścią ogółu, ani zawodami lub stratami jednostek, które poświęceniem swém przyczyniły się do urzeczywistnienia zacnéj i w zasadzie owocnéj myśli. Przytém, wystawa istotnie zostawiła Warszawie na pamiątkę—oprócz opróżnionego placu, dar cenny: stałą orkiestrę miejską. Byłoby zapewne jeszcze lepiéj, gdyby przy likwidacyi, orkiestra otrzymała ze 12,000 trzydziestokopiejkówek na kalafonię, ale ostatni rezultat stanowczo nie zależał już od dobréj woli d-ra Polaka i reszty inicyatorów lub organizatorów wystawy.

O pasywach tegorocznego bilansu możeby i wspominać nie warto. To takie długie, a znane... Poprzestaniemy na najbardziéj w oczy rzucającéj się—na czystéj, nietkniętéj karcie. Czemu nic a nic dotąd nie słychać o jakimkolwiek kroku, jakiémkolwiek drgnięciu woli osobniczéj lub zbiorowéj w kierunku wyzyskania ułatwień ustawy z d. 1 czerwca 1895 i dopełniających przepisów z d. 13 (25) kwietnia 1896? Mówię o drobnym kredycie i kasach pożyczkowo-wkładowych. „Z sześciuset czterdziestu pięciu towarzystw, tego rodzaju w państwie rosyjskiém—pisze w jednem ze swych sprawozdań p. J. Kirszrot-Prawnicki—dwa tylko znajdują się w granicach Królestwa Polskiego: w Grójcu i Wiskitkach..." Wiem, że istnieją skarbonki dla zaoszczędzeń przy urzędach gminnych; spostrzegam nawet u wejścia do biura, gdzie dzienniki odbieram, napis dobitnie nad drzwiami połyskujący: „kasa oszczędności." Ale to najkompletniéj co innego. Na Zachodzie od niepamiętnych czasów kapitał zsiąkający do tego rodzaju zbiorników, nazwano „pół-martwym." Na przyspieszenie i wzmocnienie finansowo-ekonomicznéj działalności narodowéj nie wpływa on wcale, lub bardzo mało, do rozwoju wyobrażeń o samopomocy zbiorowéj i do praktycznego jéj wykształcenia nie nadaje się bynajmniéj. Więc, chyba z niewiadomości biernota płynie... Ach, gdybym miał ze dwieście dukatów do rozrządzenia! Takbym się z niemi obrócił. Pojechałbym najpierw do Wiskitek, późniéj do Grójca na trzy lub czterotygodniowe studya; wraz z niemi wywiózłbym ztamtąd statuty stowarzyszeń miejscowych. Dołączyłbym do tego ustawy normalne z lat 1895 i 96, oraz rozwinięte streszczenie niektórych ustępów pracy Leroy-Beaulieu z r. 1893 p. t. *La Cooperation*, a ozdobiwszy wszystko razem drukiem czytelnym, grubym, oraz godłem: „olbrzymie rzeki z wiejskich kryniczek powstają—miliardowe banki siedzą w kieszeni ubogiego pachołka",

rozesłałbym książkę przy przekazach pocztowych tej osnowy „co łaska na pierwszą spółkę melioracyjno-rolniczą" — wójtom, plebanom, lekarzom, sędziom, naczelnikom powiatów, dowódzcom straży ziemskich, gubernatorom, ministrom... przedewszystkiém wszakże tym posiadaczom i właścicielom ziemskim, których majątki ogłasza „Gazeta Warszawska" w długich, nieskończonych, pozanumerowych agendach licytacyjnych i listach gończych. Poczém, żywiłbym w sobie do końca życia najmocniéj ugruntowane przekonanie, żem oddał współziomkom, a i sobie samemu największą z usług, na jakie gorliwy obywatel kraju, zdobyć się może.

Z tém wszystkiém, wyznaję, że przenoszę razowy chléb rzeczywistości nad najpyszniejszy placek marzenia. I oto dlaczego wracam na grunt faktów dokonanych... nie przeze mnie.

Asenizacya wódczana, zbliżająca się ku nam etapami długiemi lecz szeroko i mocno rozminiętemi, podnosiła senną głowę naszego zainteresowania dopóty, dopóki się przedwstępnie zahaczała o sprawę wykupu propinacyi. Odtąd, słusznie niepokoi jedynie karczmarzy i pijaków—z rzemiosła—tych ostatnich wskutek bardziéj humorystycznego niż racyonalnego zagadnienia: dokąd się skryć przed inkwizytorskim wzrokiem matki, siostry lub żony na wypadek nagłego nadejścia owych flaszeczek rządowych, których przecie ani w składach, ani na ulicach opróżniać nie sposób. Poważniejszą a zupełnie na czasie stronę reformy poruszyli niedawno—o ile mi wiadomo—dwaj tylko projektodawcy: pp. M. Malinowski i G. Waliszewski (z Przybyszowów). Pierwszy mniema, że zamiast szynków należałoby wcześnie pomyśléć o zakładaniu „herbaciarni"; drugi, (z obawy cokolwiek przesądnej, że gleba ojczysta nie nastarczy zwiększonemu popytowi buraków cukrowych oraz że „handlarze zaczną na wielką skalę fabrykować herbatę fałszywą" i zamiast posiłku „lud otrzymywałby w herbaciarniach powolną truciznę"), sądzi, że nie herbaciarnie, lecz mléczarnie i piwiarnie należałoby zakładać z tém zastrzeżeniem, aby piwiarnie nie sprzedawały t. zw. bawara (zaprawianego wroniém okiem, gliceryną, sacharyną" i t. p.), lecz piwo marcowe, „które niegdyś tak nam smakowało." Polemika nie zawiązała się dotąd; przeszkodził jéj ks. Bismarck ze swoją farsą rewelacyjną. Co do nas — a śmieléj powiadam: co do mnie, bezwzględnie oświadczam się za piwem marcowém, głównie z uwagi na możność przyprawiania go na gorąco z mleczywem, jajami i t. p. Cóżby to było za święto! co za święto na tych „zbawarszczonych" już do połowy kresach zachodnio-słowiańskich, gdyby kie-

dyś, za lat choćby dziesięć, dwadzieścia, pokryły się one z końca w koniec gospodami na wzór zbudowanéj przez Glogera w „Skarbcu strzechy naszéj”: izba duża, widna, czysto wybielona, pod ścianami ponakrywane kilimkami domowéj roboty zydelki, na stolikach gazety, czasopisma ludowe, kto chce posilić się lub rozgrzać, dostać może piwa grzanego, lub ochłodzić się w lecie napojem owocowym z lodowni... A i odczyt czasami zdarzyćby się zdarzył, jakiś wędrowny Barcewicz zajrzałby w święto; innego dnia lutnia piotrkowska wyprawiłaby tu zbywających śpiewaków... Dziś, po takie rozkosze, wlec się człowiecze musisz gdzieś aż do Lublina, do Kielc, do Siedlec...

W Warszawie, sezon koncertów i odczytów rozpoczął się pod dobrą wróżbą. Wprawdzie p. Sygietyński twierdzi, że na jednym z inauguracyjnych wieczorów muzycznych p. Noskowski odegrał przedniejszą jakąś sielankę z końca wieku XVIII w tempie zbyt przyśpieszoném: zamiast tęsknéj melodyi (wyobrażam sobie np. „Ne chodi Hrycin na weczerniciu”) słyszéć się dał gatunek czardasza, gatunek kołomyjki; prawdopodobnie jednak była to raczéj reminiscencya ożywionych obecnie w Europie prądów dyplomatycznych, niźli wyraz przyrodzonego temperamentu bądź w kierunku kapeli bądź odwrotnie—w recenzencie. Z mównicy natomiast, zapisujemy to najchętniéj, nie rozległ się najlżejszy w tym duchu dysonans. Zajęta ona była wyłącznie domem i domem. Domem, naturalnie, własnym: jak należy się ubierać (pr. Gerson), jak urządzać mieszkania (p. Edward Goldberg, budowniczy), jakie są sposoby używania węgla kamiennego (pr. Znatowicz) i t. d. Jest to może traf tylko, ale w każdym razie traf szczęśliwy, — głównie z tego względu, że przynajmniéj ludzie nauki i przedstawiciele inteligencyi usiłują żywém słowem oddziałać nieco, w drodze koncentracyi swych kierunków, przeciwko marnotrawnemu rozpraszaniu i bagatelizacyi myśli, jakie w ostatnich latach zapanowały w publicystyce naszéj, literaturze i wydawnictwach poświęconych rozpowszechnianiu umiejętności ścisłych. Nie wchodząc obecnie w roztrząsanie powodów lub pobudek téj rosypki złowrogiéj, podkreślamy jedynie bieżący, okolicznościowy,—przednoworoczny jéj objaw w piśmiennictwie kalendarzowém. Na obfitość sporadycznéj téj produkcyi skarżyć się nie powinniśmy; jeżeli ucierpi ktoś na nadmiarze, to nie ogół, mający w czém wybiérać. Niestety, w tém właśnie tkwi klęska, że wybór jest absolutnie niemożliwy w nawale reklam i w powodzi światełek do nieskończoności nikłych, monotonnie migotliwych, nieconych jakby ręką

nieżyczliwą, jakby złośliwym zamiarem stropienia zmysłu publicznego i wodzenia go wciąż daléj po manowcach rozbicia i zamętu wyobrażeń. Wierszyk ni przypiął, ni przyłatał, nowelka licho wié na jakiéj patelni odgrzana, marnych konceptów tuzin lub dwa, lipcowy nekrolog rozcieńczony w wodzie listopadowéj, raz jeszcze mdły wierszyk, raz jeszcze nowelka na temat żal się Boże, daléj paka anonsów, kilkanaście startych w ósmém wydaniu stereotypów — i obrok gotów... A poskarż się no gdzie na tandetę, wytknij tu i owdzie świécące łaty zaniedbania się i niechlujstwa na nicowanéj szacie, to cię posądzić gotowi o „pozyskaną" stronność na rzecz przeciwnego... obozu.

Mile zazwyczaj witamy nowego towarzysza, smutniéj żegnamy dawnego, odchodzącego. „Kronika rodzinna" przestanie — powiadają — ukazywać się od stycznia; obyż tylko czasowo! Szkoda byłoby koleżanki dyskretnéj, wyniośle a skromnie się trzymającéj, trochę w sobie zamkniętéj, ale dla tych, kogo swém zaufaniem obdarzała, wielce serdecznéj, ujmującéj, usłużnéj. Niemało cennych wskazówek można było od niéj otrzymać. Posiadała zawsze dużo wspomnień, dyaryuszów, autografów, notat ciekawych; lubiła starożytnictwo, sztukę, dystyngowany sposób traktowania ludzi i rzeczy wyjątkowych. Że nie hołdowała nowoczesnéj zasadzie filozoficznéj „przystosowywania się", to również jéj chluba. Możnaby całą bajkę napisać o trzech i o dwunastu braciach, co, oglądając się jeden na drugiego, stali wszyscy jak wryci, w oczekiwaniu kto pierwszy palcem poruszy, a gdy poruszył, już się dał innym wyprzedzić... Bądź sobą! nikogo zbytnio nie podpatruj! czyń wytrwale swoją powinność! — w tych wyrazach mieści się i powitalne nasze życzenie „Kuryerowi Niedzielnemu", który w początku października rzeźko i wcale pokaźnie wszedł w szranki „tanich" wydawnictw tygodniowych, — życzenie tém szczersze i gorętsze w danym wypadku, że „taniość" ma swoje szkopuły zwodnicze, podstępne, — u nas zwłaszcza, gdzie z przyczyn niewymownie przykrych, urósł w ciasném i spartém kole czytelnictwa brzydki a zgubny narów obcinania swych wydatków — nie na kieliszku, breloku, kinkiecie, fajce, lalce, torbie podróżnéj, lecz na najbliższym doradcy, na najlepszym przyjacielu rodziny: na dzienniku i książce. W szlachetnym i pochwał godnym celu rozszerzenia kręgu światła i obyczajności, brniemy najzwykléj na oślep ku rezultatom wbrew przeciwnym. Po pierwsze, schlebiamy niezdrowym zachciankom i nieuczciwym uroszczeniom klienteli raz już zdobytéj dla lektury, i tym sposobem, mi-

mowolnie, sobie również pętlę na szyję zarzucamy, nie na dziś to na jutro. Powtóre, podkopujemy doraźnie ciężką i chybką egzystencyę tych wydawnictw, co bądź z natury specyalnych swych zadań („Zdrowie", „Przegląd pedagogiczny", „Wszechświat", „Wisła" i t. p.), bądź z powodu wyższéj skali trybów wytwórczych i dążeń redakcyjnych, (czasopisma artystyczne, naukowe, filozoficzne i t. d.), na żaden sposób nie są w stanie sprowadzić nakładu do coraz niżéj zapadającego pod niemi poziomu środków prenumeracyjnych. Bądź sobą, staraj się wyodrębnić o tyle, aby gość po rozmowie z twoim sąsiadem znalazł i w tobie coś nowego a pożytecznego do zdobycia — oto, jak się nam zdaje, jedyna droga do ominięcia fatalnych dla wszystkich następstw współzawodnictwa jednorodnego i w trop za niém idącéj, zwiędłéj i nachmurzonéj apatyi do czasopism i książek.

Ale precz z tą prozą, z temi natrętnemi obawami i rachubami egoizmu literackiego! Oto wśród nas — jak zapewniają — wzeszła gwiazdka odświętna...

Ktokolwiek w początkach listopada zwiédzał nieliczne, lecz często sute i naprawdę bogate nasze wystawy artystyczne, zatrzymał się zapewne chwilę i przed glinianemi posążkami Biegalskiego. Wśród nich nie jednego zapewne uderzyła figurka sześć do siedmiu cali wysoka, przedstawiająca chłopię wiejskie w postawie krępo siedzącéj, z łokciami opartemi na kolanach, z fujarką oburącz ujętą przy wargach. Nie mogę sięgnąć po wrażenia do niczyjéj duszy, ale sądzę tak sobie, dedukcyjnie, że większość widzów poprzestała na ulotném odświeżeniu w sobie sympatycznych wzmianek dziennikarskich. Znawca zaznaczył może jeszcze — w sobie, dla siebie — kontrast niemal rażący pomiędzy temi oto kędziorkami, tą oto kapotką grajka, ściętą i zarzuconą śmiało, mocno, a tą twarzą gładką, prawie bez wyrazu, niby odmodelowaną według bibulastego jakiegoś wzoru staro-greckiego lub zdjętą z obrazka w kościele. Dopiéro ktoś setny wpadł zapewne na odkrycie—na właściwy tok myśli. Przypomniała się mu wyblakła od starości anegdotka o owym wieśniaku bretońskim, co to spotkawszy przy dębie malarza z paletą, zagadnął go z przekąsem: — „I co to pan tam porabiasz?" — „A no, widzisz przecie—robię malowidło dębu."— „I do czego to, proszę pana? — dąb wszak jest już i bez tego..." Niezaprzeczenie, są i chłopięta w téj mazurskiéj ziemi, wygrywające na fujarkach. Po cóż więc ta glina? skąd? co? dokąd? dla kogo?... Zaiste, zaiste, nikt tego nie przeczuje, nie odgadnie: ani dokąd dziś na tych

łachach i piachach podążają ludzie głośni—od kart, od szampana, od pohulanek nocnych, ani skąd się na tych nizinach i nowinach biorą mrówcze gromady cichych pracowników ducha, — ci erudyci, poeci, artyści, przyrodnicy, filolodzy, filozofowie, historycy, — te talenta często niedorównane, pierwszorzędne, te poczwarki niewątpliwéj genialności...

J. T. Hodi.



NEKROLOGIA.

† **Kazimierz Stronczyński**, naturalista i archeolog, urodzony w r. 1809, po odbyciu studyów w uniwersytecie warszawskim, gdzie otrzymał stopień magistra filozofii, mianowany został profesorem nauk przyrodniczych w szkole wojewódzkiéj w Warszawie; równocześnie wykładał téż chemię w szkole rzèmieślniczo-niedzielnéj. W r. 1831 wszedł do służby Banku Polskiego, skąd po trzech latach przeniósł się do Heroldyi, gdzie od r. 1847 był dyrektorem kancelaryi. W dobie reform, został r. 1861 referendarzem stanu, dyrektorem kancelaryi komisyi rządowéj wyznań i oświecenia publicznego, a w r. 1869 członkiem senatu. Wysłużywszy emeryturę osiadł w majątku swoim w Sieradzkiém a potém w Piotrkowie gdzie zmarł 11 listopada r. b. Pierwsze jego prace naukowo-literackie odnosiły się do nauk przyrodniczych; wydał: „Rozrywki entomologiczne dla młodzieży, pisemko zawierające w sobie opisy pospolitszych owadów krajowych, 1 książeczka" (Warsz. 1835); „Spis zwierząt ssących kraju polskiego i pogranicznych" (t-że, 1839); „Myśliwstwo ptasze" Mateusza Cygańskiego w przerysie litografowanym (t-że, ok. 1840). Następnie korzystając z archiwów Metryki koronnéj, ogłosił „Wzory pism dawnych w przerysach przedstawione i objaśnione drukowaném ich wyczytaniem" (t-że, 1839), zawierające wiele ważnych dyplomatów; „Statut Wiślicki" (t-że 1847) w przerysie litografowany z rękopismu przechowywanego w archiwum koronném. Zamiłowany w pamiątkach historycznych sam modelował z wosku pomniki grobowe królów polskich. Pracował na polu numizmatyki i wydał „Piéniądze Piastów od czasów najdawniejszych do r. 1340, rozbiorem źródeł spółczesnych i wykopalisk, oraz porównaniem typów mennicznych objaśnione" (t-że 1847, z drzeworytami i ta-

blicami monet). W r. 1844 — 53 przewodniczył delegacyi wysłanéj przez rząd do spisu i zdjęcia rysunków z zabytków starożytności i sztuki, znajdujących się w Królestwie Polskiém, poczém sporządził ich opis, dołączając ich wizerunki wodnemi farbami robione. Opis ten był drukowany w „Dzienniku Powszechnym” r. 1862 i 1863, z wyjątkiem gub. augustowskiéj; oryginał zaś wraz z rysunkami znajduje się w Bibliotece Głównéj w Warszawie. W r. 1880 ogłosił „Legendę obrazową o ś. Jadwidze, księżnie szlązkiéj według rękopisu z r. 1353 przedstawioną i z późniejszemi tejże treści obrazami porównaną” (Kraków, Akad. Umiej.) Do tego dzieła należą „Obrazy legendy o ś. Jadwidze, podług rękopisów ostrowskiego z r. 1353 i wrocławskiego z 1451 (t-że, kart litografowanych 67). W r. 1881 wydał „Pieczęci Piastów” (Warsz.), a w roku 1883 „Uzupełnienie do przeglądu pieczęci” oraz „Dawne monety dynastyi Piastów i Jagiellonów” (Piotrków). W r. 1887 ogłosił „Dawny grobowiec Bolesława Chrobrego” (Warsz.), w 1888: „Pomniki książęce Piastów” (Piotrków).

† **Edward Fierich**, profesor uniwersytetu, urodzony r. 1817 w Samborze (w Galicyi), ukończywszy uniwersytet lwowski, był praktykantem w prokuratoryi skarbu, następnie komisarzem starostwa i z tego stanowiska został powołany na profesora wszechnicy jagiellońskiéj w czasie jéj germanizowania r. 1850; wykładał tu procedurę ogólną austryacką, prawo handlowe i wekslowe. Od r. 1852 do 1859 był dziekanem wydziału prawnego, a potém dwukrotnie jeszcze piastował tę godność; w r. 1872 był rektorem, a w r. 1887 przeszedł do emerytury. Odznaczał się gruntowną wiedzą prawniczą i zacnym charakterem. Drukiem ogłosił kilka prac, z których wymieniamy: „Vorträge über das österreichische civilgerichtliche Verfahren” (Kraków, 1865), „Zusätze zu den Vorträgen über ö. c. Verfahren” (t-że), „Postępowanie sądowo-cywilne austryackie” (t-że 1872, autografowane), „O ważności zobowiązania wekslowego z podpisem przez pełnomocnika położonym”, „Powszechny austryacki kodeks handlowy.” Był członkiem Akademii umiejętności w Krakowie. Zmarł 13 listopada r. b.

† **Antoni Nagórny**, ekonomista, urodzony 23 stycznia r. 1821 w Jachimówce, powiecie płoskirowskim, szkoły średnie kończył w Niemirowie i Kamieńcu podolskim, uniwersytet zaś w Petersburgu. Urzędował następnie w Kutaisie i Tyflisie, skąd przybył r. 1867 do Warszawy i tu objął posadę w izbie obrachunkowéj. Celem wystudyowania kwestyi podatkowéj odbył podróż do Prus, Danii i Szwecyi, a następnie wypracował memoryał, mieszczący wiele cennych informacyi, zestawione cyfry i projekt reformy na tle prawodawstw skandynaw-

skich, a mianowicie szwedzkiego. Brał żywy udział w pracach około rozwoju ekonomicznego; należał do grona założycieli stowarzyszenia spożywczego „Merkury", Towarzystwa wzajemnego kredytu, Banku handlowego i t. p. W r. 1869 powołany został do Banku Polskiego, którego następnie został wiceprezesem. W r. 1872 uczestniczył jako delegowany z urzędu w pracach kongresu statystycznego w Petersburgu, gdzie w odpowiedzi p. Englowi wygłosił zdanie o regulacyi podatku gruntowego, zamieszczone w sprawozdaniu z posiedzenia kongresu. W ostatnich latach był wiceprezesem rady kolei fabryczno-łódzkiéj, członkiem rady Tow. wzajemnego kredytu i członkiem rady konserwatoryum muzycznego. Publikacye ekonomiczne rozpoczął w r. 1864, ogłaszając rozprawę „Kwestya wódki uważana ze stanowiska ekonomii społecznéj a głównie pod względem podatku" (Warsz. Toż samo tegoż roku po francusku); w r. 1865 wydał; „Impôt des bâtiments, note sur le règlement de cet impôt en Pologne" (Warsz.) W tymże roku założył miesięcznik p. t. „Ekonomista" i redagował go do r. 1868, kiedy objął wydawnictwo Sommer; po śmierci tegoż ś. p. Nagórny pismo upadłe znów podniósł i w r. 1878 na tygodnik zamienił, a redakcyę powierzył A. Egerowi; po kilku latach, „Ekonomista" i w téj formie przestał wychodzić. Ś. p. Nagórny umarł w Grodzisku 24 listopada r. b.





Wydawca: *W. Spasowicz.* — Redaktor *P. Chmielowski.*

OGŁOSZENIA.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM".

1. *Guhl i Koner.* **Hellada i Roma.** Przekład *Stanisława Mieczyńskiego.* Warsz., Gebethner i Wolff. Zesz. 8, 9 i 10 (z rysunkami).
2. **Rzym Papieży.** Wydawnictwo „Tygod. Ilustr." i „Biesiady Literackiéj". Warsz., skład gł. w księg. Gebethnera i Wolffa, zesz. 7 (str. 241—280).
3. **Encyklopedya illustrowana** wiadomości pożytecznych. Nakł. Michała Arcta w Warszawie, zesz. 11 i 12 (str. 321—384), cena zeszytu 25 kop.
4. Dr. *Zofia Daszyńska.* **Nietzsche-Zarathustra.** Studyum literackie. Kraków, nakładem drukarni F. K. Pobudkiewicza, 1896, 8-vo, str. 133.
5. *Klemens Junosza.* **Na bruku.** Powieść z życia miejskiego. Warsz., nakł. księgarni St. Sadowskiego, 1897, 8-vo, str. 185,
6. *Paweł Bert.* **Pierwsze wiadomości** z geometryi doświadczalnéj w zastosowaniu do mierzenia odcinków, powierzchni i objętości. Spolszczył *S. Srebrny.* Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1897, 8-vo, str. 125, z drzeworytami w tekście.
7. **Zarys** 25-letniéj działalności Towarzystwa kredytowego m. Warszawy, opracowany przez *A. Bardzkiego, A. Czajewicza, E. Diehla, A. Makowieckiego, Z. Mirosławskiego* i *W. Nowakowskiego*, 1896, 8-vo, str. 132.
8. **Encyklopedya rolnicza** wyd. staraniem Muzeum przemysłu i rolnictwa. Zeszyt LXII (str. 705—836).
9. *Stanisław Belza.* **Obrazy Korsyki.** Warsz., Gebethner i Wolff, 1896, 8-vo, str. 232, z licznemi fotodrukami.
10. **Ze studyów** nad wiekiem Peryklesa. Napisał *Stanisław Schneider.* Lwów, nakł. Towarzystwa filologicznego, 1896, 8-vo, str. 15.
11. **Statystyka finansów** miasta Warszawy za okres dwunastoletni (1883—1894). Wydał dr. *W. Załęski.* Warsz., 1896, 4-to, str. 43.
12. **Księga Wszechświata** i sposób jéj czytania. Napisał *Kazimierz Wodecki.* Kraków, nakład autora, 1896, 8-vo, str. 122 (cena 1 złr. 20 cnt.).
13. **Sprawozdanie** Dyrekcyi c. k. gimnazyum w Brzeżanach za rok szkolny 1896. Brzeżany, 1896, 8-vo, str. 40.
14. *Kazimierz Tetmajer.* **Wybór poezyi.** Warsz., nakładem Gebethnera i Wolffa, 1897, str. 231.
15. *Wincenty Kosiakiewicz.* **Plama** (z pamiętników wynalazcy). Warsz., nakł. Gebethnera i Wolffa, 1897, 8-vo, str. 230.
16. *Gustaw Karpeles.* **Rzut oka na literaturę żydowską.** Przekład z niemieckiego. Warsz., nakł. G. Centnerszwera, 1896, 8-vo, str. 69.
17. **O księdzu Boduenie,** opiekunie dzieci opuszczonych i nędzarzy. Napisał *A. P.* Warsz., skład gł. w księg. M. A. Wizbeka, 1896, str. 32 (cena kop. 6).
18. *Napoleon Rouba.* **Stryjowa spuścizna.** Powieść współczesna. Warsz., 1896 (nakład Józefa Zawadzkiego w Wilnie), 8-vo, str. 359.
19. **Mowy Juliana Dunajewskiego** w sejmie krajowym i w radzie państwa, przetłomaczył, objaśnił i wydał dr. *Władysław Leopold Jaworski.* Przedmowę napisał dr. *Piotr Górski.* Tom I. Kraków, Spółka wydawnicza polska, 1896, 8-vo, str. 349 z portretem.
20. *Józefa Ungra* **Kalendarz illustrowany** na rok zwyczajny 1897-my. Warsz., 4-to (cena kop. 50).
21. *Klemens Junosza.* **Wybór pism** w X tomach. Nakład autora. Warsz., 1896, 8-vo. Tom VII, str. 240.
22. **Z pola i z bruku.** Nowele *Klemensy Junoszy.* Warsz., nakł. Emila Skiwskiego, 1897, 8-vo, str. 212.
23. *Teresa Prażmowska.* **Serce.** Powieść dla dorastającéj młodzieży. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1896, 8-vo, str. 266.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdéj z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.